

JOANNA
JODEŁKA



2 MILIONY ZA GRUNWALD

Szpiedzy. Zdrajcy. Bohaterowie...
i najsłynniejszy polski obraz.
Mistrzowska powieść sensacyjna
oparta na prawdziwej historii

Joanna Jodełka

2 MILIONY ZA GRUNWALD



Copyright © by Joanna Jodełka-Czachorowska MMXVIII

Wydanie I

Warszawa MMXVIII

2 miliony za Grunwald to powieść historyczna, w której prawdziwe wydarzenia i autentyczne postaci mieszają się z fikcją literacką. Wszystkie dialogi i opisy w książce zostały wymyślone przez autorkę. Zawile losy obrazu *Bitwa pod Grunwaldem* Jana Matejki podczas drugiej wojny światowej przedstawione zostały zgodnie z relacjami świadków i opisanymi wypadkami.

Redaktor inicjujący: Filip Modrzejewski

Redaktor prowadzący: Ida Świerkocka

Redakcja: Ewa Nosarzewska

Korekta: Małgorzata Denys, Maria Nowicka

Adiustacja: Ida Świerkocka

Projekt okładki: Joanna Strękowska

Na stronie okładki wykorzystano fragment Bitwy pod Grunwaldem Jana Matejki: © Fine Art Images / Heritage Images / Getty Images

Skład i łamanie: Marek Ugorowski – Typo

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.

02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 48

tel. 22 826 08 82, 22 828 98 08

biuro@gwfoksal.pl

gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-6193-4

Markowi

60 lat wcześniej

Wrzesień 1878 roku

Krawiec spojrział w górę.

- Pan pozwoli, że tak zapytam. Po której stronie pan nosi szabelkę? - Dawid Rosenblum, bankier z ulicy Długiej w Warszawie, popatrzył na człowieka, który klęczał przy jego nogach. Kiwnął głową na prawo i wrócił do liczenia. Dodawał w myślach rządkę cyfr, lekko tylko poruszając ustami. Wszystko już niemal zdążyło się zsumować, gdy z ulicy dobiegły jakieś okrzyki. Starał się je lekceważyć, lecz w końcu wrzawa stała się tak głośna, że popsuła obliczenia i uciekł mu z głowy prawie uzyskany wynik. Podirytowany machnął ręką w kierunku swego kuzyna.

Młody Kamil Faber zareagował natychmiast. Do tej pory siedział przy mniejszym biurku, segregował po cichu poranną prasę, czujnym okiem obserwując wuja. Patrzył na niego niczym muzyk na dyrygenta, gotowy na każde jego skinienie. Teraz szybko odłożył przeglądaną gazetę, zdjął małe okulary, wstał i ruszył w kierunku okna. Odgarnął ostrożnie liść wielkiej palmy i odsłonił zasłonkę.

- Co tam się dzieje? - zapytał zniecierpliwiony Dawid Rosenblum. Sam nie mógł się ruszyć, bo owijał go ponakłuwany szpilkami, rozcięty kawał prążkowanego materiału. Na odpowiedź czekał również stary krawiec, który zastygł z rządkiem trzymany w ustach szpilek.

Gwar nasilał się z każdą sekundą.

- Nie wiem. Coś jak karnawał? - powiedział, widząc odświętnie ubrane kobiety z kwiatami w rękach i dzieci w marynarskich mundurkach.

– We wrześniu?

– No, to może jakaś wojna. Cieszą się – dodał, a Dawid Rosenblum mocno zmarszczył tyse czoło. Nie szył mundurów dla wojska, powstań też nie lubił i nie był tym zainteresowany. Kamil Faber otworzył okno i mocno się wychylił. Krzyki były coraz głośniejsze, choć ciągle niewyraźne.

– Obdzierają kogoś ze skóry? – niecierpliwił się krawiec.

– Raczej konie kradną – odpowiedział mu Faber i roześmiał się.

– I co w tym śmiesznego? – Wzburzony bankier kręcił głową. Miał wystarczająco dużo powodów do niezadowolenia. Zawiewało zimnym powietrzem, drętwiała mu noga, a z ubogiego kuzyna, zdawało się, nie będzie żadnego większego pożytku.

Chłopak rozłożył ręce.

– Bo konie z powozu wyprężone i ludzie dyszle ciągną.

Krawiec nie wytrzymał. Zostawił stojącego w rozkroku bankiera i podbiegł do okna.

– A...! Ktoś sssławny przyjechał – wysyczał półgębkiem, przytrzymując zębami poupychane w ustach szpilki. – Kwiaty pod koła rzusssają.

W hałaśliwym tłumie dał się rozpoznać jeden tubalny okrzyk: „Mistrzu, mistrzu! My cię na rękach zaniesiemy! Choćby na pole samo...”.

Bankier szczerze się zdziwił.

– Ale po co chcą jeszcze w pole zawlec? Konie już przecież zabrali?

– To Matejko! To Matejko! – krawiec krzyknął już na całe gardło, nie zwracając uwagi na wypadające z ust szpilki. – Matejko! – dodał, składając ręce jak do modlitwy. Błagalnym wzrokiem spojrzął na bankiera, też chciał zbiec na dół. Prawie ruszył w kierunku drzwi, ale powstrzymał go karcący wzrok klienta.

– Dosyć tego! Zamknij okno, bo zimno.

Dawid Rosenblum nie zamierzał już dłużej sterczeć na środku gabinetu, ponakłuwany niczym jeź.

Kamil Faber wrócił na fotel przy biurku. Wziął do ręki

niedawno odłożone gazety.

– A ten Matejko to kto? – zapytał bankier po chwili.

– Malarz przecież – szybko odpowiedział krawiec.

Dawid Rosenblum pokiwał z wahaniem głową. Zdawało mu się, że już słyszał to nazwisko. Sztuka niezbyt go jednak interesowała. Nie musiał go znać.

– Polak? – upewnił się.

– Polak! – wykrzyknął krawiec z entuzjazmem. – Wielki Polak! – dodał, wkładając z powrotem szpiki do ust.

– Syn Czecha i Niemki z domu Rossberg – sprostował Kamil Faber, a wuj po raz pierwszy popatrzył na niego z uznaniem, którego nawet nie starał się ukryć.

– Ciekawe to. – Pokiwał głową.

– Tak... Tak. – Kamil Faber wziął szybko gazety do ręki. – Wszyscy o nim piszą. I „Echo”, i „Nowiny”, i „Kurier Warszawski”, na pół strony.

– Czytaj! – rozkazał wuj.

– Już w czwartek gruchnęła wieść, że Mistrz Jan Matejko projektuje podróż do Prus Królewskich. Wybiera się na pola grunwaldzkie, gdyż pragnie uwiecznić na płótnie sławne zwycięstwo Jagiełły nad krzyżakami. Podróżuje wraz małżonką i córką. W Warszawie zatrzyma się na kilka dni. Już wiadomo, że odbędzie kilka proszonych obiadów. Zasiądzie przy jednym stole z Jej Wysokością Księżną Małgorzatą z Orleanu Czartoryską, Jej Wysokością Księżniczką Bianką, księciem Adamem z synami Pawłem i Iwonem, hrabiną Krasieńską, hrabiną...

– Figura! – skwitował Rosenblum.

– Dwa medale złote na wystawie w Paryżu. Za *Rejtana*, za *Kazanie Skargi* – dopowiedział Kamil Faber. Już nie czytał tego z gazety. – I Legia Honorowa, francuska, za całokształt. Jego obrazy zjeździły całą Europę. Sam cesarz Austrii Franciszek kupił jego dzieło...

– Za ile?

– Tego nie wiem. – Na to wuj skrzywił się. – Ale wiem, że Maurycy Potocki dał tylko dziesięć tysięcy złotych reńskich za Skargę. Ale to było parę lat temu. Jeszcze przed medalami. Teraz

to on co najmniej potroił wartość. A jeszcze dochód z biletów. W Wiedniu, Peszcie, Petersburgu...

– Co ty powiesz? – Dawid Rosenblum sam nie wiedział, co zdziwiło go bardziej. To, że chłopak na czymś się jednak znał, czy tak szybki wzrost wartości.

– Co najmniej... – podkreślił Kamil Faber z dumą w głosie. Chciał dodać coś jeszcze, ale wuj tylko skinął ręką na znak, że nie chce go dalej słuchać. Chłopak karnie spuścił głowę i wrócił do przeglądania gazet, zakreślając informacje sprzedażowe. Wkrótce starannie złożył papiery i zabrał się do korespondencji.

– Zajmiesz się tym! – rozkazał zniecierpliwiony Dawid Rosenblum. Jego głos zabrzmiał tak stanowczo, że chłopak poderwał się na równe nogi. – Sprawdź, za ile ten będzie.

– Kto?

– Ten obraz. – Machnął ręką w kierunku okna.

– Jaki obraz?

– Ta bitwa – wyjaśnił Dawid Rosenblum i zasyczał z bólu. – Pod Grunwaldem! – dodał, wyjmując z uda szpilkę wbitą tam przez oniemiałego krawca.

Niecały miesiąc później Dawid Rosenblum w towarzystwie kuzyna był już w Krakowie przy ulicy Floriańskiej w pracowni mistrza Jana. Dolne piętra kamienicy zajmowało mieszkanie. Na górę wprowadziła ich służąca. Sam Matejko miał się za chwilę pojawić. Czekali niecałe dziesięć minut, gdy usłyszeli domowników. Na dole zawodziły biegające dzieci i zdawało się, że krzyczała także małżonka malarza.

Dawid Rosenblum chwilowo się tym nie interesował. Stał właśnie przed obrazem i zamarł. Starał się ukryć własne emocje. Zamierzał wydać nie więcej niż trzydzieści pięć tysięcy złotych reńskich, a teraz uważał, że i czterdzieści warto za to dać. Wielkie płótno na potężnych sztalugach zajmowało całą ścianę, a i tak boki nie były naciągnięte, bo nie mieściło się w pracowni. Nie zmieściłoby się też w żadnym ze znanych Rosenblumowi mieszkań, nawet tych najbardziej okazałych. Mogło mieć prawie

dziesięć metrów długości i pięć szerokości. Zdawał sobie sprawę, że to powiększało ewentualne koszty transportu, ale i efekt był spektakularny. Według jego obliczeń, a mylił się rzadko, wydatek zwróci się z samych biletów. Zamierzał zaprezentować je przede wszystkim w Warszawie, a potem w Moskwie, Petersburgu, Wiedniu, Paryżu i gdziekolwiek jeszcze, gdzie są gmachy mogące pomieścić taki obraz.

Tłumy ciągną na takie pokazy, jeżeli ukończony obraz ma dobrą prasę. Ten miał dobrą, zanim urósł len na płótno, na którym go namalowano. Trudno o lepszy rozgłos, rozmyślał, przyglądając włosy na głowie.

Od pobytu Matejki w Warszawie kazał sobie zakreślać każdy artykuł na jego temat. I wiedział, że na samej trasie przejazdu ludzie czekali po kilka godzin na peronach, by obsypywać kwiatami wagon, w którym podróżował malarz. Do tej pory oglądali same klęski Polaków, które malował, a teraz mieli zobaczyć tryumf. Wielką zwycięską bitwę. Na tym nigdy nie można stracić. Warto dać i pięćdziesiąt, pomyślał. Problem tylko, że obraz był nieskończony. Zamalowana tylko środkowa partia. Pełno jakichś koni i jeźdźców. Reszta płótna pokryta jakimiś malunkami, kreskami, pociętymi liniami. Nie mógł się w tym połapać, ale i szybko przestał się nad tym zastanawiać. Myślał przede wszystkim, jak to dobrze rozegrać.

Natomiast młody Kamil Faber kręcił się w kółko jak w amoku. Szamotał się za plecami wuja i nie wiedział, czemu ma się przyglądać. Patrzył jak oniemiały to na obraz, to na wszystko, co było wokół niego. W pracowni stały manekiny z ponarzucanymi na nie grubymi, haftowanymi sukniami. Na półkach, na skrzyniach i na podłodze leżały hełmy, szyszaki, halabardy, siodła, łuki, miecze, pałasze, pancerze. Na stołach porozkładane były szkice rozszalałych koni z uzdami boleśnie wbijającymi się w pyski. Wyglądały niczym bestie. Oprócz tego rysunki kości, czaszek, głów. Obok płótna leżały mahoniowe palety. Czyste i z ponakładanymi farbami. Cynobry, ugry, zielenie, błękity. Setki pędzli, słoików i tubek z farbami i pigmentami. Od tego bogactwa prawie kręciło mu się w głowie.

Sam obraz też go przygniatał swym ogromem. Kamil włożył rozcapierzone palce obu rąk we włosy i z niedowierzaniem kręcił głową. Rozpoznał zwycięskiego wodza na koniu. Wyglądał jak bóg wojny pomiędzy rozszalałym, walczącym kłębowiskiem ludzkim. Prawie skończony był też wielki mistrz krzyżacki w białym płaszczu z czarnym krzyżem. Miał miecz w rękach i śmierć w oczach. Wiedział, że zaraz zginie od topora, zmierzającego nieuchronnie w jego kierunku, i włóczni skierowanej w sam środek jego serca. A jeszcze tyle tego będzie, pomyślał Faber, patrząc na obrysowane węglem kolejne postaci mające wypełnić prawie całą powierzchnię gigantycznego płótna.

– Dnia nie wystarczy, żeby to obejrzeć. – Nie wytrzymał, powiedział głośno i westchnął.

– Ciszej! – skarcił go wuj. Kamil Faber dopiero teraz zobaczył, że Rosenblum stoi przy lekko uchylonych drzwiach i wsłuchuje się w krzyki dochodzące z dolnego piętra. Wuj kiwnął na niego ręką i przyłożył palec wskazujący do ust.

– Radzę ci, sprzedaj go! Nawet nie myśl, że oddasz go państwu albo co gorsza znowu podarujesz jakiemuś księciu! – usłyszał kobiecy głos.

– Zorganizujemy zbiórkę...

– I będziemy czekać trzy lata. A ja w tym czasie umrę!

– Prędej ja umrę... – usłyszeli nieznanym sobie głosem mężczyzny. – To może być moje ostatnie dzieło.

– Tym bardziej! – żachnęła się kobieta. – Jeśli ty nie potrafisz, to ja tam pójde. Ta bitwa mnie wykończy i ciebie też! Maluj jakies mniejsze obrazy. To bardziej opłacalne. Jakies portrety. Byle nie moich siostrzenic! Bo potnę.

– Idę na górę.

Dawid Rosenblum odszedł szybko od drzwi. Popatrzył jeszcze raz na obraz, po czym usiadł przy małym stoliku. Odsunął leżące na nim szkice, nawet na nie nie patrząc. Z jednej kieszeni wyjął pióro, a z drugiej książeczkę z wekslami. Zaczął je wypisywać.

Słychać było kroki wolno zmierzające po schodach. W końcu drzwi otworzyły się.

Bankier podniósł się, a Kamil Faber się wyprostował.

Naprzeciwko nich stanął sam mistrz Jan Matejko.

Rosenblum pierwszy podał rękę, taksując malarza wzrokiem. Przeraził się. Widział przed sobą zmizerniałego, rachitycznego człowieka, zmęczonego i przedwcześnie postarzałego. Właściwie wyglądał na takiego, który nigdy młody nie był. Siwiejące włosy zaczesane do tyłu, okulary z grubymi szklami, kościste ręce, zgarbione plecy, ziemista skóra. Stał dokładnie na tle pustej, niezamalowanej połaci wielkiego obrazu.

– Dawid Rosenblum – przedstawił się.

– Jan Matejko.

Kamil Faber nieśmiało wyciągnął teraz swoją dłoń. Stał, a uważał, że powinien klęknąć. Zdawało mu się, że widzi człowieka nie z tego świata i nie w ten świat wpatzonego. Był zachwycony i nie mógł wyjść z podziwu, że człowiek tak wątłej postury może być takim gigantem. Szklą w okularach miał dwa razy grubsze od jego szkieł, a wymalował tyle ledwo widocznych szczegółów. Tyle biżuterii, tyle atłasów, tyle błysków w rozeźlonych oczach. Prawie widział go na tle jego wielkiego dzieła. Jak stoi na drabinie. Twarzą w twarz z przerażonym mistrzem krzyżackim, a wokół niego śmiertelny zgiełk bitewny... Nie potrafił wymówić słowa. Stał jak słup z otwartymi ustami.

– Jan Matejko – przedstawił się pierwszy malarz.

– Kamil Faber – wydukał po chwili.

– Z tych Faberów? – zapytał mistrz, pokazując na słoiczki z pigmentami.

– Kiedyś tak – odpowiedział mu chłopak, ku zdziwieniu wuja, który niezbyt interesował się, na czym zubożał jego daleki krewny. Słyszał, że na farbach, ale niezbyt wiedział jakich.

– To wie pan, że on cały czerwienią wypełniony. – Mistrz wyraźnie zwracał się do Kamila, patrzącego na niego rozplómiętym wzrokiem. – Czasami myślę, że własnej krwi tam dokładam. Ten obraz wścieklistą jest malowany...

– I po to tu jesteśmy, by temu zaradzić – włączył się Dawid Rosenblum, uprzedziwszy kuzyna, który już zamierzał się odezwać. Nie chciał zachwyków, chciał konkretów.

– Słucham? – zdziwił się Matejko i podszedł do małego pudełka.

– Ach... tak. Przepraszam. Żona moja... Martwi się, że ten obraz mnie wykończy – dodał, wyjmując papierosa.

Dawid Rosenblum zmiął trzymany weksel i zaczął wypisywać nowy.

– To powinno ją uspokoić – powiedział bankier i wręczył wypisany właśnie świstek. – Dwadzieścia tysięcy teraz... i niech będzie dwadzieścia po skończeniu.

– Ale...

– Dobrze. Dwadzieścia pięć. I niech pan zadba o siebie.

– Ja o siebie dbać nie muszę.

– Musi pan, bo nikt inny za pana tego nie skończy – stwierdził bankier rzeczowo, ze szczerym niepokojem w głosie.

– Mistrzu, ten obraz musi powstać! – wtrącił się rozemocjonowany Kamil Faber. – Cały naród na niego czeka. I ja – dodał błagalnym tonem. Matejko, który do tej pory miał posępną minę, rozchmurzył się i uśmiechnął nawet.

– Nie tylko ten naród. Cała Europa – włączył się szybko bankier, widząc zmianę na twarzy malarza. – Zamierzam go pokazać w każdym europejskim mieście. Każdy będzie chciał go zobaczyć – powiedział i pokazał ręką na obraz. Wycelował tak dokładnie w postać zwycięskiego wojownika, że musiał dodać: – Jego, tego... Jego zobaczyć!

– To Witold. Wielki książę litewski...

– A więc w Wilnie też go wystawimy!

– Oby. – Malarz uśmiechnął się. – Kiedyś...

– Proszę – powiedział bankier, podając malarzowi wypisany weksel.

– To znaczy... Sprzedany na pniu? – zapytał Matejko, biorąc do ręki kartkę papieru.

– Tak to się chyba mówi. Mam tylko jeden warunek. Skończony musi być w ciągu roku. Żadnych innych zleceń ma pan nie przyjmować! – dodał Rosenblum kategorycznie.

Malarz przez dłuższą chwilę się nie odzywał. Pokiwał głową, po czym zapalił papierosa.

– Może to i lepiej. Może tak skończyć mi się go uda... – Zadumał się, podchodząc do obrazu i gładząc ręką płótno.

– O to chodzi! – ochoczo potwierdził Rosenblum.

– A ja też mam warunek, nawet dwa – ożywił się malarz. – Ma pan o niego dbać. Łatwo takie płótno uszkodzić. Nie chcę, żeby się połamał, zamókł, zgnił gdzieś, nie wiadomo gdzie...

– Tym zajmie się on. – Bankier pokazał na kuzyna. Matejko pokiwał głową, widząc zachwyty na twarzy chłopaka, który zupełnie nie potrafił się już opanować.

– Życie za niego oddam! – zawołał Rosenblum, rozkładając ręce.

– Nikt życia za moje obrazy na szczęście nie daje – powiedział mistrz, klepiąc Kamila Fabera po ramieniu. – Nie ma potrzeby, choć już raz chcieli mi obraz zniszczyć...

– Nie pozwolę! Będę pilnował!

– Ufam panu! I mam jeszcze jeden warunek – dodał. – Musi być wystawiony w Berlinie.

Zapadła cisza.

– Niemcy nie będą chyba zadowoleni – skwitował Dawid Rosenblum.

– Nie muszą być. Ważne, żeby im to pokazać. Niech pamiętają, jak się wojny niesprawiedliwe kończą. Jak mi sił wystarczy, to im jeszcze hołd pruski wymaluję – zagroził malarz.

– Zgoda. Też go kupię – przytaknął zadowolony Dawid Rosenblum. – A *Bitwa* pojedzie do Berlina. Obrazowi taki rozgłos nie zaszkodzi – powiedział, wyciągając rękę.

– Na pewno – potwierdził Matejko, odwzajemniając uścisk. Szybko puścił dłoń bankiera i podbiegł do okna. Otworzył je na oścież. – Słyszycie? Dzwon Zygmunta bije. To dobry znak!

Półtora roku później Kamil Faber obudził się w hotelowym pokoju przy Ulm Strasse. Wyjął spod poduszki list od Karmeli Rosenblum. Nie musiał go czytać, treść znał na pamięć. Powąchał go tylko. Pachniał fiołkami. Pocałował go i odłożył na nocny stolik. Przeciągnął się i zerknął pod drzwi. Leżała już tam poranna berlińska prasa. Wstał i szybko zaczął ją kartkować, szukając pierwszych wrażeń z zaprezentowanej właśnie *Bitwy pod Grunwaldem*. Wystawiono ją wczoraj w Akademii Gebäude.

Zebrała wiele pochlebnych recenzji. Mówiono, że to obraz wspaniały i wyjątkowy. Wiele osób rozpląwało się w zachwytach, choć niektórzy jak zwykle byli bardziej powściągliwi. Na wszystkich jednak robił kolosalne wrażenie. Widział to po twarzach zwiedzających. Tak samo było we wszystkich miastach, w których płótno było wystawiane. Niektórzy wpatrywali się w obraz po dwie godziny, nawet wracali na drugi dzień. We francuskiej prasie przeczytał, że to dzieło „zdumiewa, oślepia i przyciąga”, że „jest dzikie i pełne furii. Heroiczne i demoniczne zarazem”. W angielskiej, że to: „Wielkie płótno przedstawiające straszliwą walkę rycerzy teutońskich i Polaków, gdzie napiętnowana została polityka krwi i żelaza, stosowana w zdobytych krajach przez żołnierzy krzyżackich!”. W rosyjskiej: „Co za dramat, co za siła!”. W Polsce podchodzili do obrazu jak do ołtarza.

Teraz też nie mógł się doczekać, jakie będą opinie. Odnalazł w końcu szukany nagłówek w „Berliner Fremdenblatt” i zaczął czytać. Czytał kilka razy. Jeszcze raz od nowa i od nowa. Niejaki „Dr. O. von L.” pisał: „Jak ośmielono się taki obraz tutaj wystawić. To przejaw polskiej chorej melancholii i niezrozumienia historii. To niegodne, nieprawdziwe zuchwalstwo. Wielki mistrz zakonu niemieckiego ginie z rąk jakiegoś kmiecia z toporem. To nie tylko nietaktowność, to obelga! Taki obraz powstać nie powinien. Należałoby go zniszczyć!”.

Zastanawiał się, czy wczoraj poznał kogoś o takich inicjałach. Nie mógł sobie jednak nikogo takiego przypomnieć. Na wszelki wypadek postanowił szybko się ubrać i sprawdzić, czy płótno jest bezpieczne. Po chwili jednak uspokoił się. Kto w dzisiejszych, cywilizowanych czasach chciałby zniszczyć obraz, pomyślał Kamil Faber.



Jan Matejko wywiązał się z umowy. Wypalając setki papierosów, żywiąc się kawą. Tkwiąc z obolałą ręką w górze, z nosem przy płótnie. W dusznej, ciemnej pracowni, wśród

krzyków, awantur i rozpaczy, ukończył obraz. W rok od sprzedaży.

W doskonałym opisie *Bitwy pod Grunwaldem* Stanisław Witkiewicz, tylko patrząc, niemal słyszał bitewne dźwięki: „potworny chrzęst zbroi, młóconych razami mieczów i cepów, zgrzyt ześlizgujących się po stali ostrz, ryki wściekłości, krzyki rozkazów, wrzask trąb, charczenie konania, jęki bólu i zgrozy, kwik koni i nie wiadomo jeszcze jakie odgłosy, wyjące w takich straszliwych cyklonach ludzkich walk”. Widział ludzi zwartych w śmiertelnym uścisku, którzy „nadmierzają się na ostrza kopii, płatają się na dwoje mieczami, kłują nożami, prują oszczepami, dławią się arkanami, miażdżą się maczugami”. Pisał o koniach, którym udziela się to ludzkie mordercze szaleństwo: „gryzą, tłocząc się na siebie, gniotąc jeźdźców, tratując trupy, rozgniatając rannych, chlupiąc w oślizgłych krwi kałużach”.

To opis z samego wnętrza obrazu. Walka tam ciągle się toczy.

Ale widać też już pokonanych. Przerażonego katowskim mieczem Ulricha von Jungingena, uciekającego w popłochu Heinricha von Plauena, chwyconego tatarskim arkanem Markwarda von Salzbacha. Wyraźnie też wiadomo, kto w tej wojnie zwycięży. Pokazana jest cała plejada okrytych sławą, dzielnych rycerzy: szarżuje Zawisza Czarny z Grabowa, walczy Zyndram z Maszkowic, siecze mieczem sławny Jan Žižka z Trocnova i szaleje na koniu tryumfujący wielki książę litewski Witold.

Jan Matejko, wielki Polak, syn Czecha i Niemki, chciał pokazać największą bitwę średniowiecznej Europy. Gigantyczną psychomachię. Walkę dobra ze złem. Wschodu z Zachodem. Prawdy z fałszem. Przedstawić Polskę i Litwę obracającą w miążgę potęgę zakonu krzyżackiego.

Tysiąc osiemset siedemdziesiąty ósmy rok, w którym Jan Matejko ukończył *Bitwę pod Grunwaldem*, był trudnym rokiem dla malarza. Został co prawda zaszczytnym członkiem Rafaelowskiej Akademii Sztuk Pięknych w Urbino, otrzymał złoty medal i wielkie wyróżnienie na paryskiej wystawie malarstwa, dostał berło na Zamku Królewskim w Krakowie jako symbol jego

panowania w dziedzinie sztuki, lecz powoli podupadał na zdrowiu. Był to bowiem czas, w którym zmarła jego małeńka córeczka Regina. Ledwo zdążył zrobić szkic jej główki. Zmagał się też ze zmiennymi nastrojami żony. Jej chorobę i trudny charakter zaczęła wkrótce leczyć codzienną dawką morfiny. Sam malarz cierpiał na ustawiczne bóle w łopatce od ciągłego układania ciała w nienaturalne pozy, które przybierał, malując swoje olbrzymy. Cierpiał też na wrzody i wiele innych przypadłości. To wszystko musiało mu strasznie doskwierać, bo w wieku czterdziestu lat często mówił o śmierci i nazywał ją „chwilą wyzwolin”.

Ciągle jednak malował. Zamknięty niczym pustelnik w świecie własnej wyobraźni. Wiecznie pośród królów, księżąt i rycerzy. Zanurzony w historii. W czasach wieszczących upadek i w chwilach chwały. Dlaczego? Bo wiedział, że obraz może oddziaływać na zbiorową wyobraźnię. Wiedział, że on jak nikt inny potrafi wyrazić wspólne lęki, pragnienia i nadzieję. A przede wszystkim, co najważniejsze, dać wiarę i przywrócić godność.

Tworzył dla współczesnych sobie i dla przyszłych pokoleń.

I zapewne nawet w najczarniejszych snach nie mógł przypuszczać, że za sześćdziesiąt lat polem bitwy będzie cały kraj. Siejące grozę czarne krzyże na białym tle pojawią się znowu. Tym razem na skrzydłach Luftwaffe.

Wybuchnie druga wojna światowa.

Rozpocznie się śmiertelna gra.

Pojawią się ludzie, którzy będą chcieli zniszczyć obraz!

Będą zabijać!

Będą szukać i ścigać!

Wyznaczą nagrodę, jak za największego przestępcę!

Niektórzy poświęcą swoje życie!

Dla ratowania płótna, dla ratowania Bitwy, dla ratowania nadziei!

To opowieść o nich i o czasach, w których żyli.



Część I

Lublin, marzec 1938 roku

Dziurawiec szedł ulicą Lubartowską. Dzień był ciepły i słoneczny, więc poruszał się wolno, omiatając wzrokiem ludzi i kamienice. Nigdzie się nie spieszył i zachowywał się raczej jak pan na włościach, który lubi wiedzieć, co się dzieje na jego ziemi. Miał trzydzieści lat, a od piętnastego roku życia był postrachem całej okolicy. Bały się go dzieci, niektóre kobiety i większość mężczyzn. Miał opinię takiego, co nożem posługuje się znacznie lepiej niż widelcem. Wyglądem przypominał małego niedźwiedzia i był przy tym wyjątkowo sprawny. W dzieciństwie dzieciaki się śmiały, że matka puściła się z cyrkowcem. Gdy dorósł, nikt się już z niego nie śmiał, bo nawet jeśli ojciec był z cyrku, to raczej atleta lub jakiś mistrz wagi ciężkiej.

Dziurawiec starał się pracować na swoją opinię, bo na stosowny wygląd zapracował już we wczesnej młodości. Miał kilka blizn na rękach, z czasów kiedy uczył się sprawnie posługiwać nożem i nie zawsze trafiał w stół, wbijając ostrze między palce, i jedną dziurę w policzku, pamiątkę po bójce z kolejnym ojczymem. Poza tym nie śmiał się z byle czego. Właściwie prawie wcale się nie śmiał, rozglądał się tylko ze skwaszoną miną i co jakiś czas uczył kogoś respektu.

Teraz zmierzał do swojej ulubionej bramy pod numerem 21. Chciał w niej trochę postać, wypalić gitanes'a, czekając na nie wiadomo kogo. Oparł się właśnie o murek, wystawił dziobatą twarz do słońca i o mały włos nie dostał w głowę piłką uszytą ze szmat.

Piłka zostawiła brudny, mokry ślad na ścianie. Nie padało od wielu dni, nie wiedział więc, co właśnie ścierał z twarzy.

Śmierdziało sikami. Uśmiechnął się do stojącego parę metrów dalej rudego chłopaka i kiwnął palcem, żeby mały podszedł i zabrał piłkę. Dzieciak nie wiedział, co ma zrobić. Okazał się jednak mało strachliwy i powoli począł się zbliżać. Odważnego należało potraktować jeszcze konkretniej. Gdy tylko stanął na wyciągnięcie ręki, Dziurawiec chwycił go za połataną kapotę i zamierzał solidnie zdzielić, ale zamiótł jedynie powietrze przed jego twarzą. Dzieciak zaczął się wrywać, tak rozpaczliwie, że w końcu Dziurawcowi został tylko łach w ręku. Kawałek za nim biegł, ale leniwie i niechętnie. Cisnął brudną kapotą na środek podwórka.

– Zapchlony gówniarz – syknął i splunął przez zęby. Krzyknął jeszcze to samo po żydowsku, żeby zrozumiał.

Jidysz znał nie gorzej niż polski. Wychował się tu. A tu mieszkało więcej Żydów niż Polaków.

Gdy wrócił na swoją ulicę, zobaczył w bramie dwie kucające dziewczynki. Jedna płakała.

– Płodzą te bachory na wyścigi – prychnął.

Po wyjściu z więzienia nie rozpoznawał, czyje jest kogo. Większość żydowskiej, ale i też trochę polskiej biedoty cisnęła się na górnych piętrach. Jedne dzieci się rodziły, drugie umierały. Nie przyzwyczajał się. Odpalał papierosa, gdy podeszła do niego jedna z dziewczynek. Patrzyła na niego wyłupiastymi małymi oczami i gryzła paznokcie.

– A Rajzle to Baruch na strych zaciągnął – powiedziała, obgryzając paznokieć i uciekła.

Dziurawiec w pierwszej chwili nie zrozumiał. W drugiej był już przy wejściu. Pokazał tylko palcem na schody, dwie dziewczynki jednocześnie kiwnęły głowami. Wbiegał. Po dwa, trzy stopnie naraz. Na zakrętach chwycił się poręczy, niemal próbując się na niej podciągnąć. Byle szybciej pokonywać kolejne piętra. Poręcz trzeszczała, jakby się miała za chwilę połamać. Potracił ślepą starą babę, która właśnie stała na schodach, ale nawet się nie obejrzał. Ział jak dzikie zwierzę, gdy dobiegł na strych. Szarpnął za drzwi. Były zamknięte. Rzucił się na nie barkiem. Raz nie wystarczyło, dwa było aż nadto. Przeleciał przez nie. Zobaczył

małą dziewczynkę z twarzą jak mała kuna ściśnięta za gardło. Siedziała okrakiem na taborecie. Miała podwiniętą sukienkę. Na ziemi leżały jej majtki. Rozejrzył się. Stary, wysoki łysielec, z doklejonym tupetem i krótkim wąsem pod nosem próbował schować się za rozwieszane prześcieradło. Było za krótkie. Dziurawiec ruszył w jego kierunku. Baruch rzucił się do ucieczki, ale Dziurawiec był szybszy. Dopadł go. Chwycił za kark jedną ręką. Drugą przyłożył centralnie w nos. Czuł, jak go miażdży. Ale nie przestał. Wymierzył jeszcze raz w brodę. Z rozkwaszonych ust wypadła sztuczna szczęka. Stary osunął się na ziemię. Leżał i krztusił się własną krwią. Dziurawiec kopnął go w brzuch. Baruch jęknął i zwinął się w kłębek. Zacharczał. Nie mógł chwycić powietrza. Dziurawiec dołożył mu jeszcze raz. Ale już bez przekonania. Odsunął się i patrzył, dysząc. Gdy trochę się uspokoił, zobaczył pod swoimi nogami sztuczną szczękę. Rozdeptał ją bardzo dokładnie...

– Jeżeli zobaczę, że wprawiłeś sobie nowe, zabiję cię. Jak zobaczę cię na tej ulicy, też cię zabiję. Rozumiesz?

W odpowiedzi Baruch zacharczał.

– Zrobił ci coś? – zapytał Dziurawiec dziewczynkę, która nieruchomo siedziała na taborecie. Mogła mieć z osiem lat.

– Nie. – Kiwnęła przecząco głową. – Pan też chce zobaczyć? – zapytała i trzęsącymi się rękami podniosła sukienkę.

– Nie ma na co patrzeć – powiedział Dziurawiec, odwrócił głowę i splunął za siebie. – Wstawaj, zaprowadzę cię do domu – dodał, przechodząc przez leżące na ziemi drzwi.

– Ale niech pan nie mówi rodzicom – jęknęła dziewczynka.

– A dlaczego nie? – odpowiedział i dalej nie słuchał.

Zaprowadził ją do sąsiedniej kamienicy.

– Coś mi się za to należy – powiedział matce, która wysłuchawszy go, z wrazenia usiadła na ziemi. Dziewczynka stała w kącie. Trójka innych małych dzieciaków skorzystała z okazji i zaczęła taplać się w wielkiej balii z brudną wodą, w której matka prała jakieś szmaty.

– Ale my nic nie mamy. Komornik wszystko zabrał – powiedziała kobieta i pokazała na mały pokój, w którym nic nie

było. Nic oprócz zbitego z desek łóżka i mebla z półek przytwierdzonych do ściany.

– Dziewczyna niezamarnowana. Niech pani przekaże mężowi, że przyjdę jutro. I drzwi na strych niech wstawi – zakomunikował i wyszedł.

Wrócił do bramy i czekał na Barucha. Zamierzał go jeszcze postraszyć i wyciągnąć jakieś pieniądze. Wiedział, że stary nie pójdzie na policję, bo tam go kiedyś jeszcze bardziej pobili. Jego matka miała sklep na Kapucyńskiej. Nieraz płaciła. Płakała, złorzeczyła, ale płaciła.

Dziurawiec oglądał własną pięść i pochłapaną krwią koszulę, gdy podszedł do niego Anioł.

– Robota jest... Na mieście – zawołał wesoło, marszcząc w uśmiechu i tak już pomarszczoną, przepitą twarz. Co prawda jego blond loki przerzedziły się już w połowie, ale i tak nadal wyglądał jak chłopiec, który chce coś zbroić. – Od Niemca... – dodał, wkładając ręce do kieszeni i przestępując dumnie z nogi na nogę. – A tobie co? – zapytał, gdy w końcu przyjrzał się Dziurawcowi. Nie musiał długo czekać na odpowiedź, bo z klatki schodowej wyłonił się skulony, okrwawiony człowiek.

– Mogę? – Pokazał na Barucha, który wyszedł na ulicę i by w miarę prosto iść, musiał trzymać się ściany. Dziurawiec skinął głową. Anioł ruszył za nim. Ludzie rozstępowali się, zerkając na przemian z ciekawością i obrzydzeniem. Kilka osób zatrzymało się, przyglądając się z daleka rannemu człowiekowi.

– Co się panu stało? – zapytał Anioł, który dopadł go od tyłu. Objął go i podtrzymując w pasie, próbował postawić do pionu. – Oj, Baruch, chyba znowu niegrzeczny był? – zapytał, szepcząc mu już prosto do ucha.

Pobity spojrzał na niego z przerażeniem, zatrząsł się i zgięty wpół zaczął uciekać, co chwila się potykając.

– Wariat – skomentował Anioł głośno, ostentacyjnie wzruszając ramionami. Chwilę patrzył za uciekającym mężczyzną, po czym odwrócił się na pięcie i pogwizdując, wrócił do bramy. Tam zaczął przeglądać skradziony przed chwilą portfel. Kiwając głową z zadowoleniem, wyjął z małej przegródki zwitek

banknotów. Większość oddał Dziurawcowi.

- Słyszałeś? Niemcy do Austrii weszli. Będzie jakaś wojna? - zapytał Anioł i wpatrywał się w Dziurawca, jakby ten rzeczywiście znał odpowiedź.

- Nie obchodzi mnie to. - Dziurawiec wzruszył ramionami, chowając pieniądze do kieszeni.

Wiedeń, marzec 1938 roku

Gerhard von Lossow wsłuchiwał się w odgłos własnych kroków. Maszerował razem z pięcioma innymi oficerami SS korytarzem pałacu przy Prinz-Eugen-Strasse. Wojskowe oficerki na marmurowej posadzce wystukiwały równy rytm. Głośny i mocny. Ręce z obciążniętymi palcami poruszały się sztywno. Podbródek miał uniesiony tak wysoko, że widział koniuszek własnego nosa. Patrzył w jeden punkt przed sobą i tak szedł. Wszystko po to, by nie rozglądać się na boki. By sprężyć ciało i umysł. By nie speszyć się i nie ośmieszyć jak dwaj oficerowie gestapo, którzy pojawili się tu przed nimi i którym nie udało się aresztować Louisa Nathaniela von Rothschilda, bo... odprawiła ich służba, mówiąc, że baron nie przyjmuje dziś gości.

Jeszcze godzinę wcześniej Gerhard von Lossow zaśmiewał się z tego, obejmując się ręką w pasie. Teraz skupiał się na tym, by zachować spokój. Nie było to łatwe. Gobeliny, dywany, lśniące kandelabry, wielkie zwierciadła, malowidła na ogromnych sufitach, złote sztukaterie, rzeźby z marmuru i kości słoniowej. Obrazy Holbeina, Halsy i Watteau, i cała reszta innych, których nie zdążył rozpoznać. Tylko te wiszące na korytarzu kosztowały majątek. Na wprost były drzwi. I on tam był! Louis Nathaniel von Rothschild. Najbogatszy człowiek w Austrii, może nawet w całej Europie. Głowa rodziny, do której należały fabryki, kopalnie, stocznie. Kolej, setki domów, tysiące hektarów ziemi... i największa w Europie prywatna kolekcja dzieł sztuki.

Szli po niego.

Gerhard von Lossow poczuł się ważny. Jeszcze bardziej niż zwykle. Miał dwadzieścia dziewięć lat, a już zmieniał świat. Jak jego przodkowie walczący w szeregach armii Niemiec bądź Austrii. A nic nie wskazywało na to, że pójdzie w ich ślady. Parę lat wcześniej opuścił Wiedeń z powodu kobiety i skandalu. Znalazł się w Berlinie i chciał zostać aktorem. Mówiono mu, że

wygląda jak młody germański bóg wojny. Postawny. Z kwadratową szczęką, blond włosami i oczami jak chabry.

Uśmiechał się dwoma rzędami równiutkich białych zębów, patrzył z ukosa. Kobiety do niego lgnęły, choć traktował je obcesowo, bo już żadnej nie ufał. Mężczyźni podziwiali go za nonszalancki styl bycia i wyważoną arogancję, typową dla dobrze urodzonej, wykształconej arystokracji. Z wyglądu miał zadatki na amanta filmowego, lecz przed kamerą zachowywał się sztywno. Parę razy statystował. Większość scen wycięto, prócz kilku wojennych. Jako wojskowy prezentował się doskonale, nawet w tle. Przypadkowo, dzięki znajomości ze znanym rysownikiem, pozował nawet do kilku plakatów reklamowych Hugo Bossa. Najlepiej wyglądał w czarnym mundurze SS. I już się z nim nie rozstał. Rekrutację do elitarnych oddziałów przeszedł celująco. Miał dobre pochodzenie i nienagannie się prezentował. Świetnie się czuł w tym mundurze, a przy okazji zrozumiał, co było przyczyną postępującego od kilku pokoleń zubożenia jego rodziny. Powszechny brak szacunku dla lepszej rasy. I Żydzi.

Teraz szedł po jednego z nich. Może najważniejszego w jego rodzinnym mieście. Uczestnictwo w akcji zawdzięczał fotografowi, którego poznał jeszcze w Berlinie. Ów robił tam zdjęcia dla samego Goebbelsa, a tu w Wiedniu dokumentował gorące przyjęcie Niemców przez wiedeńczyków i ważniejsze momenty z rozgrywających się wydarzeń. Gerharda wypatrzył stojącego za grupką Żydów. Wyprostowany, dumny, zadowolony stanowił rewelacyjne tło dla pokrzywionych starych dziadków zapędzonych do pokazowego mycia ulic. Wyciągnął go z grupy innych esesmanów i zaproponował mu wzięcie udziału w aresztowaniu, które miał w planach uwiecznić. Gerhard nie odmówił i wiedział, że od tego, jak się za chwilę zachowa, zależeć może jego dalsza kariera, a już na pewno to, o czym będzie się mówić przez następnych kilka dni. Wszędzie. A chciał być znany.

Drzwi do jadalni otworzyły się. Wszedł jako trzeci i zastygł. Patrzył tylko na barona. Ten siedział przy wielkim stole, na którym pyszniło się weneckie szkło i kryształowe wazy, srebrne patery, złożone sztuce, porcelanowa zastawa. Przystojny, około

pięćdziesięcioletni mężczyzna nieznacznie tylko odchylił się na krześle w ich kierunku, przekręcił głowę i przyglądał się im z delikatnym półuśmiechem. Hauptsturmführer Odilo Globocnik oznajmiał baronowi, po co przybyli. Zaczął głośno i stanowczo wymieniać, z czyjego rozkazu i na czyje polecenie, ale z każdym kolejnym słowem tracił pewność. Był grubo ciosany, nawet z twarzy. Nadrabiał miną, ale sytuacja peszyła go i przerastała. Gdy skończył, zapanowała cisza.

– Zdaje się, że nie mogę odmówić, skoro tyle ważnych osób jednocześnie mnie prosi – odezwał się po dłuższej chwili Louis von Rothschild. – Dobrze więc. Pozwolą panowie, że skończę posiłek – powiedział i nie czekał na pozwolenie, tylko odkroił następny kęs. A potem wziął do ręki kieliszek.

– Mam rozkaz...

– Ten rocznik szampana Billecart-Salmon piję przy szczególnych okazjach – mówił, pokazując na butelkę. – Zamówiłem go wcześniej. Czekałem. Jest tak doskonały, że dałbym się dla niego zabić.

Kamerdyner szybko nalał szampana. Baron popatrzył na bąbelki. Spróbował, uśmiechnął się i powrócił do posiłku.

Oficerowie spojrzeli na siebie. Stali przy drzwiach, obserwowani przez przerażoną służącą i nadętego kamerdynera, który wyglądał tak, jakby chciał ich opluć.

Gerhard von Lossow patrzył na Hauptsturmführera Odila Globocnika, który był starszy od niego stopniem. Pozornie wygadany, ale niezbyt bystry. Nie wiedział, co ma zrobić. Niby baron zgodził się pójść z nimi, teraz jednak von Lossow nie wytrzymał. Podszedł i stanął przy krześle.

– Pozwoli pan?

– Nie wiem komu i nie wiem na co? Zdaje się, że się pan nie przedstawił – powiedział baron.

– Gerhard von Lossow. Proszę mi wybaczyć śmiałość. Poczułem się jak u siebie. Oczywiście tu, czyli w Wiedniu, przybyłem dosłownie przed chwilą i...

– Zdaje się, że znam pańską rodzinę – przerwał mu baron. – Ojca, a może nawet dziadka. Jeszcze z czasów Habsburgów... –

powiedział, a Gerhard poczuł dumę i trudno było mu ją ukryć. Z jednej strony to niby nie zaszczyt być znanym wśród Żydów, z drugiej mówił to sam Rothschild. Kątem oka widział miny pozostałych oficerów i był zadowolony.

– Z tego co mi wiadomo, są rycerzami honorowymi? – kontynuował baron.

– Tak – potwierdził von Lossow. Rothschild skinął głową na kamerdynera, ten podszedł i odsunął krzesło. Gerhard usiadł.

– Młody człowieku, pan, zdaje się, wybrał inną drogę?

– Nie sądzę. – Gerhard uśmiechnął się znacznie szerzej niż zwykle.

– Czy wie pan, w jakich okolicznościach piję zwykle tego szampana? – zapytał spokojnym głosem baron. – Na stypach. A więc za Austrię! – dodał i wypił do dna.

Gerhard von Lossow wstał zbyt szybko. Lekko potrzęsnał stołem. Opanował wściekłość i drżenie, wziął do ręki pustą kieliszek i czekał. Kamerdyner spojrział na barona, ten łagodnie skinął głową. Polano mu znowu szampana. Wypił łyk i westchnął.

– Rzeczywiście. Jest doskonały. – Dopił resztę. Pokiwał głową, odwracając się w kierunku reszty oficerów. – Przyznaję. Można za niego zabić – dokończył po chwili, głośno i dosadnie.

Za plecami usłyszał pomruki zadowolenia. Zapamiętają to, pomyślał.

Baron otarł usta haftowaną serwetą i wstał od stołu.

– Proszę wziąć jedną butelkę dla ojca. Ode mnie.

– To mieszanka kilku szczepów winogron. Nie gustujemy w mieszankach – odpowiedział mu Gerhard.

Baron uśmiechnął się i wstał.

– Skoro tak... Czy mogę spytać, dokąd się wybieram? – Skinął na stojących przy drzwiach esesmanów.

– Na razie hotel Metropol. Zdaje się, że jest tam już kanclerz Austrii i przywódca socjalistów.

– Będę więc miał wyjątkowo ciekawe towarzystwo. Idźmy. – Baron wstał, otarł usta chusteczką i skierował się do drzwi. Hauptsturmführer bez słowa odwrócił się i ruszył przodem. Za nim podążał aresztowany. Oficerowie ruszyli za nim. Gerhard

miał wyjść ostatni, ale zatrzymał się jeszcze na chwilę.

Gdy tylko baron wyszedł z pokoju, kamerdyner rzucił się w kierunku drzwi. Służąca zaczęła nerwowo sprzątać ze stołu. Von Lossow widział ją w lustrze. Patrzył, jak się nachyla. Była młoda i zgrabna. Wzięła talerz, tacę i małą srebrną rzeźbioną solniczkę. Już miał odwrócić głowę, gdy zobaczył, jak solniczka znika w kieszeni pod białym fartuchem.

Zaczął się, pomyślał, rozglądając się po jadalni. Kilka fortun z tego majątku powstanie.

Ponownie spotkał służącą przy drzwiach. Wszyscy zdążyli opuścić pałac, on cofnął się. Dziewczyna chciała zamknąć drzwi. Zagroził jej przejście i zatrzymał ręką. Uśmiechnął się do niej, a ona patrzyła cielecymi oczami. Popchnął ją na ścianę. Przysunął się tak blisko, że słyszał jej urywany, przestraszony i podniecony oddech. Włożył rękę pod fartuch. Dziewczyna znieruchomiała. Chwilę badał, co miała pod spodem. Wyjął solniczkę i cofnął się.

– Piękna – stwierdził, obracając ją w rękach. Dwie małe syreny pluskające wśród fal, wokół nich delfiny. Całość ledwo większa od pudełka zapalek.

Dziewczyna uciekła ze spuszczoną głową. Zawołał jednego z gestapowców obstawiających drzwi. Pokazał palcem na służącą znikającą w korytarzu i skinął głową porozumiewawczo. Chwilę później do pałacu przy Prinz-Eugen-Strasse weszła grupa fotografów, archiwistów i urzędników mających spisać cały majątek Rothschildów. Jednemu z nich wręczył solniczkę.

– Myślę, że to włoski barok – powiedział i wyszedł z zadowoleniem.

Cały pałac był już otoczony przez oddziały SS. Nikt obcy nie miał do niego wstępu. Heinrich Himmler nie zamierzał wpuścić tu nikogo poza swoimi formacjami. Sam osobiście tego dopilnował. Gerhard zastanawiał się nawet, czy Himmler nie siedzi w jednym z czarnych samochodów zaparkowanych wzdłuż ulicy i nie patrzy, jak wywożą barona. Po chwili jednak większość samochodów odjechała. Odjechało też auto z Louistem Nathanielem von Rothschildem. Gerhard nie spodziewał się, że wszystko wydarzy się tak szybko. Nie było Hauptsturmführera

ani starszych stopniem oficerów. Wieczór mieli już wolny. Szukali teraz miejsca, by zacząć świętować. Udzielił im kilku rad i pożegnał się. W razie czego wiedział, gdzie ich szukać. Byli niżsi stopniem i urodzeniem. Nie tego dziś oczekiwał. Poza tym miał spotkanie z ojcem. Postanowił udać się na Singerstrasse pieszo.

Na ulicach szalony tłum cieszył się, wiwatował. Dziewczyny podbiegały, całowały go w policzki, rozdawały kwiaty. W jednym z okien, obok klatki z kanarkiem, stał wystawiony odbiornik radiowy. Z głośników dobiegał głos rozentuzjzjzjzowanego spikera:

– Czyż istnieją słowa, które mogłyby opisać nasze uczucia? Czyż serce i oczy są w stanie pojąć entuzjazm i radość, że Führer po tak długiej nieobecności znów jest w naszej stolicy?

Gerhard von Lossow nabrał powietrza w płuca, poczuł się tak, jakby ktoś mówił o nim. Słuchał wraz z kilkoma przechodniami.

– Nasz Hitler też powrócił do domu. Postarano się o przyjęcie wyjątkowe. Tu, na Haldenplatz, na Ringu i przed pałacem Habsburgów, tak jak w Berlinie wita go morze głów, wzniesionych rąk, sztandarów i proporców...

Gerhard von Lossow uśmiechał się sam do siebie. Podeszła do niego jakaś dziewczyna, chciała się z nim umówić. Nawet nie starał się zapamiętać gdzie, choć twierdząco skinął głową. Zamierzał się przecież spotkać z ojcem. Nie widział się z nim kilka lat, ale ostatnio wymienili parę wartościowych listów. Ojciec nie pochwalał drogi, którą wybrał Gerhard, ale też nie krytykował. Naziści byli mu obojętni i jego zdaniem nie tak groźni jak komuniści. Tych ojciec nienawidził najbardziej. Zarówno on, jak i dziadek Otto von Lossow związani byli z Niemieckim Zakonem Rycerskim. Należeli do marianów, honorowych rycerzy, tak samo jak reszta wyższej szlachty austriackiej. Ojciec często wspominał czasy, gdy arcyksiążę Eugeniusz Hohenzollern był wielkim mistrzem. W domu niczym relikwie wisały płaszcze z czarnym krzyżem zakonnym. Zakładał je na szczególne okazje i było to wielkie święto.

Na co dzień Georg von Lossow pracował w archiwum zakonu,
mieszczącym się w jego siedzibie przy Singerstrasse 7.
Gerhard szedł do niego z bezwiednym uśmiechem na twarzy.
To miał być cudowny dzień. Ale nie był.

Warszawa, marzec 1938 roku

Stanisław Ejsmond zmierzał do składu obrazów Burofa na Nowym Świecie. Pod pachą niósł kolejne swoje dzieła. Na jednym były mimozy, na drugim irysy. Żał mu się było z nimi rozstawać, lecz ostatnio miał dużo pracy przy wystawach i nie namalował nic innego. Właściciel składu wydzwaniał, bo zima się przeciągała i kwiaty były w cenie. Dał się więc namówić i tachał pod pachą opakowane w papier i przewiązane sznurkiem płótna. Zamierzał przejść na drugą stronę ulicy, jednak drogę blokowała mu głośna manifestacja. Nie umiał się przepychać, więc przystanął i patrzył. Paradowali członkowie Ligi Morskiej i Kolonialnej, głośno śpiewali „Ajaj, Madagaskar. Afryka parna, skwarna, Afryka na wpół dzika jest! Tam drzewa bambusowe, orzechy kokosowe, tam są dzikie stepy, tam mi będzie lepiej. Ajajaj, ja lubię dziki kraj”. Chcąc nie chcąc, przytupywał lekko nogą, bo tak jak każdy znał ten szlagier na pamięć. „Domek sobie wybuduję, łaźnia musi być. Wszystkich czarnych wyszoruję, czystość musi być. Kawiarenkę jakże, wybuduję także albo jest kolonia albo nie ma jej”.

– W dzisiejszych czasach nowe tereny to konieczność – powiedział ktoś obok.

– Mamy przeludnienie – wyjaśniała jakaś pani w kapelusiku z piórkami.

– Żądamy zamorskich kolonii! – krzyknął ktoś z tłumu, powielając hasło z wielkiego transparentu niesionego na czole pochodu.

– Przestrzeni do życia! – wrzasnął ktoś z przechodniów wprost za uchem Ejsmonda. – I rumu! Bo mnie się pić chce!

Stanisław obrócił się i odruchowo chybko cofnął o dwa kroki od krzykacza. Był to wielki, podpity osiłek ze złamanym nosem. Unikał takich osób. Nigdy się z nikim nie bił. Sam był drobnej postury, od zawsze nosił okrągłe okulary. Z rzadkim wąsem

i przylizanymi blond włosami wyglądał jak chłopiec z gimnazjum. Wszyscy mówili do niego Staś, ewentualnie Staszek, mimo że był już dorosłym mężczyzną.

- A pan coś taki delikatny?! - zachnął się gbur. - Nie pojechałbyś pan na rajską wyspę?! - krzyknął w kierunku Ejsmonda.

- Tylko ciebie tam nie widzieli! - Delikwentowi w kraciastej marynarce towarzyszyła dama w poplamionej sukience.

- Ale zobaczą! - Wypiął klatę krzykacz. - *Do Murzynki się zalecam, to jest sposób mój! Bo ja lubię czarne z białym, to jest kolor mój!*

- Ja ci zaraz dam kolor! - wrzasnęła tym razem kobieta. - *Od białego taaatki i od czaaaarnej matkiiii! Będą dzieci w kraaaatki. I to będzie raj! Ała!* - zakończył zdzielony torebką po głowie. - Pojadę! Bóg mi świadkiem! Pierwszym okrętem! Żądamy kolonii! - wrzeszczał dalej, znikając w jednej z bram.

Radosna demonstracja skręcała za róg. Trębacze znowu podjęli melodię, perkusista mocno uderzył w wielkie talerze i zaczęła się kolejna piosenka. Tej nie znał. Stanisław nie należał do Ligi, ale jak prawie milion innych osób prenumerował miesięcznik „Morze”. Dla zamieszczanych w nim zdjęć i plakatów, choć o podróżach nie marzył. Minęło już osiem lat od kiedy na zakopiańskim zakręcie w wypadku samochodowym zginął jego starszy brat. Matce został tylko on. Widział, jak cała drży na samą wieść o tym, że syn ma gdzieś jechać, nawet pociągiem. Westchnął więc głośno i zaczął rozmyślać nad wystawą plakatów Bolka Surały-Gajduczeniego, którą miał wkrótce organizować. Sporo było wśród nich prac stworzonych na zamówienie Ligi Morskiej i Kolonialnej. A więc znowu morze... Tłum zrzedł i Stanisław Ejsmond spokojnie przeszedł na drugą stronę ulicy, zastanawiając się, jak porozwieszać plakaty. Miał kilka pomysłów.

- Stasiu! Stachu! Staszkuuu! - ktoś zaczął krzyczeć za jego plecami. Rozpoznał znajomy głos, lecz odwracając się, znów odruchowo zasłonił się obrazami.

- Stasiu! Jak ja się cieszę! - Z zatrzymanej dorożki prawie pod

koła drugiej wybiegł Stanisław Mikulicz-Radecki, wieloletni dyrektor administracyjny warszawskiej Zachęty, i aż klasnął w dłonie z uciechy, zdążając w jego kierunku. – Cóż za cudowna nowina! Ach, tylko się cieszyć! Się cieszyć!

Stanisław Ejsmond patrzył jak osłupiały. Z reguły zapracowany i zatroskany wszystkim, dookoła Mikulicz teraz promieniał. Wyglądał, jakby miał właśnie poprowadzić poloneza. Rozłożył ręce na boki i sunął przez całą ulicę.

– Staszku, Stasiu! Ty nie masz pojęcia. Ja właśnie byłem w twoim domu. Matka mnie tu wysłała. Mówiła, że do Burofa idziesz. To ja co koń wyskoczy... Za tobą.

– Stało się coś? – zapytał Ejsmond. Zdjął okulary i zaczął nerwowo przecierać szkiełka.

– Samo dobre! Samo dobre! – powiedział Mikulicz-Radecki, chwytając go rękami za ramiona i potrząsając nim całym z radości. – Ależ twój ojciec świętej pamięci by się cieszył! Ależ by się cieszył! – dodał. Stanisław wiedział, że przyjaźnili się z ojcem, ale co zdaniem Mikulicza tak by go ucieszyło, nie wiedział.

– Będiesz wiceprezesem Zachęty! Ty! Wyobraź sobie! Wiem to! Prawie już pewne! – mówił, cały czas radośnie nim potrząsając. – Julia, znaczy twoja matka, się popłakała. Nie dziwię się. Nie dziwię się! Samemu mi się chce płakać. Że ja tego doczekałem. Stasiu! Stachu! Staszku!

Stanisław Ejsmond przyciągnął do piersi i przycisnął dwa ciągle trzymane w rękach obrazy. I zastonił się nimi niby tarczą. Jak do tej pory był tylko zastępcą członka Komitetu Przyjaciół Zachęty. I nie liczył, że to się w najbliższym czasie zmieni.

– Nie ma się czemu dziwić – ciągnął Mikulicz-Radecki. – Taka tradycja rodzinna. Ojciec był prezesem i ty nim będziesz! Nie mogło być lepiej. Nie mogło być lepiej! Niech cię pierwszy uścisnę – powiedział i spróbował go objąć, choć przeszkadzały mu obrazy. – Zostawmy to. – Pokazał palcem na płótna. – I jedziemy do mnie. Mam tam kieliszek dobrego gruzińskiego koniaku. Czekaj na taką okazję. Stasiu... Jak ja się cieszę!

Ejsmond nie pamiętał nawet, komu zostawił martwe natury, bo właściciela składu nie zastał. Nie pamiętał też drogi, minęła

szybciej, niż się spodziewał. Dorożka gnała, a Mikulicz-Radecki mówił przez cały czas i nie ukrywając swoich emocji, co chwilę go ścisnął.

Przed gmachem Zachęty przystanęli. Staś Ejsmond pierwszy raz popatrzył na te mury ze strachem. Dyrektor administracyjny pokazał szerokim gestem na wejście.

– Proszę. Ty pierwszy – powiedział dokładnie w momencie, gdy otworzyły się drzwi z drugiej strony, a w nich, jak na zawołanie, pojawił się Bolesław Surałło-Gajduczeni z tekturową tubą pod pachą. Wyglądał jak żywcem wyjęty z plakatów, które malował. Większość opiewała morze i wszelkie sporty wodne. Sam był wysokim, przystojnym, smagłym brunetem, w jasnej marynarce zaciśniętej paskiem. Zdawało się, że właśnie opuścił pokład jakiegoś angielskiego żaglowca i jeszcze ciągle owiewała go jakaś bryza. Najpewniej śródziemnomorska, o ile nie karaibska.

– Witam, panie prezesie! – zawołał od samego progu. Znali się i lubili, mimo że Surałło z reguły malował krzepkich sportowców, a Ejsmond wiotkie mimozy.

– Wieści szybko się rozchodzą – szepnęła Mikulicz-Radecki do ucha Stacha Ejsmonda.

– Czy pan prezes będzie jeszcze znał skromnego plakacistę? Czy pomoże przy wystawie? Czy bankiety, przyjęcia i wir towarzyski nie wciągną nam gdzieś świeżo upieczonego prezesa? – zapytywał Surałło, maszerując w jego kierunku z wyciągniętą serdecznie ręką.

– Wiceprezesa – poprawił dyrektor, przybierając poważną urzędową minę.

– Mogę? – zapytał Surałło, odstawiając tubę i rozpościerając ręce do uścisku.

– No nie wiem – odpowiedział Stanisław ze śmiechem, robiąc krok w bok i unosząc podbródek wysoko do góry. Obaj się roześmiali, po czym Bolesław Surałło-Gajduczeni rzucił się w jego kierunku, objął go i zakręcił się z nim w kółko, podskakując na jednej nodze.

– Prezesie...! – zawołał.

– Wice...! – poprawił go Ejsmond, niewprawnie wrywając się

z uścisku.

– Panowie! – skwitował scenkę trzymający się z boku dyrektor, który z jednej strony sam chętnie by się przyłączył do podskoków, z drugiej uznał zaś, że w pobliżu tak szacownego gmachu nie wypada zachowywać się po szczeniacku. – Panie Bolesławie! To nie przystoi! Praca dla sztuki to nie tylko przyjemności. Bankiety i otwarcia. Wszyscy tak myślą, a to nie prawda. To też obowiązki. Powierzono nam dobra, które trzeba chronić! – Wyciągnął wskazujący palec w jego kierunku. – Przypominam ci, Staszku! Twój ojciec przed wielką wojną musiał sam do Rosji Matejkowską *Bitwę pod Grunwaldem* wywozić, żeby w niemieckie ręce nie wpadła. O mały włos życia przy tym nie stracił. Wiesz o tym – powiedział poważnym tonem. – Przecież ci o tym opowiadał.

– Nie raz – potwierdził Stanisław Ejsmond.

– Ale teraz wojna nam nie grozi! Czasy się zmieniły... – wtrącił rozbawiony Surałło.

– Czasy są zawsze takie same – z poważną miną oświadczył Mikulicz. – Niemcy wkroczyli właśnie do Austrii...

– I podobno zabrakło kwiatów w kwiaciarniach, żeby nimi rzucać w najeźdźców...

– Tak, tak... Słyszałem. – Mikulicz podrapał się po głowie. – A teraz wracajmy do naszych spraw. Stasiu... – chrząknął. – Panie Stanisławie, pierwsze obowiązki.

– Jakie? – zapytał oszołomiony tym wszystkim przyszedł wiceprezes.

– Masz zasiąść w jury Komisji Artystycznej. Masz rozstrzygnąć konkurs na znaczki, który ogłosiła poczta. Z okazji dwudziestej rocznicy...

– O! Ciężka praca – westchnął Surałło, klepiąc Stanisława po ramieniu. – Mam nadzieję, że dasz radę. A tak już poważnie, to współczuję bardzo... Tak wybierać, który znaczek...

– Nie żartujcie sobie, panowie – przerwał Mikulicz-Radecki.

– To ja poważnie zapytam. Do kiedy nadsyła się prace? Stasiu, znamy się, czyż nie? – zagadał Surałło, obejmując Ejsmonda ramieniem.

– Bolesławie! – teatralnie oburzył się Ejsmond.

– Żartowałem. Ledwo się wyrabiam dla Ligi Kolonialnej. Teraz mam palmy rysować. W marcu... Odbije mi – stwierdził Surałło i zrobił głupią minę, udając małą. Zaśmiali się.

– Wejdźmy już do środka – rozkazał dyrektor, obawiając się, że w końcu ktoś zobaczy te wygłupy.

– A słyszeliście to? Nasi naukowcy wrócili z Madagaskaru. Dowiedli tego, że świetnie się tam przyjmują pomidory i truskawki... – ciągnął Surałło.

Stanisław Ejsmond nie słyszał. Ruszył przodem i ponownie z przestrachem spojrzął na gmach Zachęty.

W małym pokoju na poddaszu trzydziestoletni Wacław Boratyński poodsuwał wszystkie meble, które miał. Nie było tego dużo. Przesunął łóżko, krzesło, mały stolik z miską, deskę kreślarską. Wszystko pod ściany, tak by zrobić jak najwięcej miejsca. Spieszył się, bo przez niewielkie okno wpadały ostatnie promienie dziennego światła. Na podłodze rozłożył dziesięć rysunków. Na wszelki wypadek pochował wszystkie ołówki do szuflady. Nie było już czasu na poprawianie.

Chwycił się za głowę i wzdychał z przejęciem, patrząc na efekty kilkumiesięcznej pracy. Nawet przed sobą bał się przyznać, jak bardzo jest zadowolony. Na ziemi leżały: Chrobry witający cesarza Ottona III, Kazimierz Jagiellończyk na tle mapy polskiej, takiej „od morza do morza”, Sobieski pod Wiedniem, Zygmunt August i Unia Lubelska, Konstytucja 3 maja... I to przedstawienie, z którego był najbardziej dumny. *Bitwa pod Grunwaldem*. Z Władysławem Jagiełłą na koniu ponad pokonanymi krzyżakami. Najlepiej mu wyszedł. Zastanawiał się, czy ten rysunek włożyć na wierzch teczeki, czy na sam spód. Jak będzie lepiej?

Długo nad tym myślał. Przed snem rozsnuował teczkę i odważnie przełożył go na początek. Rano wyciągnął wszystko i poukładał chronologicznie, zgodnie z kolejnością wydarzeń historycznych. Ubrał się odświętnie i ruszył na plac Napoleona

wprost do gmachu Ministerstwa Poczt i Telegrafów. Przed samym wejściem wyciągnął Bitwę, wziął głęboki oddech i przełożył ją jednak na wierzch.

Wiedeń, kwiecień 1938 roku

Heinrich Himmler był wniebowzięty. W rękach trzymał ludzką czaszkę i obracał ją w dłoniach. Co chwila pojękiwał i wzdychał z zachwytu. Odchyłał ją do tyłu, zaglądał do środka przez puste oczodoły, gładził ręką po kości potylicznej, wodził paznokciem po zębach. W końcu chwycił ją oburącz i trzymał na wyciągniętych przed siebie dłoniach. Jak trofeum.

– Spójrz, Wolff – powiedział do swojego adiutanta, nie odrywając wzroku od czaszki. – Dzisiaj przyszła poczta. Znaleziona w Tybecie. I to przez naszą ekspedycję! Patrz na te kości. Na tę szczękę. Wysokość czoła. Przecież to są niezbite dowody na istnienie prastarej aryjskiej rasy! – rozplęwał się. – To oczywiście, że kiedyś panowaliśmy nad całym światem. Widzisz to przecież? – spytał swego adiutanta Karla Wolffa, który czekał, siedząc na kanapie w głębi pokoju hotelowego zaadaptowanego na biuro polowe szefa SS.

– To oczywiście – potwierdził Wolff. Czekają na te dokumenty.

– Znowu obowiązki.

Heinrich Himmler niechętnie odłożył czaszkę, zdjął z nosa binokle i położył je na stercie podpisanych papierów. Piętrzyła się prawie na trzydzieści centymetrów. Przeciągnął się i zaczął rozmasowywać palce prawej ręki. Odgiął głowę do tyłu, prostując szyję.

– A wracając do naszych spraw. Powiedz mi jeszcze raz. Co ten młody powiedział Rothschildowi? – spytał.

– Że nie uznaje mieszanek różnych szczepów, pije tylko jednorodne gatunkowo szampany...

– Dobrze powiedziane. Sprawdź go.

Karl Wolff skinął głową. Zlecił to już dużo wcześniej. Teraz tylko czekał na raport.

– Czas na przerwę – zdecydował Himmler, patrząc na podpisane dokumenty. Podpisywał już dobrą godzinę, a ciągle

miał pełno roboty. W Wiedniu wszystko toczyło się znacznie lepiej, niż przypuszczał. Wstał, przeciągnął się ponownie, chwytając się rękami za wygolony kark. Podszedł do lustra i pokręcił głową. Przejechał znów ręką po karku i dotknął wygolonych skroni. Skrzywił się. Nowemu fryzjerowi, ponoć najlepszemu w Wiedniu, trzęsły się ręce. Wypatrzył jeszcze dwa zacięcia brzytwą, tuż nad prawym uchem.

– Co my zrobiliśmy z naszym berlińskim fryzjerem...? Nie pamiętam, jak on się nazywał?

– Victor Novak, bodajże – usłyszał.

– I co z nim? Był dobry – zapytał Himmler, gładząc piramidkę z przyciętych pod nosem wąsów.

– Wdał się w bójkę w jednym z berlińskich lokali. Z tego co mi wiadomo, trafił do obozu.

– Za bójkę? – zdziwił się szef SS.

– W tym lokalu wszyscy nazywają go Maria Elena, więc pewnie za to – odparł Wolff z uśmiechem, a Himmler skrzywił się z niesmakiem, ciągle przeglądając się w lustrze.

Przekręcił głowę tak mocno, że dojrzał kolejną cienką czerwoną kreskę zakrzepłej krwi. Większość fryzjerów rozcinała mu skórę właśnie w tym miejscu albo na karku. Nienawidził tego, chciał mieć idealny kształt czaszki. Poza tym jego wysoko podgoloną fryzurę naśladowała prawie cała niemiecka młodzież. Był wzorem. Musiał wyglądać nienagannie!

– Sprawdź, czy chce się leczyć. Jeśli tak, to chcę go widzieć po powrocie do Berlina, mam dla niego zadanie – powiedział, macając z niezadowoleniem po cienkim rozcięciu na skórze. Wyprostował się. Poprawił pasek w spodniach i dopiął guzik koszuli. – Wiesz? Niedługo do pałacu Rothschilda przy Prinz-Eugen-Strasse wprowadzi się nowy lokator.

– Kto? – zainteresował się Wolff.

– Adolf Eichmann. Zrobimy tam Główny Urząd do spraw Emigracji Żydowskiej. Nie sądzisz, że to doskonały pomysł? – zapytał i aż zatrząsł się ze śmiechu. Oczy zamieniły się w dwie cienkie szparki, uniosły się pucułowate policzki. Wyglądał jak zabawnie, chichoczące zwierzątko, trochę przypominające

borsuka.

– Dobry pomysł – potwierdził adiutant, podchodząc do biurka z paczką. – On już się nimi zajmie. Będą się cieszyć, jak im się uda wyjechać w skarpetkach. – A i dopilnuje majątku Rothschilda. Podobno samo katalogowanie zbiorów potrwa co najmniej rok.

– Nie wierzyli w nas – powiedział Himmler i znowu zachichotał. – Göring jest wściekły! Podobno rozbudowuje swoją rezydencję, bo mu już ścian na obrazy brakuje. Myślał, że zagarnie większość dla siebie – stwierdził i z czułością poklepał ręką podpisane pisma i dekrety. – Z tej wściekłości obstawił granice i chce chociaż obłowić się tym, co Żydzi mają zamiar jeszcze wywieźć. Ale byliśmy pierwsi i lepiej przygotowani. Strategia to podstawa. Do wykonania – zakończył oficjalnym tonem i pokazał na papiery.

Karl Wolff wstał. Zdecydowanym, choć niespiesznym krokiem podszedł do biurka, wziął dokumenty i wyniósł je do sekretariatu. Tam młoda dziewczyna przestała stukać na maszynie. Wodziła za nim wzrokiem, udając, że zmienia papier. Wiedział o tym. Niespełna czterdziestoletni, przystojny, z nienagannymi manierami, kursujący pomiędzy Himmlerem a Hitlerem, zdecydowanie podobał się kobietom. Uśmiechnął się do dziewczyny i skinął głową w podziękowaniu. Wypadły jej z ręki wszystkie kartki.

– Niech pani pozwoli – powiedział i schylił się, żeby jej pomóc.

Zaczerwieniła się. Rozbawiło go to. Wrócił do pokoju. Tam Himmler znowu trzymał czaszkę w ręku.

– Patrz! Idealne proporcje. Wszystko się zgadza. Skarb z czasów złotej ery aryjskiej...

– Rzeczywiście – potwierdził Wolff i położył kolejne papiery na biurku. Nie zamierzał teraz przerywać szefowi.

– Pomyśl tylko – kontynuował Himmler. – Gdyby tylko dawni, potężni Ariowie nie spółkowali ze półludźmi i zwierzętami, nie zbrukali rasy... Trzeba to wszystko teraz oczyścić! – Odłożył czaszkę na biurko, ustawiając ją niczym drogocenny skarb. – Trzeba działać bez chwili wytchnienia. Rozpocznijmy złotą erę w dziejach ludzkości. Stworzymy nową religię!

– A właśnie... – przerwał mu Karl Wolff, spodziewając się długiego wywodu. Zamierzał jeszcze porozmawiać z sekretarką, która pewnie nadal czerwieńła się za drzwiami, i spytać, co robi wieczorem. – Co robimy z zakonem niemieckim? – W Wiedniu przy Singerstrasse 7 mieściła się ich ostatnia, główna siedziba krzyżaków. Średnio go to obchodziło, ale chciał już zmienić temat. Poza tym z zakonem związany był ojciec von Lossowa, a miał się nim zainteresować i zebrać informacje na jego temat. Osobiście wróżył mu karierę i zamierzał go sobie wychować, jeśli będzie się do tego nadawał.

– Podpisałem już dokument o ich kasacji. – Himmler wzruszył ramionami. – Przemyślałem to, nie są mi potrzebni. Krzyżacy byli kiedyś potęgą, potem zniewieścili! – tłumaczył. – Przez tę ich przegraną bitwę na pięćset lat zamknięto nam drogę na wschód! Ale to się zmieni! Karl, my tworzymy nowy zakon. SS jest nowym niemieckim zakonem – wykrzyknął.

Wiedeń, kwiecień 1938 roku

Gerhard von Lossow nie widział, jak do tego doszło. Spóźnił się, choć pojawił się w samą porę, by zdążyć uratować ojca. Dotarł na Singerstrasse i już z daleka widział, że coś tam się dzieje. Przed numerem 7 stało już kilka samochodów gestapo. Wejście do kościoła i wewnętrznych zabudowań było obstawione. Nikogo nie wpuszczali. Przyspieszył kroku. Na koniec biegł, gdy zobaczył ojca leżącego na chodniku. Jedni mówili, że ktoś go popchnął. Inni, że się szarpał, gdy nie pozwolono mu wejść do środka. Podobno nikt mu nic nie zrobił, sam zachwiał się i upadł. Gerhard nie wiedział, co jest prawdą, nie dociekał, i tak nie rozumiał, co się stało. Nie miał pojęcia, że naziści zamierzają zlikwidować główną siedzibę zakonu. I cały zakon, którego tradycja sięgała średniowiecza. Przejęli budynki i skarbiec. Nie pozwolili ojcu wejść do archiwum. To rzeczywiście mogło go zabić. Pracował tam od zawsze. Tak samo jak jego ojciec, i ojciec jego ojca, i tak dalej. Każdy był honorowym rycerzem zakonu. To musiał być dla ojca szok. Przecież wolał nazistów od bezbożnych komunistów. Ich się bał najbardziej, twierdził, że to oni nie potrafią uszanować świętości. Niemców się nie obawiał, nie spodziewał się, że zagroczą mu drogę i będą kazali sobie pójść. Dostał wylewu. Lekarz stwierdził, że Gerhard pojawił się w ostatniej chwili. Gdyby nie on, Georg von Lossow mógłby już nie żyć. Nie mógł dłużej leżeć na chodniku. Zakonnicy obstąpili go, ale bali się cokolwiek zrobić. Gerhard zaczął krzyczeć. Pomógł mundur i rozkazujący ton, mimo że był niższy stopniem od nadzorującego akcją oficera. Sprawił, że jednym z samochodów odwieziono ich do szpitala. Tam też wymógł, by natychmiast zajęto się ojcem. Spędził z nim dobę.

Teraz przywiózł go do domu.

Na szafie ciągle wisiał płaszcz z czarnym krzyżem. Był odprasowany i czekał pewnie na uroczystości lub spotkania,

może nawet z okazji przyłączenia Austrii do Rzeszy. Nie doczekał się. Schował go i przypomniał sobie, jak dostał lanie grubym pasem, kiedy ubrał się w niego po kryjomu i z drewnianym mieczem w ręku bawił się w krzyżowca. Od tamtej pory do teraz nie ruszał tego płaszcza. Ale teraz ojciec miał wylew.

Pielęgniarze wyszli. Doktor Koch miał się pojawić niebawem.

– Podejź, chyba chce ci coś powiedzieć – zawołała go Krista, gdy wyszła służąca i zostali już całkiem sami. Krista po śmierci matki kładła go do snu, potem trafiła do łóżka ojca. Ciągłe wyglądała jak zasuszona guwernantka, ale nie przeszkadzała mu. Dobrze się ojcem opiekowała.

– Dobrze? Tak? Nie? A teraz? O tak? Tak? – pytała, poprawiając poduchy, a Gerhard nie mógł pojąć, jak odczytuje, czego chce ojciec. Bełkotał. Miał sparaliżowane pół twarzy, z kącika ust ściekała mu ślina, opadała lewa powieka. Był bezbronny. Takiego go nie znał.

Bał się, ale podszedł i usiadł przy łóżku. Wziął go za rękę. Była chłodna. Przykrył go.

– Nachyl się i patrz na usta. Z bliska łatwiej zrozumieć – zasugerowała Krista. Sama wstała i Gerhard zbliżył się. Ojciec zacharczał. Najpierw niewyraźnie, z wielkim trudem, ale usilnie coś powtarzał. – Wy...o...śśś...eee.

Potem coraz wyraźniej. W końcu Gerhard zrozumiał.

– Wynoś się – tak powiedział.

Nie mógł się mylić. Już to kiedyś słyszał. Wykrzyczane. Teraz to też był krzyk, choć zwiędłego ciała. Wstał i obciągnął mundur. Nie mógł złapać tchu. Ojciec zamknął oczy. Jakby na znak, że zakończył rozmowę. Gerhard odszedł od łóżka. Odwrócił się. Zrobił krok, ale się zatrzymał. Płaszcz znowu był na drzwiach od szafy.

– Chciał, żeby tu wisi – powiedziała Krista, widząc zdziwienie w oczach Gerharda.

– Aha. – Pokiwał głową i zagryzł usta. Ruszył w kierunku drzwi.

– Co ci powiedział?

Gerhard przystanął i odwrócił się.

– Powiedział... że sobie poradzi.

Przez następne pięć godzin Gerhard von Lossow chodził ulicami Wiednia. Nastrój miał wisielczy. Nie pasował do miasta, które prawie od miesiąca trwało w karnawałowym szale. Ludzie stroili się tak, jakby co dzień ogłaszano jakieś nowe święto. Stroiły się też całe ulice. Ściany budynków ozdobiono kilkumetrowymi girlandami z liści i kwiatów. Z dachów i balkonów zwisały długie na kilka pięter nazistowskie flagi. Nad jezdniami rozpięto druty i poprzywieszano do nich swastyki, które bujały się na wietrze. Wszystko to na cześć Adolfa Hitlera, który tryumfalnie wkroczył do stolicy. Choć Hitler wyjechał, atmosfera narodowego podniecenia wcale nie mijała. Pojawiły się kolejne transparenty, tym razem z okazji referendum. Wiedeńczycy mieli się wypowiedzieć, czy chcą przyłączenia do Rzeszy. Wszystko wskazywało na to, że już się wypowiedzieli. W oknach tkwiły większe lub mniejsze portrety Führera. Słupy obwieszono hasłami. Wszystkie z poparciem, wszystkie na „tak”. Innych nie było. W tę i we w tę jeździły samochody pooklejane banerami. Nic, tylko: „Jeden naród! Jeden kraj! Jeden wódz!”. Te same hasła wykrzykiwano z głośników. Powtarzano w radiu. Pisano wielkimi literami w gazetach. Nawet na karcie do referendum kółko przy „tak” było wielkie i na samym środku, „nie” było małe i z boku. Zresztą nie zanosilo się na to, by ktokolwiek chciał je zakreślić.

Chyba że ojciec, ale on nie mógł się ruszać. I Żydzi, którzy nic już nie mogli zrobić, pomyślał Gerhard, patrząc z ciekawością na drzwi Café Rembrandt.

Myślał, że wałęsa się po Wiedniu bez celu, a dotarł tam, gdzie wcale nie zamierzał przychodzić. Znał to miejsce doskonale. W tej właśnie kawiarni poznał Leopoldine. Pamiętał to aż za dobrze. Ale po co tu przyszedł? Nie dzwonił do niej od lat. Nie pytał, co u niej słychać. Nie sprawdzał, czy wystawiła jakieś nowe prace. Była mu obojętna. Jej męża też nie spotkał, choć był wysoko postawionym austriackim nazistą.

Rembrandt malarz był ulubieńcem hitlerowców, ale na pewno

nie był nim właściciel tej wiedeńskiej kawiarni. Na wszystkich szybach białą farbą wymalowane były gwiazdy Dawida. Na największym oknie widniał napis „Jude”, taki sam był na chodniku przed wejściem. W środku nie świeciło się żadne światło. Podszedł, zerknął przez okno. Wszystko zdawało się być po staremu. Te same krzesła i stoliki. W głębi pikowana, skórzana kanapa, przy niej mała ława. Wracaly wspomnienia.

– Proszę pana! – Ktoś szarpnął go za rękaw munduru. Odwinął się bezwiednie i zamachnął. Małego, pięcio-, może sześćoletniego chłopca odrzuciło prawie na metr do tyłu. Upadł na chodnik i zaczął płakać. Obok niego stał drugi, trochę starszy, z wiadrzem w ręku.

– Czego chcecie?! – warknął von Lossow, choć nie miał w planach wyżywać się na zasmarkanych chłopcach w krótkich spodenkach.

– Mama nam nie pozwala... Myśleliśmy, że może pan...?

– Na co mam niby pozwolić?!

– Bo inni mogą, a my nie, tak powiedziała mama. – Młodszy podniósł się z chodnika i ożywił się. Przestał płakać i otarł rękawem nos.

– Co mogą? – zapytał Gerhard. Nawet trochę zainteresowany nachylił się nad malcami.

Ten młodszy zrobił przebiegłą minę, pokazał na okno, potem na wiaderko i przyłożył palec do ust.

W wiadrze było kilkanaście niemałych kamieni.

– Pozwalam. – Gerhard wzruszył ramionami.

– Słyszałeś! Kazał nam! – zawołał malec z radością i nie czekając, cisnął pierwszym kamieniem w okno kawiarni Rembrandt. Poszybował wprost w sam środek gwiazdy Dawida. Po trzecim roztrzaskana była już cała szyba. Kolejne trafiły w drzwi. Tam szyba nie wypadła, ale za to jeden z kamieni uderzył w klamkę. Drzwi otworzyły się. Na otwarte drzwi szkoda było kamieni. Chłopcy przerzucili się na kolejne okna. Gdy skończyły się kamienie, Gerhard von Lossow podszedł do otwartego na oścież wejścia.

– Proszę pana! Wszyscy co tutaj chodzili, teraz idą tam. –

Chłopiec pokazał na róg ulicy. – Wlewo i kawałek dalej. – Tamten właściciel kazał nam to mówić. Tam jest lepiej.

– Dziękuję, najpierw wejdę tu – odpowiedział. Chciał przez chwilę popatrzeć. Zobaczyć, czy na stolikach stoją te same popielniczki z godłem Habsburgów.

Wszedł. Za nim powoli ruszyli zaciekawieni chłopcy. Na pierwszy rzut oka prawie nic się nie zmieniło. Minął słup przy drzwiach wejściowych. Spojrzał przed siebie i cofnął się o krok. Na środku kawiarni na żyrandolu wisiał człowiek. Pod nim było przewrócone krzesło. Któryś z wlatujących kamieni musiał go poruszyć, bo ciało lekko się jeszcze bujało. Właścicielowi nie spodobały się nowe czasy. Dokonał wyboru, pomyślał Gerhard i wzruszył ramionami. Sam też kiedyś próbował zapleść taki sznur.

Odwrócił się. Chłopcy stali jak wryci.

– Trzeba było słuchać mamy. – Gerhard wzruszył ramionami. Malcy uciekli z krzykiem. Sam też długo nie patrzył. Twarz była sina, język wywalony na wierzch. Nie było na co patrzeć.

Wyszedł. Ruszył w kierunku wskazanej przez chłopców kawiarni. Kilku gapiów stojących na chodniku odprowadziło go wzrokiem, nie odpowiedział im ani słowem. Podeszedł tylko do przechodzącego obok patrolu policji. To ich sprawa. Sam chciał się napić. Powoli zapadał zmierzch.

Lokal był duży i wypełniony ludźmi. Nie podobał mu się. Ale po kilku sznapsach zaczęło być nawet znośnie. I barman nie patrzył z wyrzutem, nie próbował też nawiązywać rozmowy. Dwóm nagabującym go dziewczynom, bez zbędnych ceregieli, powiedział, żeby szukały szczęścia gdzie indziej.

Schodziło się coraz więcej ludzi. Parę osób rozpoznał, przyszło też kilku wysokich rangą oficerów, którzy zaraz usiedli w oddzielnej salce. Zamierzał wyjść. Coraz bardziej chwiał się na nogach, mimo że od godziny prawie stał w miejscu. Chciał zapłacić, gdy ktoś dotknął jego ramienia.

– Zabierz mnie stąd – usłyszał. Nie odwrócił się. Zamówił jeszcze jednego sznapsa i schował pieniądze. Przyłgnęła do jego pleców. Wypił, nie oglądając się za siebie.

- Odejdź - powiedział w końcu. Była chuda, miała prawie przezroczyste, lekko zielone tęczaówki ze źrenicami nie większymi niż główka szpilki. Bładą skórę. Do mocno pomalowanych karminowoczerwoną szminką ust przykleiło się pasemko czarnych włosów. Była w jego typie, ale dzisiaj nie zamierzał jej poznawać.

- Gdziekolwiek. Teraz. Mój błękitnooki. - Nie poddawała się. Chwyciła twarz Gerharda w obie dłonie.

- Nie podobam ci się?

- Odejdź - powtórzył.

- A ty coś taki posępny? Nie cieszysz się? Źle reagujesz na piękno? - usłyszał zza pleców. Odwrócił się. Za nim stał Viethold Falk. O pół głowy niższy, kędzierzawy, z niegasnącym dziecięcym błyskiem w oku. Znali się z Berlina. Viethold był zaopatrzeniowcem w Wehrmachcie, a po pracy, tak samo jak Gerhard, lubił przebywać za kulisami teatrów. Przede wszystkim w otoczeniu kobiet, które go uwielbiały. Jak nikt potrafił obiecywać cuda, i choćby to miały być gwiazdy z nieba. Chciały mu wierzyć. Z tego co wiedział Gerhard, Viethold słowa dotrzymał tylko raz. Ożenił się gdzieś kiedyś w Kłajpedzie i tam czekała na niego żona. Nigdy jej nie widział, za to z innymi kobietami niejedną raz wspólnie oglądał świt. Czasami nawet ze wspólnego łóżka.

Teraz Viethold przyglądał się dziewczynie, która próbowała zaczepić Gerharda. Była na szpilkach, więc był od niej niższy prawie o głowę. Patrząc jej prosto w oczy, ogarnął przyklejone do jej ust pasemko włosów. Uwiesiła mu się na ramieniu.

- Masz tu coś, na poprawę nastroju - powiedział do Gerharda i włożył mu do ręki białą pigułkę. - Dołącz do nas, jak ci się polepszy - dodał, chwytając dziewczynę w pasie.

- Co to? - zapytał Gerhard, trzymając tabletkę na otwartej dłoni. Viethold zacisnął mu palce swoją ręką, rozglądając się dookoła.

- Właśnie zrealizowałem zamówienie dla armii. Trzydzieści dwa miliony takich cudownych pigułek. Dostępne będą bez recepty. Doskonałe. Mam sporo na próbę, ale nie musisz się tym chwalić, bo będą się o to zabijać. Przyjdź do nas, siedzimy przy

tamtym stoliku – powiedział i pokazał palcem w głąb sali. Już było tam gęsto od ludzi, a dochodziła jeszcze jakaś dziewczyna z rudym lokiem nad czołem, a z nią jakiś wyższy rangą oficer. Musiał być kimś ważnym, bo kilka osób się zerwało, żeby ustąpić mu miejsce. Gerhard odwrócił się w kierunku baru. Łyknął pigułkę. Popił sznapssem.

– Idź. Zaraz przyjdę – mruknął, właściwie sam nie wiedząc, na co ma ochotę.

Viethold wzruszył ramionami.

– Wiesz co w nim lubię? – zagadnął dziewczynę. Ta przecząco pokiwała głową. – Przynosi mi szczęście – odpowiedział, mocno obejmując ją w pasie, i ruszył do stolika.

Gerhardowi nie udzielił się jego entuzjazm, choć kiedyś dziewczyna byłaby dokładnie w jego typie. Po dłuższej chwili postanowił wrócić do domu i wygarnąć ojcu. Wszystko.

Rozmyślał o tym „wszystkim”, stojąc i pijąc przy barze, gdy znów poczuł czyjąś rękę na ramieniu.

– Mówiłem, że przyjdę – zachnął się. – Daj mi spokój – dodał, ale ten ktoś go szarpnął. Odwrócił się. Za nim stał Hauptsturmführer Odilo Globocnik, ten, z którym aresztował Louisa von Rothschilda. Był pijany, czerwony na twarzy i wściekły. Przysunął się bardzo blisko. Gerhard czuł jego oddech. Śmierdział.

– Stoisz tu i rozmyślasz, jakim byłeś bohaterem?! – wysyczał, nie do końca wyraźnie.

– O niczym nie myślę – odpowiedział mu Gerhard i chciał się odwrócić w stronę baru.

– Pamiętaj. – Odilo chwycił go za koszulę. – Wynajdę norę. Tam, gdzie kozy wypinają dupy, a chłopcy się z tego cieszą! – krzyczał, ślinił się przy tym i opluwał siebie i Gerharda. – I tam cię ześlę! Tam znajdę ci miejsce.

– Masz tam rodzinę?

– Jesteś skończony! – wrzeszczał Odilo, szarpiąc go za koszulę. Wszyscy podwracali głowy w ich stronę. Viethold wstał od stolika i ruszył w ich stronę. W drzwiach pojawiła się żandarmeria. Barman szybko zdejmował z baru stojące obok

nich szkła.

Gerhard widział to wszystko, ale trochę tak jak na filmie ze swoim udziałem.

- Nie masz szacunku! Myślisz, że jesteś lepszy?! Nie wiesz, z kim zadarłeś? Zapamiętaj! - ryknął Hauptsturmführer. - Odilo Globocnik to ja...!

- Nie interesują mnie ludzie, którzy muszą się przedstawiać! - Gerhard odpowiedział głośno i najwyraźniej, jak potrafił.

Hauptsturmführer znowu szarpnął go za koszulę, próbował unieść rękę, wtedy Gerhard poczuł, że czekał na to cały dzień. Właśnie na to. Zacisnął pięść i wycelował mu prosto w twarz. Prosto w nos. Poczuł miazdżoną chrzęść. I było mu wszystko jedno.

Ktoś krzyknął. Ktoś wrzasnął. Odilo Grobocnik runął na najbliższy stolik. Próbował się podnieść, ale robił to tak niezdarnie, że padł na podłogę.

Gerhard von Lossow nie mógł już nic zrobić.

Po chwili prowadziła go żandarmeria.

Lublin, kwiecień 1938 roku

Dziurawiec minął siedzącą na progu garbatą dziewczynkę. Okutana była starą, przewiazaną sznurkiem w pasie kapotą. Opierała się o framugę drzwi. Chustka na jej głowie była już mokra od deszczu, ale dziewczynka i tak spała. Obok leżał zanurzony w błocie pusty koszyk, a wokół niego okruchy po bajglach. Nie miał pojęcia, czy wszystkie udało jej się sprzedać, czy nie, ale jedno nie ulegało wątpliwości. Łażący dookoła pies oblizywał się namiętnie. Tupnął na burka i pożałował, bo przy okazji w coś wdepnął. Wytarł buty o próg i wszedł do kamienicy przy ulicy Złotej. Miał iść na samą górę. Niespiesznie zaczął pokonywać trzeszczące stopnie przegniłych schodów. Połamanej poręczy nie chwycił.

Zawsze zastanawiał się, jak Loli Sztajn udaje się po nich wchodzić na samą górę bez złamania przy tym nogi. Lola Sztajn codziennie pokonywała drogę na trzecie piętro, stukając przy tym drewnianą protezę. Chyba się przyzwyczaiła. Nogę ucięto jej poniżej kolana, gdy była jeszcze dzieckiem, nikt dokładnie nie wiedział, co się stało, a sama Lola opowiadała różne historie, w zależności od nastroju. Oczywiście, gdy tylko mogła, wysługiwała się przychodzącymi do niej klientami. Prawie każdy musiał nie tylko zapłacić, ale także coś przynieść. Wiadro wody, węgla albo kartofli. Czekala w oknie. Gdy przychodzili, krzyczała na nich z okna, a potem informowała na całe podwórko, co ma rzeczony klient przynieść. Jabłka wnosił jej sam posterunkowy i nikt nie wiedział, czy przyszedł ją przesłuchiwać, nastraszyć obyczajówką, czy zobaczyć wymachującą kikutem. Wiadomo, że był kilka razy. Oprócz niego nikt jej nie zaczepiał. Miała już swoje lata i trudno było ją czymkolwiek przestraszyć. Podobno pogoniła nawet młodego wikarego, który chcąc namaścić jakiegoś chorego, pomylił piętra. Okładała go drewnianą protezą tak, że cała klatka schodowa słyszała, jak zbiegał ze schodów,

mało zdrowych nóg nie połamał.

Dziurawiec chodził do niej co jakiś czas. Kiedyś, gdy był mały, zajęła się nim. Nie zapomniał. Przez lata sam z siebie przynosił jej rodzyнки koryntki lub sułtanki, kawę Rio albo Mocę, lub bulion Maggi, co tylko mu w kolonialce wpadło w ręce. Też lubił pogadać. Mało znał tak mądrych osób jak ona.

Teraz trzymał torebkę z migdałami Bari.

Po drodze na samą górę musiał mijać się z przechodzącymi klientami i sąsiadami. Na pierwszym piętrze potrącił go zbiegający wyrostek. Dziurawiec chwycił go jedną ręką, drugą odruchowo włożył do swojej kieszeni. Namacał nóż. Obrócił się, ale przerażony chłopak zaczął go przeproszać, zanim Dziurawiec zdążył zmarszczyć brew. Puścił smarkacza, a ten zaczął zbiegać po trzy schodki naraz, mało się nie zabił.

Z drugiego piętra dochodziły odgłosy jakiejś kłótni, płaczu i oficjalnego tonu.

- Nalot... w dupę - ledwo wybełkotała, chwiejąc się na półpiętrze, pijana Bejla Bildholcer. Znał ją każdy sąd, policjant i lekarz z Komisji Sanitarно-Obyczajowej. Miała ufarbowane na blond włosy i wszystkie choroby, jakie można było mieć w jej fachu. Klęła jak szewc. Ale teraz chyba nie o nią chodziło. I tak nie mogłaby się z niczego tłumaczyć, już nie bardzo umiała sensownie mówić, była w stanie tylko bluźnić albo gadać od rzeczy.

Dziurawiec ominął ją, splunął przez lewe ramię, na wszelki wypadek odganiając coś, co mogło się od niej przyplątać, choć nie na wiele to się zdało, chwiejąc się, ruszyła za nim. Drzwi do mieszkania na drugim piętrze były otwarte na oścież. Parę ciekawskich osób zerkało. Zobaczyli go i ustąpili mu miejsca, wszedł i stanął w drzwiach do ciasnego pokoju na końcu korytarza. W środku był policjant. Jakiś nowy i jeszcze pryszczaty. Nie znał go.

- Na podstawie rozporządzenia Ministra Zdrowia z 6 września 1922 roku o nadzorze nad nierządem - recytował policjant, jakby był na jakimś egzaminie. - Utrzymywanie domów rozpusty jest wzbronione - zakończył z palcem uniesionym do góry.

– Oby cię robaki jadły! Oby pijawki krew twoją piły! – złorzeczyła po żydowsku stojąca teraz za jego plecami Bejla. Dziurawiec nawet ją trochę lubił, bo potrafiła dobrze przygadać, ale policjant i tak nie rozumiał, co mówi, więc nie reagował. – Obyś był twardy jak żelazo i zginać się nie mógł! Obyś... – próbowała wykrzyczeć, wymachując chudymi rękami.

– Bejla, cicho bądź! – uspokoiła ją po polsku Hela zwana Karuzelą. Siedziała okrakiem na stołku. Była tak gruba, że podobno, jak była kiedyś na huśtawce w wesołym miasteczku, to wstała razem z siedzeniem. Dwóch chłopca się zapierało, żeby ją uwolnić, a i tak trzeba było rozcinać żelazne pręty z oparcia. Tak przynajmniej opowiadał Anioł, który sam był chudy jak szczapa i zawsze mówił o tym z wielkim rozmarzeniem.

– Panie władzo, jaki to dom rozpusty – zaczęła spokojnym głosem Karuzela, która zobaczyła stojącego w drzwiach Dziurawca. Jednocześnie się ucieszyła i przestraszyła.

Dziurawiec na razie nic nie mówił. Nie miał pojęcia, czym podpadły. Każdy wiedział, że można było tu wejść na godzinę, że na stałe mieszka tu Bejla z Karuzelą, że w kącie zawsze siedzą jakieś dzieciaki, które niejedna z dziewczyn zostawia, gdy sama jest na ulicy. Ale tak było wszędzie. Jak przychodził klient, dzieci szły na schody albo siedziały pod kocem, gdy na dworze było za zimno.

– Pod nazwą „dom publiczny” należy rozumieć wszelkie mieszkania i lokale zajmowane przez więcej niż dwie osoby uprawiające zawodowo nierząd – wyrecytował policjant. – Wy dwie macie czarne książeczki.

– I co z tego? – Hela Karuzela wzruszyła ramionami, aż zatrzeszczał stołek. – My jesteśmy dwie, a ona nie ma. Dopiero z prowincji przyjechała. Z Lubartowa. Sierota.

Dziurawiec dopiero teraz zauważył siedzącą w kącie młodziutką dziewczynę, która kurczowo zaciskała palce na rączce walizki. Jasne strąki mokrych włosów opadały jej na prawy policzek, zasłaniając pół twarzy. Nie wyglądała na panienkę, ale wszystkie, które przyjeżdżały ze wsi do Lublina, na początku nie wyglądały.

Dziurawiec nie polubił tego policjanta. Wszystko wskazywało na to, że jest nowy i za bardzo ambitny. A Mojsze, który opiekował się dziewczynami, pewnie znowu grał w karty.

Dziurawiec położył torebkę z migdałami na krześle przy drzwiach. Ruszył na środek pokoju.

– O co tu chodzi? – zapytał. Ręce trzymał w kieszeni i patrzył młodziakowi prosto w oczy.

– A pan to kto?

– Sąsiad.

– Stąd?

– Z sąsiedztwa.

– Alfons? – zapytał policjant, unosząc podbródek.

– Nie.

– To kto?

– Sąsiad – powtórzył. – O co tu chodzi?

– Mieszka tu. – Policjant pokazał na młodą dziewczynę. – I trudni się nierządem. Zabieram ją na komisariat i spiszemy...

– A skąd wiadomo, że tu mieszka?

– Bo ma swoje rzeczy. – Pyszczytaty policjant pokazał na walizkę. Aż szczeka mu się trzęsła ze złości. Przed chwilą kontrolował sytuację, a teraz nie wiedział, z kim ma do czynienia.

Dziurawiec popatrzył na dziewczynę, siedziała ze spuszczoną głową. Wyglądała jak zmokła kura. Usta miała całe w opryszcze. Z daleka myślał, że ma podbite oko, a z bliska dojrzał zasłoniętą nieregularną plamę, jakieś ciemne szpecące znamię, dwa razy większe od złotówki. Nigdy wcześniej jej nie widział i uznał, że lepiej, jeśli nie trafi jeszcze na komisariat.

Podszedł do niej. Nachylił się i dwoma rękami złapał za walizkę. Dziewczyna nie chciała puścić rączki.

– Ja tu nie mieszkam. Ja nie...

– A kogo to obchodzi? – zapytał, patrząc jej prosto w oczy.

Szarpnął za rączkę walizki. Puściła.

Podszedł do okna. Otworzył je, wyrzucił torbę. Patrzył, jak spada. Zderzając się z ziemią, otworzyła się. W błocie wylądowały halka, majtki i rajstopy, książka jakaś. Dziurawiec przez chwilę wyglądał przez okno. Jedna z dziwek, kryjąca się

w bramie naprzeciwko, kiwnęła głową. Wiadomo było, kto rzucił, i wiadomo było, że raczej szybko nikt się na to nie połasi. Młoda dziewczyna podbiegła do okna.

– Świnia! – syknęła przez zaciśnięte zęby. Dziurawiec pokiwał głową. Rzeczywiście musiała niedawno tu przyjechać, skoro nie wiedziała, do kogo mówi. Dziurawiec odwrócił się bez słowa i odszedł od okna.

– To mieszka czy nie mieszka? – spytał policjanta, rozkładając puste ręce.

Policjant nie wiedział przez sekundę, co powiedzieć. Dziurawiec nie czekał, kiedy się zorientuje, że nie ma tu nic do roboty, i w końcu zdecydował się wyjść. Sam ruszył w kierunku drzwi. Zatrzymał się obok dzieciaków, które ciągle były pod kocem przy ścianie, za to na krześle nie było torebki z migdałami. Jeden, najbardziej usmarkany, nagle przestał poruszać ustami.

– Wypluj! – powiedział Dziurawiec. Dzieciak wypluł na podłogę na wpół nadgryzionego migdała. Dziurawiec podszedł, rozgniół go butem, dokładnie. Potem wyciągnął przed siebie rękę.

– Nieładnie jest kraść. Prawda, panie władzo? – zapytał Dziurawiec, nie patrząc na policjanta, tylko na usmarkanego chłopaka.

Dzieciak wysunął spod koca wymiętoloną już torebkę. Dziurawiec wziął ją, wyjął z niej migdała. Wyszedł, mieląc go w ustach. Wszyscy na jego drodze rozstępowali się bez słowa.

On sam wszedł po schodach na górę. Zatrzymał się piętro wyżej i czekał. Jak przewidywał, policjant wyszedł po chwili i szybkim krokiem zaczął schodzić w dół. Za moment zbiegła za nim dziewczyna, a Bejla zaczęła znów krzyczeć.

– Obyś bogaty był i wszystko wydał na lekarzy! Obyś... – Dziurawiec na wszelki wypadek znowu splunął i wszedł do znajdującego się na trzecim piętrze pokoju Loli Sztajn. Pierwsze kroki skierował do okna. Wychylił się i patrzył. Zmokła panienska zbierała rzeczy z ulicy. Nagle zerwała się i pobiegła za psem. Ciągnął w zębach jej pończochę. Dziurawiec wzruszył ramionami. Cóż innego mogła zrobić.

– Czyja jest ta dziewczyna, co pomieszkuje u Karuzeli? – zapytał

po chwili.

– Zakochałeś się?

– Pytam – zachnął się. – Lubię wiedzieć.

– Oczywiście – odparła ze śmiechem. Leżała na łóżku za przepierzeniem z zasłonki w maki i wesoło pomachała do niego gołym kikutem. Drewniana proteza ze sznurkami stała oparta o łóżko. Na drugiej nodze miała wełnianą pończochę. Reszta była w różowej halce, od której odpruwała się już jasna koronka i odsłaniała część przygniecionej piersi. Na głowie miała papiloty. Dziurawiec rzucił jej na łóżko migdały. Pooglądała papierową, zmiędloną torebkę i zaczęła je pojedynczo wydłubywać, głośno mlaskając z zadowolenia. Nie przestała przy tym przeglądać kolorowej gazety ze zdjęciami gwiazd filmowych.

– Kto to? – znów zapytał Dziurawiec, a Lola zaśmiała się pod nosem.

– Bierz ją, zanim ci ją zbałamucą.

– Nowa?

– Nie. Skądś tam przyjechała. Do pracy podobno.

– Jakiej?

– W szkółce jakiejś czy bibliotece.

– W bibliotece? – zdziwił się Dziurawiec. – To co tutaj robi?

– Ma mieć mieszkanie w suterenie na Narutowicza. Ale stamtąd wdowa po dozorczy się nie chce wyprowadzić. Jakieś cyrki robi. I nie ma gdzie się dziewczyna podziać. Podobno. Karuzela to chyba jej jakaś daleka ciotka albo jakaś inna kuzynka. Matka Niemką spod Chełma była, ale ojciec na szczęście Polak, choć podobno ją tłukł. Pecha ma dziś dziewczyna. – Lola zaśmiała się. – Słyszałam.

– No, ma – westchnął Dziurawiec. Znowu podszedł do okna, ale już jej nie było. Zamknął okno, usiadł na krześle i zdjął buty. Miał dziurawą skarpetę.

– Zrobisz coś z tym? – powiedział, patrząc na wystający ze skarpety wielki palec.

– Ożeń się ze mną. To ci te onuce zaceruję. – Prychnęła ze śmiechu, drapiąc się po głowie.

– Obejdzie się.

– Jak chcesz – oświadczyła teatralnie obrażonym tonem. – Pamiętaj, drugi raz ci się nie oświadczę – zachichotała, wydłubując palcem z zębów kawałek migdała. – A jak tak będziesz kombinował, to i na twoim weselu nie zatańczę – odparowała.

– A to prawdziwa szkoda – powiedział, patrząc znowu w okno.

– Znałeś kogoś kto ma stałą, państwową pracę? – zapytała.

Zaprzeczył.

– Ja też nie – odparła, uśmiechając się.

Wiedeń, kwiecień 1938 roku

Było wczesne popołudnie. Gerhard von Lossow spoglądał na swoje odbicie w lustrze. Stał w głębi pokoju, znów jakby na drugim planie. Za to w jakim był towarzystwie! Obok niego w lustrze odbijała się twarz siedzącego na fotelu tuż przed zwierciadłem Heinricha Himmlera. Nad jego głową stał fryzjer.

– Ten Żyd nie wierzył, że po niego przyjdziemy? – dziwił się Himmler, sztywno trzymając głowę. – Przecież nie na darmo nad ranem byłem już w Wiedniu. Z kwiatami w rękach! – Zaśmiał się jeszcze raz, pokazując na bukiety od wdzięcznych Austriaków porozstawiane w całym pokoju. W kilkunastu wazonach. Poruszył się, a fryzjer stojący za jego plecami gwałtownie oderwał rękę z brzytwą od wygolonego do połowy karku i zaczął głęboko oddychać.

– Nie wierzył. Żydzi ciągle jeszcze nie wierzą w to, co widzą – powiedział radośnie Gerhard von Lossow, teatralnie rozkładając ręce. Zaprezentował w uśmiechu dwa rzędy równiutkich białych zębów. Dobrze wyglądał, odbijając się w lustrze, w towarzystwie samego Himmlera.

On nie mógł uwierzyć w to, co widzi. Uczestniczył w prywatnym spotkaniu z samym szefem SS. Co więcej, ten przy goleniu zaśmiewał się z jego opowieści o aresztowaniu Rothschilda. A wczorajszą noc Gerhard von Lossow spędził w areszcie. Był pewny, że to koniec jego kariery. Uderzył oficera wyższego rangą. I ten miał na to świadków. Był pewien, że Odilo Globocnik z premedytacją sprowokował bójkę i właśnie taki miał być jej scenariusz. Pewnie też nie przypadkiem właśnie w tym momencie pojawiła się tam, nie wiadomo skąd, żandarmeria, a sam Odilo uśmiechał się do niego, gdy wyprowadzano go z lokalu. Jeszcze przed świtem był przekonany, że jest skończony... Za to o poranku okazało się, że wszystko układa się wspaniale. Wyprowadzono go z celi. Myślał, że na jakies

przesłuchanie, a wyszedł z aresztu, i to prosto do czekającego na niego nowiutkiego czarnego opla admirała. Zawieziono go do samego Karla Wolffa, który oświadczył, że był tego wieczoru w tym samym miejscu, widział sytuację i choć to niewybaczalne, wybacza. Ba, przydziela mu zupełnie nowe zadania, przy których znów będzie się mógł wykazać. Gerhard przyrzekł sobie, że nigdy już nie da się sprowokować.

– Ileż razy trzeba tym Żydom powtarzać, że zabierają przestrzeń życiową Niemcom... – westchnął głośno Himmler, wyrrywając Gerharda z zamyślenia.

– Do skutku – zawtórował mu przytomnie von Lossow.

– Masz rację, do samej śmierci trzeba im to powtarzać! – Himmler zaśmiał się. – Jak myślisz, ile nam to zajmie?

– Doprowadzenie ich do śmierci? – spytał Gerhard, a Himmler klasnął w ręce.

– To potem. Teraz myślę o wywiezieniu tego całego jego pałacu. Byłeś tam, to wiesz!

– Myślę, że rok zajmie katalogowanie tego wszystkiego, co tam widziałem.

– Słyszysz? – Himmler ucieszył się, odwracając głowę w kierunku swego adiutanta. Karl Wolff siedział w fotelu z nogą założoną na nogę. Przeglądał i rozkładał papiery na dwie kupki, jedną większą, drugą mniejszą.

– Tak. To samo mówiłem. – Adiutant pokiwał głową.

– A gdzie to wszystko ma jechać? – zainteresował się Gerhard, który cały czas zastanawiał się, jak wybadać, jakie przydzieli mu zadanie.

– Martwisz się tym? – zapytał Himmler, patrząc na jego twarz, odbijającą się w lustrze.

– Nie. Rzeszy to na pewno już nie opuści – szybko odpowiedział Gerhard.

– Właśnie. Najpewniej zabierzemy to wszystko do Berlina. Tam okaże się, co dalej z tą sztuką. Cześć może do Linzu? Wódz chce zbudować w swoim rodzinnym mieście olbrzymie muzeum.

– Nie w Wiedniu?

– Tu na pewno nie. On przecież nienawidzi tego miasta –

wyjaśnił Himmler. – Tu dwa razy nie przyjęto go na Akademię Sztuk Pięknych. Powiedział, że Niemcy nie dadzą ani szylinga na tę zdegenerowaną stolicę.

Gerhard trochę się zdziwił. Nie dlatego, że żal mu było Wiednia. Nie zamierzał tu zostawać. Po prostu zaśmiał się w duchu, ciągle mając przed oczami radość mieszkańców stolicy, którzy chyba nie do końca właściwie zrozumieli intencje ludzi Hitlera.

– To będzie tylko południowa prowincja Wielkiej Rzeszy Niemieckiej. Przeszkadza ci to? – zapytał, zaciskając powieki. Fryzjer wielkim pędzlem zmiatał mu strzępki przyciętych włosów z karku i czoła.

– Nie. Przecież i tak wyjechałem do Berlina – odparł Gerhard. – Berlin to centrum współczesnego świata!

– To dobrze – ucieszył się Karl Wolff, który właśnie wstał, przynosząc większą stertę odłożonych papierów na biurko. – Zostawiam to do podpisania. To natychmiastowe.

– Dobrze – przytaknął Himmler, otrzepując ubranie. – Trzeba działać szybko i zgodnie z planem. I przede wszystkim trzeba mieć plan, dobrze przygotowany.

– A dla ciebie – Karl zwrócił się ponownie w stronę Gerharda – mamy inne zadanie. Sprawdziliśmy. Mówisz po polsku.

– Mówię w kilku językach – odparł Gerhard oburzony. Polskim nigdzie się nie chwalił. Może z wyjątkiem jednego burdelu w Berlinie. – Nauczyłem się go jako dziecko – wyjaśnił, spuszcżając głowę.

– Wiemy. – Karl Wolff pokiwał głową. – Babka twoja pochodzi ze spolszczonej arystokracji niemieckiej. Nie musisz się tłumaczyć.

– Niestety, arystokracja też nie dbała o czystość rasy – westchnął głośno Himmler, wstając z fotela. Nie podziękował i nie miał zadowolonej miny, przeglądając się w lustrze. Fryzjer szybko, bez słowa zaczął pakować swoje sprzęty. – Obliczono, że oczyszczenie rasy zajmie nam sto dwadzieścia lat, ale za sprawą takich Aryjczyków jak ty może stać się to szybciej. Znam się na tym – oświadczył, mierząc Gerharda wzrokiem. – I znam się na ludziach.

– W najbliższym czasie twoje umiejętności językowe mogą się przydać – włączył się do rozmowy Wolff. – Później będzie można o nich zapomnieć. Podejdz tu – przywołał go do siebie i z leżącej na krześle teczki zaczął wyciągać duże zdjęcia. Było ich kilkanaście. Rozłożył je na biurku. Jedno obok drugiego. Na każdym sfotografowano inny rysunek. Gerhard patrzył, choć nie bardzo wiedział o co chodzi, ale od razu zauważył krzyżacki płaszcz.

– *Bitwa pod Tannenbergiem*. „*Pod Grunwaldem*”, jak oni to nazywają. Słyszałeś o niej?

– Ze sto razy – potwierdził Gerhard.

– Tak myślałem. – Wolff uśmiechnął się. – Sprawdziliśmy to.

– Mój ojciec był...

– Wiemy – przerwał mu Himmler. – Źle to przyjął, ale zapewniam cię, kiedyś to zrozumie, szybciej, niż ci się wydaje. Sam mu to przekażesz!

Gerharda zmroziło, nie miał pojęcia, że wiedzą o jego ojcu. Jadąc tu, nie chciał, by ktokolwiek wiedział. A teraz okazało się, że ma to z nim związek.

– Przekażesz mu, że stworzymy nowy zakon niemiecki. Prawdziwy! Posadowiony na prawdziwych germańskich cnotach. Bez tych chrześcijańskich, żydowskich naleciałości. Krzyżacy przegrali bitwę, przez którą ta barbarzyńska słowiańska hołota na pięćset lat zablokowała nam drogę na wschód! – wykrzyczał Himmler z podniesioną do góry ręką. – To, co robią Polacy, to bezczelność! Niemcy nieśli na wschód cywilizację, a oni co? Przywlekli tylko do siebie to żydowskie robactwo! Ale my zrobimy z tym porządek. I to wkrótce – dodał.

– Potraktujemy to jak prowokację – wyjaśnił Wolff, pokazując na trzymane przez Gerharda zdjęcie. – Stawisz się w ambasadzie w Warszawie.

Gerhard przytaknął. Spodobało mu się to, i to bardzo, ale i tak do końca nie rozumiał, po co się tu znalazł.

– To nie wszystko. Zatrzymasz się w Polsce na dłużej. I zbierzesz interesujące nas informacje.

– Jakie? – zapytał, nie kryjąc zadowolenia.

– Dołączysz do grupy naukowców – oświadczył Karl Wolff. – Wiedeńczycy od dawna organizują wyjazdy do Polski. Sprawdzisz, co ich interesuje najbardziej. Teraz między innymi do wyjazdu szykuje się wrocławski profesor Dagobert Frey. Zabierzesz go ze sobą po drodze.

– Doskonale. Mogę zapytać, dlaczego ja?

– Właśnie. – Wolff uśmiechnął się, patrząc na wypiętą pierś Gerharda. – Cenimy osobiste zaangażowanie, a ty masz, zdaje się, własne motywacje – powiedział Wolff i poklepał go przyjaźnie po ramieniu. Gerhard nie do końca był pewny, o czym mówi.

– I znasz się na sztuce – dodał Wolff. Wziął jakieś papiery do ręki i zaczął je przeglądać, dając tym do zrozumienia, że zakończył ten wątek.

– Dostaniesz listę szczególnie ciekawych dla nas obiektów – oświadczył Himmler i podszedł do lustra, przeglądając się to prawej, to lewej skroni. – I materiałów, które chcemy zdobyć. Kilka z nich interesuje mnie osobiście, i to bardzo... – wyjaśnił, gładząc się po karku.

Lublin, kwiecień 1938 roku

Wodzu, prowadź na Kowno! – wrzasnął na całe gardło Anioł, wykorzystując chwilową przerwę w przemówieniu prezydenta Lublina Bolesława Liszkowskiego. Stał na trybunie i zwracał się do tłumu zebranego na placu Litewskim. – Prowadź! – wykrzyknął jeszcze raz, widząc akceptację w oczach stojących wokół niego mężczyzn, a wybrał najbardziej zbitą grupę podnieconych słuchaczy.

– Marszałek Rydz-Śmigły naczelnym wodzem narodu! – Zdjął z głowy kraciatą czapkę z daszkiem. Uniósł rękę wysoko do góry. – Wodzu, prowadź na Kowno! – wołał z wielkim entuzjazmem. Siwiejące blond loki, przylizane pod czapką, odkleiły się od głowy i odstawały w kierunku, w którym akurat machał ręką. Wielu mężczyzn stojących obok zaczęło krzyczeć to samo i wyciągać ręce do góry z kapeluszami i czapkami w dłoniach. Anioł popatrzył naokoło z satysfakcją. Rozchyliły się poły płaszczy i to wystarczyło, by zorientować się, kto ma najgrubszy portfel i w której kieszeni. Prezydent Liszkowski uciszył tłum uspokajającym gestem.

– Połączenie Austrii i Niemiec to wyraz woli dwóch narodów. Musiało do niego dojść! – kontynuował, grzmiąc z trybuny. – Ludność całej Polski i Lublina, tu pod pomnikiem Unii Lubelskiej, domaga się jedności państwa polskiego z Litwą! – Rozległy się oklaski. – Szczególnie teraz, gdy musi odpowiadać na liczne prowokacje litewskie! Gdy musi bronić polskich obywateli, którzy wbrew swej woli się tam znaleźli...

– Na Kowno! – wrzasnął Anioł dokładnie przed nosem jednego jegomościa w czarnym palcie. Palto było zbyt grube jak na dosyć słoneczny dzień. Ocenił, że właściciel przyjechał właśnie z prowincji. Wczoraj było jeszcze chłodno. Być może w interesach, być może również z dużą gotówką.

– Na Kowno! – powtórzył hasło delikwent, któremu udzieliło się

podniecenie tłumu. Od krzyku i machania zrobiło mu się gorąco i rozpiął ubranie. Niecałe dziesięć sekund później Anioł miał w swej gładkiej, szczupłej dłoni okazałych rozmiarów skórzany portfel. Schował go, wycofując się w momencie, gdy kolejny mówca przesuwał się w kierunku głośnika.

– Głos oddaję lubelskiemu przedstawicielowi Towarzystwa Pomocy Polonii Zagranicznej...

Anioł spojrzął na zegarek z dewizką, który jeszcze niedawno był w kieszeni czyjś surduta. Opłacało się. Był dobrej marki. Niestety, tak jak się obawiał, wskazówki pokazywały już późną godzinę. Prócz zegarka miał jeszcze dwa portfele i zwitek pieniędzy, gdy musiał przerwać łowy. Taka okazja szybko mogła się nie powtórzyć, ale był umówiony z Dziurawcem. Ruszył w kierunku baobabu, jak nazywano potężną, czarną topolę rosnącą na placu Litewskim. Mimo że był już dosyć daleko, doskonale słychać było głos kolejnego rozentuzjzmowanego mówcy.

– By chronić polskich obywateli poza granicami naszego kraju, wydaliśmy odezwę! – huknął. – Domagamy się stworzenia z Polski i Litwy jednego wielkiego państwa! Jesteśmy gotowi do poniesienia jak największych ofiar! Wszystkich, do których wezwie nas naczelny wódz! Marszałek Polski Rydz-Śmigły!

– Wodzu, prowadź na Kowno! – krzyknął sobie Anioł, ale już bardziej pod nosem, w kierunku stojącego pod drzewem Dziurawca, który zniesmaczonym wzrokiem spoglądał na tłum.

– No to chodź – powiedział Dziurawiec, gdy tylko go zobaczył.

– Na Litwę?

– Na Kapucyńską – oświadczył i splunął pod nogi. – Belfiore już na nas pewnie czeka. Ruszyli, idąc w pewnej odległości od siebie. Właściwie tak jakby się nie znali. Minęli plac, gdy jakiś chłopak zaczął krzyczeć.

– Wujku! Wujku Aniele! – Spojrzeli po sobie i zaczęli iść dalej. – Wujku Aniele! Poczekaj.

Dziurawiec przystanął i powoli odwrócił się, spluwając znowu pod nogi ze złością. Rudy, zasapany, siedmio-, może ośmioletni chłopiec dogonił zmieszanego Anioła. Wyciągał przed siebie

dłonie. W jednej miał garść guzików, w drugiej tylko jeden. – Wujku, patrz!

– Czego się drzesz? – warknął Anioł, widząc spoglądających na nich ludzi. Dziurawiec ruszył, nie oglądając się na nich.

– Patrz to! – głośno powtórzył chłopiec, wyciągając rękę z jednym guzikiem wyżej do góry. Anioł dostrzegł zdobyczą i prawie jednocześnie zobaczył w oddali posterunkowego obciążającego mundur. Chwycił chłopaka za kołnierz kapoty, ścisnął i prawie uniósł do góry.

– Matka was nie wychowała. Ręce do kieszeni, ale już. Ze wsi przyjechało to, to. I wrzeszczyć będzie po placach. Domu nie masz, łapserdaku?! – krzyczał, ciągnąc chłopca przed sobą, tak że ten ledwo przebierał nogami w powietrzu.

– Ale wujku!

– Co wujku?! Do matki zaprowadzę, to skórę przetrzepię, łeb urwie i pod kamień wsadzi! – Chłopiec zaczął kwękać, a Anioł nie przestawał go ciągnąć. Zatrzymał się dopiero za rogiem. Tam puścił kapotę. Malec zaczął uciekać, ale tam czekał na niego Dziurawiec. Chwycił go za ramię.

– Tym razem cię dopadłem – powiedział, rozpoznając chłopaka, który niedawno kopnął w niego śmierzącą piłką. Puścił jego ramię, ale natychmiast chwycił go za ucho i pociągnął wysoko do góry. – Nie umiesz się zachować wśród ludzi? Dzikus jesteś? Co to było?

Malec zasyczał z bólu, wykrzywił twarz, ale już nie płakał, widząc minę Dziurawca.

– Kuzyn – wyjaśnił Anioł. – Powiedziałem mu wczoraj, że będę go uczył, jak mi przyniesie sto guzików. – Malec na dowód pokazał mu garść.

– Tu na placu je uciąłeś? – spytał Anioł.

Chłopiec pokiwał głową.

– Jak masz na imię?

– Stefan – jęknął chłopiec, bo Dziurawiec pociągnął go jeszcze wyżej za ucho i nachylił się nad nim. Młody był już na samych czubkach palców.

– Nie nazbierałeś stu. Sprawdź, Stefan, czy cię nie ma w domu.

I to migiem. – Dziurawiec puścił chłopaka, który natychmiast rzucił się do ucieczki. W biegu rozcierał ręką ucho i lamentował jednocześnie.

– Ten jeden był od munduru policyjnego – powiedział Anioł z dumą w głosie, gdy chłopak odbiegł na kilkanaście metrów, potykając się po drodze. – Ma chłopak talent. Po mnie – dodał, patrząc na swoje dłonie.

– Ma – kiwnął Dziurawiec z uznaniem. Sam miał kwadratowe wielkie ręce, które ledwo mieściły się we własnej kieszeni, a co dopiero w cudzej. Za to mogły zabić. – Będą z niego ludzie – stwierdził po chwili, a Aniołowi prawie zaszkliły się oczy ze szczęścia. Aż przystanął, głośno wzdychając. Zdjął czapkę i przyglądał siwe loki, kręcąc głową z uznaniem. – Policjantowi przyciął – dodał ze wzruszeniem.

– Chodźmy – pospieszył go Dziurawiec. – Mam plany na później.

Na szczęście Belfiore już na nich czekał. Wyjściowo ubrany, w czarnej koszuli w białe grochy, stał w bramie kamienicy. Opierał się o framugę drzwi i wachlował gazetą, którą trzymał w ręku. Wyglądał jak Rudolph Valentino. I zachowywał się jak Rudolph Valentino. Teraz odprowadzał wzrokiem dwie licealistki, które głośno chichocząc, oglądały się za nim. Puścił do nich oko. Przestały chichotać i obie jednocześnie zaczerwieniły się po sam czubek nosa. Gdy były za rogiem, Belfiore wyjął z kieszeni mały grzebyk i przecesał starannie wypomadowane włosy, przyglądając równiutki przedziałek nad lewym okiem. Przewisko dostał po nazwie hurtowni artykułów kolonialnych, która przez chwilę miała przedstawicielstwo w Lublinie. Starał się tam o posadę, popracował trochę i zaczął z powiedzeniem udawać Włocha, jeśli jakieś damy zdecydowanie nie gustowały w Żydach. Chociaż Dziurawiec dziesięć razy lepiej mówił w jidysz, to Belfiore miał za żonę pobożną Żydówkę i tak naprawdę nazywał się Dawid Gajermann.

– *Santa Madonna!* – zawołał na ich widok. – Ile mam czekać. Już myślałem, że nie przyjdziecie i mi rendez-vous przepadnie i dwa

bilety do Rialto. *Panią Walewską* grają.

– A klucze będziesz miał?

– Anioł, to twoja robota! – zachnął się Belfiore. – Ja za to wiem, że profesorka nie ma, a pulchna Józia ma wychodne. Zaraz zejdzie. Macie dwie godziny. To najprostsza robota na świecie. Bierzecie i wychodzicie. Lepiej stańcie gdzieś obok.

Rzeczywiście, za chwilę w drzwiach kamienicy pojawiła się dziewczyna w fikuśnym kapeluszu. Belfiore szybko objął ją w pasie i zaczął szeptać:

– Jaka *bella*, moje aniele, *o cara mia!* – Dziewczyna śmiała się zadowolona, ale chciała jak najszybciej odejść spod okien, z których mogliby wyjrzeć sąsiedzi. Belfiore zatrzymał ją. Przycisnął do siebie, tak by nie widziała stojącego za nią Anioła.

– Poczekaj. Patrz! – powiedział do niej i zaczął rozkładać gazetę. – Czy twoje usta są stworzone do pocałunków? – przeczytał i pokazał Józii reklamę pomadki Amour, zaglądając jej prosto w oczy. Józia chichotała, trzęsąc całym swoim pulchnym ciałem. To wystarczyło, by Anioł otworzył jej torebkę i chwilę przebierając palcami, wyjął klucze do mieszkania.

Dwie godziny później, gdy Józia całowała się namiętnie w bramie wejściowej, Anioł udając pijanego, wpadł na przylepioną do siebie parę. Klucze wylądowały w torebce, nim Belfiore zdążył wykrzyknąć:

– Won mi stąd! *Porca miseria!*

Poszło jak z płatka.

Małe były szanse na to, by ktoś zorientował się, że w mieszkaniu doszło do kradzieży. Nie zabrali nic oprócz klaserów z monetami. Za to, aby nie zginęło nic innego, Niemiec płacił podwójnie. Ciężko było szczególnie Aniołowi, który nie wytrzymał i wsypał sobie cukier z cukierniczki prosto do ust. Na więcej Dziurawiec mu nie pozwolił. Potem zainkasował pieniądze. Rozliczył się z Belfiorem, który jak zwykle radośnie skwitował, że „bogactwo szczęścia nie daje, ale gotówka, a i owszem”.

Tak jak planował, miał wystarczająco dużo czasu. Poszedł więc na Narutowicza, sprawdzić, co z wdową po dozorczy, która nie

chciała się wyprowadzić z sutereny w kamienicy. Trafił w sam środek przedstawienia. Krzyżująca kobieta wzywała do siebie wszystkich świętych i przyciągnęła masę przechodniów, którzy z wielką ciekawością obserwowali dziejące się wydarzenia. Wystawiła z mieszkania łóżko wprost na chodnik, położyła na nim trójkę dzieci. Pomstując na cały świat, przykryła je kołdrami i oznajmiła wszystkim, że tu będzie spać.

– Pod oknami właściciela, którego Bóg pokarze!

Dziurawiec odszukał kamienicznika i zaproponował mu ludzkie rozwiązanie przyziemnych problemów.

Wrocław, maj 1938 roku

Profesor Dagobert Frey poprawił kraciatą muszkę i przetań złożoną chusteczką wysokie czoło. Zaczesał do tyłu srebrzystą falę włosów, które, mocno przerzedzone na górze, jeszcze dosyć bujnie rosły z tyłu głowy. Przerzucił przez ramię letni płaszcz, wziął do ręki walizkę i opuścił gmach Instytutu Historii Sztuki na Uniwersytecie Fryderyka Wilhelma we Wrocławiu. Nie omieszkał zauważyć kilku zazdrosnych spojrzeń kolegów, którzy odprowadzali go wzrokiem do samych drzwi Instytutu Sztuki Wschodniej. Prawie każdy wiedział, że wybiera się w kolejną podróż do Polski i znowu ma na nią fundusze. I to nie tylko uczelniane. Sunął za nim cień zawiści, z czego profesor Frey zdawał sobie sprawę i nawet czerpał pewną satysfakcję. Gdy siedem lat temu przenoszono go z Wiednia do Wrocławia, niektórzy poczytywali to za degradację. On sam przez krótki czas również tak myślał. Był specjalistą od Michała Anioła, a wchodził w zupełnie obcy mu świat. Na uniwersyteckie rubieże. Z dala od ważnych dysput, naukowych rozpraw i wielkiej sztuki europejskiej. Ale nie poddał się. Potraktował to jak wyzwanie. Zaczął od badania sztuki Śląska. A potem ruszył jeszcze dalej. Na wschód. Tam czekała na niego istna *terra incognita*, tereny zupełnie nieznanie niemieckiej nauce. Tam znalazł nowe miejsce dla siebie. Przyszłość pokazała, że wybrał doskonale. Po dojściu Hitlera do władzy cała polityka Niemiec zdawała się kierować w tę stronę i powszechnie popierano jego badania. Mit niemieckiego Wschodu otwierał dosłownie wszystkie drzwi. Teraz jechał na dworzec kolejowy służbowym samochodem Niemieckiego Dziedzictwa. Miał trochę czasu, więc na tylnym siedzeniu porządkował papiery, sprawdzając, czy czegoś nie brakuje. Ukazało się kilka artykułów na temat dziejów osadników, którzy kolonizowali obszary w środkowej Europie. Zamierzał przeczytać je w czasie podróży. Miał też kilka stron

wytycznych, które były do zrealizowania, lecz nie mógł ich znaleźć. Zaczął się denerwować.

– Ile mamy czasu do pociągu?

– Godzinę – odpowiedział młody szofer.

– Aha. To jeszcze zdążymy się cofnąć?

– Nie zdążymy – zakomunikował chłopak wojskowym tonem. – Mam odebrać jeszcze kolejnych panów.

– Ach. Nie wiedziałem... No tak – westchnął głośno Frey. – Jaka szkoda... – żalił się, ale nie usłyszał już nic w odpowiedzi. Kierowca jechał dalej prosto. Nawet się nie obrócił. Właściwie Frey widział tylko jego wygolony kark i ręce na kierownicy.

W dalszym ciągu szukając papierów, próbował odtworzyć z pamięci, co było zapisane na tych kartkach. Te, które sam zapisał, pamiętał. Przed oczami pojawiały się daty spotkań i kolejno numery telefonów do profesora Stanisława Lorentza, który miał mu zaprezentować nowy gmach Muzeum Narodowego i tamtejsze zbiory, Stanisława Ejsmonda, który miał mu pokazać gabinet rysunków mistrzów obcych w warszawskiej Zachęcie, i profesora architektury Jana Zachwatowicza, który chciał osobiście oprowadzić go po Warszawie i niedawno odsłoniętych starych murach miejskich. Frey miał tam zobaczyć fragmenty fosy i mostu. W tej chwili najbardziej interesowała go średniowieczna architektura obronna i zamkowa. To było bardzo ważne. Zamierzał zbadać, jak daleko sięgają niemieckie wpływy. Miał też jeszcze inne zobowiązania.

– O, mam! – wykrzyknął.

– Jedzie pan do Polski, prawda? – zapytał z własnej inicjatywy szofer.

– Tak – odparł profesor Dagobert Frey, chowając znalezione kartki do oddzielnej przegródki.

– Nie boi się pan?

– A czego?

– Polacy źle traktują Niemców. Ja bym sobie z nimi poradził, a pan już młody nie jest.

Profesor obruszył się bezczelną uwagą o wieku. Z reguły miał do czynienia z młodzieżą uczelnianą, odpowiednio się do niego

odnoszącą.

– Jeźdź tam od 1934 roku! – oświadczył. – Z naukowcami i studentami. I nic złego nam się nie przydarzyło – dodał z przekonaniem.

Wiedział, co mówi. Był już wszędzie. Gdyby nie jego fenomenalna pamięć, sterty notatek, setki zdjęć, trudno byłoby to spamiętać. Był w Krakowie, Sandomierzu, Kielcach, Płocku, Łodzi, Poznaniu, Lwowie, Tarnopolu, na Wołyniu i w Lublinie.

– No to ma pan szczęście – z niedowierzaniem w głosie powiedział szofer.

Profesor pokiwał głową. Rzeczywiście miał. Dzięki badaniom pograniczy niemieckiej sztuki stał się znany w świecie nauki i to wystarczyło, by wszędzie przyjmowano go z wielką życzliwością. Na oścież otwierano mu nie tylko drzwi muzeów, bibliotek, kurii biskupich i archiwów zakonnych, ale i prywatne siedziby arystokratycznych i pańskich dworów. Kustosz Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego opowiadał mu o tajemnicach zbiorów i pokazał nawet nieopracowane materiały, do których drogą oficjalną nigdy nie mógłby dojść. To były tak owocne badania, że już po siedmiu latach pracy profesor Dagobert Frey mógł opublikować wiele rozpraw i jak to sam powtarzał, „rozpływać się z powodu radosnej dumy z wielkiego czynu niemieckiego, wschodniego osadnictwa na polu kultury”. Właśnie w tym tonie napisał wstęp do książki, którą zamierzał opublikować po przyjeździe z Polski. Teraz mogła być nie do końca dobrze zrozumiana przez niektórych polskich badaczy, a to mogłoby popsuć obecne zbieranie materiałów.

– Zobacz pan, rozpętają wojnę. Oni albo Żydzi. Dużo na ten temat czytałem i wiem! – kierowca nie dawał za wygraną i zatrzymał się pod siedzibą SS. Profesor wyjrzał przez okno. Przystojny trzydziestolatek z walizką w ręku zmierzał w ich kierunku.

– Zna go pan? – zdziwił się. Miał pamięć do twarzy, a tej nie rozpoznawał. Kierowca pokręcił głową.

– Dzień dobry. Profesor Dagobert Frey? Nazywam się Gerhard von Lossow. Będę miał przyjemność z panem podróżować –

oświadczył młodzieniec, zamykając drzwi samochodu.

– A mogę spytać, czym się pan zajmuje? Chyba do tej pory nie mieliśmy przyjemności...

– Nie, nie znamy się. Obecnie zajmuję się, że tak powiem, skutkami bitwy pod Tanenbergiem. Grunwaldem, jak mówią Polacy.

Profesor Dagobert Frey uśmiechnął się uprzejmie, jak to miał w zwyczaju i szybko odwrócił głowę. Zacisnął zęby i patrzył w okno, jakby najbardziej interesowało go to, obok czego właśnie przejeżdżają. W środku aż trząsał się z nerwów.

Banda młodych karierowiczów, pomyślał. Właśnie teraz, gdy bada architekturę wojskową i próbuje ustalić, jak daleko sięgały wpływy krzyżackie. Skąd on się wziął? Kto go przysłał? Jak się go pozbyć? Kto za nim stoi?

– Przepraszam, profesorze. Na sztuce to ja się właściwie nie znam... – Gerhard von Lossow odezwał się po dłuższej chwili, a profesor z zaciekawieniem odwrócił głowę.

– To na czym się pan zna. Archeolog czy etnograf? – spytał. Nie uwierzył mu, zaczął podejrzewać prowokację.

– Ani to, ani to. Niestety. Znam polski. Jadę z misją dyplomatyczną...

– Aha. – Freyowi od razu poprawił się humor. – A to ciekawe...

Pomyślał, że jednak będzie to kolejna bardzo udana podróż.

I była.

Warszawa, czerwiec 1938 roku

Stanisław Ejsmond stał pod ścianą w Sali Matejkowskiej warszawskiej Zachęty i znudzony patrzył na bukiet białoczerwonych łubinów. Trzymała go jedna z dwóch gimnazjalistek stojących na środku sali. Tyłem do *Bitwy pod Grunwaldem*, a przodem do reszty klasy, która w nagrodę właśnie odbywała wycieczkę z okazji hucznych obchodów setnej rocznicy urodzin Jana Matejki. Dwie dziewczyny na przemian recytowały przygotowany wcześniej poemat ku czci artysty. Domyślał się, że po uroczystości kwiaty trafią na jego ręce. Postanowił w duchu, że po oprowadzeniu niemieckiej delegacji, która miała pojawić się w Zachęcie zaraz po zakończeniu tej akademii, pojedzie do domu, zamknie się w pracowni i je namaluje. Na razie łodygi ścisnęła gimnazjalistka. Miała policzki tego samego koloru co czerwone kokardki na jej warkoczach, być może dlatego, że jedna z wiotkich gałązek złamała się i dziewczyna nerwowo próbowała upchnąć ją do środka bukietu.

– ...Był on wyrazicielem najtajniejszych pragnień duszy polskiej. Celem jego było pokazać Polskę w całym blasku jej potęgi! I tragizmie jej upadku! – deklamowała stojąca obok niej, krótko ostrzyżona piegowata dziewczyna.

– Żarem swego geniuszu narzucił społeczeństwu królewską misję, która towarzyszyła mu od chłopięcych lat, aż po ostatnie dni w... w olbrzymim trudzie twórczym jego... jego... żywota – dokończyła niepewnie gimnazjalistka trzymająca kwiaty.

Młoda nauczycielka z plamą na policzku, którą zasłaniała opadającymi na bok włosami, cały czas kiwała głową w rytm recytacji i bezgłośnie poruszała ustami, powtarzając wyuczony tekst. W sali robiło się coraz tłoczniej. Oprócz szkolnej grupy pojawiły się inne wycieczki i pojedynczy zwiedzający, oglądający inne wyeksponowane na ścianach obrazy bądź przystający i przysłuchujący się uroczystemu apelowi.

– Po tylu latach niewoli! Twórczość ta okazała zdumionemu światu nie tłum spodlonych niewolników! Lecz wielki naród świadomy swej odrębności! – głośno recytowała piegowata dziewczyna, zadowolona z coraz większej grupy słuchających.

Szczególnie z jednego gościa, który do tej pory przez prawie pół godziny bez przerwy patrzył na obraz przedstawiający bitwę, a teraz stanął z boku i z kamienną twarzą wsłuchiwał się w wygłaszane słowa. Zwróciły na niego uwagę wszystkie dziewczyny. Niektóre zerkały, niektóre odważyły się nawet szeptać coś między sobą, pokazując mężczyźnie palcem. Stanisław Ejsmond także zaczął się mu przyglądać. Blondyn z kwadratową szczęką i niesamowicie niebieskimi oczami. W eleganckiej jasnej marynarce wyglądał jak aktor filmowy. Zastanawiał się, czy skądś może go znać. Ostatnio rzadko chodził do kina, ale z racji swojej funkcji bywał w tylu miejscach i na tylu bankietach, że znał już całą warszawską śmietankę towarzyską. Teraz co prawda najważniejsze było to, że główne uroczystości z okazji rocznicy urodzin Matejki dobiegały końca. W tej chwili gościły już tylko pojedyncze wycieczki z prowincji. Zapowiadał się spokojniejszy okres.

To przyjęcie też miało się ku końcowi. Teraz nadeszła kolej na dziewczynę z bukietem, ale ta również zagapiła się na przystojnego mężczyznę, a ten uśmiechał się pod nosem. Otworzyła usta, ale nie potrafiła wypowiedzieć ani słowa. Coraz bardziej zdenerwowana zaczęła podskubywać liście trzymanyh kwiatów. Nauczycielka podpowiadała, najpierw szepcząc, a po chwili wszyscy już słyszeli jej słowa.

– Naród...który...broniąc się.

– Broniąc się dzień i noc od... – dziewczyna dokończyła niepewnie.

– Od...sił...przemożnych...

– ...Sił przemożnych... – dopowiedziała, ale nic więcej nie potrafiła z siebie wydusić i wbiła wzrok w podłogę.

Stojąca obok nastolatka mocno wyprężyła małe piersi wzięła głęboki oddech i wyrecytowała.

– Cała Polska składa dziś hołd pamięci tego! Który! –

podkreśliła. – Czarem swego artyzmu wskrzesił wizję niepodległej Polski! Mistrza! – kontynuowała zadowolona z siebie. – Który w dniach niewoli! Pocieszał serca pokoleń. Przepowiedział zmartwychwstanie! I potęgę naszej ojczyzny! – zakończyła, a nauczycielka odetchnęła z ulgą.

Stremowana dziewczyna nie wytrzymała, łzy poleciały jej z oczu i wybiegła z sali. Stanisław Ejsmond westchnął. Uciekła z bukietem w ręku. Na podłodze, w miejscu, w którym jeszcze przed chwilą stała, został tylko jeden ułamany kwiat.

– W imieniu lubelskiej szkoły dla dziewcząt i biblioteki – zaczęła po chwili nauczycielka miękkiem głosem z dalekim wschodnim akcentem. – Chciałybyśmy bardzo podziękować za możliwość podziwiania tego największego z dzieł naszego mistrza. – Odwróciła się i pokazała ręką na obraz. – Chciałbym tylko jeszcze dodać, że nasza szkoła zorganizowała u siebie wystawę poświęconą twórczości Jana Matejki, a uzyskany z niej dochód w całości został przekazany na zakup masek gazowych i... – powiedziała i wstrzymała głos, bo przystojny mężczyzna podszedł, podniósł leżącą obok niej pojedynczą łodyżkę czerwonego łubinu i wręczył nauczycielce. Ejsmond stał najbliżej i był prawie pewien, że wcisnął jej w dłoń jakiś liścik.

– Dziękuję – odpowiedziała, a kilka dziewcząt jęknęło jednocześnie. – Podziękujmy wszystkie – zaproponowała nauczycielka niepewnym głosem – wiceprezesowi galerii panu Stanisławowi Ejsmondowi za to, że nas tak tu ugoszczono i pozwolono podziwiać wielką sztukę. To będzie dla nas niezapomniany czas.

– Dzie-ku-je-my! – powiedziały wszystkie dziewczęta naraz. Jednak żadna nie patrzyła na Ejsmonda, tylko na wychodzącego mężczyznę, który przemierzał salę dumnym krokiem.

Stanisław odprowadził chichoczące i świergoczące dziewczęta. Pożegnał się z nimi i bez kwiatów wrócił do swego gabinetu. Za chwilę miała się pojawić delegacja niemieckich i austriackich uczonych z wrocławskiego uniwersytetu. Poprosił sekretarkę o herbatę. Wyciągnął listę naukowców, którzy mieli za chwilę przybyć do Zachęty.

Profesor Dagobert Frey,
Dr Kajetan Mühlmann,
Günther Grundmann,
Wilhelm Ernst de Palezieux.

Żadnego z nich nie poznał jeszcze osobiście.

Nagle otworzyły się drzwi. Stał w nich Stanisław Mikulicz-Radecki, dyrektor Zachęty. Za nim wszedł wysoki mężczyzna w garniturze o wyraźnie żydowskich rysach twarzy, trzymał za rękę ośmioletniego chłopca w krótkich granatowych spodenkach i białej bluzeczce z aksamitką przewiązaną pod szyją.

– Stanisław Ejsmond, wiceprezes. Daniel Faber z ministerstwa...
– przedstawił gościa dyrektor.

Ejsmond zerknął na swoją kartkę. Takiego nazwiska tam nie było.

– Staszku. Nie szukaj, nie szukaj. Pan Daniel Faber, z tych Faberów, jak ci zapewne wiadomo. – Kiwnął porozumiewawczo głową. – Składa nam wizytę w pewnej poufnej sprawie – wyjaśniał dalej dyrektor, a Stanisław spojrzał na małego, chudego chłopca.

– Jona Faber, mój syn. Bardzo przepraszam, żona zachorowała i... ja z bardzo krótką wizytą, która musiała odbyć się właśnie teraz... i dlatego, a zawsze, jak tu idę... – zaczął się tłumaczyć niespodziewany gość.

– Tato, pozwolisz? – przerwał mu malec, szarpiąc ojca za rękaw.
– Proszę na mnie nie zwracać uwagi. Niech panowie sobie nie przeszkadzają. Usiądę tu. – Pokazał na krzesło przy drzwiach. – I zajmę się lekturą. – Zapanowała cisza, ale nikt nie zaoponował, więc chłopczyk usiadł na krześle, rozłożył na kolanach cienką książeczkę i zaczął czytać, machając nogami.

Ejsmond z Radeckim spojrzeli na siebie i uśmiechnęli się szeroko. Daniel Faber uniósł błagalnie oczy do nieba, a w końcu też się zaśmiał. Wszyscy podeszli do biurka.

– Proszę mi wybaczyć – zaczął znowu, oglądając się na syna.

– Nie ma za co – odparł Stanisław Ejsmond. I również zerknął na chłopca, zastanawiając się, kim jest jego matka, bo malec nie był podobny do ojca, był blondynkiem o wielkich jasnych oczach.

– Jest tu zawsze mile widziany. Nawet jako honorowy gość.

– Ach... Ja nie w sprawie Matejkowskiego obrazu, choć może poniekąd... Moja wizyta nie jest oficjalna, bo taką być nie może. Bardzo późno dowiedzieliśmy się, właściwie ja się dowiedziałem... Nie mam oczywiście oficjalnego zawiadomienia, bo oczywiście takiego mieć nie musieliśmy, nikt nie musiał nam tego zgłaszać, ale może lepiej by zwrócić na to uwagę... Bo jeśli moje przypuszczenia... – plątał się Daniel Faber, przestępując z nogi na nogę jak uczeń w szkole. – Podobno jestem uprzedzony... Ja tak nie uważam, a może się mylę... to ciężko sprawdzić... – Stanisław Ejsmond prawie go nie słuchał, bo patrzył na chłopca. Ojciec stał do niego plecami i nie widział, jak ten, udając, że czyta, kręcił z niedowierzaniem głową.

– Panie Danielu, do rzeczy. – Dyrektor Zachęty poklepał go przyjaźnie po ramieniu, a Ejsmond widział, jak chłopiec uniósł do góry ręce, jakby dziękował niebiosom.

– No tak, no tak. Spróbuję... – westchnął głośno Daniel Faber. – Wydaje mi się, że w ostatnim czasie obserwuję wzmożone zainteresowanie Niemców sztuką polską.

– Cóż, należy się z tego tylko cieszyć – powiedział Mikulicz-Radecki, serdecznie rozkładając ręce.

– No, tak. Muzeum Narodowe w podobnym tonie odpowiedziało na moją korespondencję... Ale czytając ostatnio ukazujące się artykuły w wydawnictwach Uniwersytetu Wrocławskiego, Wiedeńskiego i Berlińskiego, należałoby wzmóc czujność... Polityka naszego sąsiada zdaje się być...

– To tylko uczeni... – przerwał mu Ejsmond. Gdy tylko mógł, nie interesował się polityką.

– Tak, oczywiście. Wiem, wiem, wiem... – Faber znowu zaczął się jękać, przyglądając i tak przylizane już włosy. – Ale nauka w różnej służbie staje... Ja bym tylko upraszał, aby wzmóc czujność. Aby zapamiętać jakieś niepokojące sygnały...

– A może po prostu będzie nam pan towarzyszył w spotkaniu z historykami niemieckimi. Jako konsultant Zachęty – zaproponował Mikulicz-Radecki i puścił oko do Ejsmonda. Ten uśmiechnął się. Był to dobry sposób na pozbycie się

nadwrażliwego urzędnika. – To już za chwilę i nie potrwa długo, bo z tego, co mi wiadomo, goście mają napięty plan.

– Świetny pomysł – podchwycił Stanisław Ejsmond. – Wyciągnie pan wniosek.

– A... Sam nie wiem. – Daniel Faber podrapał się po garbatym nosie.

– Tato... Doświadczenie ponad wszystkim – wtrącił się malec zza pleców ojca. Spojrzeli na niego. – Uprzejmie przepraszam, że się wtrącam, ale muszę to powiedzieć. Mną proszę się nie przejmować. Czytam tu sobie Misia na froncie. – Pokazał okładkę popularnej książki dla dzieci. – Czyli jak zapewne panom wiadomo, Miś pojawia się na wszystkich frontach wielkiej wojny światowej, a ja jestem przy pierwszym. Zajmie mi to jeszcze jakieś pół godziny do czterdziestu minut...

– Czyli jeżeli wycieczka się nie spóźni... – zaczął Mikulicz-Radecki, gdy otworzyły się drzwi i wychyliła się z nich głowa sekretarki.

– Przepraszam, są już profesor Dagobert Frey i...

– Proszę przekazać, że idziemy – przekazał Mikulicz-Radecki. Daniel Faber kiwnął głową, dając znak, że do nich dołączy. Chłopiec wrócił do czytania.

Wycieczka składająca się zuczonych i pracowników Zachęty przeszła kilka sal, wymieniając uprzejmości. Stanisław Ejsmond jako lepiej mówiący po niemiecku przedstawiał niektóre ekspozycje, a panowie zgrzecznością wyrażali zainteresowanie. Daniel Faber w milczeniu szedł kilka kroków za zwiedzającymi.

– Właściwie to bylibyśmy najbardziej zainteresowani drukami dawnymi...

– Mamy wielką kolekcję malarską i rysunków, rycin...

– Doskonale – ucieszył się profesor Dagobert Frey. – Mamy nadzieję zobaczyć tam ekspozycje najbardziej pasujące do naszych badań, które są, co zrozumiałe, związane przede wszystkim z wpływami sztuki niemieckiej na terenach Polski.

– Właśnie tam zmierzamy – wyjaśnił Stanisław Ejsmond.

– Po drodze mamy jeszcze tylko najważniejszy obraz w naszej kolekcji – wtrącił się Mikulicz-Radecki, uśmiechając się pod

nosem, jakby robił jakiś psikus. – To *Bitwa pod Grunwaldem* naszego mistrza Jana Matejki.

– Mamy dosyć napięty plan – odparł jeden z mężczyzn, patrząc na zegarek. Stanisław Ejsmond rozpoznał Kajetana Mühlmanna.

– Interesuje nas jeszcze Muzeum Narodowe i Zamek.

– O tak, oczywiście. Ale mimo... mimo różnic w poglądach na naszą historię możemy przyjrzeć się doskonałemu malarstwu historycznemu – oświadczył Dagobert Frey, marszcząc brwi, i gdy tylko znaleźli się w sali, ruszył w kierunku obrazu. – Świetna technika – powiedział, patrząc na płótno z odległości dziesięciu centymetrów. – Zwróćcie, panowie, uwagę, jak to jest malowane. Wiele obrazów z tamtej epoki pęka, kruszy się, łamie, a ten wytrzymuje próbę czasu, kolory jak nowe – zachwycił się.

– Jan Matejko znany był ze swojego warsztatu. Używał farb, przede wszystkim... – zaczął Stanisław, chcąc opowiedzieć o technice malarskiej.

– To widać – przerwał mu profesor. – Można by godzinami na to patrzeć... Nas niestety, jak powiedział kolega, czas nagli – zakończył, odwracając się w kierunku drzwi.

– Nadmienię tylko – zaczął Mikulicz-Radecki, chcąc ich jeszcze trochę przetrzymać przed obrazem, na który zbyt nie chcieli patrzeć, a który chciał, żeby obejrzeliby – że jest tu z nami kuzyn byłych właścicieli obrazu, pan Daniel Faber – oświadczył i pokazał na stojącego za ich plecami Daniela. – Jego dziadek odbywał pierwsze wycieczki z Matejkowskim płótnem, między innymi był z nim w Wiedniu, w Berlinie i...

– Aha, Żyd – wtrącił się Kajetan Mühlmann, obrzucając Fabera wzrokiem. – Kupili na handel obwoźny – dodał to już w kierunku swoich towarzyszy, ale tak, by słyszeli to wszyscy. Niemcy zaśmiali się cicho.

– Przepraszam – kategorycznym tonem odezwał się Ejsmond, który patrzył na skulonego Fabera starającego się ukryć w swoich własnych ramionach. – Chciałbym zwrócić uwagę na to, że spadkobiercy Dawida Rosenbluma odsprzedali obraz Towarzystwu Zachęty za połowę jego wartości. A ponadto wdowa, pani Amelia Rosenblumowa, ofiarowała Zachęcie

przysługującą jej część pieniędzy uzyskanych ze sprzedaży obrazu. To było wyjątkowo szlachetne z jej strony. Wspomogło, wzbogaciło naszą galerię...

- Ależ oczywiście, rozumiemy - przerwał mu Dagobert Frey. Kajetan Mühlmann nie odezwał się już. - To wspaniałomyślny gest - zaczął się tłumaczyć profesor.

- Cieszę się, że się zgadzamy. Pozwolą panowie, że wrócę do swoich zajęć. Po gabinecie rysunków mistrzów obcych oprowadzi panów pan Mikulicz-Radecki. Proszę wybaczyć. Obowiązki - powiedział Ejsmond, skinął głową i wyszedł.

Zdenerwował się kpiarskimi minami zwiedzających i tym, że nie interesowały ich żadne bieżące wystawy, fotografowali to, co było na ścianach, i zajmowali się zbiorami dawnymi. Ich zachowanie było niegrzeczne, ale czy dziwne, zapytał sam siebie. On był Żydem, a oni Niemcami. Miał prawo być uprzedzony... Nie znalazł odpowiedzi.

Za to przechodząc, usłyszał jedną z pań opiekujących się salami, rozmawiającą ze sprzątaczką.

- Widziała go pani?

- Ależ przystojny mężczyzna, napatrzyć się nie mogłam.

- A Jadwiga z szatni to aż tu za nim przyleciała popatrzyć.

- Jak malowany.

- Aktor chyba jakiś.

- Szkoda, że Niemiec - usłyszał Ejsmond i zwolnił kroku.

- Po polsku mówi, toby się człowiek dogadał. - Zaczęły się śmiać.

Stanisław Ejsmond przystanął. Zaczął dopytywać się o niecodziennego gościa, na którego, jak się okazało, wszyscy zwrócili uwagę. Szczególnie kobiety, ale nie tylko. Ochroniarz pamiętał, że pojawiał się tu dwa dni z rzędu. Dzień wcześniej podobno siedział pod Bitwą do samego zamknięcia. Nie interesowało go nic innego. Ani Dama z klejnotami Czachórskiego, ani Zaloty Brandta, ani Bociany Chełmońskiego, ani też Spotkanie Tuhaj-Beja z Chmielnickim Kossaka. Ani żaden inny wiszący w sali obraz. Tylko ta *Bitwa*.

- Trzeba było go upraszać o wyjście - dodała sprzątaczką. - Tak

mu się spodobał.

– Mówił coś jeszcze?

– Chyba że takie wrażenie ma... – powiedziała sprzątaczką, drapiąc się po głowie – ...że on taki, ten obraz, czerwony, ognisty, chyba taki. Prawie widzi, jak płonie. Jakoś tak powiedział.

Bolesław Surałło-Gajduczeni kręcił ósemki od rana, jeżdżąc rowerem po placu Napoleona w Warszawie. Sam miał z tego sporo radości, a i wzbudzał powszechne zainteresowanie. Rower Łucznik wyróżniał się, i to już na pierwszy rzut oka. Co bardziej zorientowani przechodnie wiedzieli, że to model wojskowy. Był w kolorze khaki, miał czarną kierownicę, wzmocnioną ramę i tornister przy siodełku. Był też uchwyt na karabin maszynowy. Ale Bolesław karabinu nie miał, włożył tam parasolkę żony. Jego żona Maria siedziała na ławeczce i od czasu do czasu kołysała wózek z maleńką śpiącą córeczką i patrzyła na męża, który cieszył się jak dziecko, testując nowy rower. Miał zlecenie od producenta, Fabryki Broni w Radomiu, i musiał go narysować, ale przedtem postanowił sobie pojeździć. Kręcąc się w tę i w tę, dojrzał idącego do gmachu Ministerstwa Poczty i Telegrafów Stanisława Ejsmonda. Szedł z bukietem różowych piwonii w ręku i patrzył tylko na nie. Gajduczeni postanowił zajechać mu drogę.

– Dla kogo te kwiaty? – zapytał, hamując przednim kołem tuż pod nogami Ejsmonda.

– Dla wazonu.

– Tylko?

– Cóż – powiedział Ejsmond, rozkładając ręce. – Namaluję, a potem pewnie dam mamie. Przepraszam cię, Bolesławie, ale spieszę się. Mam posiedzenie komisji artystycznej na poczcie... – wytłumaczył się i urwał, bo przed budynek, w którego stronę patrzył, zajechały dwa czarne luksusowe samochody.

– Chyba nie tylko ty – stwierdził Surałło, patrząc na wysiadających z samochodów oficjeli. Zaroiło się od czarnych mundurów oficerów SS.

– Znam go – powiedział Ejsmond pod nosem. Patrzył na

rozglądającego się wokół oficera.

– Może oni też na komisję artystyczną – zażartował Surałło, ale zobaczył, że Ejsmond wcale się nie śmieje. Wręcz przeciwnie, kwiaty trzymał tak, jakby miał zamiar je upuścić, i marszcząc czoło, patrzył na wchodzących do budynku. – Kto to?

– Nie wiem, ale był w Zachęcie i wypytywał o nasz Matejkowski obraz... – Przez chwilę patrzyli i nic nie mówili.

– A po co ty tam właściwie idziesz?

– Jest ogłoszenie konkursu na znaczki.

– Kto wygrał?

– Waclaw Boratyński. Przede wszystkim za *Bitwę pod Grunwaldem*... Pięknie to wyczelował...

– Mogę pójść z tobą? – zapytał Bolesław, a Ejsmond kiwnął głową. – Pożyczysz mi te kwiatki? – Właściwie sam je wziął, bo Stanisław tępo patrzył w kierunku poczty.

Surałło szybko podjechał do żony, oparł rower o ławeczkę, przetaił ręką kierownicę, wręczył piwonie, szepnął kilka słów do ucha, zajrzał do wózka, pomachał i już go nie było.

Po chwili stąpali po marmurowej posadzce ministerstwa. Udało im się nawet dogonić idącą zdecydowanym krokiem delegację niemiecką. Wszyscy oglądali się za esesmanem stawiającym głośne, prawie marszowe kroki. Ten nie zwracał na nikogo uwagi, unosząc dumnie podbródek.

Artystom udało się ich wyprzedzić. Na drugim piętrze delegacja pytała o drogę.

Podbiegli, omijając maszerujących oficerów, mieli kilka metrów przewagi.

Surałło otworzył wielkie, drewniane drzwi, przepuścił kolegę i zaraz je za sobą zamknął.

– A pan to kto? – zapytał postawny przewodniczący siedzący na najwyższym krześle prezydialnego stołu.

Reszta komisji podniosła wzrok znad rozłożonych projektów.

– Osoba towarzysząca – odpowiedział szybko Surałło-Gajduczeni, pokazując palcem na Stanisława Ejsmonda.

– To zamknięte posiedzenie. Nie dla publiki.

Rozległy się szmery.

– Będzie chyba więcej gości – stwierdził Ejsmond, gdy otworzyły się wielkie drzwi.

Wszyscy ucichli na widok oficerów w czarnych mundurach.

– A panowie do kogo?

– Heil Hitler. – Dwóch z nich uniosło ręce. – Przynosimy oświadczenie z ambasady Rzeszy w Warszawie i mamy nadzieję na pokojową odpowiedź – zaczął mówić jeden z oficerów, niemal nienaganną polszczyzną, z lekkim niemieckim akcentem.

– A pan to kto?

– Gerhard von Lossow.

– W jakiej sprawie?

– Dokładnie w tej, w której panowie debatują. Przyszliśmy ostrzec.

– Ostrzec? – zapytał przewodniczący. – I skąd panowie wiedzą, o czym my tutaj...

– To chyba najmniej ważne. Ważne, co mamy do przekazania.

– Słuchamy więc – odparł przewodniczący, rozkładając bezsilnie ręce, rozejrzał się i opadł na krzesło.

– Nie ma naszej zgody na treści umieszczone na jednym z projektów znaczków.

– Którym? – zainteresował się ktoś z komisji.

– Umieszczenie *Bitwy pod Grunwaldem* uznajemy za wymierzoną w Rzeszę Niemiecką prowokację! – Oficer dokładnie artykułował poszczególne słowa. Jakby wyuczył się ich na pamięć. – Pokazywanie rycerza ginącego z rąk barbarzyńców uznajemy za złe pojmowanie historii. Raniące niemieckie uczucia i godzące w dziejową prawdę. – Wszyscy członkowie komisji zaczęli szukać wśród jedenastu rysunków projektu z dobijanym krzyżakiem. Potem podawali go sobie z rąk do rąk, kręcąc głowami.

– Panowie – wtrącił się stojący obok Stanisław Ejsmond. Podeszedł do stołu, ale nie musiał sprawdzać, o jakim projekcie mówią. – Nie wiem, czy panowie dobrze zrozumieli nasze intencje. Może byliby panowie skłonni uprzejmie zauważyć, że właśnie tego roku mamy setną rocznicę urodzin Jana Matejki, naszego wielkiego malarza historycznego. Zachęta przygotowała

w związku z tą okolicznością przeglądową wystawę. – Oprócz tego – kontynuował Ejsmond – co jest właściwym tematem omawianego znaczka? Właśnie mija sześćdziesiąta rocznica ukończenia Matejkowskiej *Bitwy pod Grunwaldem*, obrazu, który jest dla Polaków...

– Ten historyczny paszkwil w ogóle nie powinien istnieć! – przerwał mu oficer. – Ale to nie jest przedmiotem naszej rozmowy. Pozostawiamy skierowaną do Ministerstwa Poczty i Telegrafów notę. Oczekujemy satysfakcjonującego nas rozwiązania, inaczej będziemy musieli na tę prowokację odpowiedzieć adekwatnymi środkami. – Oficer podszedł prawie marszowym krokiem do biurka i zostawił kopertę.

– Heil Hitler! – wykrzyczał, wyciągając rękę.

– Heil Hitler! – dołączyli do niego dwaj pozostali Niemcy i tak jak się niespodziewanie pojawili, tak szybko wyszli.

Przewodniczący komisji artystycznej złapał się za głowę.

– To czyste komedianctwo! Nawet się nie przedstawili. Do czego to podobne? Słyszał pan?! – zaczęli mówić prawie jednocześnie.

Stanisław Ejsmond zdjął okrągłe okulary i zaczął je przecierać, jakby do końca nie był pewny nie tylko tego, co słyszał, ale i tego, co przed chwilą widział.

Surałło-Gudajczeni odwrócił się w kierunku Ejsmonda. Jak rzadko kiedy nie wiedział, co powiedzieć.

– Uspokójmy się. – Miotał się przewodniczący, który dostał z nerwów plam na szyi. – Muszę zadzwonić do ministra i... i nie wiem, gdzie jeszcze.

– Może do gazet – podsunął Surałło.

– To może lepiej nie. Poczekajmy na decyzję. Proponuję przerwę. Spotkajmy się tu za godzinę. Tak, tak będzie najlepiej – powiedział przewodniczący, przecierając chusteczką czoło.

Stanisław Ejsmond i Bolesław Surałło-Gudajczeni wyszli na zewnątrz i obeszlili plac Napoleona kilka razy w kółko, nim podeszli do żony Gajduczeniego i opowiedzieli o tym, co zaszło. Po godzinie wrócili i usłyszeli przekazaną z ministerstwa wiadomość. Postanowiono bezwzględnie spełnić żądania strony

niemieckiej, nie zadrażniać sytuacji i wycofać z cyklu historycznego *Bitwę pod Grunwaldem*. Nie tłumaczono komisji artystycznej dlaczego. Rysownik zamiast bitwy miał w jej miejsce stworzyć portrety królowej Jadwigi i króla Jagiełły jako fundatorów i patronów Akademii Krakowskiej.

Członkowie komisji, niewiele ze sobą rozmawiając, szybko się spakowali.

Artyści też już bez słowa opuścili gmach Ministerstwa Poczty i Telegrafów. Nic nie można było z tym zrobić.

Surałło wrócił z żoną i dzieckiem do domu. Ejsmond poszedł do Zachęty, odszukał wizytówkę z numerem telefonu Daniela Fabera. Zadzwoił i długo rozmawiali.

Wacław Boratyński poinformowany o tym, co zaszło, trzy godziny chodził wzdłuż Wisły, a następne dwie patrzył na czystą kartkę papieru. Temperował ołówek i robił to przez kolejne kilkadziesiąt minut, tak że w palcach został mu kilkucentymetrowy ogryzek. W końcu zaczął rysować. Naszkicował szybko dwie postaci. Króla Władysława Jagiełłę i królową Jadwigę. Były ledwo widoczne. Skupił się na dolnej partii rysunku. Tam umieścił dwa nagie miecze i krzyżacki sztandar. Dokładnie pod stopami królewskiej pary. Tak by je deptali. Cyzelował, poprawiał z zaciśniętymi ustami.

Skończył nad ranem.

30 kilometrów od Berlina, wrzesień 1938 roku

Gerhard von Lossow popatrzył na okno. Mały zielonkawy żuczek chodził po framudze, próbując wspiąć się na szybę, w końcu spadł na plecy i leżał na parapecie, przebierając w powietrzu krótkimi nóżkami. Gerhard w końcu podsunął palec i pozwolił owadowi wspiąć się po nim. Uchylił okno, wysunął rękę i strzepnął go w trawę.

Za oknem od dwóch godzin nic się nie zmieniło. Mężczyźni w pełnym opancerzeniu, z wojskowymi tornistrami na plecach biegali w kółko. Przewidywał, że mogło to jeszcze potrwać. Zamknął okno i znowu usiadł na krześle w korytarzu. Nudziło mu się, ale na to spotkanie z Himmlerem musiał i mógł czekać bardzo długo. Prezes Siemensa też czekał, nim minął się w drzwiach z kimś z dyrekcji Bayera. Wszyscy mieli tu jakieś interesy. Każdy z nich. Witali się z Gerhardem, zakładając, że skoro ma bezpośredni dostęp do szefa SS, musi być kimś ważnym. Dano mu to odczuć już w ambasadzie w Warszawie. Nie tyle liczył się jego stopień oficerski, ile to, że działał na osobiste życzenie Himmlera i bezpośrednio przed nim się tłumaczył, wykonując zadanie specjalne. Nikt go nie rozliczał z czasu. Mógł robić dokładnie to, co sam sobie zaplanował. Okazało się, że robi to skutecznie. Po zdobyciu informacji i po tym, jak Polacy oficjalnie wycofali się z puszczenia w obieg znaczka z Grunwaldem, poprosił o trzy dni urlopu, by odwiedzić ojca. Dostał zgodę podpisaną przez samego Karla Wolffa. Oprócz tego otrzymał skierowanie na leczenie w specjalistycznym ośrodku gestapo w Karlsbadzie dla niego i dla opiekunki.

Właśnie wracał z dawnej stolicy republiki austriackiej. Uskrzydłony, choć sam przed sobą nie chciał przyznać, jak wielkie ta wizyta zrobiła na nim wrażenie.

Gdy pojawił się w Wiedniu, w domu ojca przy Singerstrasse, i zaczął opowiadać o swoim pobycie w Polsce, ojciec

beznamiętnie patrzył w ścianę. Z początku siedział na łóżku, z bezwładnymi rękami na kraciastym kocu, z kącika ust ciągle ściekała mu ślina. Od czasu do czasu podchodziła Krista i wycierała mu twarz chusteczką. Ale mówił dalej. O swojej interwencji, o tym, jak zadbał, by chronić pamięć o zasługach zakonu krzyżackiego, o tym, jaki był skuteczny. Z czasem ojciec odwrócił głowę w jego kierunku, mrugnął okiem do Kristy, ta wyjęła z szuflady starą gazetę. Znał ten numer „National Zeitung” z 1879 roku. Gerhard wziął go do ręki i zaczął czytać. „Zakon krzyżacki był na barbarzyńskim wschodzie pionierem kultury. Kraje zaludnił kolonistami niemieckimi, a celem późniejszego panowania Polski w tych okolicach było tę kulturę, owoc długiej pracy, wszelkimi środkami wyrugować. Matejko uwydatnia potęgę bezmyślnych władz nad inteligencją. Kiedy się widzi Tatarą, zarzucającego niemieckiemu rycerzowi powróż na szyję, by zrzucić go z konia, nasuwa się myśl: oto zwycięstwo barbarzyństwa nad kulturą”. Podpisano: „Otto von Lossow”, dokończył Gerhard. Na tekstach dziadka uczył się czytać. Większość znał na pamięć. Nie musiał patrzeć na kolejną gazetę podaną przez Kristę, na której było zdjęcie z 1901 roku. Dziadek stał na pierwszym planie przy odsłonięciu pomnika Ulricha von Jungingena. Był inicjatorem ustawienia go na polach Grunwaldu. Na drugim planie widoczny był jego ojciec, mały Georg.

– Widziałem ten obraz – powiedział i zobaczył błysk w oczach ojca. Poruszył ustami. Krista podeszła, ale odsunął ją ręką. Nachylił się nad nim.

– Spaaal gggghho – wycharczał starzec, po czym przesunął w jego kierunku rękę i uniósł palce. Gerhard wsunął pod nią swoją dłoń. Poczul uścisk. Kosztowało to ojca wiele wysiłku. Przestraszył się, że zaraz się rozplacze. – Choooc thyyyle.

– Już widzę, jak płonie. Obiecuję ci, że to się stanie. Też mi coś obiecaj... – poprosił, a ojciec spojrzał na niego badawczo. – Że zanim go spalę, ty go podepczesz.

Gerhard von Lossow spojrzał na nieruchomego ojca, który od czasu udaru nie zrobił ani jednego samodzielnego kroku. Georg wykrzywił twarz w półuśmiechu i kiwnął głową na zgodę. Krista

zaczęła szlochać. Gerhard też pociągnął nosem.

Ten półuśmiech wspominał, czekając na spotkanie z Himmlerem.

Za oknem rozległy się jakieś głośne rozkazy. A niemal równocześnie otworzyły się drzwi. Wychodził ktoś z dyrekcji BMW. Karl Wolff żegnał się z nim jeszcze w drzwiach. Serdecznie ściskali sobie dłonie. Gdy odszedł, Wolff skinął na niego głową. Już się nie uśmiechał. Gerhard ruszył lekko niepewnym krokiem. Mina adiutanta nie wróżyła niczego dobrego.

– A, to ty – westchnął Himmler, mrużąc oczy i lustrując go wzrokiem. Jego ton również nie był najprzyjaźniejszy. – Masz chociaż żonę?

– Nie. – Von Lossow pokręcił głową.

– A może dzieci?

– Też nie.

– To bardzo niedobrze. Nikogo nie znalazłeś? Żadna kobieta ci się nie spodobała? – spytał Himmler, patrząc podejrzliwie.

– Teraz byłem w Polsce, tam nie szukałem. – Gerhard zaśmiał się nerwowo.

Karl Wolff lekko zmarszczył brew, to nie był temat ani czas do żartów. Gerhard natychmiast spoważniał.

– Aha to słusznie... Jeżeli nie masz czasu, pomożemy ci znaleźć – zaproponował Himmler.

Gerhard wziął głęboki oddech, nie wiedział, co odpowiedzieć. Bał się kolejnych pytań, nie wiedział, dokąd zmierzają, ale nie chciał też dostać polecenia służbowego, by się ożenić.

– Może wtedy okażesz się użyteczny – kontynuował Himmler, podchodząc do okna, zza którego nadal dochodziły okrzyki. – Bo do tej pory jakoś się nie spisałeś. Wyglądasz jak prawdziwy Niemiec, a odstawiasz fuszerkę jak zwykły Polak. Może to jednak wynik zmieszanych genów?

Gerhard był w szoku. Tego się nie spodziewał.

– To bardzo dalekie pokrewieństwo! I bez znaczenia dla zasług mojej rodziny dla Austrii i Niemiec! – odważył się odezwać.

Czuł, że musi się bronić. Choć do końca nie wiedział dlaczego. Karl Wolff pochwalił go za raport dotyczący działalności

naukowców w Polsce. Szczegółowo opisał, czego poszukuje Dagobert Frey, a co interesuje Kajetana Mühlmanna. Napisał, gdzie znajdują się interesujące Himmlera wykopaliska. Nie miał pojęcia, co zrobił źle.

- Pokaż mu, Karl - powiedział Himmler, z ciekawością wyglądając przez okno.

Wolff podszedł do biurka i wyciągnął fotografię dużego formatu. Na zdjęciu było powiększenie znaczka. Z początku nie wiedział, na co patrzeć. Było napisane „Poczta Polska”. Znaczek przedstawiał królewską parę. „Władysław Jagiełło i Jadwiga”, przeczytał i pytająco spojrzął na Karla Wolffa. Ten pokazał mu palcem leżące u ich stóp dwa miecze i deptyany sztandar krzyżacki.

- Wyraźnie nie pozwoliliśmy na takie, na to... - Gerhard zaczął się tłumaczyć.

- Ale widocznie ktoś poczuł, że może sobie na to pozwolić - wyjaśnił Karl Wolff.

- Mogę pojechać jeszcze raz... - próbował Gerhard. Pomyślał, że skoro tu jest, to ma jakąś szansę. Musi tylko to dobrze rozegrać, bo inaczej marzenia o staniu w pierwszym szeregu prysną. Nie będzie czuł na sobie tych zazdrosnych spojrzeń. I to nie on rzuci iskrę, gdy nadejdzie czas... Bardzo tego chciał. Nie chciał natomiast, żeby to, co się zaczęło, tak szybko dobiegło końca.

Krzyki za oknem nasiliły się. Ktoś wrzeszczał: Wstawaj! Wstawaj! Wstawaj!

- Podejź tu - rozkazał Himmler.

Gerhard szybko znalazł się przy oknie. Na zewnątrz zacinał rześisty deszcz. Jeden z mężczyzn przestał już biec. Przewrócił się na plecy i próbował się podnieść, chaotycznie machając w powietrzu rękami i nogami, ale tylko niezdarnie się kołysał, wojskowy plecak ciągnął go w dół.

- Obawiam się, czy nadużywanie tych tabletek nie doprowadzi do uszkodzenia niemieckich genów. A to może skutkować nieprzestrzeganiem zasad higieny rasowej... - wypowiedział się Himmler, unosząc wskazujący palec ku górze. - Cóż, nie sposób jednak odmówić im skuteczności. Karl, ile oni już tam biegną?

Karl Wolff spojrzął na zegarek.

– Ósmą godzinę. Zdaje się, że to będzie około dziewięćdziesięciu kilometrów. Z obciążeniem... – Pokiwał głową z uznaniem. – To rzeczywiście podnosi znacznie wartość bojową naszych żołnierzy... Ponad zwykłą miarę. A do tego ta wiara we własne możliwości...

– Wojsko zamówiło już ponad trzydzieści dwa miliony pervitinu... Tych tabletek – poprawił się Gerhard, który właśnie wtrącił się do rozmowy.

– Znasz je? – zapytał się Himmler.

– Znam zaopatrzeniowca Wehrmachtu. I on mi to powiedział.

– Aha... – Himmler pokiwał głową, znowu wyglądając przez okno. – Idź mu pomóż. Kapo nie jest chyba zbyt delikatny – dodał, pierwszy raz odwracając się w jego kierunku.

Gerhard von Lossow zasalutował i wyszedł. Więźniowie biegali od strony obozowych baraków. Okrążył budynek. Z początku zastanawiał się, jak chwycić i podnieść więźnia. Tak by się nie ubrudzić. Domyślał się, że go obserwują i od tego, jak wypadnie, może wiele zależeć.

Nie odwrócił się i nie spojrzął w ich stronę. Szedł szybkim, równym krokiem. W połowie drogi zrozumiał, jak ma to rozegrać. Był już przy leżącym mężczyźnie, ten kołysał się na plecach jak żuk na parapecie.

Gerhard von Lossow wyjął pistolet i strzelił mu prosto w głowę. Po czym szybko odwrócił się, przełknął zbierającą się w gardle ślinę i bez słowa wrócił do budynku. Reszta więźniów, też Żydów, ciągle biegła, teraz chyba nawet trochę bardziej ochoczo.

Może dostali większe dawki, pomyślał, patrząc na notującego coś lekarza, który stał pod dachem oparty o ścianę. Nawet nie zareagował.

Gdy wrócił, Himmler siedział już za biurkiem i wypisywał jakiś dokument.

– Teraz sprawę tych bitewnych znaczków przejmuje Goebbels. Tym razem to będzie dłuższe rozdanie. Propagandzie na tym zależy. Masz się do niego zgłosić, skoro masz już rozeznanie w tym temacie – powiedział Himmler. – Jeżeli cię polubi i wyśle

po raz kolejny do Warszawy, znowu będziesz miał szansę na pozytywne załatwienie spraw. Będziesz mnie o wszystkim informował.

Gerhard skinął, oddychając z ulgą. Himmler podszedł do lustra i pogładził się po karku.

– Karl – zwrócił się do swojego adiutanta. – Będziemy potrzebować tego fryzjera. Jak on się nazywał.

– Vladislav Novak.

– Nie. O to inne imię mi chodzi.

– Maria Elena – zaśmiał się adiutant.

– Też dostanie drugą szansę. – Szef SS spojrzał na Gerharda, a ten nerwowo przeczesał palcami włosy.

– Może ci się kiedyś przydać. Kto wie? – oświadczył z uśmiechem Karl Wolff.

Vladislav Novak – wrzasnął kapo w obozie Sachsenhausen. Z drugiego rzędu wystąpił wychudzony, ogolony na łyso drobny chłopak o ciemnej karnacji i czarnych oczach. Zacinał deszcz, a on trząsał się w gorączce, szczekał zębami i patrzył na oficera, który stał obok kapo. Oficer SS spojrzał na różowy trójkąt naszyty na obozowym pasiaku. Skrzywił się z niesmakiem, zaczął coś szeptać do ucha strażnika, chwilę rozmawiali. Potem esesman odwrócił się bez słowa i ruszył w kierunku stojącego kilkanaście metrów dalej czarnego opla.

– Umyjesz się – syknął kapo przez zęby. – Zabierają cię stąd – dodał oficjalnym tonem. Chłopak ruszył bez słowa, powłócząc nogami. Kapo nie wytrzymał. Dogonił go i nachylił się nad jego uchem – I tak zdechniesz! – wycedził, po czym splunął mu na szyję.

Chłopak odwrócił się, zadarł głowę, popatrzył mu prosto w oczy i cmoknął głośno, posyłając mu całusa. Kapo błyskawicznie wyciągnął pałkę, zamachnął się i zastygł z ręką w powietrzu. Chłopak zerknął w kierunku czekającego na niego samochodu. Strażnik, dysząc, opuścił pałkę.

– Zdechniesz! – warknął, tym razem już głośno.

Chłopak uśmiechnął się i wzruszył kościstymi ramionami.
– Ale jeszcze nie teraz – skwitował, odwracając głowę.

Berlin, październik 1938 roku

Gerhard von Lossow stał przed Ministerstwem Propagandy. Trwało to już dłuższą chwilę, bo udało mu się zjawić wcześniej. Większym osiągnięciem było jednak to, że nie miał dziś kaca. Od kilku dni co noc wychodził. Wczoraj, gdy wyznaczono mu spotkanie, został w domu.

Teraz opierał się o mosiężną barierkę i jeśli nie przechodził ktoś ważny, patrzył bezmyślnie na sekretarki. Kończyły już pracę i wychodziły jedna po drugiej. Dopinały płaszcze, nasuwały kapelusze, wiązały apaszki pod szyją. Wszystkie go zauważały i spoglądały na niego, choć nie z takim zainteresowaniem, do jakiego przywykł. Raczej obrzucały go wzrokiem, sprawdzając, czy jest kimś ważnym. Ale nie był tu szczególną atrakcją. Przez ministerstwo przewijało się wiele znanych postaci, aktorów, dziennikarzy, sportowców znanych z pierwszych stron gazet. Śmiali się na cały głos bądź spazmatycznie zanosili się od płaczu. Bez względu na płeć. Często w tym gmachu, a nie na planie filmowym czy stadionie, ważyły się ich losy. Trochę też było mu nie w smak, że spotkanie wyznaczono na późną, popołudniową godzinę. Drzwi otwierały się już z rzadka. Nudził się. Postanowił w końcu wejść wcześniej i poczekać gdzieś w sekretariacie. Udać, że pomylił godziny. Popatrzeć, kto wchodzi, a kto wychodzi. Może nawet dać się zauważyć.

Ruszył i nie doszedł nawet do końca korytarza, gdy spotkał Vietholda Falka. Ten, jak zwykle roześmiany i zadowolony z życia, rozłożył ręce w geście powitania.

– Ty tu!? – zawołał. – A ja ci zazdrościłem. Myślałem, że Pragę podziwiasz. Podobno są tam najpiękniejsze na świecie dziewczyny – dodał znacznie ciszej.

– Byłem w Warszawie.

– Kwestia gustu – skwitował Viethold. – Ale te Czeszki... – Zniżył głos i przysunął się, bo jakaś dosyć duża i gruba kobieta

obrzuciła go karcącym spojrzeniem. – Sam Goebbels oszalał na punkcie takiej jednej Czeszki. Lída Baarová, słyszałeś?

– Tak. – przypomniał sobie romans, o którym huczał cały Berlin. Widział Lídę w Pruskiej legendzie miłosnej, gdzie grała Elizę Radziwiłłównę. Była piękna i dostojna. Goebbelsowi się nie dziwił, ale jej bardzo. Zresztą jak wszyscy, choć głośno nikt tego nie mówił.

– Ale pewnie nie wiesz, że do podsłuchiwania ich rozmów Göring musiał zatrudnić dodatkową osobę. Szkoda, że nie mnie. Ach... Ten to umie mamić. Podobno nawet żonę chciał zostawić, rzucić politykę, ale wódz mu na to nie pozwolił... Na całe szczęście. – Roześmiał się, a Gerhard z lekkim przestraczem rozejrzał się wokół siebie. Zastanawiał się, czy ktoś ich nie słyszy. Pomyślał też, że ta bezpośredniość kiedyś zgubi Vietholda.

– Bądź ciszej. Byłem tam, dokąd trafiają tacy wylewni jak ty.

– Nie strasz.

– Nie straszę. Idę właśnie do tego Romeo – powiedział von Lossow prawie szeptem i roześmieli się obaj. – A ty co tutaj robisz?

– Zostawiłem w sekretariacie wytyczne... O czym to Wehrmacht chce, a o czym nie chce mówić. A ty?

– Opowiem później. Albo wcale.

– I tak się spieszę. – Viethold machnął ręką trochę rozczarowany.

– Zaczekaj na mnie. Jeśli chcesz.

– Pewnie. Mówiłem już, że przynosisz mi szczęście.

Gerhard obawiał się tylko, że nie będzie za wiele miał do opowiedzenia. Zmienił zdanie, gdy kazano mu się udać do małej sali kinowej. Prywatnej, ministerialnej. Zastanawiał się, kto był tam przed nim był. Zapewne wszyscy namaszczeni, najważniejsi. Aktorzy, twórcy, wojskowi i politycy. Aż przeszedł go dreszcz, gdy odsunął ciężką kotarę. Kilkanaście osób odwróciło się w jego kierunku. Na niewielkiej widowni, w samym środku czwartego rzędu siedział Goebbels. W niebieskobiałej poświacie widział tylko jego głowę i profil – ostry nos, wychudzona pociągła twarz, zaczesane do tyłu włosy. Reszty nie było widać. Gdy podszedł

bliżej, już wiedział dlaczego. Minister propagandy był tak drobny i chłopięco chudy, że cały czołgał się w kinowym fotelu. Na szczupłych ramionach marynarka wisała jak na strachu na wróble. To bardzo go zaskoczyło. Nad jego uchem nachylała się jakaś dziewczyna, ale nie zwracał na nią uwagi. Patrzył w ekran. Leciąca jakaś kronika filmowa. Pojawiały się w niej polskie mundury. Gerhard podszedł już bardzo blisko. Od Goebbelsa dzieliło go kilka pustych krzesel.

– A pan do kogo? – Goebbels odwrócił się w jego kierunku i wbił w niego wzrok. Przypominał wyliniałą, ale ciągle jadowitą jaszczurkę.

– Gerhard von Lossow. Przesłano mnie w sprawie odpowiedzi na prowokację Poczty Polskiej. Mam zawieźć...

– Nie będzie żadnej pisemnej odpowiedzi – oświadczył Goebbels, wzruszając ramionami, i odwrócił się w kierunku ekranu. Na most wyjeżdżał właśnie odkryty rolls-royce.

– Heinrich Himmler spodziewa się pisemnego oświadczenia z ambasady...

– Zatrzymaj – rozkazał Goebbels pracownikowi, który obsługiwał projektor. – Posłuchaj... Ale nie siadaj. To nie potrwa długo. – Pokazał na miejsce w rzędzie przed nim. – Wróciłeś z Polski?

Gerhard przytaknął.

– Okazało się, że dyplomacja nie zadziałała. Nie należy się więc ośmieszać i narażać na brak posłuchu. Należy wzmocnić komunikat. Taki jest plan. Pozostaje to w naszej gestii, wy mieliście szansę się wykazać – wyjaśnił Goebbels i odwrócił się. – Proszę puścić dalej! – rozkazał pracownikowi.

Zatrzymany rolls-royce znów ruszył. Uskrzydłony „duch ekstazy” przejechał przez cały ekran.

– Polska kronika filmowa sprzed dwóch dni. Polacy wjeżdżają zbrojnie do Czech, na Zaolzie – wyjaśnił Goebbels oglądającym. – We wszystkim nas naśladową. A mnie już bez wątplenia. Widzicie to? – Głośno wzdychając, pokazał ekran, na którym kobiety machały rękami na powitanie. – Ich marszałek Rydz-Śmigły, a potem radosne dziewczyny. To dla mężczyzn, żeby przykuć ich

uwagę. Potem ładne dzieci, przyszłość. To coś dla matek. Kwiaty i przemowy. Dla wszystkich. Uściski, zbliżenia, radość mieszkających tam Polaków z powrotu do ojczyzny. Auto odjeżdża. A tu... Scena druga. Przybywa minister Beck – pokazał, machając ręką od niechcenia. – Patrz! Od razu, spontanicznie nazwano plac na jego cześć. Plakietka z nazwą już wisi. – Pokręcił głową, patrząc na wysokiego polityka otoczonego co najmniej o głowę niższymi urzędnikami. – Zbliżenie operatora. Wszyscy się cieszą. W tle jakiś urząd. Patrz, to polskie litery? – zapytał, a Gerhard potwierdził. – Od razu wielki rzucający się w oczy napis... Wszystko naśladują – powiedział i wbił się w fotel, krzyżując ręce na piersi. Miał znudzoną minę. Wykrzywił twarz i zatopił się w myślach. Gerhard stwierdził, że jeśli teraz się nie odezwie, będzie musiał wyjść.

– Ale bez polotu. – Gerhard przerwał ciszę, patrząc na ekran. – Bez natchnionych twarzy. Bez wpatrzonych oczu – mówił jakby sam do siebie, choć wystarczająco głośno. – I te konie! – prychnął, patrząc na pojawiający się na ekranie pułk kawalerii. – Uwsteczniiony romantyzm w dobie stalowych wojskowych machin.

– Te konie... – Goebbels zamyślił się. – My pokazujemy czołgi, a oni konie... muszą to zapamiętać. Dobry kontrast. Doskonałe ujęcie dla propagandy, jeśli zrobić to tak, by pojawiły się razem. Kto wie, może to się jeszcze przyda. – Odwrócił się w kierunku Gerharda, który niespiesznie przesunął się w kierunku wyjścia.

– Może powinienem to jeszcze wyjaśnić. – Goebbels powstrzymał go ruchem ręki. – Nie będziemy już nic pisać. Przygotujemy jakąś akcję odwetową. To możesz przekazać... Ale nie teraz. Patrz! – Pokazał na ekran. – Wspólnie chronimy naszych obywateli w Czechach. My swoich, oni swoich. Być może jeszcze będziemy z tym Polakami prowadzić wspólną politykę zagraniczną na wschodzie. Kto wie?

– Ale to, co oni robią, to prowokacja! Skierowana w nas! – wykrzyknął Gerhard.

– Na prowokacje odpowiadamy z całą stanowczością...

– Przecież oni się chwala... – jęknął Gerhard – że rozgromili

potęgę krzyżacką. Zmiotli niemieckie rycerstwo... Oni mają wielki obraz tej bitwy. Prawie się przed nim modlą!

Goebbels znowu machnął ręką na pracownika sterującego projektorem. Na ekranie zatrzymała się w pół kroku defilująca kawaleria.

– Ten obraz mnie nie interesuje. W dzisiejszym świecie liczą się tylko prasa, radio i film. Film przede wszystkim. Nic więcej! – huknął, odwrócił głowę, a siedząca obok niego dziewczyna wypięła biust w kierunku ministra propagandy, patrząc na niego z zachwytem.

– Ten obraz powinien spłonąć!

– Zapewne – przytaknął minister, patrząc w dekolt aktorki.

– I to tak, że wszyscy zapamiętają... – jęknął Gerhard bezsilnie, nie licząc na odpowiedź. Ale Goebbels powoli odwrócił się i spojrzał na niego. Zmrużył oczy, jak dzikie zwierzę, które poczuło krew.

– Tak! W nocy, w świetle rozpalonych ognisk! – rozochocił się Gerhard i zaczął mówić to, co już kilka razy wcześniej sobie wyobrażał. – Wielkie płótno niesione niczym bitewna zdobycz. Szpaler z krzyżackich sztandarów, SS, nasze współczesne rycerstwo, w zwartych szeregach maszeruje obok. Dumne ze swego zwycięstwa. Ze swej chwały...

Goebbels westchnął wzruszony, ale dał znak, żeby przerwał.

– Przyniesiesz mi go, to zrobimy spektakl. Oddamy go na pastwę płomieni. Spopielimy jak książki w trzydziestym trzecim. Obiecuję, że rzucisz pochodnią... Zapamiętałem cię. Pasujesz. Będziesz wyglądał niczym bóg zemsty, może nawet na pierwszym planie – powiedział, unosząc rękę zaciśniętą w pięść. Siedząca obok aktorka aż wychyliła się zza pleców ministra i zaczęła patrzeć na Gerharda z zaciekawieniem, tak samo reszta osób. – Ale, wyjaśnię ci coś. Między Polską a nami panuje pokój. Nikt nie ma ochoty na wojnę. Taka jest oficjalna polityka i na to nastawiona jest propaganda. Przekaż Himmlerowi, że jeśli chodzi o znaczki, to szykujemy serię odwetową. Będziemy świętować sto dwudziestą piątą rocznicę złączenia Gdańska z Prusami, zwycięstwo wojsk gdańskich nad ich Stefanem Batorym. I jeszcze

jakieś ich klęski. Mamy w czym wybierać. Podesłę mu projekty. A teraz już cisza! – powiedział, machnął ręką i ruszyła kawaleria.

Gerhard wyszedł. Viethold czekał przed wejściem do ministerstwa. Stał w otoczeniu jakichś kobiet. Zaczepił je i obiecał dobrą zabawę. Do wieczora zaliczyli kilka barów i po jednej dziewczynie. Gerhard nie opowiedział mu wszystkiego ze szczegółami, żalił się tylko, że nie będzie wojny. Po którejś kolejce sznapsa Falk pocieszył go, że wcześniej czy później będzie na pewno. Bo Hitler nie ma już innego wyjścia! Musi przekraczać kolejne granice! A on, Gerhard, ma tylko czekać, bo skoro Himmler go wybrał, a Goebbels z nim rozmawia, to może się jeszcze wiele wydarzyć...

Założyłby się z nim o to o każde pieniądze!

Poznań, styczeń 1939 roku

Wacław Boratyński z zadowoleniem odłożył plansze z ilustracjami, które wykonał do planowanego wznowienia *Krzyżaków* Sienkiewicza. Były skończone. To niestety oznaczało, że wreszcie musiał zająć się tym, czym zajmować się nie chciał.

Podszedł do biurka i spojrzał na mały znaczek. Na dwa miecze leżące u stóp Jadwigi i Władysława. Złamał dwa ołówki i jedno krzesło, gdy się dowiedział, jak postanowiono załagodzić napiętą atmosferę panującą w stosunkach Drugiej Rzeczypospolitej z Trzecią Rzeszą.

Wszystkie znaczki, które weszły do obiegu, miały być wycofane. I zadrukowane! Tak by zniknęły miecze i krzyżacki sztandar. Tak jakby nigdy ich tam nie było. Wtedy Niemcy łaskawie wycofają swoją gdańską serię odwetową.

Tym razem Ministerstwo Poczty i Telegrafów zwróciło się do autora z wyraźną sugestią, co ma zostać nadrukowane. „Ozdobna girlanda z godłami Polski i Litwy”, by nie zadrażniać wzajemnych relacji z zachodnim sąsiadem. Przyłożył do brązowo-pomarańczowego znaczka strzęp papieru z nabazgranym pospiesznie czarnym wieńcem. Pomyślał, że tak zadrukowany znaczek gorzej już wyglądać nie może. Mylił się.

Berlin, kwiecień 1939 roku

Gerhard von Lossow przypomniał sobie, że właśnie przegrał zakład sprzed pół roku.

Hucznie obchodzone pięćdziesiąte urodziny Führera odbywały się w nowym gmachu Kancelarii Rzeszy, a on stał w wykończonej specjalnie na tę okazję długiej na czterdzieści metrów sali mozaikowej. Wyprostowany jak nigdy. Wyróżniony. Wśród wybrańców, młodych oficerów SS, których sam Adolf Hitler obdarowywał teraz uściskiem ręki. Z emocji ledwo mógł oddychać.

Ktoś zrobił zdjęcie dokładnie w chwili, gdy wódz podawał mu dłoń i patrzył na niego swoimi hipnotyzująco błękitnymi oczami. Zatrzymał się wtedy i uśmiechnął, dobrotliwie poklepując lewą ręką ich złączone prawe dłonie. Na drugi dzień Gerhard był już w każdej niemieckiej gazecie. Podobno też w paru zagranicznych. Kupił od razu kilka i przesłał ojcu. Dalsi znajomi szukali kontaktu. Z bliższymi świętował wieczorem. Wszyscy zgodnie wróżyli mu wielką karierę. Na drugi dzień kilka zupełnie nieznanym osobom rozpoznało go na odświętnie udekorowanej ulicy. Jubilat z Himmlerem i Wolffem na trybunie honorowej odbierał defiladę. Przemaszerowały wojska, przejechały pojazdy kołowe, gąsienicowe, a nawet przeleciały samoloty na bardzo niskim pułapie.

Gerhard był już pewien, że nie była to tylko radosna urodzinowa manifestacja, ale też groźna demonstracja. Spektakularny pokaz siły. Wódz potwierdził to osiem dni później, gdy w Reichstagu wygłosił przemówienie. Zaatakował w nim Francję, mówiąc, że to od jej zachowania zależy, czy odżyją pretensje Niemiec do Alzacji i Lotaryngii. Anglii wypowiedział dwustronny układ morski, który ograniczał niemiecką flotę. Postraszył Roosevelta... A przede wszystkim powiedział coś, co przez kilka dni nie dało zasnąć Gerhardowi. Dobitnie wyjaśnił

Polakom, że rewizja polsko-niemieckich granic jest nieunikniona i jeżeli Polska nie przyjmie ugodowej postawy, rewizja przeprowadzona zostanie na drodze wojny!

Polski minister bredził coś o honorze. To była kwestia czasu.

Gdynia, czerwiec 1939

Panie Danielu! Panie Faber! – krzyknął dyrektor Zachęty Stanisław Mikulicz-Radecki, idąc z szeroko rozłożonymi rękami. – Gdzież ja pana mogłem spotkać, jak nie tu? No gdzież, jak nie tu? – pytał. Nie czekał na odpowiedź, tylko objął Daniela Fabera i mocno poklepał po plecach. – Na placu Grunwaldzkim! W Gdyni! Na placu Grunwaldzkim! Co za szczęście!

– Rzeczywiście – odparł Daniel Faber, poprawiając druczane okulary, które od tych uścisków przekrzywiły się mu na nosie. – To dosyć zaskakujące. Akurat tu umówiłem się z żoną. Taki przypadek... Choć podobno nie ma przypadków. Ale to spotkanie teraz jest jednak chyba przypadkowe. Nie inaczej. – Tu na pewno nieplanowane. Choć za chwilę i tak byśmy się zobaczyli, pewnie... przypuszczam. Prędzej czy później, w innym niż tu miejscu – płątał się zaskoczony spotkaniem.

– Oczywiście. Prędzej czy później – przytaknął ochotczo Mikulicz-Radecki. – Wakacje nad polskim morzem to przecież nie tylko przyjemność, ale i obowiązek każdego Polaka. Ale schudł pan? Jakies jarskie wczasy? Modne to teraz?

– Raczej morska choroba.

– Od samego widoku, czy już pan skorzystał z rejsów wycieczkowych? Bardzo tu polecają.

– Z Nowego Jorku nie tak dawno wróciłem... – oświadczył Faber, a Mikulicz-Radecki otwartą dłonią plasnął się w czoło.

– Lata lecą, nie da się ukryć! Pamięć już nie ta! Żona będzie miała używanie ze mnie, jak jej to opowiem! Przecież Staś, Stanisław Ejsmond, mówił mi, że, pan otwierasz pawilon polski na wystawie światowej! Co za wydarzenie! Musimy się spotkać. Ależ to ciekawe! Chociażby to. Jak ten pomnik Jagiełły na koniu? – zapytał, krzyżując wysoko ręce nad głową. – Tak miecze trzyma, widziałem przed odlewem.

– Dostojnie wygląda, to prawda. Stoi przed wejściem do

pawilonu. Zobacz pan, jak wróci do Polski. W czterdziestym czwartym światowa wystawa ma być w Warszawie.

– Poopowiada nam pan... Koniecznie – jęknął dyrektor, spoglądając na zegarek. – Teraz się trochę spieszę, bo ja tu po połowie służbowo jestem – zdradził, zniżając ton.

– To tak samo...

– Tato! Tato! Aha, to pan! Dzień dobry – przywitał się niskim ukłonem głowy podbiegający do nich chłopiec. Chwilę trwało, ale Stanisław Mikulicz-Radecki w końcu przypomniał sobie syna Fabera, którego spotkał w Zachęcie rok wcześniej. Chłopak nieznacznie urósł, lecz nadal był drobny. Miał na sobie granatowe marynarskie ubranko i tak samo przycięte blond włosy.

– Mieliśmy już przyjemność. – Ukłonił się nisko chłopcu, który odsunął się dwa kroki w bok, odsłaniając stojącego za nim młodszego, ale grubszego o połowę, rudawego, piegowatego brzdąca.

– Tato. Przedstawiam ci. – Chłopak odwrócił się, pokazując ręką. – Mój adiutant. Zdzichu.

– A skąd, że tak zapytam, go wzięłeś?

– Nająłem – odpowiedział mu syn, a rudy piegus ostentacyjnie zrobił wielkiego balona z gumy, który pękł, przylepiając się mu do nosa. – Okazuje się, że jeszcze muszę nauczyć go manier – dodał, gdy rudy grubasek z zadowoleniem odklejał gumę z nosa, rozciągając ją, ile się dało. – Zrobię to, gdy będą panowie na konferencji – powiedział mały Faber, a wieloletni dyrektor Zachęty znowu klepnął się otwartą dłonią w czoło.

– Że też ja nie skojarzyłem! To chyba przez te czasy. Pan też przyjechał na konferencję muzealników?

– Tak. Z ramienia ministerstwa. Jak się domyślam, pan też. Właściwie idziemy w tym samym kierunku. – Faber rozejrzał się.

– Odprowadzę tylko syna z adiutantem do mojej żony. O, siedzi tam na ławce. Czyta. – Pokazał palcem. – Potowarzysz mi pan?

– Oczywiście – przytaknął Stanisław Mikulicz-Radecki. Po chwili przywitał się z Karmelą Faber, niezwykle spokojną, piękną, młodą kobietą z długimi ciemnymi włosami. Były ledwo

uczesane, prawie rozpuszczone, co przykuwało uwagę, większość kobiet w jej wieku miała wymodelowane fryzury. Podała dłoń, lecz nie powiedziała ani słowa, tylko czytała dalej.

– Moja żona ma melancholijne usposobienie – wytłumaczył Faber, gdy nieco się oddalili. – Dorastała w Niemczech. Trudne czasy...

– Kobiety czasami takie już są – powiedział Mikulicz-Radecki, aby coś powiedzieć i uciąć temat, który zdawał się kłopotliwy.

– Skoro był pan w tym wielkim świecie, to pewnie wie, czy będzie ta wojna? – zapytała Karmela szybko.

– Tego nie wiem.

– Moja żona mówi, jakoby Ossowski, wie pan, ten znany jasnowidz, powiedział, że wojny kategorycznie nie będzie. Więc może to nasze spotkanie tu niepotrzebne... Konferencję zwołano na wypadek wojny. Powinniśmy już iść. – Ruszyli. – Wie pan? Ja pierwszy raz jestem w Gdyni. Robi wrażenie. To amerykańskie miasto, sam pan powie, czy nie amerykańskie? – Faber przytaknął. Podekscytowany dyrektor Zachęty zachwycił się przez całą drogę, jaką przeszli razem, zmierzając na spotkanie muzealników.

– Zobacz, Stachu, kogo ci przeprowadziłem! – zakrzyknął Mikulicz, gdy weszli do zatłoczonej sali, w której rozpoczęły się już rozmowy, mimo że nie doszło jeszcze do oficjalnego otwarcia, a obsługa ustawiała dopiero na stołach karafki z wodą.

– Miałem nadzieję, że tu pana spotkam! – Uradowany Stanisław Ejsmond podszedł do Daniela Fabera i przywitał się. – Teraz nie porozmawiamy, trochę tu głośno – powiedział, rozglądając się po sali.

– Wojna wisi na włosku – oświadczył ktoś podniesionym głosem. – Proponuję natychmiastowe zabezpieczenie zbiorów!

– To sianie zamętu!

– Zwykłe panikarstwo!

– To realna ocena sytuacji! Był pan w Gdańsku!

– Nie można dać się sprowokować!

– To konieczność. Należy zalecić wszystkim posiadającym cenne dzieła sztuki, by ewakuowali je w głąb kraju! To jedyna

droga.

- Wzbudzi to niepokój społeczności!
- I tak jest zaniepokojona. Czyta pan gazety!
- Niech tworzą depozyty. To nie pierwsza wojna w naszym kraju. Ludzie jeszcze pamiętają i wiedzą, co robić!
- A czy my wiemy? Czy ktoś nam powiedział, co robić?
- Wywieźć wszystko na wschód. Okolice Lublina. Zamościa. Tam będzie bezpieczne!

Stanisław Ejsmond nachylił się w kierunku Fabera.

- A pan co myśli?
- Niemcy ciągle mówią o polskim terrorze. - Daniel Faber zdjął z nosa okulary i zaczął je czyścić, nerwowo i znacznie dłużej, niżby należało. - To bardzo przypomina sytuację przed wejściem do Czech - kontynuował. - Obawiam się, że będzie, że jeśli... Strach pomyśleć. Ale że będzie musiał pan dalej kroczyć śladami ojca... I jak przyjdzie co do czego, to wywieźć Bitwę. Radzę. Nie czekając. Niemcy nie będą chcieli jej rabować. Będą chcieli ją zniszczyć - zakończył, zawijając druciane oprawki za uszy.
- Też się tego obawiam - westchnął Stanisław Ejsmond i sam wyjął z kieszeni chusteczkę. Przetarł spocone czoło.
- Hitler blefuje - szepnął mu ktoś nad uchem. - Ejsmond zobaczył młodziutkiego śniadego chłopaka o dziewczęcej urodzie.

Warszawa, czerwiec 1939

Gerhard von Lossow zmierzał na ulicę Karową numer 18. Tam miał odnaleźć budynek Starej Panoramy, zejść do podziemi i trafić do teatrzyku Ali Baba. Był umówiony. Wiedział, że ktoś ma dla niego informacje, ale kim ten ktoś jest? Tego nie wiedział. Podobno nazywał się Novak, Himmler mówił na niego per fryzjer, a Wolff przezywał Maria Elena. Spodziewał się więc

kogoś ciekawego.

Wyszedł z budynku ambasady dużo, dużo wcześniej niż powinien. Najpierw kazał się wozić służbowym samochodem w kółko przez prawie godzinę. Klucząc, zyskali przewagę nad autem, które zaczęło ich śledzić prawie od drzwi ambasady. Nie było za nim nikogo. Wyskoczył z samochodu i zaczął się płatać nieznanymi ulicami. Gdy mu się wydawało, że ktoś za nim idzie, wchodził do pierwszego lepszego sklepu. Tak trafił w kilka paskudnych miejsc, ale też do małej księgarni. Było tam sporo antyków – stół, szeslong, lampa. Zabytkowy był też sam właściciel. Z wyglądu stuletni. Siwiutki jak gołąb i mocno przygarbiony. Von Lossow zaczął przeglądać książki, najpierw machinalnie, potem wyciągał wszystkie przewodniki po Polsce, kartkował i odkładał na stolik.

Już od roku na polecenie Himmlera śledził wszystkie publikacje Dagoberta Freya. Sprawdzał, dokąd jeździli austriaccy i niemieccy uczeni, ale też zdawał sobie sprawę, że to tylko cząstka wiedzy, którą oni już zdążyli zebrać i którą nie za bardzo chcieli się dzielić z gestapo.

– Przepraszam pana – zapytał dziadka, który trzęsącą się ręką układał książki na półce obok. – Interesuje mnie sztuka polska – oświadczył, próbując naśladować francuski akcent. – Zdaje mi się, że w Warszawie widziałem już wszystko, co bezcenne. Czy byłby pan łaskaw polecić coś ponad to, co tu wszędzie jest opisane? – Pokazał na przewodniki. – Może być na prowincji? Mam czas.

– A pan skąd? – zainteresował się księgarz.

– Z Paryża.

– Ach... – westchnął dziadek. – Cóż, nie wiem, co pana interesuje...

– Wszystko – odparł Gerhard zgodnie z prawdą i uśmiechnął się bardzo szeroko.

Po tym, co wydarzyło się z majątkami austriackich Żydów, wiedział już, że Niemców interesuje wszystko. Nie tylko obrazy i rzeźby, lecz także dywany, lampy i porcelana. Göring dekorował swój pałac, Hitler zamierzał stworzyć najwspanialsze muzeum

na świecie, a Himmler chciał wszystko kontrolować i mieć na to fundusze. Reszta wyższych rangą oficerów urządzała sobie gabinety i zapewne także mieszkania. W Wiedniu po kolekcji von Rothschilda nie został już nawet ślad, a on sam po półrocznym areszcie zrzekł się wszystkiego, co miał, i musiał wyjechać. A pierwszą noc na wolności i tak spędził w tym samym pokoju, w którym był wcześniej zamknięty, bo nie miał dokąd iść. W jego pałacu rezydował już Adolf Eichmann. Gerhard widział na własne oczy, że wielka wyprzedaż bezcennych rzeczy poszła nad wyraz sprawnie. Ale o Wiedniu Niemcy mieli rozległą wiedzę. Pochodziła najczęściej wprost od sąsiadów austriackich Żydów. Chętnie się tą wiedzą dzielili. W Polsce było inaczej.

– Wszystko? – Dziadek podrapał się po głowie. – Wszystko to chyba tylko Edward Chwalewik spisał. Ale to wykaz, bez ilustracji – stwierdził i odwrócił się, podchodząc do innej półki. Wyciągnął dwa tomy, otworzył jeden z nich na pierwszej stronie i zaczął głośno czytać: – „Zbiory polskie. Archiwa, biblioteki, gabinety, galerje, muzea i inne zbiory pamiątek przeszłości w ojczyźnie i na obczyźnie w porządku alfabetycznym według miejscowości ułożone, Warszawa–Kraków 1926”. Benedyktyńska praca – dodał z uznaniem, podając książki Gerhardowi.

Von Lossow otworzył na chybił trafił. Rokitno Szlacheckie: powiat będziński... z gabinetu recepcyjnego księcia Józefa Poniatowskiego komoda i biurko mahoniowe, lustro na konsolach, dywan polski, biały, po Stanisławie Auguste. Stolik z blatem hebanowym przywieziony przez Walezego do Polski. Garnitur mebli. Przepyszna porcelana. Zaczął kartkować. Rogoźno, Rohatyn, Rogów... Mieścina po mieście, kościoły, pałace, dwory. Warszawa, Kraków, Lublin... Biblioteka po bibliotece, muzeum za muzeum, duże i małe. Przeczytał, poszukał sofę i usiadł z wrażenia.

– Mówiłem. – Księgarz kiwnął z uznaniem. Z dumą wyciągnął kolejny egzemplarz. – Benedyktyńska robota. Już we wstępie Chwalewik napisał... – Pokazał pierwszą stronę i dla własnej przyjemności przeczytał z powagą w głosie: – „Dzieło to

powstało pod wrażeniem grozy zniszczenia, jakiego dokonała pierwsza wojna światowa w zabytkach naszej przeszłości...". Taki miał cel. Żeby było wiadomo, gdzie co jest. Przyda się panu?

– Ile pan tego ma?

– Czego? – zdziwił się staruszek.

– Tych książek.

– Tylko to. – Pokazał na dwa dwutomowe egzemplarze.

– Biorę – oświadczył Gerhard i wyciągnął portfel. – Może pan zamówić tego więcej.

– A na co panu?

– Na prezenty – odparł, wyraźnie już przedrzeźniając francuski akcent, ale dziadek tego nie zauważył. Podreptał do lady i wyciągnął papier.

– Chyba da się zamówić... – mruczał pod nosem.

Gerhard wyszedł z antykwariatu z paczką przewiązaną sznurkiem. Paczkę tę zostawił w szatni teatrzyku Ali Baba, do którego trafił bez większych trudności. Afisz mówił o spektaklu *Orzeł czy reszka*. Nic więcej o nim nie wiedział. Dotarł spóźniony, ale stolik na niego czekał. Sala była pełna i mocno rozbawiona. Szeptano, śmiano się, rozglądano. Trafił idealnie na przerwę między numerami, ktoś wchodził, ktoś wychodził, łatwo więc było przejść, lawirując pomiędzy kelnerami, którzy biegali, rozdając nowo przybyłym kieliszki szampana. Kilka rąk jeszcze było w górze, gdy przygaszono światło. Został tylko jeden reflektor rzucający okrągły snop światła na scenę przysłoniętą grubą czerwoną kotarą. Przez gwar zaczęła przebijać się melodia. Zawrzało. Rozległy się oklaski, gwizdy i krzyki. Wielu znało już ten numer. W momencie, gdy Gerhard dostał swój kieliszek, też już rozpoznał grany szlagier. „Titina, ach Titina...”. Od razu skojarzył go z Chaplinem, nie zdziwił się więc, gdy pojawił się aktor w kapelusiku z krótkim wąsem, wywijając laseczką. Słuchał go, jak śpiewa i dochodzi do refrenu, który po polsku brzmiał „Ten wąsik, ach ten wąsik”. Ku uciesze publiczności w wolnych momentach kabareciarz chodził po scenie, naśladowując charakterystyczny, powłóczysty krok komika. Gerhard zaczął rozglądać się po sali, zastanawiając się, czy jest tu już ten ktoś,

z kim miał się spotkać. Nikt mu jednak na takiego nie wyglądał, spojrzął więc znowu na scenę i słuchał. Refren znała już połowa sali, wszyscy śpiewali, kołysząc się na boki. „Ten wzrok, ten lok, ten płasik. I wdzięk, i lęk, i mina”. Prawie wszystko rozumiał i podobało mu się do momentu, gdy pianista zaczął mocniej uderzać w klawisze, a aktor po odtańczeniu kilku obrotów nie wyprostował się i nie stanął na baczność. Przesadnie się wyprężył i wyciągnął przed siebie rękę, wykonując gest hitlerowskiego pozdrowienia. Gerhard zaczął słuchać uważniej, próbując zrozumieć. Nie było to łatwe, bo śpiewak zmienił też ton, zaczął charczeć i trząść głową. „Ostatnio na mój skromny tron zazdrosny rywal się wysuwa – aktor ryczał, opluwając samego siebie. – Kandydat nowy, groźny on. Milczenie me zastąpił wrzaskiem...”. Wrzasnął i boleśnie wykrzywił twarz. Publiczność zaśmiewała się do łez, zginając się wpół. Aktor naciągnął rondo kapelusika.

– Melonik mój mianował kaskiem – zaśpiewał, wytrzeszczając oczy i trzęsąc grzywką, już dosłownie parodiując Hitlera. Przy refrenie „Ten wąsik, ach, ten wąsik” cała sala wyła najgłośniejszym, jak potrafiła. Gerhard poczuł się tak, jakby obrażano jego samego. To mu się nie podobało. Wstał i już chciał wyjść, gdy ktoś położył mu rękę na ramieniu. Stała przed nim dziewczyna w czerwonym toczku z czarną woalką. Drugie pół twarzy zasłaniała wachlarzem trzymany w dłoni, na którą naciągnięta była długa, czarna rękawiczka. Na stół położyła małą torebkę haftowaną w perskie wzory. Otworzyła ją i wyjęła złożoną na cztery kartkę.

– Już pan idzie? A ja mam liścik dla pana – powiedziała, siadając przy stoliku. – Myślałam, że zechce pan przeczytać... – dodała przymilnie.

Gerhard też usiadł. Chwilę się jej przyglądał, ale ona tylko mrugała lekko przymkniętymi powiekami. Podłożył papier pod stojącą na stoliku lampkę i zaczął czytać.

Dziewczyna wachlowała się, a aktor śpiewał wszystko od nowa na gromki bis, ale Gerhard nie patrzył i tym razem już nie słyszał. Preczytał wszystko dwa razy. Złożył z powrotem kartkę i schował ją do kieszeni.

Numer znów się skończył, a dziewczyna odłożyła wachlarz i z zaangażowaniem klaskała, unosząc wysoko ręce. Pół sali stało.

– Pyszne to! Pyszne! Jeszcze! – krzyczała. – Warto zapamiętać jego nazwisko. Wódz ma poczucie humoru... – Odwróciła się w kierunku Gerharda, puszczając oko. – Prawda?

– Gdzie jest ten Lublin? – zapytał ją, przytrzymując ręką wachlarz, który właśnie chciała zabrać ze stolika.

– Zabiorę cię tam, mój piękny Parsifalu – odpowiedziała mu po chwili, odchylając na bok głowę. – Mamy tam przyjaciół. Tu zresztą też... – Pokazała na przechodzącego przystojnego mężczyznę. – Igo Sym. Znasz?

Gerhard patrzył na postawnego mężczyznę, za którym bezwzględnie obejrzały się wszystkie kobiety, a i połowa mężczyzn.

– Znam. Grał w niemieckich filmach... – Znał z widzenia większość niemieckich aktorów, nawet drugoplanowych. Ten był raczej sztywny i mało zdolny, ale za to wyjątkowo przystojny, wystarczająco, by mieć romans nawet z Marleną Dietrich.

– Trochę podobny do ciebie. – Dziewczyna pomachała wachlarzem, a Gerhard się skrzywił. – Och. Miałam na myśli to, że z Austrii. Oczywiście starszy. Tu w Polsce też gra w filmach, a akcent ma gorszy niż ty.

Uśmiechnęła się, a Gerhard nie patrzył już na jej umalowane mocną czerwienią usta, tylko na poruszającą się grdykę.

– Przydaje się nam. Tobie też się przyda. Chodź, mój piękny, później się z nim spotkamy. Po robocie – powiedziała, gdy Igo ruszył w kierunku wyjścia.

Gerhard wstał i został ostentacyjnie chwycony pod ramię.

– A teraz chodź, powzbudzamy zazdrość – oświadczyła, prowadząc go w kierunku stolika, przy którym siedziało kilku mężczyzn wpatrzonych w innego, który siedział oparty o ścianę z kapeluszem zsuniętym na tył głowy i bezczelną miną.

– Zdradzasz mnie, Mario Eleno? – zapytał wyjątkowo głośno, gdy przechodzili obok.

– Ty mnie nie kochasz raz – odpowiedziała mu z obrażoną miną, machając wachlarzem. – A ja ciebie sto razy!

- Kto to? - spytał Gerhard, gdy wyszli na zewnątrz.

- Ach, moja miłość. Błagier, kłamca, artysta, reżyser, w przyszłości książę... Wszystko, co robię, robię dla niego. A mogę zrobić wiele - zapiszczała cienkim głosem.

Lublin, czerwiec 1939 roku

Dziurawiec obudził się i przeciągnął, ziewając na całe gardło. Podrapał się po nogach. Koc, którym się przykrywali, drażnił go przez pół nocy, ale bez niego albo gryzły ich komary, albo łążyły po nich muchy. Mieszkanie było małe i bez otwartego okna nie dałoby się wytrzymać. Panował w nim niesamowity zaduch, ale i tak nie chciało mu zabierać się do niej przed wyjściem do pracy.

Lubił patrzeć, jak myje się w misce, zakłada pończochy, zapina guziki w sukience i jak zaczesuje włosy, zasłaniając prawy policzek. Plamy na twarzy nie dało się całkiem ukryć. Jemu to jednak nie przeszkadzało, nawet trochę to lubił. Nie wiedział dlaczego. Zdawało mu się, że oszpecona trochę bardziej do niego pasuje, bo poza tym była całkiem z innego świata. Dziurawiec pierwszy raz w życiu widział kogoś, kto szykuje się do pracy. Państwowej. W dodatku w bibliotece, w której nigdy nie był. Nigdy też nie słyszał, by za wyjątkiem więzienia, ktoś planował coś, cokolwiek, na dłużej niż do dnia, w którym płacił czynsz. Jeśli nawet myślał o przyszłości, to takiej niewyraźnej. „A latem to...”, „a kiedy wyjdę to...”, „a na starość to...”. Ona miała awansować. Dokładnie za trzy miesiące i odliczała dni. Ciekawiło go to coraz bardziej.

Spokoju nie dawała mu tylko myśl, że tak niewiele wystarczyło. Właściwie jedna para pończoch. Na przeprosiny za tego psa, co je potargał na drodze, za tę walizkę. Sam nie wiedział, dlaczego je kupił. Nie miał za co przeproszać. Liczył raczej na to, że się bliżej poznają, na podziękowanie. Słowa dziękuję się nie doczekał, za to jeszcze tego samego wieczora zobaczył jej gołe uda w tych właśnie pończochach. Gryzło go to tak, że zapytał Lolę Sztajn, o co w tym chodzi, przecież widziała, jak wygląda, i wiedziała, że nie jest nauczycielem z pobliskiej szkółki. W ogóle zdawało mu się, że wiele o nim wie. Lola poczęstowana wedlowską czekoladą uśmiechnęła się i pokazała mu swojego kulasa, pomachała uciętą

nogą i kazała wyjrzeć przez okno. Na podwórku stał chudzielec w kolejarским mundurze z kwiatami w rękach.

– Żenić się chce? Ze mną? – powiedziała, otwierając czekoladę, z której wyjęła dołączony bilecik ze zdjęciem aktorki tańczącej na wielkim kieliszku szampana. Pokiwała głową z zadowoleniem. – Nawet przekonuje! Mówi, że mieszkanie na kolei ma. Na parterze. Stałą pracę. Mówi, że kocha, i że się nie nachodzę... – tłumaczyła, międląc kawałek odgryzionej tabliczki w ustach. – A co się zastanawiasz – rzuciła, gnąc srebrny papierek, a kartę z aktorką chowając do zeszytu. – Korzystaj.

– Pójdiesz za niego? – zapytał.

– W podskokach – zaśmiała się. – Może kiedyś... – dodała, przypinając drewnianą protezę skórzanymi paskami. – Zakochałeś się. Ciesz się tym!

Nie cieszył się, ale z czasem poczuł się z tym dobrze. Ubierał się jakoś lepiej, mył częściej i od czasu do czasu myślał, co będzie jesienią.

A teraz patrzył, jak bibliotekarka zapina sandały na korkowej podeszwie. Najmodniejsze tego lata. Z samej Warszawy. Odkupił je od Belfiorego. Ale nie powiedział dla kogo. Zmierzył jej but drewnianym patyczkiem i pasowały. Dumny był, gdy je wkładała. Torebkę też jej skądś przyniósł.

Pewnego razu, gdy przechodziła obok, z kieszonki wypadł świstek z jej zdjęciem.

– Co to? – spytał Dziurawiec, sięgając po nią.

– Moja przepustka. Nie umiesz czytać?

– Nie umiesz odpowiedzieć? – warknął.

Zdziwiła się. Rzadko jej odburkiwał.

– Przepustka. Na Salon Lubelski – wyjaśniła po chwili. – Dziś otwarcie. Wszyscy święci tam będą.

– Twoja? – zapytał, oddając jej papier.

– Tak. Eliza Lell. Przedstawiłam ci się przecież – odparła, zadzierając i tak zadarty spiczasty nos.

– Co tam będziesz robić?

– Pomagać przy organizacji. Póki nowa biblioteka nie jest gotowa, wykorzystują mnie przy takich właśnie okazjach –

wyjaśniła, stojąc przy lustrze i podwijając zalotką rzęsy. – Mówiłam ci już, że uroczyste otwarcie biblioteki Łopacińskiego zaplanowano na pierwszego września?

Sto razy, pomyślał Dziurawiec, ale nie powiedział tego głośno.

– Dla kogo te rzęsy gniesz? – zapytał po chwili.

– Dla Śmigłego-Rydz – stwierdziła ze śmiechem. – Dostanie pewnie ze dwadzieścia honorowych obywatelstw różnych miast. Może jedno mi da? – przekomarzała się. – Odwiedzi lubelskie zakłady samolotowe. Może się przelece? Przyjmie też dar od młodzieży. Karabiny przeciwlotnicze. Chyba się zastrzelę. Jak będziesz zazdrosny – dopowiedziała, podeszła do niego i nachyliła się, składając usta do całowania. Zamknęła oczy. Dziurawiec strzelił ją tylko w pupę. Nie całował się w dzień.

– Zrobisz coś dla mnie? – zapytała, odwracając się już w drzwiach.

– Za ile?

Za ile się nie dowiedział, ale dowiedział się, że szminka miała truskawkowy smak.

Gdy wyszła, przysnął jeszcze na chwilę, potem palił papierosy w łóżku, zastanawiając się, co ma dziś do roboty. Nie było nic ciekawego. Miał pojawić się w różnych miejscach i załatwić drobiazgi. Między innymi ten dla Elizy.

Od niej zaczne, postanowił, schodząc w dół drewnianymi schodami od podwórza, biegnącymi po zewnętrznej ścianie kamienicy. Na dole dziewczynki grały w chłopa. Patykiem wyrysowały ponumerowane kwadraty i jedno przepołowione koło. Rzucając kolorowym szkiełkiem w poszczególne pola, skakały na jednej nodze, wykrzykując na cały głos wierszyk: „Nikt nam nie zrobi nic, bo z nami Śmigły-Rydz, Śmigły-Rydz”. Dziurawiec splunął. Nie mógł już tego słuchać. Wszędzie ktoś to śpiewał. Na niższym piętrze stał żebrzący tu codziennie garbus. Pomyślał, że wyczekuje z miską na jakiś ochłap, ale on tylko patrzył. Gdy zobaczył Dziurawca, szybko zszedł mu z drogi i z miską w rękę przylgnął do ściany.

– Uroki odczyniają, uroki – zagadał, kręcąc na boki głową.

Dziurawiec, słysząc to, zatrzymał się niepewnie, spojrzął w dół,

jakby zastanawiając się, czy nie lepiej zeskoczyć, ale był za wysoko. Gdy był pod oknem, mimowolnie zajrzał. Zobaczył nad kołyską starego dziada z długą brodą, który nachylał się nad płaczącym niemowlakiem. Zapatrzył się. Dziad wyjął dziecko i położył na ziemi, przeszedł nad nim, a potem obszedł je dookoła. Po czym kiwnął na matkę, młodą, bladą dziewczynę z ciemną chustą owiniętą wokół głowy. Ta podeszła szybko i wzięła dziecko na ręce, trzymając je przed sobą. Dziad podszedł, wyciągnął język i zaczął lizać oczy dziecka. Najpierw jedno, a potem drugie. Gdy skończył, chwycił jego główkę w obie dłonie i zaczął zaklinać, intonując monotennie.

– Ulecz, Boże, to dziecko. Jeśli ma robaki w brzuchu, jeśli ma przestrach lub bojaźń, albo urok, albo czar, albo inną słabość aż po czubek głowy. Zabieram to z niego, aby było uleczone. – Zdjął z głowy ręce. – Zabieram i wyrzucam z domu tego. Aby poszło precz! – powiedział i strzepnął zamknięte w rękach powietrze, rzucając nim w kierunku okna. Dziurawiec odskoczył jak oparzony. Zatrzymał się dopiero na poręczy schodów, które aż się zatrzęsły.

– Sól ci w oczy! Pieprz ci w nos! – prychnął i splunął za siebie. Przez lewe ramię. Kilka razy. Zszedł na dół, co chwila otrząsając się. Nie lubił uroków ani ich odczyniania. Nie wiadomo, na kogo co przelezie. Pluł dalej przez całą drogę.

Poszedł na Narutowicza pod gmach nowego Instytutu Lubelskiego, który miał służyć podobno całemu miastu. Tak trąbili w gazetach. Dziurawiec nie miał pojęcia, do czego niby miałby mu być potrzebny. Ale teraz stał i czekał. Tak jak się umówili, co jakiś czas Eliza wyglądała przez okno i w końcu dojrzała go stojącego po drugiej stronie ulicy. Jakiś młokos wyniósł teczkę z papierami, a on miał ją odnieść na Krakowskie Przedmieście. We fryzjerni Ostrowskiej miał na niego czekać jakiś tam Nowak i w zamian za te papiery, dać mu w jakimś ustronnym miejscu kopertę z zapłatą. Podobno jakieś dokumenty. Nie dopytywał się. I tak nie rozumiał, co ona tam kataloguje. Sama nie mogła wyjść z pracy przez to urwanie głowy. Przynajmniej tak mu tłumaczyła. Faktycznie pod gmach

zajeżdżały coraz to nowe samochody, wysypywały się z nich delegacje. Już teraz, choć uroczystości zapowiedziano na później.

Dziurawiec był zadowolony, że od tego dziś zaczął. Później mógł być tłok, który lubił Anioł, ale nie on. Ruszył na Krakowskie Przedmieście. Wszedł do fryzjerni, do której nigdy wcześniej nie odważył się wejść, tak jak i do większości sklepów i kawiarni przy tej ulicy. Wtedy po niej się nie chodziło. Na nią się szło. Kobiety obowiązkowo w kapeluszach. On wyglądał nie najgorzej, miał czystą koszulę, ale i tak, gdy wszedł do fryzjerni, wszyscy się spojrzeli na niego ze zdziwieniem. Nie pasuję tu z gęby, pomyślał, gdy podbiegła szybko jakaś młodzietka panienka.

– W czym uprzejmie mogę panu pomóc? – zapytała, stając tak, by nie wchodził dalej.

– Nowaka szukam – burknął Dziurawiec.

– Aha, monsieur Novak, nasz nowy fryzjer? – zainteresowała się starsza kobieta stojąca wcześniej za kontuarem. – Proszę spocząć. – Pokazała sofę obitą chyba złoconym materiałem. – Już dzwonię. Kawy? – zapytała. – Mamy doskonałą, prosto z Nikaragui.

Dziurawiec zaprzeczył. Nie chciał ani tu zostać, ani nawet usiąść na tej sofie. Powiedział, że poczeka na zewnątrz. Zdażył wypalić tylko jednego gitanes'a, chodząc z teczką przed wejściem do fryzjerni, gdy prawie pod same stopy podjechało czarne, lśniące auto. Otworzyła się szyba, ze środka wyjrzał jakiś śniady chłopak i wystawił rękę. Takiego dziwaka Dziurawiec nigdy nie widział. Nie spodobał mu się. Ucieszył się z tego, że wcześniej, nie pytając Elizy, wyjął dwie kartki, zgiął na pół, schował jedną do kieszeni spodni, drugą w kieszonce koszuli. To najlepsze, co mógł zrobić, pomyślał, patrząc na tego, z kim miał dobić interesu. Nieraz paser z Długiej Szlomo Niemiec próbował go ocyganić.

– Jeszcze ma być zapłata – powiedział, chowając teczkę za plecami. Wcześniej zastanawiał się, czy wziąć jakieś pokwitowanie, ale nie wiedział, jak je napisać. Teraz cieszył się, że po prostu ma nóż w kieszeni.

– Musiałbym wiedzieć za co. – Chłopak machnął ręką. – Dobra. Wsiadaj, piękniśiu. – Dziurawiec nie był pewny, czy dobrze

usłyszał. Chłopak jakoś dziwnie mówił. Ale wsiadł i prawie kichnął. Nigdy nie siedział obok kogoś tak wyperfumowanego. Myślał, że się udusi. Chłopak pachniał jak dziewczyna i wyglądał jak dziewczyna. Wcale nie był aż tak młody, jak się wcześniej wydawało. I miał najdziwniej przycięte włosy, jakie kiedykolwiek widział. Podgolone z jednej strony bardziej, z drugiej mniej, a długa grzywka zasłaniała mu oczy, chyba przyczernione, ale tego nie wiedział. Przysunął się jak najbliżej drzwi. Oddał teczkę, a kierowca samochodu, który nawet się nie odwrócił, ruszył. Chłopak cienkimi długimi palcami rozsznurował zawiązany plik kartek, postawił teczkę na sztorc, tak by pasażer nie widział zawartości.

Dziurawiec odwrócił głowę. Nie interesowało go, co jest w środku. Patrzył w okno i nie podobało mu się to, że wyjeżdżali z miasta.

- Nie wybieram się na wiochę ani na żadną pieprzoną wycieczkę! - wybuchł po dłuższej chwili. - Nie taka była umowa!

- A skąd ty wiesz, jaka była umowa? - bezczelnie odparł chłoptaş, odgarniając grzywkę z oczu. Samochód skręcił w jakąś boczną drogę i zatrzymał się. Dziurawiec jedną rękę włożył do kieszeni i wymacał nóż. Drugą wyjął z kieszeni kartkę i zaczął ją zgniatać w pięści.

- Wszystkiego jeszcze nie masz, cudaku! - powiedział i wyciągnął nóż. Chciał mu go przystawić do gardła, postraszyć i wziąć co swoje. Nie zdążył.

Nie docenił chudego chłoptysia. Wyglądał przecież jak dziewczyna.

Ledwo udało mu się otworzyć swój sprężynowiec i skierować w stronę fryzjera, gdy poczuł ukłucie pod lewym zębem. Potem kolejne, kolejne i kolejne. Chciał się na niego rzucić, ale opadł już z sił. Chłopak wysiadł jedną nogą z samochodu, ale na odchodne jeszcze raz ciął go przez głowę. Twarz Dziurawca zalała krew. Zanim stracił przytomność zobaczył niebieskie oczy kierowcy, który pomógł chłopakowi wyciągnąć go z samochodu.

Pomyślał, że to nie dzieje się naprawdę.

Chełm, lipiec 1939 roku

Oświecimy wszystko zgodnie z wytycznymi. Niech no tylko nasze chłopaki przylecą i trafią – westchnął głośno Juliusz Lindren, wyjmując klepkę w podłodze.

Gerhard von Lossow patrzył na szefa Niemieckiego Związku Ludowego, który wciskał rękę głęboko pod podłogę, ukrywając plany Szkoły Lotniczej, Lubelskiej Wytwórni Samolotów i zapewne jeszcze kilku obiektów, o które nie wypytywał. Brakowało jednej kartki, ale okazało się, że zawarte na niej informacje nie były takie ważne. To, co przywiózł, powinno być idealnym prezentem od SS dla porucznika Abwehry Hansa Grabowsky'ego, który tu na tyłach niemieckiego frontu miał przygotowywać akcje dywersyjne.

Teraz Gerhard już spokojnie mógł zająć się swoimi sprawami. Wziął kolejny wielki kawał ciasta. Przygotowała go kobieta, która na czas spotkania wyszła wraz z mężem z domu i teraz kręciła się po podwórku.

– To prawdziwy niemiecki placek! – Juliusz Lindren kiwnął z uznaniem. – Jesteśmy tu na Lubelszczyźnie od stu lat i nie zapomnieliśmy, jak się go robi! – oznajmił z dumą.

Gerhard przytaknął, choć nigdy wcześniej nie jadł czegoś podobnego. Ale też rzadko bywał w chłopskich obejściach, więc nie było dziwne, że zupełnie nie wiedział, do czego to porównywać. Za to z uznaniem pokiwał głową.

– Jakbym był w domu. – Oblizał ostentacyjnie usta.

– A jeśli chodzi o to, o co pan pytał, to mamy potwierdzone informacje, że w razie wybuchu wojny, a może jeszcze przed, na tereny wschodnie będą przewożone cenne dzieła sztuki z zachodniej i centralnej Polski.

– Tu chcą je ukryć?

– Tak planują. Mamy mieć na to oko?

– Tak.

– Możemy mieć. Trochę nas tu jest...

Warszawa, przełom sierpnia i września 1939

Dziurawiec leżał na pryczy i czuł się jak ścierwo. Modlił się, aby móc dopaść tę pannę, i klął wszystkimi przekleństwami, jakie znał. I tak przez pół nocy.

Niemal dwa miesiące przeleżał w lubelskim szpitalu, na przemian tracąc i odzyskując przytomność. Jedna rana się goiła, druga się paprała. Czasami w chwili świadomości widział nad sobą jakichś lekarzy. Raz był i policjant, któremu pielęgniarz tłumaczył, że raczej nie wyżyje.

Wyżył, choć przypięty kajdankami do łóżka, sam w jakiejś klitce. Ogolony do łysa, zaropiały na twarzy, ze świerzbiącym ciałem. Leżał tam i nawet nie szarpał się z tymi kajdankami. Podśluchał rozmowę nad swoją głową. Szpital miał zgłosić policji, jak tylko będzie się nadawał do przesłuchania. Rozdrapał więc kilka razy jedną dziurę, raz nawet stracił przytomność. Instynkt podpowiadał mu, żeby jak najdłużej zwlekać i dowiedzieć się, co tak właściwie się stało. Komu życzyć śmierci teraz, a kogo zabić za to później. Czekał więc, aż ktoś do niego przyjdzie. Anioł, Belfiore albo nawet ona, choć i w to powoli przestawał wierzyć. Nie przyszedł nikt. Pielęgniarki nie chciały przekazać żadnej wiadomości. Widział, że się go boją i unikają, albo wręcz brzydzą. To mu się nie podobało.

Ale najbardziej nie spodobał mu się wojskowy, który razem z ordynatorem wszedł do jego izolatki. Dziurawiec spojrział na niego spod przymkniętych powiek, ale wystarczyło go słuchać. Nie był stąd. Na odległość śmierdział mu Warszawą. Spodziewał się wszystkiego co najgorsze. I nie przeliczył się.

Mimo że próbował włożyć sobie łyżkę w ranę pod łopatką, i tak zabrała go policyjna karetka. Nikt mu nic nie wyjaśniał. O nic nie oskarżał. Ale usłyszał, jak mówią o nim „polityczny”. W najczarniejszych snach nie przewidywał, że wpakuje się w taką historię. Wszelkich mądrali omijał szerokim łukiem,

spluwając za siebie. Komunistów, socjalistów, semitów, antysemitów, nawet jaroszy. Jak to się stało? Nie mógł zrozumieć. Najpierw trafił do więziennego szpitala. Przez wyboistą drogę otworzyła się jakaś rana w pachwinie i stracił dużo krwi. Ale i tak przyszli i pytali, skąd miał papier, który znaleziono w jego kieszeni. Gdy odpowiedział im, że znalazł, oberwał. Nim zemdłał, usłyszał, że za szpiegostwo dostanie dwadzieścia lat, a może i czapę.

Siedział już w więzieniu. Miał źle jako kryminalny, ale nie tak źle jak polityczni. Ci, bici, jęczeli i płakali po nocach. Na ich miejscu też by płakał. I teraz też mu się chciało, ale tylko zagryzał zęby i zaciskał pięści, przyrzekając sobie znowu: Jak wyjdę...

Sam w to nie wierzył. Nie wierzył też w wojnę, za dużo o niej mówili. Nawet mu się tego słuchać nie chciało, do momentu gdy więzień z górnej pryczy nie zaczął wrzeszczeć mu do ucha:

- Mobilizację ogłosili! Mobilizację!
- Klawiszy z urlopów pościgali! – potwierdził inny.
- To wojna! – dobiegały krzyki z innych cel.
- Hurra!
- Damy im łupnia!
- Wypuszczą nas!
- Amnestia!

Przez cały dzień panowały wielka radość i poruszenie. Modlono się o wojnę, żarliwym, głośnym szeptem. I to nie tylko w jego celi. Na drugi dzień równie oficjalnie jak ogłoszono mobilizację, tak oficjalnie ją odwołano. Nastroje się popsuły, ale tylko na dwa dni. Mobilizację ogłoszono ponownie. Wtedy modlić zaczęli się już wszyscy. Nawet Dziurawiec, bezgłośnie poruszając ustami, wymawiał jakieś zasłyszane w dzieciństwie wierszyki. Trochę pozapominał i co chwila przerywał w ciszy klepane pacierze przekleństwami, zapowiadanyymi groźbami i odnawianymi przyrzeczeniami. Nad ranem przysnął z błaganiem „niech szybko wybuchnie!”. Nie spał długo. Po chwili obudził go ryk syren i pełne radości okrzyki więźniów. Na potwierdzenie dano im

odśluhać komunikat radiowy. Spiker podniosłym tonem ogłaszał: „A więc wojna! Z dniem dzisiejszym wszelkie sprawy i zagadnienia schodzą na plan dalszy. Całe nasze życie publiczne i prywatne przestawiamy na specjalne tory. Weszliśmy w okres wojny. Cały wysiłek narodu musi iść w jednym kierunku. Wszyscy jesteście żołnierzami. Musimy myśleć tylko o jednym – walka aż do zwycięstwa!”.

– Tak! Tak! Wypuście nas! Tak! Wszyscy jesteście żołnierzami! – krzyczeli, gdy rozległ się dźwięk syren alarmowych. Najgłośniej wołali ci wcześniej oskarżeni o dezercję. A tych było niemało.

– Byle się ta wojna za szybko nie skończyła! – zawodzili w każdej celi z osobna to samo.

– Wejdzcie Francja i zaraz da im łupnia! Mają najsilniejszą armię na świecie!

– Z każdej strony ich!

– Byle za szybko się to wszystko nie skończyło – powtarzano co chwilę.

Dziurawiec nie zamierzał być żołnierzem i martwił się o przedwczesny koniec, choć ten był w przyszłości. Martwił się bardziej o to, co teraz. O kolejny nalot. Do tej pory było duszno od żaru, który lał się z nieba i gnieździł wśród przepoconych, stłoczonych mężczyzn, ale mogło się zrobić znacznie goręcej, gdyby jakaś bomba uderzyła w areszt. Mimo ogólnie panującego rozluźnienia kraty wciąż były zamknięte na klucz. Gdyby wybuchł pożar, piekiłoby się jak skwarki. Gdy tylko przechodził jakiś strażnik, wyciągali ręce, trzęśli kratami. Jedzenie roznoszono pod bronią, obawiając się o bunt. W nocy budziły się lęki. A co jeśli wszyscy się znowu jakoś tam dogadają albo Niemcy wystraszą się szybciej niż się tego spodziewali.

Rano rozległy się kolejne syreny, zawtórowały im wrzaski i błagania więźniów.

Dziurawiec wiedział, że znajduje się w miejscu, w którym błagania rzadko bywają wysłuchane, ale tym razem stał się cud. Spędzili prawie wszystkich na dziedziniec i naczelnik więzienia odczytał tekst wyczekiwanego dekretu prezydenta. Pierwsze zdania dało się zrozumieć:

– „Puszcza się w niepamięć i przebacza popełnione przed dniem 31 sierpnia 1939 roku...”. – Reszta utonęła w okrzykach radości. Niektórzy się popłakali, inni ściskali towarzyszy, poklepywali po plecach. Dziurawca objął więzień z górnej pryczy i zaczął podskakiwać.

– Wychodzimy! Wypuszczają nas! – krzyczał do momentu, gdy skrzywiony z bólu Dziurawiec nie syknął głośno, czując przeszywające kłucie w pachwinie. – Przepraszam! Przepraszam! Przecież pan po torturach jesteś – reflektował się, patrząc na minę Dziurawca. Pan stąd? – zapytał

– Nie. Z Lublina.

– Aha. Ma pan się gdzie zatrzymać po wyjściu? – Z początku Dziurawiec nie bardzo wiedział, o co ten pyta. – Żeby się choć obmyć, przespać przed drogą? Bo ja mam tu mieszkanie. Żona coś ugotuje. Pan przecież też komunista. Tak? – Dziurawiec kiwnął głową, nie zamierzał niczego tłumaczyć. Spodobała mu się perspektywa kąpieli i spokojnego snu. I możliwość niespiesznego zorientowania się, jak tu się dostać do siebie. Na Lubartowską. Nie miał przecież nawet pieniędzy ani ubrania. Należało to wszystko jakoś zdobyć.

– Zgadłem od razu, żeś pan też komunista. A pan zgadłeś? – zapytał. Nie wyglądał jak robotnik, raczej jak drobny urzędnik.

– A ja nie zgadłem..

– Przez to modlenie się. Wie pan, ja uważam, że Jezus też był komunistą. Wiedział pan o tym?

– Tak – przytaknął mu.

– Bramy otwierają! Bramy otwierają! – krzyknął ktoś.

– Co za szczęście – westchnął sąsiad z celi, wznosząc ręce do nieba. – Myślałem, że jeszcze parę lat stąd nie wyjdę.

– Jak tu nie wierzyć w cuda?

Dziurawiec znowu się z nim zgodził.

Warszawa, 2 września 1939 roku

Przecież to jest katastrofa, Stasiu katastrofa. – Stanisław Mikulicz-Radecki kręcił się nerwowo po wielkiej sali. Była już prawie pusta. Większość obrazów zapakowano i zniesiono do piwnicy. Został tylko ten jeden. Ale ten najważniejszy. Gigantyczna *Bitwa*, która nawet pozbawiona ram, w dalszym ciągu ważyłaby kilkaset kilo.

Stanisław Ejsmond siedział na długiej drewnianej skrzyni i bezradnie patrzył na olbrzymie płótno.

– Powiedzieli, że mamy radzić sobie sami? – zapytał po raz kolejny, ciągle nie dowierzając temu, co usłyszał chwilę wcześniej.

– Mówiłem ci. Dzwoniłem do ministerstwa... Ledwo się dodzwoniłem. Powiedzieli, że sami są w trakcie ewakuacji. Pakują papiery. Mamy go zabezpieczyć sami...

– Ale co? Obrusem nakryć? – Machnął ręką w kierunku obrazu.
– Przecież sami nawet go ze ściany nie zdejmujemy. Mówiłeś im, że reszta powołana do wojska, a pozostali nie przyszli do pracy? Przecież tu potrzeba dziesięciu osób. Kto będzie ciągnął liny? A kogo my mamy. Starego dozorcę i dwie kobiety. Też nieprzydatne.

– Trzy razy im to mówiłem.

Mała korpulentna szatniarka stojąca po ścianą nadeła pulchne policzki i założyła ręce, opierając je o wielkie piersi.

– Pani Wando, przepraszam – powiedział Ejsmond. – Nie chciałem...

Kobieta rozpogodziła się trochę, po czym rezolutnie zrobiła krok do przodu.

– A panie prezesie! A jakby tak z ulicy ludzi pościągać? – zapytała. – Powiedzieć, że mają Matejkę ratować. Dla Matejki pójda! Co, nie pójda? Ja pójdę! Jak trzeba, to i żołnierza znajdę. Za fraki wezmę i ludzi pod bronią przyprowadzi. Co?

– Dobrze mówi. Tak trzeba zrobić! Nie ma na co czekać – zawtórował mocno przygarbiony dozorca.

Mikulicz-Radecki i Ejsmond popatrzyli na obraz i na siebie. Po czym jednocześnie kiwnęli głowami.

Po godzinie liny przewieszali krawiec, rzeźnik, dwóch urzędników poczty, lekarz, inspicjent i dwóch bezdomnych. Kilka lin przechodziło przez grube zawiasy w ścianie za obrazem i przed nim. Trzeba było stać kilka metrów dalej, ciągnąc za jedne końce, popuszczając drugie, tak by uniosła się dolna część obrazu, i powoli uwalniając jedną linę, płótno zsuwało się na podłogę. Centymetr po centymetrze. System zdejmowania obrazu był przeciwczony, ale przez przygotowane osoby. Teraz wszystko się chwiało. Prawa strona zsuwała się szybciej niż lewa. Liny nie gwarantowały stabilności. Ejsmond z Mikuliczem próbowali ubezpieczać obraz. Wielka płachta gięła się w różnych kierunkach. Przeważała jedna strona nad drugą. Ejsmond wszedł za obraz. Tam próbował go przytrzymywać.

– Prawa wolniej! – krzyczał. – Wolniej!

– Wolniej! – powtarzała cała ekipa, oprócz tych, którym szorstkie liny wysuwały się z zaciśniętych do granic pięści. Twarze nabrzmiały. Jeden zaciskał powieki, próbując jednocześnie strząsnąć pot lejący się z czoła. Drugi wyginał szyję mocno do tyłu, jakby chcąc przeważać ciężar. Trzeciemu ślizgały się buty i bezradnie przebierał nogami w miejscu. Kolejny prawie kładł się na podłogę, ciągnąc koniec liny. Ostatni, chudy inspicjent, żałośnie mocował się z liną, która wyslizgiwała mu się z ręk.

– Nie dam rady! Nie dam rady – krzyczał, ale nie miał mu kto pomóc, ponieważ szatniarki z ochroniarzem przytrzymywały dół obrazu, same już leżąc, bo obraz powoli zaczął zsuwać się na podłogę.

– Teraz tu! Teraz tu! – krzyczała jedna, zapierając się i całym ciałem przytrzymując sunącą za szybko stronę.

– Zaraz łomotnie! Zaraz.

– Nie mogę już! – krzyknął inspicjent i koniec liny uciekł mu z ręk. Pętlać się niczym uciekający wąż, sunął do góry. Ejsmond

za obrazem parł, by równo posuwać płótno.

– Stachu! Wyjdź stamtąd! – wrzasnął Mikulicz-Radecki.

Obraz w połowie opierał się na podłodze, a w połowie jeszcze na ścianie. Ciężar powoli stawał się nie do zniesienia. Ręce kilku mężczyzn były już w górze.

– Wyjdź natychmiast! – wrzasnął Mikulicz, widząc, że jedna strona zaczyna gwałtownie zjeżdżać już w dół. Kilka nieutrzymanych lin, wijąc się, uciekło pod sufit.

– Stachu!!!

Skulony Ejsmond wychylił głowę zza obrazu. Jedna strona huknęła na podłogę. Ledwo wyskoczył, przewracając się na podłogę. Ściany zadrżały. Naprężony obraz trząsł się i wibrował od uderzenia. Płótno łopotało niczym żagiel.

Ejsmond leżał na ziemi, bez okularów, które zsunęły się mu ze spoconego nosa i poleciały metr od niego. Reszta ludzi też leżała na podłodze albo siedziała, sapiąc, stękając i dysząc.

Stanisław Mikulicz-Radecki wstał pierwszy i popatrzył na obraz. Ciągle drgał, ale był cały. Nie połamał się, nie pogiął, nie rozerwał. Przede wszystkim leżał na ziemi.

– Mógł cię przygnieść – westchnął głośno dyrektor, podając rękę leżącemu na ziemi Ejsmondowi. – Mogłeś zginąć.

– Widocznie jeszcze nie teraz. – Ejsmond uśmiechnął się, sięgając po leżące na ziemi okulary. Poprawiał na nosie pokrzywione oprawki, a ludzie oglądali swoje ręce, porównując ślady odcisniętych lin, gdy na salę wszedł przystojny mężczyzna w jasnym płaszczu. Na ramieniu opierał łopatę. Kilka osób rozpoznało od razu aktora i zaczęło poprawiać rozchełstane koszule, tym bardziej że on wyglądał nieskazitelnie, jakby właśnie grał w filmie, nawet jego łopata lśniła czystością.

– Niepotrzebnie go ściągaliście! – wykrzyknął Igo Sym, uśmiechając się szeroko. – Anglia wypowiedziała Niemcom wojnę! – wyjaśnił.

Na sali rozległ się radosny pomruk. Ci, którzy stali blisko siebie, zaczęli się ścisnąć i poklepywać po ramionach.

– Koniec wojny!

– Koniec wojny będzie! – zaczęli przekrzykiwać się wszyscy

zaangażowani do tej pory w ściąganie obrazu.

– Wszyscy idą pod ambasadę – oznajmił aktor.

– Na Nowy Świat trzeba iść! Potem na Frascati – ucieszył się lekarz.

– Pewnie zaraz Francja! – zgodził się z nim księgowy.

– Dadzą im zaraz łupnia – skwitował krawiec.

– Popamiętają krzyżaki! – cieszył się jeden bezdomny z drugim.

Igo Sym podszedł do Ejsmonda i Mikulicz-Radeckiego.

– Właśnie szedłem pomóc przy kopaniu rowów przeciwlotniczych, gdy usłyszałem tę radosną nowinę.

– Szkoda, że nie wcześniej – westchnął Ejsmond.

– Widzę, że cała Warszawa pomaga. Nawet słynni aktorzy. – Dyrektor z uznaniem pokazał na łopatę.

– To nasz obowiązek – skwitował Igo Sym. – Co teraz z tym będzie? – zapytał patrząc na leżące na ziemi płótno.

– Zabezpieczymy. Spakujemy i poczekamy – wyjaśnił Mikulicz-Radecki pokazując na przygotowaną skrzynię i na wielki, leżący obok niej, drewniany wał. – Kto wie ile to jeszcze może potrwać ta wojna? Z tydzień?

– Może z miesiąc nawet – dodał Ejsmond.

– Najwyżej – roześmiał się Igo Sym.

W oddali zawyła syrena.

Warszawa, 5 września 1939 roku

Dziurawiec obudził się w mieszkaniu współwięźnia. Ten okazał się emerytowanym pracownikiem ogrodu zoologicznego, który z niepokohamowaną energią poświęcał się walce o lepsze jutro. Od kiedy wyszli, był na kilku formalnych i nieformalnych zebraniach komunistów i jak nikt cieszył z niepowodzeń polskiego wojska.

– Kolejna armia rozbita! – przynosił wieści. – W kleszcze nas biorą! Oczywiście zaraz przyprą ich Francuzi i Anglicy i... – Tu podnosił palec do góry, wieszcząc dobre nowiny. – I ten rząd już nigdy się po tym nie podniesie. Potrzebne będą zmiany i gotujemy się na nie! Tak będzie! W radiu mówią, że gniew polskiego ludu będzie straszny! I tu się nie mylą! – podkreślił z zadowoloną miną politycznego stratega, machając palcem w kierunku żony. Ta nie podzielała jego entuzjazmu, zapewne od zawsze. Poczciwa kobieta chodziła z zatroskaną miną, paliła gromnicę i spała w butach z jedną ręką stale na spakowanej walizce.

Zajęła się również przywleczonym przez męża współwięźniem. Dała mu ubranie i karmiła rosołem. Po trzech dniach Dziurawiec czuł się lepiej niż po miesiącu w szpitalu. Wracały mu siły, ale nie na tyle, aby do Lublina dojść piechotą. Poszedł na dworzec kolejowy. Staruszek dał mu parę groszy, starczyłoby na bilet, ale wszystkie pociągi i cały transport przejęło wojsko. Nikogo tu nie znał. Wszyscy pędzili w jakichś sprawach, mówili różne rzeczy, ale trudno było się nawet zorientować, kto może mieć rację. Alarmy przeciwlotnicze wyły raz po raz. Ludzie chowali się do schronów, ale ciągle było więcej optymistów liczących na rychłe zakończenie wojny. Dziurawiec nigdy optymistą nie był. Patrzył na niebo i widział klucz nadlatujących samolotów, słyszał wybuchy, patrzył na ulice i widział błąkających się z tobołkami uciekinierów z zachodniej Polski. Minał też kolumnę kilkunastu identycznych, czarnych samochodów na rządowych

rejestracjach. Miały walizki piętrowo pozwiązywane sznurami na dachach. Spytał kogoś, w jakim kierunku jadą. Dowiedział się, że to droga na Lublin, i aż go ścisnęło w dołku. Też chciał się tam znaleźć. Za wszelką cenę. Słyszał, że zbombardowano tam fabrykę samolotów i że na miasto pospadały bomby, ale już nie dosłyszał gdzie. Może na Lubartowską? Tak czy inaczej, chciał być już u siebie, choć zdawało mu się, że to bardzo daleko. Zmęczyło go niemiłosiernie parę kilometrów, które zrobił, powłócząc nogami w kierunku dworca. Wiedział, że nie przejdzie stu osiemdziesięciu.

Musimy znaleźć transport! Za wszelką cenę! – krzyknął Stanisław Mikulicz-Radecki do Stanisława Ejsmonda, przekrzykując kolejny alarm przeciwlotniczy. Z sufitu sypał się tynk, ściany drżały, a oni bez ruchu siedzieli metr od siebie w samym środku pustej sali, na zabitej deskami skrzyni, w której leżała *Bitwa pod Grunwaldem*. Nawinięta na specjalny wał i starannie obszyta ceratą. Szwy tej ceraty zaklejono, tak by chronić obraz przed wilgocią. Sama skrzynia była wyłożona warstwą azbestu. Obaj podpisali protokół opakowania i zabezpieczenia, dopisał się jeszcze konserwator zabytków. Sygnowaną kopię włożyli do środka i zabili pokrywę gwoździami niczym wieko od trumny. Wszystko było, jak należy. Czekali tylko na transport. Jakikolwiek, byle na wschód, byle dalej od bombardowanej stolicy. Byle nie przygniótł go zwalający się sufit, byle nie spłonął od pożaru.

– Co mamy zrobić? – pytał sam siebie Stanisław Ejsmond, opierając bezradnie łokcie na kolanach i chowając twarz w dłoniach. – Byłem w magistracie. Byłem w ministerstwie. Wszędzie panika i chaos. Potakują, rozumieją i rozkładają ręce. Pakują się. Fruwają papiery. Wszyscy wyjeżdżają...

– Przecież to ich obowiązek!

– Oni mówią, że nasz! Mój...

– W Ministerstwie Kolei chociaż rozmawiali, chcieli pomóc... – odezwał się po chwili dyrektor, rozkładając ręce. – Ale co z tego.

Nie mają żadnego wolnego wagonu. Wszystko wojsko wzięło. Próbowałem z kimś stamtąd rozmawiać, ale oni mówią, że jest wojna... Wszystko jest ważniejsze. Gina ludzie... Można zrozumieć, ale co my mamy robić?

– Dzwoniłem do tego Fabera. Na sercu mu ten Matejko leżał, ale żona mówi, że zgłosił się już do wojska.

– Tylko ty o tym nie myśl – powiedział groźnie, klepiąc otwartą ręką w drewniane wieko. – Przynajmniej dopóki się z tym nie uporamy. Masz obowiązek... – zaczął Mikulicz, ale szybko skończył, widząc i tak zdruzgotanego Stanisława.

– Ojcu udało się wywieźć ten obraz. Jeszcze zanim zaczynała się tamta wojna. Do Moskwy go dociągnął. A ja przez drzwi go przepchnąć nie potrafię... – stwierdził Ejsmond łamiącym się głosem.

– Daj spokój, Stasiu – powiedział Mikulicz i poklepał go po ramieniu, głośno wzdychając. – Coś się wymyśli, coś się zawsze wymyśla – dodał z niepokojem, patrząc na skrzynię. – A teraz chodźmy do piwnicy. Trzeba ten huk przeczekać. Potem może i na dworzec pójde, może tam kogoś przekonam.

Dziurawiec pluł tynkiem. Ciągle się krztusił, wykrzywił twarz, wycierał policzki. Tarł też oczy, choć te zatarte już były do czerwoności i niemiłosiernie piekły. Ale to było wszystko, co mu dolegało.

Szedł na Dworzec Terespolski, kiedy to się stało. Wcześniej pożegnał się już ze starszankami. Rzadko się z kimś żegnał, nie wiedział, jak to się robi. Trochę nieporadnie odwzajemniał ich uściski, ale podziękował za wszystko i ruszył w drogę. Był zdeterminowany. Postanowił wejść do jakiegokolwiek wagonu. Choćby siłą. Przez okno. Wdrapać się na dach. Dostać się do lokomotywy. Przyłożyć nóż do szyi maszynisty. Cokolwiek. Byle dojechać do Lublina. Wierzył, że mu się uda, choć całą drogę na dworzec przeklinał swoją nogę, która utrudniała mu szybki krok. Mijała go masa ludzi, którzy zdawali się mieć podobny plan, przynajmniej niektórzy.

Pospiesznie, z szaleństwem w oczach, przepychając się, szli z walizkami i tobołkami. Pchali taczki albo ciągnęli dzieci za ręce. To mu się nie podobało i klął na wszystkich, którzy go wyprzedzali. Do czasu nalotu. Kilkanaście bomb naraz trafiło w dworzec i inne budynki kolejowe. Huk, grzmoty, trzaski, krzyki, świst, wszystko mieszało się ze sobą. Dziurawiec miał jeszcze spory kawałek drogi, nie doszedł, siedział skulony pod jakąś wiatą, razem z innymi trzęsącymi się ludźmi. Był na tyle daleko, że nic się na niego nie zawaliło, a na tyle blisko, że pokrył się pyłem, który zaczął unosić się nad gruzowiskiem. Gdy wyszedł z ukrycia, zobaczył, że właściwie nie było już gdzie iść. Wracił więc niespiesznie, poklepując swoją nogę.

– Dobra noga – powtórzył kilkanaście razy jak otumaniony. – Dobra noga.

Po drodze widział wielu ogłupiałych ludzi, półprzytomnie kręcących się w kółko, szukających czegoś albo kogoś. Pytających o nie wiadomo co i taszczących w rękach byle co. Ale najbardziej i tak zadziwił go spotkany przed domem emeryt komunista. On trzymał na rękach wielkiego ptaka, któremu prawie do samej ziemi zwisało bezwładne, wielkie skrzydło. Ptak był drapieżny. Miał zakrzywiony dziób i wielkie szpony, wbijające się w rękę mężczyzny. Dziadek przełożył przez rękę jakąś szmatę, cała była już okrwawiona, ale zdawał się tego nie czuć. Gładził głowę ptaka i dreptał przed siebie skołowaciały. Dziurawiec podszedł. Niedawny współwięzień odwrócił się bokiem, jakby chciał uchronić ptaka. Zdawał się półprzytomny.

– Pomóc? – spytał Dziurawiec.

– Ach, to pan – westchnął po chwili i ruszył dalej, schylając się i człapiąc coraz bardziej ociężale.

Dziurawiec już nie pytał, tylko chwycił go pod rękę, próbując odciążyć ramię. W ten sposób, z ptakiem przed sobą, stanęli na progu mieszkania. Kobieta z wrażenia zaniemówiła, ale tylko na chwilę.

– Co tu przywlokłeś? – zaczęła głośno oddychać, trzymając się za pierś. – Kogo? Nas bombardują! Gdzie ty byłeś?! Ja tu w nerwach! A to pan...

- Wszystkie zastrzelili, że niebezpieczne... Że zagrożenie. Wybuch był. Ludzie, szczątki na drzewach - zaczął tłumaczyć trzęsącym się głosem, dukając każde słowo oddzielnie.

- Co?

- Byłem tam.

- Gdzie?

- W zoo. Słonia Jasia. Tygrysy, całą rodzinę lwów, trzynaście - bełkotał dalej. - Wycelowali, widziałem. Żołnierze nasi. Ubili wszystkie. Niedźwiedzie polarne. Fosę zbombardowali, a one nie uciekały. Mogły, a nie uciekły. Widziałem - bełkotał dziadek, a przytrzymywany ptak próbował się poruszyć i zamachać zdrowym skrzydłem.

- Nie uciekły? - dopytała jeszcze raz żona, nie zwracając na nic uwagi.

- Nie, siedziały...

- Dlatego wyjeżdżamy! - krzyknęła niespodziewanie. - Do mojej siostry pod Białystok! Teraz! Zaraz! Nie zostanę tu! - krzyczała tak, że aż dziadek zrobił krok do tyłu. Widocznie rzadko podnosiła głos, bo efekt był piorunujący. - Nie dam się zastrzelić! Odłóż tego ptaka! - rozkazała kategorycznie.

- Wolierę bomba przedziurawiła, inne odleciały. Ten skrzydło ranione... Weterynarza trzeba...

- Odłóż go natychmiast!

- To orzeł.

- Natychmiast! - kobieta już wrzasnęła, tupiąc i zaciskając przed sobą niewielkie piąstki.

Dziadek z Dziurawcem podeszli do kanapy, ostrożnie położyli ptaka. Ten znowu próbował zatrzepotać jednym zdrowym skrzydłem, rozrzucając końcówki piór, niczym pióropusz.

- Masz tu walizkę! Walizkę nieś! A nie to orlisko! - krzyczała, cała się trzęsąc. - Kapotę weź!

- Jest gorąco - bronił się dziadek.

- Kapotę weź - powtórzyła. - A pan odda klucze po wojnie. Na stole są!

Pół godziny później dziadkowie byli już gotowi do drogi. Z dwoma walizkami i koszykiem jedzenia w rękach.

– Kwiatki niech pan podleje – powiedziała kobieta, zegnając się. Staruszek, nadal półświadomy, był już na schodach.

– A co mam z nim zrobić? – zapytał Dziurawiec, pokazując na ptaka. Sam nie do końca rozumiał, co się wokół niego dzieje. Kobieta podeszła bardzo blisko.

– Rosół – wyszeptała, kiwając głową.

Po ich wyjściu Dziurawiec siedział parę godzin bez ruchu przy stole, obserwując ptaka, który też się w niego wpatrywał, czasami kręcąc głową. Raz tylko próbował pomóc sobie dziobem i przesunąć się, ale mu się to nie udało. Dziurawiec też nie był jeszcze zdolny do żadnego ruchu. Nie wiedział, co ma robić i gdzie iść.

Przysnął na krześle. Gdy się obudził, zdziwił się, że jest sam w jakimś mieszkaniu i co dziwniejsze może tu być. Zrobił sobie herbaty, pootwierzał i przeszukał kilka szuflad, ale zdało mu się to jakoś dziwnie bez sensu, skoro mógł... Pozamykał je, po czym podszedł do radia, które wcześniej nie działało. Zaczął kręcić gałką. Szumiało, ale w końcu chwyciło jakąś falę. Powtarzano wiadomości. Jeden zestrzelony niemiecki samolot. Później pasmo kłesk. Pozycje wycofujących się wojsk. Nawoływania do budowy barykad, zapór, bo podobno niemieckie czołgi są już pod Warszawą. Wezwania, by wszyscy zdolni do noszenia opuścili miasto i udali się na wschód. Tam zostaną wcieleni do wojska. Gdyby zapewniali transport, mógłby skorzystać, a potem uciec, ale nie podali, jak się na ten wschód się dostać. Odezwał się też premier i wypowiedział się krótko:

– Rząd opuszcza Warszawę. Do zobaczenia po zwycięskiej wojnie.

Dziurawiec prychnął ze śmiechu. Potem słuchał dalej. I tak nie miał nic do roboty. Rosółu nie umiał ugotować. Przysypiał, gdy o pierwszej w nocy podano komunikat skierowany do kierowców ciężarówek. Informowano, by stawili się w Zakładzie Oczyszczania Miasta. Zamyślił się. Nie potrafił prowadzić samochodu, nawet osobowego, ale jeśli potrzebni są kierowcy... To znaczy, że są też samochody i jest jeden kierunek, w którym wszystkie jadą.

Przespał się dwie godziny. Przemysł się i ubrał. Rozejrzał się za czymś, co mogłoby mu się przydać, ale nic takiego nie znalazł. Resztką wody w wiadrze podlał kwiaty. Podeszedł do ptaka. Chwył go i jednym ruchem ukreślił mu łeb. Głowa z haczykowatym dziobem zwiśla na boku. Wziął truchło z kanapy i wyrzucił przez okno. Popatrzył, jak spada, po czym wyszedł, zamykając drzwi na klucz.

Tuż przed świtem w mieszkaniu przy Noskowskiego 10 rozległ się łomot do drzwi. Pierwsza obudziła się przerażona matka Stanisława Ejsmonda, Maria, która nocowała tu od wybuchu wojny. Prawie siedemdziesięcioletnia kobieta pierwsza podeszła do drzwi i w koszuli nocnej, wspinając się na palcach, wyjrzała przez wizjer. Nie za wiele widziała, ale zza drzwi dobiegł znany jej głos, więc otworzyła, nim w korytarzu zjawił się jej półprzytomny Stanisław, patrząc spod przymrużonych oczu na Mikulicza-Radeckiego.

– Stasiu. Musimy iść – zarządził dyrektor Zachęty. – Jest szansa. Tylko spieszyc się trzeba!

– Jaka?

– Po drodze ci opowiem. Musimy się stawić w Zakładzie Oczyszczania Miasta. Myślę, że im wcześniej, tym lepiej.

Stanisław Mikulicz-Radecki nie zdążył poprzyglądać się rozwieszonym w korytarzu obrazom, gdy Ejsmond w ubraniu stawił się gotowy do wyjścia. Był już jedną nogą za progiem, gdy matka pociągnęła go za mankiet koszuli. Odwrócił się, a ona wspięła się na palce i przyglądała nieuczesane cienkie, jasne włosy.

– Wróc do mnie – powiedziała i pocałowała go w czoło.

– Mamo, muszę...

– Wiem, ale wróc do mnie. Obiecuj.

– Obiecuję – powiedział przyciszonym głosem i zamykając za sobą drzwi, opuścił głowę zawstydzony.

– Nie dziw się matce. Tylko ty jej zostałeś – rzucił przez ramię Mikulicz. – Teraz do ZOM-u.

– To już na śmieci Bitwę wieziemy? – zapytał Ejsmond.

Dyrektor zaśmiał się serdecznie.

– Może to ją uratuje. Samochody tam podobno jeszcze mają.
– Śmieciarką ją wywieziemy z Warszawy.
– Choćby! Podobno ogłosili, że szukają kierowców ciężarówek, a jak szukają, to znaczy, że mają i auta, i benzynę. Musi się udać, Stasiu, musi. To nasza ostatnia szansa. Jest coraz gorzej... – westchnął. – Ale nie mówmy o tym. Później. To, co później, i tak się zdarzy.

Po godzinie stali w tasiemcowej kolejce interesantów. Nikt nikogo nie chciał przepuścić. Nie było szans, każdy czuł się najważniejszy. Naburmuszony, powłóczący nogą człowiek, stojący w kolejce do sąsiedniego pokoju, odprawiony z kwitkiem, tak trzasnął drzwiami, że te wyleciały z futryny. Ale co z tego. Odgięty zawias naprawiono, a delikwenta i tak wyrzucono za drzwi.

– Stasiu, tylko dobrze to rozegrać. Drugiej szansy nie będzie – szeptał Mikulicz-Radecki, zaciskając kciuki.

Całym zakładem zarządzał teraz pułkownik Meyer. Stanęli przed nim i nie zdążyli do końca powiedzieć, o co chodzi, gdy ten walnął pięścią w stół i oświadczył:

– Na jakieś tam obrazy nie dam samochodu! Wykluczone. Koniec! – burknął spod wąsa.

– To nie jest jakiś tam obraz. To *Bitwa pod Grunwaldem* Matejki! – błagalnym głosem próbował wyjaśnić Mikulicz. – Niemcy na pewno będą chcieli go zniszczyć...

– Macie od tego swoje Ministerstwo Wyznań i Oświecenia Publicznego! Tam iść. Nie zawracać mi głowy!

– Nie ma już tego ministerstwa – nieśmiało wtrącił się Ejsmond.
– Nikogo już tam nie ma – wyjaśnił, nerwowo gładząc włosy na głowie, które miał wrażenie, że mu się podniosły, gdy usłyszał „jakiś tam obraz”.

– Co ja wam na to poradzę! Nie marnować czasu! Następny! – huknął znowu, waląc pięścią w biurko. Potem, nie patrząc na nich, zaczął przeglądać papiery, kręcąc z niedowierzaniem głową.
– Wojnę tu mam – burczał pod nosem. – Wszystkiego brakuje, a ci chcą mi tu obwoźne muzeum zrobić... Pułkownikiem wojska polskiego jestem czy kustoszem jakimś?

Mikulicz-Radecki pobladł i skulił się w sobie, spuszczać głowę. Tak stanowczej odmowy się nie spodziewał. Już chciał się odwrócić i chwycić klamkę od drzwi, gdy zobaczył, że Stanisław Ejsmond nerwowo poprawia okulary na nosie, nabiera powietrza w płuca i robi krok przed siebie.

– Jesteś pan pułkownikiem wojska polskiego? – zapytał, a pułkownik spojrzał gniewnie spod krzaczastych brwi. Najwyraźniej zdziwił się, że jeszcze tu sterczą, nadął policzki i szykował się do ataku. – Jak do tej pory – kontynuował niezrażony Ejsmond – wojsko polskie ponosi klęskę za klęską. Przegrywa bitwę za bitwą. A pan chcesz, żeby jeszcze i ta ostatnia, pod Grunwaldem, była stracona?! Naprawdę pan tego chcesz? – zapytał podniesionym głosem. – Aby ją Niemcy żywcem spalili, jak wszystko co polskie na ich drodze? Zapiszę pana nazwisko, może ktoś kiedyś przeczyta, żeś pan do tej kolejnej klęski rękę swoją przyłożył. – Wskazał palcem na pułkownika, który słuchał już z prawie otwartymi ustami. – Jednym samochodem pan wojny nie wygrasz, ale jednym samochodem, może pan, panie pułkowniku, tę Bitwę jeszcze ocalić! Dla narodu całego! Aby nie spłonęła pamięć o największej glorii polskiego oręża...

– Dobra! Dobra! Wystarczy... Ale z pana mówca... – dodał pułkownik, wstając od biurka i kierując się do drzwi. – Chodźmy zobaczyć. Muszę wiedzieć, jaki to samochód chcecie zabrać – dodał, klepiąc Ejsmonda po ramieniu.

Stanisław Mikulicz-Radecki ruszył bez słowa, co chwilę z niedowierzaniem spoglądając w kierunku Ejsmonda.

– Żeś mu chyba, Stachu, tym spalaniem żywcem tak dopieki? – szepnął ze śmiechem, gdy szli pod zaparkowane ciężarówki.

– Chyba nigdy tak głośno nie krzyczałem? – odparł ciągle zszokowany Ejsmond.

– Ja nie słyszałem. Twojej matki trzeba spytać, może jak niemowlakiem byłeś?

– Ta może być? – przerwał im pułkownik Meyer, pokazując auto.

– Za krótka – odpowiedzieli jednocześnie, patrząc na

dwumetrową pakę. Pułkownik zmarszczył jedną brew i pokazał na dłuższą, stojącą w głębi. Była pół metra dłuższa. Pokręcili przecząco głowami.

– To jakie długie to jest?

Ejsmond z Mikuliczem oddalili się od siebie mniej więcej na długość skrzyni.

– Cztery metry?

– Ponad.

– Wykluczone. A ile to waży? – dopytał jeszcze pułkownik, wzruszając ramionami.

– Tonę. Niecałą – odpowiedział uprzejmie dyrektor.

– No to, panie Ejsmond. – Meyer podszedł, wyciągając przed siebie dłoń do pożegnalnego uścisku. – Już mnie pan glorią polskiego oręża oczu nie zamydłisz. Nie ma dłuższych. Do tego pan tej Bitwy nie zapakujesz, bo kastę podniesie do góry. Na dwóch kółkach, szurając po ziemi, pan tego nigdzie nie dowiezie. Nie ma tu takiego samochodu i nie będzie. Przynajmniej od tej kłęski ręce umyвам.

– To co my teraz?

– Wozu wam trzeba, takiego jak ten. – Pokazał na stojącą w kącie podwórka długą, zaprzęganą w konie drewnianą platformę na gumowych kółkach. – Samochodu szukajcie, ale nie tutaj. Może znajdziecie. Ja dobrze życzę, ale źle wróżę – powiedział, odwracając się na pięcie.

Wiceprezes z dyrektorem popatrzyli na platformę. Była idealna. Już na pierwszy rzut oka.

– A tę możemy?.

Pułkownik odwrócił się.

– To? – Pokazał na platformę. Kiwnęli głowami.

– Jeszcze wam siana i owsa na kilka dni dołożę! Biercie! – zgodził się radośnie.

Rozstali się, z zadowoleniem dobijając targu. Pułkownik Meyer wrócił do biura, gdzie czekała na niego jeszcze dłuższa kolejka interesantów. A muzealnicy podeszli do platformy. Przy koniach kręcił się jakiś człowiek. Dosyć szybko obaj rozpoznali powłóczącego nogą mężczyznę, który chwilę wcześniej trzasnął

drzwiami, tak że wyleciały z futryny.

- A pan to kto? - zapytał Stanisław Mikulicz-Radecki.
- Woźnica.

Połczyn-Zdrój 5 września 1939 roku

Gerhard von Lossow patrzył jak urzeczony na pociąg specjalny, który w ostatnich dniach stał się kwaterą główną Führera. Słyszał o tym, wiedział, że nazywa się America.

Ale teraz stał tuż przed nim. Znowu wśród wybrańców, przepuszczony przez osłaniające go wojsko, które odcięło miasteczko i otoczyło stację. Nieprawdopodobne wrażenie. Patrzył i zdawało mu się, że skład się nie kończy. Dwie potężne lokomotywy ciągnące wagony dla wodza, dla ochrony i służby. Dwa wagony restauracyjne i bagażowy, wagon łączności i konferencyjny. Wagony dla generałów, szefów sztabu, oficerów łącznikowych z wojskami lądowymi, marynarką i lotnictwem. Całość chroniona z lądu dwoma opancerzonymi platformami z działkami przeciwlotniczymi i z powietrza przez krążące nad nimi samoloty Luftwaffe. I to wszystko stanęło na stacji Bad Polzin. Niewielka miejscowość uzdrowiskowa napęczniała od całej rzeszy ściągających tutaj partyjnych i państwowych prominentów. W tych dniach każdy chciał się znaleźć jak najbliżej Adolfa Hitlera.

On sam, Gerhard von Lossow, przybył tu na wezwanie Karla Wolffa, który w sztabie Hitlera reprezentował Himmlera. Samotnie czekał w podcieniach stacji. Wokół w grupkach stało kilkanaście osób, nikt jednak nie zwracał na niego uwagi. Był tu chyba najniższy rangą i nikt go nie znał. Zaczął więc kręcić się po peronie. Tam panowała luźniejsza atmosfera, bo Hitler wraz ze sztabem przesiadł się do pancernych samochodów i ruszył na lustrację frontu, który właśnie forsował Wisłę. Okna wagonów były pootwierane. Niektórzy powychodzili, wynieśli na tory stołki lub przysiedli na schodkach wagonów. Wewnątrz wagonów musiało być niewiarygodnie gorąco, skoro z nieba lał się taki żar, jakby to był sam środek lata.

Gerhard sam smażył się w mundurze, lecz nie zamierzał go

zdejmować. Nie wiedział, kiedy pojawi się Wolff. Z nudów zapatrzył się na kolorowego motyla, który zamierzał przysiąść mu na rękawie, gdy zza kolejnego wagonu dobiegł zduszony chichot. Poszedł w tym kierunku. Między wagonami dwie młode dziewczyny paliły papierosy, a ogniem z zapalniczki służył nie kto inny jak Viethold Falk. Nie zamierzał podchodzić, skoro najwyraźniej chciały się ukryć, lecz zanim zdążył wrócić na poprzednie miejsce, dojrzał go kolega z Wehrmachtu. Machnął do niego ręką, ale po chwili sam podszedł.

– Tylko nas nie zdradź. To znaczy dziewczyn – powiedział, wyciągając przed siebie rękę na powitanie. – To sekretarki samego Hitlera, a wódz nie znosi tego nałogu.

– A co u żony? – zapytał Gerhard, widząc radośnie machające mu sekretarki, które dopaliły papierosy i wciąż rozbawione wracały do wagonu. Viethold ukłonił się im szarmancko.

– Syn mi się urodził – odparł z dumą w głosie.

– Gratuluję. Mam nadzieję, że podobny do matki?

– Jeszcze go nie widziałem. Są w Kłajpedzie. Nie mogę tam pojechać. Przecież tu ciągle się coś dzieje. Nie spałem przez trzy dni.

Gerhard przyjrzał się jego oczom.

– Widzę – stwierdził.

– Teraz to już odespałem. Jak tylko Anglia i Francja wypowiedziały wojnę. Czekanie było nie do zniesienia.

– I co? Pójdziemy na dwa fronty?

– Coś ty! Hitler to geniusz strategii. Powiedział Göringowi, że zawsze gra va banque, i zagrał. Nawet feldmarszałek musiał przyznać, że miał rację.

– Nie ruszą się.

– Nie. My porozwieszaliśmy Francuzom transparenty przed ich okopami: „Jak wy nie zaczniecie, to my też nie zaczniemy”. Dobrze nie? – Viethold uśmiechnął się od ucha do ucha, rozkładając ręce.

– Nie chcę wojny. Wchodzimy na wschód jak w masło. Duma mnie rozpiera. Nasz Wehrmacht! Dzielni i niezniszczalni. Chcesz?

– Sięgnął do kieszeni, wyciągnął małą fiolkę i zagrzechotał chowanymi w niej tabletkami. – Nasza tajna broń. – powiedział,

mrużąc oczy. Gerhard wziął i schował do kieszeni. Pervitin był powszechnie dostępny, ale ten był z pierwszej ręki. Podziękował. Na stacji zapanowało poruszenie, podjeżdżały pierwsze samochody. Na razie te odkryte i zakurzone, ale to wystarczyło, aby zmobilizować czekających.

– Powiedz mi jeszcze, co tu robisz. W barach się ciebie spodziewam, a nie za linią frontu.

– Jestem tu po to, żeby cię zaskakiwać. – Gerhard rozłożył ręce.

– Nie wątpię – zaśmiał się Viethold.

– Czekam na Karla Wolffa.

– U! Przystojniak! Jego też się tu nie spodziewałem. Ale szanuję. Uważają go za mistrza intrygi, więc kto wie, gdzie jeszcze się zobaczymy.

– Kto wie – powtórzył Gerhard zadowolony. – Pewnie w Warszawie, znam tam jeden dobry lokal...

– To do zobaczenia. Uważaj na siebie. – Viethold klepnął go po plecach i ruszył w kierunku jednego z podjeżdżających aut. Gerhard nie rozpoznał wychodzącego z niego mężczyzny, ale musiał mieć rangę co najmniej generała, sądząc po zamieszaniu, które wywołał.

– Ty też. Heil Hitler – burknął trochę niezadowolony z protekcyjnego tonu Vietholda, który uważał, że lepiej zna wszystkich i więcej o nich wie.

Oglądając się za nim i za tym jego generałem, nie zauważył podchodzącego do niego Karla Wolffa, który wyłonił się z podcieni stacji. Był w polowym mundurze, ze swastyką na ramieniu i w doskonałym nastroju.

– Znasz generała Karla Bodenschatza? – zainteresował się Wolff, podążając za wzrokiem Gerharda. – Reprezentuje tu Göringa.

Gerhard przecząco pokręcił głową.

– Cóż. – Wolff westchnął trochę rozczarowany. – Załatwmy nasze sprawy. To chwilowy postój. Postaram się ująć to jak najkrócej – kontynuował, przemierzając peron spacerowym krokiem. Gerhard szedł obok niego i z przyjemnością łowił zaciekawione spojrzenia tych, którzy wcześniej nie zwracali na

niego uwagi. – Za chwilę sztab przesiądzie się do samochodów i przekroczy granicę z Polską. Mamy więc niewiele czasu. Niedługo zostanie zdobyta Warszawa. To już tylko kwestia kilku dni. Ważne, byśmy byli tam pierwsi.

– Tak jest – odpowiedział Gerhard. Lecz z miny Wolffa wywnioskował, że nie dostał jeszcze żadnego rozkazu.

– To oczywiście – skarcił go tamten. – Himmler ma za zadanie, oczywiście zgodnie z wolą wodza, jak to się wyraził, „oczyścić ten kraj i doprowadzić do stanu używalności”. Przysiągł, że mu się to uda. Po trupach. Choćby po milionie trupów. Ale uzyskał już między innymi zapewnienie, że z ramienia Ahnenerbe ma prawo badać dziedzictwo naszych przodków. A co za tym idzie, zabezpieczać wszelkie dowody na potwierdzenie odwiecznej germańskości zdobytych ziem. To oficjalnie. A nieoficjalnie może też niszczyć wszystko, co w jakikolwiek sposób temu przeczy. To chyba coś dla ciebie? Taki prezent dla ojca, prawda? Gerhard z zadowoleniem przytaknął.

– Na podstawie tych uprawnień można bardzo wiele – kontynuował Wolff. – Ale tym razem nie będzie łatwo. Göring nie da się odsunąć na boczny tor tak jak w Austrii. Wiemy, że zamierza utworzyć prywatną spółkę z jakimś Kajetanem Mühlmannem i zamierza mianować go specjalnym pełnomocnikiem do spraw ochrony i zabezpieczania majątku na terenach wschodnich. Ten Kajetan też jest wiedeńczykiem. Znasz go? – zapytał, patrząc Gerhardowi prosto w oczy.

– Bardziej jego żonę – odpowiedział von Lossow, wspominając Leopoldine.

– Ciekawe. Opowiesz mi o tym później. – Wolff uśmiechnął się. – Myślę, że teraz ma już spakowane walizki i jak każdy szykuje się na kawałek tortu, który zaraz zostanie podzielony. A chętnych jest wielu – westchnął. – Dostaniesz specjalny przydział. Spotkasz się z Mühlmannem. Miejmy nadzieję, że będziesz w tej Warszawie pierwszy. Miej na wszystko oko.

Gerhard przytaknął.

– Poza tym dobra robota – niespodziewanie stwierdził adiutant Himmlera.

– A tak, słyszałem. W Lublinie cele zniszczone...

– Nie o tym mówię. To już historia. A tłumacze właśnie pracują nad tymi dwoma tomami, które dostarczyłeś. Potwierdziły się informacje, że to rzetelny materiał. Przyda się. Cenna lektura. – Wolff klepnął go w ramię. – Zdziwiają mnie najprostsze rozwiązania – dodał, uśmiechając się do sekretarek, które teraz wyglądały z okien pociągu. Dziewczyny machały do Gerharda.

– Piękna ta jesień – westchnął Wolff. – Dołączysz do konwoju. Otrzymasz szczegółowe rozkazy. Heil Hitler! – zakończył niespodziewanie i odszedł w kierunku nadjeżdżającego opancerzonego wozu. Był to ktoś bardzo ważny, bo sekretarki natychmiast schowały się w głąb przedziału.

– Heil Hitler – powiedział cicho Gerhard. Tym razem nie dojrzał wodza. Otaczało go za dużo osób, a potem szybko znikł w głębi wagonu, który szczerlnie obstawiło wojsko.

Gerhard odszedł na bok, wziął głęboki oddech i zachłysnął się świeżym uzdrowskim powietrzem. Wyprężył się. Popatrzył w niebo. Kłębiące się gdzieś tam puchate chmury przysłoniły prażące słońce. Mógł więc bez przeszkód śledzić klucz podążających na wschód niemieckich myśliwców. I marzyć.

Warszawa, 7 września 1939 roku

Mam tego dosyć! – syczał Dziurawiec, zaciskając dłonie na lejcach.

Na niebie znów zamajaczyły samoloty. Myślał, że za miastem będzie bezpiecznej, lecz wcale tak nie było. Ludzie zaczęli wpadać w popłoch. Konie dawały się jeszcze utrzymać, ale stawały się coraz bardziej nerwowe. Ludzka masa, która w Warszawie rozproszona snuła się ulicami, teraz, jak przez lejek, spłynęła w kierunku tej jednej drogi. Dziurawiec jak oszalały przebijał się długim wozem pomiędzy dorożkami, dwukółkami, przyczepkami, rowerami, samochodami, które jechały jak trzeba lub z braku benzyny były ciągnięte przez konie. Minął nawet kilka wózków dziecięcych załadowanych na metr do góry tobołkami, kołdrami, garnkami, poduszkami i Bóg wie czym jeszcze. Reszta szła pieszo, dzierżąc cały swój dobytek w rękach. Ile tylko można było unieść. W skwarze powłóczyli nogami, ślaniali się ze zmęczenia. Spoceni, okurzeni, zrezygnowani. Przysiadali na poboczu albo tarasowali przejazd. Uciekali, bo na miasto spadały bomby, a do tego uciekinierzy z zachodniej Polski opowiadali niestworzone rzeczy, które, jak ocenił Dziurawiec, nie mogły być prawdą.

Przez całą drogę za miastem kobiety krzyczały, dzieci łkały, mężczyźni bezradnie spuszczały głowy. Jeśli mieli czapki, nasuwali je na oczy i pchali, pchali, jeśli tylko było cokolwiek do pchania.

Dziurawiec nie mógł się doczekać, aż to się skończy. Do wczoraj miał zamiar wyjechać tylko za Warszawę i przy najbliższej okazji uciec tym muzealnikom. Szybko się jednak okazało, że z tym kłosem, który zapakowali na platformę, daleko nie ujedzie. A jak zechcą, to go dogonią nawet rowerem. Na oklep jeździć by się nie odważył. Skrzynia była ogromna i ważyła prawie tonę. Wnosiło ją dziesięciu żołnierzy. Nie pomagał im. Nie chciał, żeby

otworzyła się któraś z ran. Wyłgał się pilnowaniem koni. I ledwo umiał powozić. Kiedy był dzieckiem, jeden dziadek z Lubartowskiej dawał mu potrzymać lejce, ale to była dorożka. W młodości dowiedział się, jak się wyprzęga i zaprzęga konie, ale wtedy zawsze miał kogoś do pomocy. Pocieszał się tylko tym, że i tak umie więcej niż te chuderlawe inteligenciki. Poza tym zwierzęta, tak jak i ludzie, raczej się go słuchały. Całkiem też nie porzucił myśli, by się panów warszawiaków jakoś pozbyć, razem z tą dziwną kobietą, jej śpiącym dzieciakiem i tym wielkim, nieprzydatnym kłamotem. Ale dopóki wszędzie kręciło się wojsko, nie chciał ryzykować. Do końca nie wiedział, co wiezie. Za świstek chcieli dać mu czapę. To co można dostać za taką skrzynię, którą pomagało transportować wojsko? Nie chciał wiedzieć, co jest w środku. Wielkie nie wiadomo co.

– Może się zatrzymamy? – usłyszał z tyłu.

– Nie – odpowiedział, omijając na drodze wielki lej po bombie.

On mi się nie podoba – szepnął Mikulicz-Radecki.

– Mnie też – odpowiedział mu Stanisław Ejsmond, mierzwiąc i przyglądając włosy, które nawet pod słomkowym kapeluszem przyklejały się do skóry. – Ale co zrobić? Może o te konie chodzi. Ledwo ruszyły... A jak idą, to już idą. Może i dobrze – skonstatował, nakładając znowu kapelusz. Kapeluszy nie lubił, ale na niebie nie było żadnej chmury. Słońce świeciło mocno, a coraz bardziej przerzedzone włosy przyklejały się do spoczonej głowy.

– No tak, trochę już przejechaliśmy – westchnął dyrektor. – Prawie z połowa drogi będzie. Poczekam, może w końcu się zatrzyma... Albo znów będę ten wóz gonił – dodał, poluzował krawat i znowu położył głowę na poduszkach, zamykając oczy. Nie chciał patrzeć na mijanych ludzi. Przygnębiający widok. Szczególnie gdy samemu się jedzie.

Ejsmond też zmienił pozycję. Poskładał koc, który matka wcisnęła mu do ręki, i włożył pod łopatki. Dziękował jej w myślach. Bez niego miałyby poobijany kręgosłup od drewnianej

skrzyni, na której się opierał i która mimo swego ciężaru potrafiła podskoczyć na wyboistej drodze. Pod nogami ułożył małą podróżną walizkę. Najmniejsza, jaka była w domu, innej nie potrzebował. Wziął zmianę bielizny i dwie koszule, w sam raz na podróż do Lublina i z powrotem. Tam teraz przeniósł się rząd, mieli zdecydować co dalej. Zamierzał przekazać obraz i wrócić, na inne działania nie mieli ani pozwolenia, ani środków, ani jak się okazało możliwości. Poza tym obiecał matce, że wróci. Została w Warszawie, pewnie nadal modli się i płacze. Nie zatrzymywała go. Wiedziała, że musi jechać, tak jak jego ojciec ćwierć wieku wcześniej. Zgodziła się, ale miała własną umowę z dyrektorem. Jeśli zdecydowano by, że Bitwę przewożą gdzieś dalej, w dalszą drogę miał ruszyć tylko Mikulicz, który i tak nie wracał do Warszawy. Zmierzał na Polesie, do swojej rodziny. Dlatego też wiózł dwie walizki, kilka większych tobołków, poduszki i kołdrę. Poduszkę wziął sobie, a kołdrę oddał niespodziewanym podróżnikom.

Dośłownie chwilę przed wyjazdem skontaktował się z nimi Daniel Faber. Zaniepokojony pytał, jak sobie radzą z obrazem. Ejsmond poinformował go, że właśnie wybierają się z nim do Lublina bardzo nietypowym pojazdem. Faber niezmiernie się z tego ucieszył. Choć przez dłuższą chwilę nie potrafił wypowiedzieć cisnącej mu się na usta prośby, w końcu Ejsmond, naśladowując ton swego dyrektora finansowego, przycisnął go.

– Panie Danielu, do rzeczy!

Ten w końcu spytał, czy mogą zabrać jeszcze jego żonę i syna. Ejsmond zgodził się od razu. W tych okolicznościach nie byli już żadnym ciężarem. Faber miał czekać na nich w Lublinie. Zmobilizowany w stopniu porucznika stacjonował tam gdzieś razem z rządem. Rodzinę zamierzał odesłać do Rumunii, zorganizował już transport. Pod Zachętę przyprowadziła ich płacząca gosposia. Mały Jona Faber słaniał się na nogach, podtrzymywany przez prowadzące go kobiety.

– Herbaty makowej mu nagotowałam – wyjaśniła gosposia, pokazując na śpiącego chłopca. – Żeby jakoś tę drogę zniósł. Może trochę za mocna... – dodała, gdy układali go na legowisku

z kołdry. – Przynajmniej panów nie zagada na śmierć – pocieszyła ich.

Jona Faber spał pół dnia. Mimo wybojów, latających w oddali samolotów i przekrzykujących się ludzi. Matka nie budziła go. Jedną ręką głaskała jego włosy, drugą przytrzymywała czytana książkę. Ejsmond dojrzał tytuł. Jakaś niemiecka powieść. Parę razy uśmiechnęła się lekko, poza tym zdawała się nie reagować na otaczający ją świat. I to na pewno nie tylko ze względu na panujące w czasie drogi uciążliwości. Musiał być to stan utrzymujący się już wcześniej.

– Ona, ten, jest... – szukała słów gosposia, przekazując mu koszyk jedzenia. – Małomówna... taka. Uważajcie na nią – poprosiła, głośno szlochając. Stanisław Ejsmond przytaknął, obiecując opiekę. Ejsmond dosłyszał również, jak zagaduje woźnicę, wręczając mu jakiś smakołyk, i prosi o to samo, mówiąc, że jej pani to: – Gapa, jakich mało. Nie myśli toto! Wcale, ale dobra jak anioł.

Woźnica zawiniątko wziął. I właściwie, tak samo jak Ejsmond, nic nie musiał robić. Zerkał tylko od czasu do czasu.

Ejsmond również przez większość czasu patrzył na pola, na ciągle jeszcze kwitnące łąki, na pałające jeszcze zielenią drzewa. Pomyślał, że za rzadko gdziekolwiek wyjeżdżał. Teraz przyglądał się chłopom. Wbrew wszystkiemu trwały prace na polach. Może trzeba popatrzeć na ten świat oczami Chełmońskiego, zastanawiał się, obserwując kilkunastoletnią dziewczynę z długimi jasnymi warkoczami. Stała, zamyślona. Jedną ręką przysłoniła czoło i spoglądała w niebo, drugą trzymała za rękę młodszą siostrę. Ejsmond usłyszał dźwięk nadlatujących samolotów.

– Lecą! Lecą! – zaczęli krzyczeć ludzie.

– Może to nasi!

Na wozie też wszyscy się poderwali. Patrzyli to w niebo, to wokół siebie. Stanisław Mikulicz-Radecki bezradnie rozłożył ręce. Nie było gdzie się skryć. Dookoła pole, kilka wierzb.

– Spokojnie, tu nie ma co bombardować – zawyrokował Mikulicz, gdy dwa samoloty zniżyły lot.

Dokładnie było widać skrzydła.

– Mamo, patrz! – wykrzyknął obudzony Jona Faber. – Widzisz czarne krzyże na białym tle? Znowu krzyżowcy! Gdzie mój miś? – Kobieta przytuliła głowę chłopca do brzucha i zasłoniła ręką oczy.

Ludzie na drodze zaczęli panicznie się rozbiegać. Chłopi stali jak wryci i gapili się w niebo. Konie zaczęły rzeć, kręcąc nerwowo głowami. Woźnica wstał, ciągnąc lejce z całej siły, ale huk ryczących silników nasilał się coraz bardziej. Nagle rozległy się świsty. Z początku nie wiedzieli co to i nie zdążyli zobaczyć. Konie poniosło. Zaczęły biec jak oszalałe, rozdziawiając naciągnięte wędzidłami pyski. Woźnica trzymał mocno lejce, ale nie panował nad nimi. Szły przez siebie, a droga skręcała, próbował je tam skierować, ale już go nie słuchały. Szły prosto w pole. Długa drewniana platforma trzeszczała, gięła się na bok, koła grzęzły w zaoranym polu, przechylając platformę to w jedną, to w drugą stronę. Konie rzucały w powietrzu przednimi nogami, próbując stanąć dęba. Nagłe świsty przeszywały już wszystko dokoła. Sucha ziemia wystrzeliwała w górę od uderzających w nią pocisków. Z samolotów pruły karabiny maszynowe. Równymi seriami. Jak od linijki w piach, w pole, w ludzi, zwierzęta. Przewróciła się kobieta, upadła twarzą do ziemi. Dziewczyna z warkoczami uszła kilka kroków, trzymając się za policzek. Dostała raz jeszcze. Wygięto ją. Osunęła się, upadając na bok. Wrzaski ludzkie mieszały się z piekielnym rżeniem koni. Najpierw padł jeden, trafiony w łeb, przewrócił się na drugiego, któremu krew już lała się po brzuchu. Przygniótł go swym ciężarem. Wóz zatrzymał się w polu. Samoloty odleciały. Krzyki nie ucichły. Żywy jeszcze koń rzeził głośno.

Dziurawiec zszedł z wozu o własnych siłach, ale musiał się oprzeć, żeby nie upaść. Ledwo stał na trzęsących się nogach. Zgięto go wpół. Wymiotował. Cieszył się, że nie krwią, bo poczuł mocny ból w podbrzuszu. Ręce ciągle drżały mu od wysiłku. Z gigantycznym trudem utrzymał lejce. Sam nie wiedział, jak to

zrobił. Konie poszły na tyle równo, że platforma się nie wywróciła. Nie roztrzaskała się.

- I co teraz? - zapytał, podchodząc do niego, jeden z muzealników. Dziurawiec wzruszył ramionami. Skąd miał wiedzieć. Jeden koń jeszcze żył, ale nie nadawał się do użytku. Leżał przygnieciony z wybałuszonymi oczami. Oddychał, choć seria postrzałów rozpruła mu brzuch, a resztę zrobił drugi, który się na niego obalił. Długa kiszka wypłynęła na ziemię.

- Hekatomba - powiedział chłopiec, rozglądając się dookoła. - Znowu nadeszły te czasy. - Zeskoczył z wozu. Jego matka wyciągnęła tylko ręce, próbując go powstrzymać. - Daleko nie pójdę. Przecież i tak teraz nigdzie nie pojedziemy. Prawda, proszę pana? - zawołał w stronę Dziurawca. Kobieta opuściła głowę, chowając twarz we włosach, a Dziurawiec splunął, odwracając się do niego plecami.

Było blisko, pomyślał Dziurawiec i też zaczął rozglądać się wokół.

Nikomu na wozie nic się nie stało. Skrzynia była cała. Na polu zginęło kilka osób. Strzelali w nich. Nie widział nikogo ранego. Po prostu jedni żyli, a drudzy nie. Płaczące kobiety starały się poprzykrywać zabitych. Fartuchami, przynajmniej głowę. Dziecko nakryto koszykiem. Chłopi poszli po wozy i pomoc ze wsi. Nie żyła dziewczyna z warkoczami. Nad nią rozpaczła ta mniejsza, jeszcze nadal próbując ją podnieść.

- Haniu, co ci się stało?! Wstań! - krzyczała, zawodząc tak przeraźliwym głosem, że nikt nie odważył się do niej podejść. - Haniu, co ci? Co ci jest? Haniu?! Hanuś, wstań, proszę cię! Chodź się umyć... - mówiła, próbując zetrzeć krew z jej twarzy, ale tylko brudziła sobie ręce i wycierała o swoją sukienkę. Krzyczała tak długo, aż ochrypla. Z otwartych ust wydostawał się jedynie jakiś skrzeczący bełkot.

Powoli ucichały i inne ludzkie krzyki. Po jakimś czasie z pola zniknęły ciała. Drogą znów ciągnęli ludzie. Muzealnicy naradzali się. W końcu podeszli do Dziurawca.

- Idziemy na wieś, może gdzieś kto da nam konia za opłatą.

- Dwa konie - poprawił ich Dziurawiec. Kiwnęli głowami. -

Niech panowie im jeszcze powiedzą – machnął, patrząc na chłopów, którzy spakowali na wóz już wszystkie ciała – że jest konina do wzięcia. – Pokazał na charczące ciągle jeszcze zwierzę.

Ruszyli do wsi. Dziurawiec postanowił poczekać, choć nie wierzył, żeby im się coś udało załatwić. Nie wiedział, co zrobić. Ciągle nie mógł iść o własnych siłach. Było jeszcze za daleko. Poza tym zaczęło zachodzić słońce. Wszedł na wóz i rozłożył się na skrzyni, zamykając oczy. Poczuł potworne zmęczenie.

– Proszę pana. – Chłopiec pociągnął go za rękaw. – Proszę pana – powtórzył malec jeszcze bardziej natarczywie.

– Co? – warknął Dziurawiec, nie otwierając oczu.

– Może lepiej by było go dobić.

Otworzył oczy. Chłopiec pokazywał na konia.

– Dla kogo lepiej?

– Dla konia.

– Niby dlaczego?

– Nie wiem.

– Skoro nie wiesz, to mnie nie budź – burknął Dziurawiec. Nie miał na to siły ani chęci. Co innego, gdyby musiał. A teraz nie musiał. Odwrócił się plecami do dzieciaka. Sekundę patrzył na zachodzące słońce i zasnął. Gdy się obudził, była już ciemna noc. Gwiazdy świeciły jasno i księżyc też. Ktoś przykrył go kocem. Nie pamiętał, kiedy ostatnio tak mocno spał. Cała reszta też spała pod gołym niebem. Dyszle były puste. Spał tak mocno, że nie słyszał, jak rolnicy wyciągali konie. Nowych w zastępstwie nie było. Tak jak się spodziewał. Który chłop i za jakie pieniądze pozbywałby się teraz konia. Zszedł z wozu, porozglądał się chwilę. Gdy oczy przyzwyczyły się do ciemności, ruszył w kierunku wioski. W połowie drogi minął zagajnik i nie wierzył w to, co widzi. Pośrodku drogi stał wóz, dwa konie i śpiący na wozie chłop. Jak w prezencie. Podszedł bliżej. Był sam. Miał wystarczająco siły, żeby ściągnąć go z wozu. Będzie to tym łatwiejsze, że od chłopca wionęło bimbrem na kilometr.

Jak dobrze pójdzie, po południu będę w Lublinie, pomyślał. Ale coś mu nie pasowało. Pijanego chłopca to konie same do domu zawiozą, a ten stał na środku drogi. Obszedł go dookoła, obmacał

wóz. Chwiał się trochę na bok. Dziurawiec pochylił się i zobaczył połamane koło.

Przynajmniej nie trzeba będzie go ściągać, pocieszył się i zaczął odpinać pasy przytwierdzające dyszle do zaprzęgu. Nauczono go robić to prawie bezgłośnie i po omacku. Niejeden chłop przyjechał na targ z towarem, zadowolony opił transakcję, a rano nie miał czym do domu wrócić. Ale to były stare dzieje, nie miał wtedy nawet piętnastu lat. Teraz obudzony koń szarpnął się.

– Sssso to? – wybełkotał pijany w sztok chłop.

– Wojna – odpowiedział Dziurawiec.

– Ja mówię Witkowskiemu, temu...! Mówię! Dostaną szkopy. Będzie się za nimi kurzyło – bredził, nie podnosząc głowy. – A on, że chłopcy giną! A ja wiesz co mu na toooo, kobieto?!

– Nie wiem – odpowiedział Dziurawiec. Odpinając kolejną uprząż.

– Co z tego, że giną! Baby zara narodzą nowych! Tak mu powiedziałem! – podkreślił ostatnie zdanie, podnosząc głowę. – Sssssoo ty robisz konikom moim?

– Rekwiruję.

– Nie pozwa... – zaczął chłop, przekładając nogę za wóz. Dziurawiec zakasał rękaw, zacisnął pięść. Ale chłop sam przewrócił się na ziemię. Po chwili usiadł i oparł głowę na kole.

– Zarekwirowały... cholery jedne – powiedział i zasnął.

Myślisz, że je ukradł? – zapytał Mikulicz-Radecki, poluźniając krawat.

Ejmond pokiwał głową.

– Ale co możemy zrobić? – Wzruszył ramionami i więcej nic nie powiedział. Spuścił głowę i znowu zaczął patrzeć na uciekającą spod kół drogę.

Od dłuższego czasu siedzieli na końcu wozu ze spuszczoneymi nogami. Tyłem do kierunku jazdy.

Świt przywitał ich rzeniem zaprzęganych koni. Zdecydowanie woźnicy sprawiło, że uwierzyli mu, kiedy mówił, że konie pożyczył i są mu za to winni pieniądze. Ważniejszym

problemem było raczej wyciągnięcie platformy z pola. Na szczęście ziemia była sucha jak wiór, nie padało od miesiąca, koła nie ugrzęzły więc za głęboko. Konie też były bardziej do pola przyzwyczajone. Szarpnęły się raz czy dwa razy i koła ruszyły. Wyjechali na drogę. Przez pierwsze parę kilometrów muzealnicy nic nie mówili, ciesząc się, że znowu szczęśliwie jadą. Dopiero po czasie obudził się w nich zdrowy rozsądek. Kto w nocy oddałby parę koni, i to jeszcze przystrojonych poprzypinanymi do chomąta pomponami?

– Za chwilę będzie Kurów. Tak mi się zdaje – przerwał ciszę Ejsmond. – Tam zajedziemy do miasteczka, skontaktujemy się z władzami i coś uradzimy. Jak będzie trzeba, wymienimy konie. Te ktoś odwiezie. To niedaleko.

– Dobry pomysł. – Dyrektor odetchnął, ocierając spocone czoło. Nie dawało mu to spokoju. Nigdy nie ukradł nawet złotówki, a teraz czuł się, jakby i on nocą zwędził cały zaprzęg. – Będziemy stanowczy! – oświadczył. – Nie damy zbić się z tropu. Tylko jak się ta wieś nazywała?

– Dobra Wola – odpowiedział chłopiec, który wydostał się spod objęć śpiącej matki i podczołgał w kierunku mężczyzn.

– Naprawdę? – Obrócili się obaj.

– Pierwszy raz jestem na wojnie. Staram się wszystko zapamiętać. Znam się też na mapie. Przejrzałem przed drogą. Chciałem się też zaopatrzyć w globus, ale gospościa nie pozwoliła zabrać. Śledzę całą trasę na bieżąco. Obiecałem tacie zdać relację, bo mama nie lubi o takich rzeczach rozmawiać – oświadczył. – Kurów jest za jakieś kilka kilometrów. Może będzie widać zza zakrętu – dodał, pokazując palcem kierunek jazdy.

Spojrzeli. Widać było jedynie jakieś wysokie krzaki przy drodze i mijanych ludzi, podróżujących już tylko piechotą. Powłóczący nogami, niewyspani, z przekrwionymi oczami. Niektórzy boso, trzymając buty w rękach, oszczędzając obtarte do krwi stopy. Zobaczyli też umęczonego rowerzystę, który jedną ręką chwycił się platformy i tak pomagał sobie jechać. Opuścił głowę, odpoczął chwilę.

– Ale gorąco. „Afryka parna skwarna... Afryka na wpół dzika

jest” – zanucił.

Woźnica musiał go widzieć, ale nie reagował. Konie były wypoczęte, szły bez problemu.

– Mogę się zabrać? – zapytał rowerzysta po chwili, podnosząc głowę.

– Nie ja decyduję – odburknął mu woźnica.

Rowerzysta odwrócił się i mało nie spadł z roweru.

– Stachu! – wykrzyknął.

– Bolek! Zatrzymajmy się! Zatrzymajmy się! Wskakuj – powiedział Ejsmond, widząc kolegę plakacistę Bolesława Surałłę-Gajduczeniego. Konie zwolniły. Mikulicz-Radecki wyciągnął ręce. Surałło błyskawicznie przerzucił rower na platformę. Sam musiał trochę podbiec i od tyłu wgramolić się na platformę.

– Co za szczęście, że was spotkałem – powiedział, ciężko oddychając. – Myślałem, że już nie dojadę – dodał, ocierając zakurzoną, spoconą twarz.

– A ty co, rowerem po wsiach jeździsz? – zapytał Stanisław.

– Też wolałbym kajakiem po rzece. Zaciągnąć się jadę. Był rozkaz, przez radio podali. Armia „Lublin” się tworzy. Nic innego nie miałem. W Warszawie już ochotników nie przyjmują. A ja do strzelania bardziej się nadaję niż do kopania rowów. Więc na rower i do Lublina. Myślałem, że już nie dojadę, koło mi się pogięło. Żona mówiła, że nie dojadę, że się zabiję po drodze... Ale co tam! Rower model wojskowy ciągle mam! A wy tu skąd? Co Zachęta na wojnie robi?

– *Bitwę pod Grunwaldem* przewozimy – wtrącił się chłopiec.

– A ty skąd wiesz? – spytał Mikulicz-Radecki, marszcząc czoło. – Tata ci powiedział?

– Nie. Nic nie powiedział. Ale rozmiary się zgadzają. Długość skrzyni razy dziesięć metrów zwiniętego płótna. Tak to musiałyby wyglądać. Poza tym nic innego tak wielkiego i cennego w Zachęcie nie było, żeby prezes z dyrektorem jechali...

– Już dobrze. Ciszej. – Ejsmond roześmiał się, przykładając palec do ust. – To tajemnica. Nie rozpowiadajmy tego lepiej.

– Też bym się domyślił – wtrącił się Surałło ze śmiechem. – I gdzie jedziemy?

- Najpierw do Kurowa - powiedział Ejsmond, wyjaśniając sytuację.

- Daleko to? - zapytał Surałło, ale już mu nie odpowiedzieli. W oddali zobaczyli łunę nad wyłaniającym się zza zakrętu miastem. Płoneło. W powietrze wbijały się słupy ognia.

- A dalej gdzie? - zapytał Surałło, patrząc na czarny, gęsty dym sięgający już nieba.

Lublin, 9 września 1939 roku

Dziurawiec nie dał koniom ani ludziom zbyt długo odpocząć. Sam zasnął tylko na chwilę. Przed oczami miał zgliszcza dopalających się budynków. Przejeżdżali przez zbombardowane miasteczko. Gdzieś tam jeszcze ciągle tlił się ogień. Ale dało się przeprowadzić konie. Myśl, że Lublin będzie wyglądał tak samo, nie dawała mu spokoju i nie pozwalała odetchnąć. Wszyscy jeszcze spali, gdy strzelił batem, popędził konie, a sam przysiadł na lejcach, dając odpocząć zmęczonym dłoniom.

Im bardziej zbliżali się do Lublina, tym mniej dokuczwały mu obolałe ręce, noga i pokłuty bok. W porannym słońcu zza pagórków wyłaniało się miasto. Całe!

Nie przeszkadzał mu nawet tłok, który nasilał się wraz z wjazdem do miasta. Na trakcie warszawskim zaczęły tworzyć się nieprawdopodobne zatory. Im bliżej centrum, tym bardziej zadziwiający. Jedną stroną ciągnęły wozy i furmanki, drugą auta. Przeróżnych marek. Takich, które Dziurawiec już widział, i takich, które w Lublinie pojawiały się rzadko. Jakieś rządowe limuzyny z powiewającymi chorągiewkami. Wszystkie z walizkami, pudłami, tobołkami, upchniętymi wewnątrz i popryczepianymi do dachów, masek, błotników i zderzaków. Wszystko stało. Części samochodów, którym pokończyła się benzyna, blokowały przejazd. Co chwila ktoś wychodził na drogę. Krzyczał, jaki jest ważny, z jakiego ministerstwa, departamentu, szczebla. Kogo zna. Dlaczego należy mu się paliwo i dlaczego natychmiast musi dołączyć do kolumny rządowej. Sam rząd podobno już wczoraj opuścił Lublin i ruszył w kierunku Rumunii, uciekając z kraju.

– Szczury – burknął Dziurawiec. Parę razy strzelił z bata, torując sobie drogę. Nie w powietrze, ale wprost pod nogi awanturujących się uciekinierów.

– Panie! Wiesz pan, kim ja jestem?! Ja panu... – wrzasnął jakiś

naburmuszony grubas.

– Idź mi pan! – odparował Dziurawiec, spluwając mu pod nogi.
– Szczury – burknął ponownie, ale głośniej. Awanturnik schował się do samochodu.

W śródmieściu nie było lepiej. Wszystko dodatkowo zapchane wojskowymi ciężarówkami i autobusami. Pełno żołnierzy i ludzi. Przechodniom trudno było przejść z jednej strony ulicy na drugą, a co dopiero jechać. Ale mozolnie przesuwali się dalej. Dziurawiec był w coraz lepszym nastroju, choć nie poznawał miasta. Wszędzie panował tłok. Przepelnione były mijane restauracje, kawiarnie i bary. Ludzie siedzieli na schodach i krawężnikach. Po chodnikach biegały dzieciaki, roznosząc gazety.

– Dodatek specjalny! Dodatek specjalny! – wrzeszczały na całe gardło.

Uśmiechnął się na samą myśl. Anioł to ma dzisiaj żniwa. Kiedyś opowie. Może za dzień, dwa. Nie zamierzał się afiszować się ze swoim powrotem. Od razu chciał iść tylko w jedno miejsce. Sprawdzić, czy ten fryzjerek gdzieś się tam przypadkiem nie kręci.

Minął Krakowskie Przedmieście i skierował się na Narutowicza. Dokładnie tam, gdzie przejął trefną przesyłkę. Jej jeszcze nie chciał szukać. Miał dziwne wrażenie, że akurat ona znajdzie się sama.

Wjechał otwartą bramą na dziedziniec przed muzeum. Zatrzymał konie. Stanęły.

Nie zdążył jeszcze zsiąść z ławki, na której spędził ostatnie kilkadziesiąt godzin, gdy z wnętrza wyłonił się nie za wysoki żwawy pięćdziesięciolatek z lekką nadwagą w nienagannie wyprasowanej białej koszuli i czerwonej sztywnej muszce w kratę. Zaczesane do tyłu włosy były przerzedzone i w lekkim nieładzie unosiły się nad głową, za to bujne, podkreścone wąsy były starannie przycięte i wyczesane.

– Wyprasza się! Z całą stanowczością! – Groził wskazującym palcem, a krzaczaste brwi unosiły się wraz z każdym zmarszczeniem czoła. – Zarządzenie wojskowe. Przepraszam, ale

tu nie można wjeżdzać! – krzyczał dalej, zbiegając ze schodów.

– Pan pozwoli. Przedstawimy się. – Pierwszy zeskoczył z platformy Bolesław Surałło-Gajduzeni. – Pan Stanisław Ejsmond, prezes warszawskiej Zachęty, i jej dyrektor, Stanisław Mikulicz-Radecki.

– O! – Aż przystanął z wrażenia, patrząc na mężczyzn i wielką platformę z ogromną skrzynią. – A to ci historia! – zakrzyknął po chwili, przyklaskując. – Do naszego Lublinka zjechała chyba cała Polska! Władysław Woyda, intendent tutejszego muzeum – przywitał się, uśmiechając się teraz szeroko. – Przepraszam! Mam tu na terenie muzeum mieszkanie służbowe. Zaraz z żoną panów ugościmy, czym możemy! – oświadczył, rozkładając szeroko ramiona. – Osobiście jestem jaroszem, ale...

– Najpierw może... – zaczął nieśmiało Ejsmond.

– Najpierw to się panowie umyją... – Woyda nie zdążył dokończyć, bo Surałło nachylił się w jego kierunku i zaczął szeptać mu do ucha.

– Mam tu sprawy do załatwienia – wtrącił Dziurawiec. – Przyjdę później – dodał. Sam nie wiedział dlaczego.

– Oczywiście. Rozumiem. Do zobaczenia! – odparł prędko Mikulicz-Radecki. Jeszcze chciał coś powiedzieć, ale tylko machnął ręką.

Dziurawiec nie czekał na pożegnalne słowa, do niczego nie mogli mu się już przydać. Pieniądze za konie dostał. A same konie i tak przez kilka godzin były nie do ruszenia. Głodne, z pozdzieraną skórą, okulałe. Nie na wiele by się zdały. Nie zamierzał więc niczego tłumaczyć ani z nikim się dogadywać. Z ciekawości tylko odwrócił się jeszcze przez ramię. Panowie całą czwórką ścieśnili się w kółku i rozmawiali przyciszonymi głosami, co chwila spoglądając na skrzynię.

Patrzyli na niego tylko ta dziwna kobieta i jej przemądrzałe dziecko. Kobieta ukloniła mu się, a chłopak pomachał. Odwzajemnił pozdrowienie. Sam nie wiedział dlaczego. Wtedy malec zeskoczył z platformy i pobiegł w kierunku Dziurawca.

– Chciałem się pożegnać – powiedział, wyciągając rękę. – Może się już nigdy nie zobaczymy.

– Jest czego żałować? – spytał Dziurawiec, z obojętną miną ściskając małą dłoń.

– Tego nie wiem – odpowiedział mu chłopak, a Dziurawiec wzruszył ramionami.

Odwrócił się i uśmiechnął pod nosem. Potem przyspieszył kroku i ruszył w miasto.

Po śniadaniu, herbacie i placku ze śliwkami świat wyglądał zupełnie inaczej. Matka z chłopcem, spakowani i pożegnani przez wszystkich, pojechali dorożką pod umówiony adres w śródmieściu Lublina. A panowie muzealnicy z przyszłym żołnierzem umyli się, odświeżyli i przebrali. Rozbawieni słuchali optymistycznego intendenta, który zdawał się mieć jedynie dobre wiadomości. Lublin przeżył tylko jeden nalot, drugiego września. Zaatakowano wytwórnię samolotów, czyli dawne zakłady Plage i Laśkiewicz. Zginęło prawie dwieście osób, ale wojna podobno zatrzymała się na linii Wisły, wojsko nie puszcza dalej i szykuje ofensywę. Poza lawiną uchodźców w mieście był spokój.

Po takich informacjach, w znacznie lepszych nastrojach, postanowili rozdzielić się i udać w kilka miejsc, by zdecydować o dalszych losach Matejkowskiej Bitwy, którą tymczasem pozostawiono na dziedzińcu muzealnym, pod opieką Woydy.

Sam Woyda poszedł powiadomić konserwatora zabytków o nieoczekiwanym przybyciu cennego płótna. Mikulicz-Radecki ruszył natomiast do dowództwa wojska rezydującego przy placu Litewskim, a Ejsmond postanowił iść do magistratu, zawiadomić władze miejskie i wymóc na nich jakieś działanie. Poprosił Surałę, by mu towarzyszył i pomógł. Ten chętnie się zgodził, skoro był częścią konwoju.

Umówili się wszyscy za godzinę na Krakowskim Przedmieściu, w jakieś kawiarni w pobliżu ratusza.

Ejsmond z Surałą-Gajduczenim, namawiając się przez całą drogę, bezczelnie udali się wprost do gabinetu prezydenta Liszkowskiego. Bolesław oczarował sekretarkę, która wyraźnie

miała słabość do wysportowanych mężczyzn w koszulkach polo i przekonana o niezwyklej wadze sprawy, poszła spytać prezydenta, czy ich przyjmie, choć zdawało się, że ma wyraźny zakaz przysyłania mu interesantów.

Dziewczyna zostawiła za sobą niezamknięte drzwi, które Surałło lekko pchnął, zastanawiając się, czy po prostu tam nie wparować.

– Wchodzimy? – szepnął do Stanisława, przekrzywiając głowę.

Ejsmond podszedł niepewnie, ale po chwili obaj przez uchyloną szparę zobaczyli otwartą kasę pancerną i kilku mężczyzn upychających stopy banknotów do zielonych, lnianych worków. Wszędzie leżały tysiące złotych. Odskoczyli jak oparzeni.

– Poważne sprawy – wzdrygnął się Bolesław, a Stanisław z wrażenia zdjął okulary i nerwowo zaczął je przecierać.

– Pan prezydent jest teraz niezmiernie zajęty – wyjaśniła sekretarka po powrocie. – Każę panom udać się do naczelnika wydziału gospodarczego, pana Romana Pieczyraka. On wam pomoże.

I to był strzał w dziesiątkę. Ponad pięćdziesięcioletni, słusznej postury naczelnik wysłuchał ich z najwyższą uwagą. Wypytał o rozmiary skrzyni, ciężar, sposób zapakowania i przewożenia, po czym mocno uściśnął im dłoń i obiecał w trybie natychmiastowym zająć się bezcennym depozytem.

– Proszę uważać sprawę za załatwioną. Daję panom na to słowo honoru – oświadczył zdecydowanym, uroczystym tonem.

Zarówno Ejsmond, jak i Surałło chcieli mu wierzyć i uwierzyli. Silny, konkretny człowiek.

– Możesz wracać do Warszawy – oświadczył Bolesław po wyjściu z ratusza. – Matka się ucieszy, że jak ojciec nie musisz targać jej do samej Moskwy.

– O tak – odetchnął z ulgą Stanisław. Martwił się.

– W Warszawie pozdrów moją żonę i ucałuj córkę. Bóg wie, kiedy do nich wrócę – poprosił Bolesław i zamyślił się na chwilę.

– Chociaż tu czuję się, jakbym szedł Nowym Światem. Widziałeś? Przed chwilą minęliśmy Stefana Jaracza, a teraz Czechowicza. Wszedł właśnie do fryzjerni – zmienił temat, pocierając się po

zarośniętym policzku. – Też chyba powinienem. Kto wie, kiedy następny raz się ogolę.

– Z brodą będziesz wyglądał jak prawdziwy wilk morski – zaśmiał się Ejsmond.

– Chciałem zapuścić, ale żona się nie zgodziła. Mówiła, że podrapię dziecko... – Nie dokończył, bo w mieście rozległ się dźwięk syren zwiastujących alarm lotniczy. Musiał się tak rozlegać już wielokrotnie, bo większość ludzi nie reagowała, a część z ciekawości wyszła z domów, chcąc popatrzeć na przelatujące samoloty. Syreny w końcu ucichły.

– Mówiłem ci, to dziewczynka – ciągnął Surałto po chwili. – Cere ma piękną jak jej matka. Ledwo chodzi, ale silna po mnie... Żebyś widział, jak tymi piąstkami chwyciła wiosło. – Pokazał i zastygł z rękami wyciągniętymi przed siebie. Wraz z Ejsmondem zaczęli spoglądać w niebo. Ledwo słyszalny pomruk zaczął zmieniać się w ogłuszający huk nadlatujących samolotów. Nisko, prawie nad ziemią.

– To nasi! – krzyknął ktoś na ulicy.

– Nasi? – spytał Ejsmond, mrużąc oczy.

Surałto-Gajduczeni przecząco pokręcił głową. Coraz wyraźniej widać było zbliżające się maszyny. Na skrzydłach miały czarne krzyże na białym tle. Kilkadziesiąt naraz.

Zbliżały się szybko.

Rozległ się pierwszy grzmot. Pojedynczy. Potem drugi, potężniejszy. I cała seria. Bliżej, dalej, dookoła. Wszędzie.

Bolesław zdążył przekręcić dwa razy głowę. W prawo i w lewo. Nie mógł zdecydować, w którą stronę biec. Zatrzęsa się ziemia. Wokół zadrżały wszystkie ściany. Zaczęły pękać mury, rysując pręgi na ścianach. Strzeliły z okien pękające szyby. Leciały wielkie odłamki szkła.

Chwycił Stanisława za ramię. Uciekać. Gdziekolwiek. Byle dalej. Ale ten wiedział, co będzie. Patrzył w niebo, było już za późno, by biec. Zdążył tylko unieść nad głowę ręce. Jakby chciał powstrzymać spadające na nich tony cegieł.

Nie udało się.

Waląca się w gruzy kamienica na Krakowskim Przedmieściu

pogrzebała na zawsze Stanisława Ejsmonda, malarza kwiatów, i plakacistę Bolesława Surałę-Gajduczeniego, który najchętniej rysował fale.



Bezkarne bombardowanie miasta trwało godzinę.

Nie zadziałała artyleria przeciwlotnicza. Wojsko nie miało czym strzelać. Podobno dostarczono im niewłaściwe pociski. Zresztą szeregowi żołnierze sami padli ofiarą nalotów. Nazwisk większości z nich nie udało się do dzisiaj ustalić. Zginęli od bomb albo od serii z karabinów maszynowych, prujących do nich jak do kaczek.

W samym centrum Lublina, pełnym cywili, też rozpętało się piekło. Wybuchy przerodziły się w ogłuszający, niekończący się łomot. Pękających ścian. Tłuczonych szyb. Giętych blach. Przerzywany warkotem zniżających lot bombowców. Wszędzie kurz i pył. Lawiny gruzu z rozprutych murów. Przygniatających do ziemi wszystko, co napotkały na drodze.

Ktoś, kto widział to bombardowanie z daleka, powiedział, że bomby w słońcu wyglądały jak rozsypane na niebie koraliki, które z każdą chwilą stawały się coraz wyraźniejsze. Potem już tylko zderzały się z ziemią i z grzmotem zmieniały miasto w ruinę, trafiając w domy na Lipowej, na Szopena, na Kościuszki, na Kapucyńskiej, na Świętoduskiej, na Jezuickiej. Uderzyły w Krakowskie Przedmieście, w hotel Victoria, w Europejski. W ratusz, w którym zginęły od razu czterdzieści dwie osoby. W dworzec kolejowy i budynek poczty. I w wiele innych miejsc.

Na ulicach leżały trupy ludzkie i końskie. Liczone w setkach. Dymiły zgliszcza. Popieliły wraki samochodów. Ze słupów zwisały resztki strzelających iskrami kabli. Chodniki pokryły się odłamkami szkła.

I ciągle paliło się wiele budynków.

Po bombardowaniu przez miasto przejechało kilkadziesiąt jednostek straży pożarnej z Lublina i okolic. Żaden wóz się nie zatrzymał. Straż dostała rozkaz, by ewakuować się na wschód.

Tak jak rząd, którego domniemana obecność była powodem ostrzelania miasta. Podejrzewano, że jakaś część polityków i urzędników państwowych ciągle może jeszcze przebywać w Lublinie.

Ale ich tam już dawno nie było.



Część II

Lublin, 9 września 1939 roku

Dziurawiec ścisnął w rękach zielony lniany worek i rozglądał się wokół. Miał wrażenie, że gra w jakimś amerykańskim filmie, w którym to, co się widzi, nie może dziać się naprawdę. Na przykład wielka mała chodząca po mieście i obracająca je w gruzy.

– Bujdy! – machał zwykle ręką, wychodząc z kina Stylowy.

A teraz nie było już kina Stylowy. W jego miejscu został lej po bombie. Za nim zwalisko. Kikuty resztek sterczących ścian.

Trzy piętra kamienicy osunęły się jak domek z kart. Dziurawiec patrzył osłupiały na kupę gruzu.

Dziwił się swemu szczęściu. Dopisywało mu ostatnio jak nigdy w życiu.

Gdyby nie trzymany w rękach worek, byłby w samym środku zawalonej kamienicy. Przysypany stertą cegieł.

Ledwo godzinę wcześniej szedł przecież dokładnie w tym kierunku. Z nikim nie chciał gadać, tylko natychmiast sprawdzić, czy fryzjer pracuje jeszcze u Madame Ostrowskiej. Tyle chciał wiedzieć. Dlatego ruszył w kierunku Krakowskiego Przedmieścia. Zresztą pierwszy raz w życiu szedł tym deptakiem i czuł się z tym dobrze. Po dwóch dniach podróży wozem, w przyciasnym ubraniu i tak wyglądał lepiej od większości ludzi błakających się po ulicy. Część z nich musiała dojść do miasta pieszo. Byli zakurzeni i wymęczeni. Nieogoleni, czasami obdarci. Niektórzy zrezygnowani, niektórzy radośnie śmiali się z siebie. Ciągle ktoś się z kimś witał. On sam spotkał tylko Barucha, który prowadził pod rękę matkę. Baruch udawał, że go nie widzi. Dziurawiec uśmiechnął się pod nosem, wyprężył pierś i ze spokojem wpatrywał się w niego, gdy ten przerażony zerkał na

niego przez ramię. Ruszył dalej, gdy matka z synem zniknęły w wejściu do Domu Poznańskiego, wielkiego sklepu, do którego Dziurawiec nigdy nie wchodził i teraz też nie zamierzał. Zatrzymał się za to naprzeciwko magistratu. Z reguły wszelkie urzędowe gmachy obchodził szerokim łukiem, ale teraz w wielkim pośpiechu odjeżdżały sprzed niego beczkowszy straży pożarnej. Wyglądało tak, jakby ruszali do pożaru, ale wykrzykiwane komendy wskazywały na to, że mają rozkaz opuścić miasto i ruszyć na wschód.

Przyglądał się im z dziecięcym zaciekawieniem i już zamierzał odejść, gdy zobaczył wyłaniającego się z gmachu prezydenta Liszkowskiego. Widział go parę razy, jak przemawiał. Nigdy szczególnie się nim nie zainteresował i specjalnie mu się nie przyglądał, ale teraz prezydent zbiegał ze schodów z lnianymi workami pod pachą. Za nim z takimi samymi workami podążał jakiś urzędnik. Najpierw jeden, potem drugi. Worki wrzucali do bagażnika samochodu zaparkowanego za rogiem, gdy rozległ się alarm przeciwlotniczy. Jeśli wcześniej urzędnicy z prezydentem na czele spieszyli się, to teraz wpadli w panikę. Zaczęli gramolić się niezdarnie do samochodu. Przepychając się, próbowali wejść jednocześnie. Samochód ruszył z otwartymi drzwiami. Jeden z worków wypadł na ziemię, ale samochód ruszył i nikt nie wysiadł, by się po niego wrócić.

Dziurawiec przeszedł na drugą stronę ulicy i schylił się. Nie spodziewał się niczego szczególnego, ale instynkt podpowiadał mu, by to sprawdzić. Niektóre gesty, ruchy, spojrzenia wyglądały dziwnie znajomo. Odsznurował worek, przyrzekając sobie, że jeśli to papiery, to natychmiast kopnie je jak najdalej od siebie. Ale w środku były poupychane banknoty. Włożył do worka całą rękę i zamieszał. Pełno nowych, szeleszczących banknotów. Nie miał pojęcia, ile ich tam może być, nigdy nie miał w rękach tylu pieniędzy. Czasami kilka większych zwitków, ale to wszystko. Splunął przez lewe ramię, zasznurował worek i obejmując go mocno rękami, zamierzał nigdzie już nie zachodzić, tylko dotrzeć na Lubartowską i najpierw bezpiecznie je gdzieś ukryć.

Syreny ucichły. Wtedy zobaczył pędzący samochód policji. Auto

zwolniło przy magistracie. Nie uciekał. Zamarł. Jak słup soli z workiem państwowych pieniędzy w rękach. Pomyślał, że to koniec... Nigdy się z tego nie wytłumaczy.

Wóz policyjny zbliżał się. Dziurawiec stał mu na drodze. Prawie przed jego maską. Usłyszał klakson. Samochód, trąbiąc przeraźliwie, wyminął go. Umundurowany mężczyzna postukał się w czoło. Ktoś jeszcze wystawił rękę zza szyby, grożąc mu. I pojechali dalej drogą na Zamość.

Dziurawiec stał jeszcze chwilę, potem przeszedł na drugą stronę Krakowskiego Przedmieścia. Szedł otepiały przed siebie, gdy z daleka dojrzał kręcących się przed zakładem fryzjerskim dwóch artystów, których wiózł tu z Warszawy. Przytulił się do ściany. Nie zamierzał z nimi się witać ani rozmawiać, ani podawać im ręki, puszczając worek. Nie widzieli go, patrzyli w niebo. Też spojrział. Zdążył tylko mocniej przyłgnąć do przeciwległej ściany, obserwując sznur nadciągających samolotów. Nie ruszył się z miejsca, gdy runęła kamienica po drugiej stronie ulicy, przygniatając stojących pod nią ludzi.

Uniosły się tumany pyłu. Niebo grzmiało. Czuł trzęsące się mury, drżącą ziemię, słyszał krzyki, ale dopiero po kilku minutach zaczął cokolwiek widzieć. Uciekłby, gdyby wiedział dokąd, ale co chwilę wybuchały bomby. Płonął hotel Victoria, ludzie wybiegali ze środka, zabierając ze sobą to, co udało im się wynieść. Torby, walizki, wieszaki na ubrania, srebrne tace. Podmuch przewrócił kilka samochodów, leżały bokiem i na dachach. Dymiały. Zawalił się Dom Poznański. Paliła się ulica Bramowa. Bomby trafiły w ratusz, katedrę i sąd powiatowy. Ktoś biegł, krzyczał, że uciekających ludzi na placu Litewskim ostrzelały samoloty. Ludzie wołali straż pożarną, ale jej już nie było. Dziurawiec wzruszył tylko ramionami. Widział, jak wyjeżdżała z miasta. Nikt nie zawrócił.

Na drodze leżały ludzkie zwłoki. A obok końskie truchła. Jak oszalały szczekał kręcący się w kółko pies. Piszczął kot przygnieciony przez wielką belkę. Spod gruzów wystawały ludzkie szczątki. Czasami ruszające się ręce. Między powtarzającymi się nalotami z usypisk wyczołgiwali się ludzie.

Obok Dziurawca w bramie stanął jeden z nich. Cały obsypany tynkiem. Wyglądał jak trup z wybałuszonymi oczami. Oddychał głęboko i patrzył oniemiały. W końcu przetarł ręką twarz i zza pazuchy cienkiego płaszcza wyjął metalową piersiówkę. Popatrzył na nią, miała kilka wgnieceń. Odkręcił, pociągnął mocny łyk. Potem podał ją Dziurawcowi. Też się napił.

– Niezła – podziękował, przetykając.

Mężczyzna z niedowierzaniem kręcił głową.

– Masz pan pojęcie... – zaczął i nie mógł skończyć. Dziurawiec splunął i zrobił krok przed siebie.

– Masz pan pojęcie – ocaleniec powtórzył po chwili, biorąc kolejny łyk z piersiówki – kto zginął w tym zakładzie fryzjerskim?

– Kto? – zainteresował się.

– A... Józef Czechowicz. Znałeś pan go. Z Lublina był.

– Fryzjer?

– Jaki tam fryzjer. Poeta.

– A to nie znałem – odpowiedział Dziurawiec, wzruszając ramionami.

– Chcieliśmy się ogolić. Prosto z Warszawy. Bomba wpadła do zakładu. Wszyscy pod ścianę. Padłem. A on jeden w ruszył w jej kierunku. Jak zakłęty. W kierunku bomby. Rozumiesz pan to? – zapytał i znowu odkręcił piersiówkę. Napił się i podał.

– Poeta. – Dziurawiec ponownie wzruszył ramionami, chluszcząc kilkoma kroplami wódki na ziemię. – Niejeden artysta tu zginął – dodał, biorąc duży haust alkoholu. Oddał piersiówkę i bez słowa poszedł przed siebie.

Nie miał pojęcia, o kim mówił napotkany przez chwilą mężczyzna. Za to dobrze znał dwie kolejne osoby, które leżały na środku drogi. Baruch trzymał matkę za rękę, gdy runął na nich słup ogłoszeniowy. Blacha z jakiegoś szyldu wbiła się w jego twarz. Znikły gdzieś oczy, za to wystawały sztuczne zęby.

– Mówiłem, żeby ich nie wkładał – burknął pod nosem.

– Zna ich pan? – spytał ktoś stojący za nim. – Trzeba by zawiadomić rodzinę... – biadoliła jakaś kobieta, przez cały czas trzymając się za głowę. – Może ktoś wie, gdzie mieszkali?

Dziurawiec odszedł bez słowa. Doskonale wiedział, gdzie mieszkała samotna matka z podstarzałym synem, który nigdy się nie ożenił, bo te, które mu się podobały, do ożenku były za młode. Nie mieli żadnej innej rodziny. Tam zamierzał się udać, jak najszybciej się da. Niestety za rogiem z bramy wyszła młoda rozczochrana kobieta. Zagroziła mu drogę.

– Nie chce jeść – powiedziała, pokazując mu małe zawiniątko. W środku było niemowlę zawinięte w pokrwawione prześcieradło. – Nie chce jeść! – powtórzyła i jakby na dowód zadarła bluzkę chwyciła w rękę napęczniałą pierś i próbowała wcisnąć brodawkę w usta nieżywego dziecka.

– Widzisz, nie chce jeść! – powtarzała, kręcąc głową...

Nie minęło pół godziny, jak położył na stole worek pieniędzy. Zdjął z kuchenki garnek ciągle jeszcze ciepłej ogórkowej. Wziął łyżkę i zaczął jeść. Więcej jednak wylewał, niż nabierał. Popatrzył na ręce, trzęsły się. Rzadko mu się to zdarzało. Ostatni raz, jak miał kilkanaście lat. Odłożył łyżkę. Przez chwilę bezmyślnie gapił się w garnek, potem wyjął z zupy pływającą w środku kość, mocno chwycił i zaczął obgryzać.

Berlin, 10 września 1939 roku

Nakazałem mojej Luftwaffe, by walczyła honorowo, nie tak jej przeciwnicy. Proszę to wyraźnie podkreślić! – Hermann Göring uniósł palec, a potem skierował go w prosto w twarz angielskiego dyplomaty, który siedział w fotelu naprzeciwko niego. – Jeszcze jedną whisky?

– Poproszę – odparł mężczyzna w doskonale skrojonym szarym garniturze. – Dotarli do nas inne informacje. Podobno bombardowane są nawet szpitale?

– To polska propaganda – odparł Göring, wzruszając ramionami. Podniósł się z fotela, pomagając sobie obiema rękami, i podszedł do stolika obok. Nalał whisky do dwóch szklanek, ledwo po dnie.

Angielski dyplomata nie patrzył w jego kierunku, za to Gerhard von Lossow nie mógł oderwać wzroku od marszałka Rzeszy. Siedział w głębi gabinetu i starał się zachować jak najbardziej obojętną minę. Nie był pewny, czy do końca nad tym panuje. Niespodziewanie poproszono go, by wszedł do środka, podczas gdy feldmarszałek miał już gościa. Göringowi niewątpliwie nie zależało na tym spotkaniu i traktował go obcesowo.

Nie to go jednak zdziwiło, raczej sam wygląd marszałka. Wiedział, że Göring ma wiele słabości, widocznych już na pierwszy rzut oka, ale całość sprawiała kuriozalne wrażenie. Himmler niejednokrotnie mówił o nim „ten grubas”. Rzeczywiście. Trudno było uwierzyć, że był kiedyś asem lotnictwa i mieścił się do jakiegokolwiek maszyny. Znane też powszechne było jego zamiłowanie do luksusu i paradnych mundurów, ale nie spodziewał się zobaczyć marszałka w zielonym, skórzanym kaftanie bez rękawów, który był nałożony na jedwabną, białą koszulę z dużymi żółtymi guzikami. Na nogach miał krótkie, szare spodenki zapięte pod kolanami i długie szare skarpety. Obrazu tego dziwnego stroju

dopełniał skórzany pas, a do niego przytwierdzony złoty kordzik.

– Nie należy im wierzyć – wyjaśnił Hermann Göring, stawiając szklanę przed swoim gościem. – Wiem, jakie rozkazy wydałem. Moja Luftwaffe zachowuje powściągliwy umiar. Mają zakaz atakowania obiektów cywilnych, zatapiania statków szpitalnych, strzelania do spadochroniarzy i tym podobne. – Machnął ręką, a Anglik wziął dużego łyka i przełknął głośno. – Może pan być pewien, że władze niemieckie oraz ja sam – pokazał palcem na pierś – dołożymy wszelkich starań, by prowadzić tę wojnę w sposób jak najbardziej humanitarny.

– Byłoby to wskazane, bo...

– A co najważniejsze – przerwał mu Göring, robiąc spektakularnie długą pauzę. – Zabroniłem kategorycznie atakować Londyn.

– Dziękuję. – Anglik chrząknął.

– Obecnie dwie trzecie polskich sił zbrojnych są rozbite. To już nie potrwa długo. Potem zawrzemy pokój na uczciwych warunkach. Po wojnie z Polską gwarantuję radykalne uspokojenie sytuacji i to proszę przekazać swoim zwierzchnikom. A teraz pan wybaczy. Obowiązki – powiedział Göring i machnął ręką w kierunku Gerharda, który natychmiast wstał.

– Zrozumiem. Przedstawię stanowisko Niemiec – powiedział dyplomata, żegnając się.

Gerhard von Lossow został sam na sam z wielkim Hermannem. Już nie mógł się doczekać, kiedy opowie o tym Vietholdowi.

– Hitler miał rację. Nic nie zrobią – powiedział feldmarszałek do Gerharda, gdy już zostali sami. Odpiął od paska złoty kordzik, położył obok szklanej szkatułki. Wyjął z niej kilkanaście tabletek i połknął na raz. – Wolff powiedział mi, że jesteś osobą, z którą mam się kontaktować.

– Do dyspozycji. – Gerhard zasalutował.

– Usiądź, rozmawiamy nieoficjalnie. I niech tak zostanie. Hitler ma plany wobec Polski. Mają tam powstać wielkie niemieckie latyfundia. Trafiają w ręce szczególnie zasłużonych osobistości. W tym twojego szefa, jak mniemam. – Göring zaśmiał się. –

Wiedziałeś, że Heinrich miał być rolnikiem? Chciał mieć właśnie takie gospodarstwo na wschodzie.

Gerhard zaprzeczył. Nie miał o tym pojęcia.

– Ja też kiedyś szedłem na zebranie masonów, ale zapatrzyłem się na jedną szykowną blondynkę, ruszyłem za nią. Spóźniłem się i się nie zapisałem. Gdybym jej nie śledził, to zostałemby wolnomularzem. – Pokiwał do siebie głową, zamykając oczy. – A wtedy nie przyjęliby mnie do NSDAP. Widzisz, wszystko mogłoby potoczyć się inaczej. – Zaśmiał się znowu pod nosem. – A tak, mam nadzieję, że moja kolekcja poszerzy się o złotą trójkę z Polski. Mają tam portrety Rafaela, da Vinci i Rembrandta. Chcę, żeby to trafiło do mnie. Zrozumiałeś? – zapytał, moszcząc się wygodnie w fotelu.

Gerhard kiwnął głową.

– Przekaż Himmlerowi, że może szukać sobie rasy germańskiej na wykopaliskach i gdzie tam jeszcze chce. Mnie interesują mistrzowie, a nie jakieś pradawne dzikusy chowające się po lasach. Przekaż mu to – powtórzył Göring, kiwając palcem.

Gerhard tylko kiwnął głową. Według wytycznych Karla Wolffa miał wszystko zapamiętać i jak najmniej mówić.

– A ciebie co interesuje? – zapytał, przyglądając się von Lossowowi lekko już mętnym wzrokiem.

– Mnie chodzi o jeden obraz – odpowiedział Gerhard von Lossow po chwili. – Obiecałem ojcu.

– Czego więc pragnie wiedeńska arystokracja? – zainteresował się Göring.

– Nie pragnę go mieć. Chcę go zniszczyć.

– Wandal? A nie wyglądasz – zdziwił się feldmarszałek.

– Ten obraz przedstawia *bitwę pod Grunwaldem*.

Göring rozparł się w fotelu, aż ten zatrzeszczał. Przez dłuższą chwilę nie odzywał się.

– Tak... – westchnął. – Nie chciałem tej wojny... Nie jestem hazardzistą jak nasz Führer. Ale co zrobić, gra już się zaczęła. Teraz nie mamy już wyjścia, musimy ją wygrać. Inaczej to będzie wielka klęska. Zapamiętaj. Grunwald przy niej to... Ach. – Machnął ręką. – Masz moje błogosławieństwo. Sam podam ci

zapalniczkę. Tak na szczęście – zaproponował, wyjmując z pudełka cygaro.

– Dziękuję.

Potem poszła iskra i patrzył długo na ogień.

– Rozmawiałem dziś z naszym drogim Führerem... Podobno cała Warszawa stoi w płomieniach – zaczął mówić, lekko bełkocząc. – Oby ci się ta *Bitwa* nie spaliła przedwcześnie. – Uśmiechnął się, zamykając oczy. – Bo nie będzie zabawy, a chyba o nią chodzi.

Gerhard skrzywił się. Od rana myślał o tym samym. Miał nadzieję, że zdążyli ją wywieźć w bezpieczne miejsce.

Lublin, 10 września 1939 roku

Profesor Władysław Woyda poprawił muszkę na szyi. Podwinął rękawy białej koszuli, wyprężył pierś, nabierając w płuca powietrza, uniósł wysoko podbródek i odważnym krokiem wyszedł na dziedziniec lubelskiego muzeum. Nie pomogło. Tam znowu, po raz setny złapał się za głowę. Patrzył na tę ruinę od dwóch dni i wciąż nie przywykł do tego widoku.

Ledwo co ogarnął swoje lokum. Jeden z pocisków trafił w oficynę, którą otrzymali z żoną jako mieszkanie służbowe. Nagle zniknęła cała ściana. Łóżko stało na dworze, stół gdzieś wywiało, połamano, zawaliła się biblioteczka, trochę książek spłonęło, ale przeżyli. On był poobijany, z poparzonymi rękami. Ona z rozciętą głową. Ale poza tym nic więcej się nie stało. Wszystko, co ocalało z ich dobytku, przenieśli do środka i jako tako urządzili się w jednym z gabinetów.

Za to dziedziniec muzeum, mimo zarządzonych porządków i obiecanej pomocy z miasta, ciągle wyglądał żałośnie. W południowo-zachodnie skrzydło uderzyła bomba. Większość szyb powypadała, roztrzaskując się na ziemi. Pozłatywały dachówki i belki. Całkowicie zdematerializowały się zbiory przyrodnicze. W powietrze wyleciała kolekcja cennych ptaków, kilka zniszczonych okazów wałało się jeszcze po podwórku. Ciągle straszyły rozprutymi korpusami i popalonymi piórami. Z ram powypadały obrazy. Roztrzaskały się porcelanowe i fajansowe talerze. Spłonęły dokumenty i metryki muzealne. Wiatr ciągle roznosił palące się strzępy. Również z miasta dolatywały resztki tłących się tapet. Palił się jeszcze hotel Victoria i kilka kamienic przy Krakowskim Przedmieściu. Nie było komu i czym gasić pożarów.

Setki ludzi zginęły, dużo więcej straciło dach nad głową.

Kilka oddziałów wojska jeszcze przegrupowywało się w mieście. Ale od nich nie mógł oczekiwać pomocy. Ani też od

jakichkolwiek mężczyzn. Większość odgruzowywała domy i ulice w nadziei na uratowanie czegokolwiek, bo na znalezienie żywych nikt już nie liczył. Nie nadążano z grzebaniem zmarłych. Po nalocie było znacznie więcej bieżących spraw niż *Bitwa pod Grunwaldem*. Należało poczekać.

Profesor Woyda zdawał sobie sprawę z sytuacji, ale też co chwilę powtarzał:

– Tak, to nie może tu leżeć – powiedział do siebie po raz setny, obchodząc dookoła skrzynię, która stała nietknięta na środku dziedzińca. – Ale prędzej czy później się spali – dodał ze złością, przydeptując świeżo wypastowanym butem tłący się kawałek papieru.

– To pewne – westchnął smutno Stanisław Mikulicz-Radecki, który właśnie wrócił z miasta i zrezygnowany stanął za jego plecami. – Rozpoznałem ich po ubraniach. Nie po twarzach. Rozumie pan? Nie po twarzach.

– Przykro mi – powiedział Woyda łamiącym się głosem. – Tacy młodzi.

– Nie żyją obaj. Jak ja to powiem jego matce? Jak ja to powiem jego matce? – zaczął powtarzać Mikulicz, chwytając się za głowę.

– Chce pan, abym to ja ją powiadomił?

– Nie, zrobię to sam. Zadzwonię, jak naprawią połączenia. Nie dam rady wrócić do Warszawy – powiedział i położył rękę na skrzyni. Woyda miał wrażenie, że dyrektor Zachęty przez ostatnie dwa dni postarzał się o dziesięć lat. W zapyłonym powietrzu odezwała się też jakaś choroba płuc. Był blady i co chwilę kaszłał.

– Nie ma powodu, aby pan też tu czekał – stwierdził Woyda stanowczym tonem. – Proszę jechać na Polesie do rodziny. Póki czas. Tam się pan wykuruje.

– Myli się pan. Mam powód – powiedział Mikulicz, klepiąc otwartą dłońią w skrzynię.

– Na nic się pan tu nie przyda – skomentował szorstko Woyda. – Pieczyrak obiecał, że się tym zajmie, to się tym zajmie! – podkreślił. – Teraz ma martwych i żywych ludzi na głowie. Ale jak się z nimi upora, to i Matejkę gdzieś ukryje. Może tu jeszcze

leżeć, nie zanosi się na opady – powiedział, pokazując na bezchmurne niebo – Choć żona z innymi kobietami modlą się o deszcz. Mówi, że szybciej błoto zatrzyma niemieckie wojska niż ta nasza armia. Czasami ma rację.

– Wszystko się sprzysięgło przeciwko nam – stwierdził Mikulicz, patrząc w górę. – Na razie nikt z urzędników nam tu nie pomógł.

– Nie zna pan pana Romana. – Profesor Woyda zmarszczył czoło, jakby usłyszał obelgę co najmniej pod swoim adresem. – On był w konspiracji jeszcze za cara! Brał udział w akcjach bojowych. Mówię panu, jakie on rzeczy niewiarygodne wyprawiał! Potem aresztowali go, torturowali go i nic. Na koniec zesłali do Kraju Turchańskiego za koło polarne. Po siedmiu latach na odzyskanie niepodległości dopiero wrócił. To człowiek siła. Nic go nie załamało. Nasz wojewoda też nie wyjechał. Poradzimy sobie – powiedział, potrząsając ramionami dyrektora Zachęty. – Proszę mi wierzyć.

– Chyba nie mam wyjścia – odpowiedział mu Mikulicz, siłąc się na uśmiech. – Trzeba by obraz tylko jakoś do piwnicy przenieść.

– Do piwnic nie da rady. – Woyda rozłożył ręce. – Tam zbiory ze Śląska zwiezione. Pięćdziesiąt siedem skrzyń i kilka rulonów, a poza tym kręte schody. Nie obrócimy się z tym w przejściu. Nigdy. Ale ma pan rację. Ważne, aby go zaciągnąć do środka – potwierdził, odganiając sprzed twarzy kawałki sadzy. Potem przez dłuższą chwilę gładził zakręcone wąsy.

– Razem to my mamy ponad sto lat – westchnął zrezygnowany dyrektor Zachęty.

– Obwiążemy linami i pociągniemy. Gimnastyka też nam nie zaszkodzi – tłumaczył niezrażony Woyda, zakasując rękawy białej koszuli. – Pomogą nam kobiety. Kilka przyszło do pracy. – Wskazał ręką dwie sprzątaczkę, które z miotłami, centymetr po centymetrze starały się uporządkować teren. – Poszukają innych. O! I dołączy do nas parę bibliotekarek. – Pokazał na puste okno, z którego wyglądała dziewczyna z długą grzywką przeczesaną na prawe oko. – Dzień dobry! – krzyknął w jej kierunku, machając ręką.

Po godzinie zmontowała się przygodna ekipa składająca się z pięćdziesięcioletnich muzealników, czterech bibliotekarek, dwóch sprzątaczek, przyciągniętych z ulicy dwóch starsuszków i kilku wyrostków.

Jeden z młodych chłopaków bezustannie pytał:

– A co to takie ciężkie?! A co tu jest?

Reszta też była ciekawa i co chwilę zagadywała:

– Skarby pewnie?

– Głupi jesteś! Broń to musi być jakaś.

– W muzeum?! Klejnoty raczej.

– Mówią, że prezydent Liszkowski to sto tysięcy wywiózł, może wszystkiego nie wziął.

– Takie wielkie?

– Chłopaki! Nie interesujcie się. Nie dla was to – wtrąciła się bibliotekarka z grzywką zaczesaną na bok.

– A my ciekawe – odpowiedział butnie jeden z nich.

Zatrzymali się przed schodami. Wtedy profesor wyprostował się i zmarszczył czoło.

– To rządowa przesyłka objęta tajemnicą państwową! Nie wolno pytać!

– A ciągnąć wolno? – odburknął zasapany malec.

– Dam wam później jakąś nagrodę – obiecała bibliotekarka. – A pan profesor na pewno w swoim czasie zdradzi nam tę tajemnicę – powiedziała, uśmiechając się szeroko do Woydy. A ten stwierdził, że byłaby bardzo ładna, gdyby nie plama na prawym policzku. Był jej niezmiernie wdzięczny. Chłopcy pokwékali, ale potem pchali co sił w rękach. Tak samo kobiety.

Po kolejnej godzinie udało im się zaciągnąć skrzynię z obrazem do jednej z sal muzealnych przylegających do biblioteki.

– Niedobrze, że tyle osób wie – westchnął zasapany Mikulicz-Radecki, zamykając drzwi za pracownicą biblioteki, która kilka razy oglądała się przez ramię, nim wyszła. – Ludzie dużo gadają. Pomyślą, że jakieś skarby przenosimy.

– Już tak myślą – stwierdził Woyda, siadając na podłodze i opierając się o skrzynię. – Ale mam pomysł! – wykrzyknął po chwili. – I nie nazywam się Władysław, jak tego nie załatwię –

oświadczył, strzelając szelkami. – Proszę tu poczekać.

– Nigdzie się jeszcze nie wybieram – powiedział Mikulicz-Radecki, opierając głowę o skrzynię.

– Niech pan lepiej w domu... w gabinecie moim poczeka. Przyślę żonę. Ona już sobie z panem poradzi. Muszę się tylko przebrać. Tak nie wypada wychodzić! – stwierdził Woyda, patrząc na pogniecioną koszulę, i wyszedł różnym krokiem. Na dziedzińcu muzeum znowu chwycił się za głowę.

Nie było go kilka godzin.

Żona Woydy, Antonina, zdążyła przygotować coś do jedzenia i pozamartwiać się o męża i koszule, których nie dało się doprać, gdy ten niespodziewanie otworzył drzwi na oścież.

– To się musi udać! Panie Stanisławie, proszę, przedstawię panu rozsądnego porucznika, który rozumie sytuację i nam pomoże. Niech pan idzie za mną. – Woyda żwawo ruszył przodem, tak że nie widział idącego za nim Mikulicza-Radeckiego.

Odwrócił się dopiero, gdy pojawił się przed nimi wspomniany porucznik Wojska Polskiego.

– A panu co? – wystraszył się Woyda, widząc zapłakanego dyrektora Zachęty, który rzucił się w jego kierunku.

– Cieszę się, że pan żyje! – wykrzyknął tamten.

– W sumie dzisiaj nic mi takiego nie groziło... – zaczął tłumaczyć zdziwiony Woyda, ale dyrektor przebiegł obok, potrącając go. Omal go nie przewrócił.

Ja też, panie Stanisławie. Ja też. – powiedział Daniel Faber i nie wiedział, co ma ze sobą zrobić. Dyrektor Zachęty objął go obiema rękami i nie puszczał przez dłuższą chwilę.

– Przepraszam. Świat się wali. Jak ja się cieszę. Jak ja się cieszę – powtarzał, wtulając się w jego ramiona jak dziecko. – Tak się cieszę, że choć pan się uchował – powiedział, oglądając go od stóp do głów. – Zmężniał pan w tym mundurze. A pana żona? – dodał po chwili. – Syn? Dowieźliśmy ich tu bezpiecznie. Co z nimi?

– Są u rodziny i jutro, najdalej pojutrze ruszają w drogę. Nie

czas wyjaśniać, za dużo by mówić.

– Widzę, panowie się znają – wtrącił się zaskoczony Woyda.

– Długa historia – powiedział z dumą w głosie Stanisław Mikulicz-Radecki i jakby nowy duch w niego wstąpił. Zaczął opowiadać. – Dziadkowie pana Fabera byli spokrewnieni z właścicielami obrazu. Cioteczna babka Amelia Rosenblum przekazała Zachęcie swoją odziedziczoną w spadku część. A reszta spadkobierców zrzekła się połowy sumy, którą mogli za ten obraz uzyskać...

– Piękny gest – przerwał mu profesor.

– I wielki kłopot. – Faber pokazał na skrzynię.

– Teraz się nie dziwię, że tak szybko zgodził się pan pomóc. – Woyda pokiwał głową.

– To oczywiste. Pan Faber jest żywo zainteresowany losami obrazu – potwierdził Mikulicz. – Był już przed wojną...

– To się doskonale składa – przerwał szybko Woyda. – Mam dobry plan! – wykrzyknął entuzjastycznie.

Lublin, 11 września 1939 roku

Dziurawiec przespał ponad dwadzieścia cztery godziny. Ktoś pukał do drzwi. Ale pogonił go skutecznie, wyzywając od hien cmentarnych, i zasnął znowu. Na dobre przebudził się w środku nocy i nie spał już do rana. Patrzył przez parę godzin w okno. Nocą słyszał jeszcze warkot silników samolotowych. Nadlatywały. W mieście ciągle paliło się jeszcze kilka budynków. Nie miał ich kto gasić, nie było już też wody w kranach. Ludzie musieli czekać, aż budynki się same dopalą. Te więc nocą oświetlały drogę niemieckim lotnikom. Ci nadlatywali i bezkarnie co jakiś czas rzucali pojedynczą bombę.

W nocy Dziurawiec nie palił światła. Nawet nie był pewny, czy było. Nie reagował też na krzyki dobiegające z parteru kamienicy. Nie zamierzał nigdzie schodzić. Był już na zewnątrz w czasie nalotów i wcale nie czuł się bezpiecznie. Począł na świt. Wtedy zajął się szukaniem w mieszkaniu schowka na worek pieniędzy. Złapał się na tym, że chciał je najpierw ukryć pod stertą pościeli, w szafie. Wkładając tam rękę, znalazł plik starannie ułożonych banknotów. Matce Barucha musiało udać się wyjąć pieniądze z banku jeszcze przed wrześniem. Była sprytną i zaradną kobietą. Za to chowała je jak każdy. Postukał się w czoło. Kiepski złodziej znalazłby je po dziesięciu minutach. Zastanawiał się, gdzie sam by szukał, i żadna kryjówka nie była zbyt bezpieczna. Zostawił więc przy kuchni na wierzchu. Obok worka z fasolą.

Potem pogrzebał w szafie. Ubrania Barucha w miarę pasowały, niektóre były trochę przyciasne w barkach, ale na długość w sam raz. Długo wybierał, po czym założył najbardziej odświętny strój, którego

ł ja, przejrzał się parę razy w lustrze i wyszedł z kamienicy.

Pora była na tyle wczesna, że postanowił zacząć się gdzieś przy muzeum i zobaczyć, czy Eliza chodzi tam do pracy. Otwarcie

miało być pierwszego września. Pewnie go nie było, ale ludzie starali się jakoś funkcjonować. Do wojska jej przecież nie powołali. Zastanawiał się, czy będzie miał się jak ukryć, gdy na podwórzu przed muzeum rozległ się jakiś gwar. Wtaczał się tam właśnie koński zaprzęg, wjechał też wojskowy gazik, z którego wysiadł umundurowany mężczyzna. Udało mu się zobaczyć tylko garbaty nos. Zaczął wymachiwać rękami.

- No i gdzie to jest! - krzyczał. - Całego dnia nie mam, żeby tu sterczeć! Ileż to trzeba na wielmożnych profesorów czekać! - machał rękami. Wokół niego zgromadziło się kilkunastu żołnierzy. Z gmachu wyszły też sprzątaczkę. Otworzyły się dwa okna. Dziurawiec przyglądał się im z daleka.

- Czy my nie mamy ważniejszych spraw? Wojna jest! Znaleźć ich - rozkazał żołnierzom. - Zawracać głowę tylko potrafia! - pokrzykiwał, maszerując w tę i we wtę.

Szybko pojawiło się kilku gapiów i jeden wyrostek. Zjawił się też zaspany intendent, który przywitał ich dwa dni wcześniej, kiedy zajechali do muzeum. Miał przekręconą lekko muszkę w grochy i ukradkiem ziewał, rozglądając się dookoła. Wkrótce dołączył do niego znany mu wcześniej muzealnik z Zachęty. Porucznik ruszył wprost w jego kierunku.

- Szkoda, że pan w piżamie nie przyszedł! - wykrzyknął. - Gdzie pana bagaże?! Cały dzień mamy na pana czekać? Jeszcze jeden kłopot. Oczywiście oprócz tego grata, który mamy zabrać.

- Bagaże?! - zapytał oniemiały dyrektor Zachęty, który z otwartymi ustami patrzył na porucznika i wyglądał, jakby się dopiero teraz obudził.

- Tak sauté pan jedziesz? Wycieczka za miasto? Rekreacja?

- Nie, nie. Ja do rodziny. W środku mam jeszcze walizki - tłumaczył się nieporadnie dyrektor, pokazując na gmach.

- To na co pan czekasz?! Kolumna na Polesie rusza, masz pan ją dogonić. Jedziesz pan, czy czekasz pan na specjalne honory?

- A to ja, ja, ja już lecę po rzeczy... - jękał się, patrząc w osłupieniu. Widocznie nie był przyzwyczajony do takiego traktowania. Przynajmniej tak pomyślał Dziurawiec.

- To co pan tu jeszcze stoisz?! - huknął mu do ucha porucznik. -

Nogami się idzie. To nawet dzieci wiedzą.

– Pomóż mu. – Porucznik machnął ręką na jednego z żołnierzy, który podszedł do dyrektora i pytał o drogę. Po chwili razem ruszyli w kierunku gmachu. Dyrektor jeszcze się oglądał przez ramię, ale porucznik już na niego nie patrzył. Podszedł teraz do intendenta, który również miał zaskoczoną minę.

– Pan to się zdaje, na oklaski czeka?! – wrzasnął porucznik. – Armia „Lublin” już opuściła miasto. Mnie zawrócili, żebym jakąś skrzynię targał! Bo jakieś zramolałe mantyki myślą, że są najważniejsze! Nie stój pan tak jak słup soli! Jakiś pan gadał z moim dowódcą, toś pan języka w gębie jakoś nie zapomniał?

– A, tam w środku. – Intendent pokazał ręką.

Porucznik machnął na resztę żołnierzy.

– Byle mi szybko po tym muzeum! – poinstruował ich. – Zwiedzać to sobie będziecie po wojnie! Raz! Raz! – krzyknął i wszyscy zniknęli w środku gmachu.

Dziurawiec już dawno nie słyszał, żeby tak panów profesorów ktoś zrugął. Musieli temu porucznikowi na odcisk nadepnąć, bo krzyczał, nie patrząc na przypatrujące się całej sytuacji osoby, których zbierało się coraz więcej. Lepszej sytuacji Dziurawiec nie mógł sobie wyobrazić. Z muzeum i z przylegającej do niego biblioteki wyszli już prawie wszyscy. Jeśli ona tam była, też musiała się pojawić. Nie czekał zbyt długo. Przyszła, dopytując postronnych obserwatorów, co się stało. Nie zmieniła się. Nie była ranna. Nic jej nie dolegało. Miał nawet wrażenie, że jest zadowolona. Wesoło rozmawiała z żołnierzami. W białej sukience w granatowe grochy wyglądała naprawdę ładnie. Przyglądał się jej ze ściśniętym gardłem. Miał ochotę wyjść z ukrycia i potrząsnąć nią z całej siły. Tak żeby zabolalo. Ale jeszcze nie teraz. Jeszcze nie w tym momencie. Po mieście kręcili się wojskowi, ulice patrolowali policjanci. Jakieś oskarżenie rzucone w jego kierunku i znów by się nie wytłumaczył. Nigdy też nie robił nic w pośpiechu. Chyba że wymagała tego sytuacja. Ale teraz nie było takiej potrzeby. Patrzył więc sobie na nią z zaciśniętymi pięściami. Jak rozmawia ze wszystkimi, jak chce wejść do muzeum, ale drogę zagraadza jej jeden z żołnierzy i nie

wpuszcza do środka.

Musiała czekać razem z innymi. W końcu żołnierze wytaszczyli skrzynię i dosyć sprawnie załadowali ją na platformę zbliżoną gabarytami do tej, na której przyjechała.

Wyszedł też dyrektor Zachęty. Zdążył dać intendentowi bilet wizytowy, powiedzieć mu kilka słów do ucha.

– Do świąt nie będziemy tu czekać. Wystarczy już tych czułości! – zwrócił się porucznik do muzealników. I jeden z nich pokornie zapakował się do gazika. Porucznik wszedł za nim.

– I żebym pana więcej nie widział. Wojsko ma ważniejsze sprawy! – krzyknął w kierunku intendenta.

– Ależ pan gbur! – nie wytrzymała jedna ze sprzątaczek.

– Cackać się będziemy po wojnie! – odparował porucznik i dał znak kierowcy, by odjechali.

Za nimi ruszył wóz ze skrzynią. Zawrócił na podwórku. Wyjątkowo sprawnie. I konie ruszyły.

Dziurawiec patrzył, dopóki wóz nie wyjechał z podwórca gmachu. Nawet gdy znikł mu z oczu, Dziurawiec nie mógł przestać myśleć o platformie. W końcu zrozumiał. Ruszył i biegł najszybciej, jak mógł, żeby tylko dogonić wóz. Udało się, wybiegł skróttem na ulicę Narutowicza. Platforma minęła go. Już jej nie gonił, tylko stał z rękami założonymi na piersiach i patrzył, jak konie rześko stąpają, a skrzynia podskakuje na byle wybojach.

Przecucie go nie myliło. To nie konie były rześkie albo woźnica lepszy. To skrzynia była pusta!

Cokolwiek w niej było, zostało w muzeum. Wyjechały tylko zbite deski. Tego był pewien. Uśmiechał się, patrząc za odjeżdżającym wozem. Do momentu aż ktoś nie klepnął go po ramieniu.

– Pan Dziurawiec! Jak dobrze pana widzieć... – Dziurawiec odwrócił się powoli i zobaczył uradowanego profesora Woydę. – Niestety. Spóźnił się pan. A niewiele brakowało... Zapraszam. Musi pan koniecznie iść za mną – mówił profesor Woyda, omijając śmieci, które wały się po dziedzińcu lubelskiego muzeum.

Część z nich jeszcze całkiem niedawno była eksponatami, teraz

do niczego się już nie nadawały. Starał się więc nie patrzeć pod nogi, choć i tak, chcąc nie chcąc, co jakiś czas schylał się i podnosił resztkę czerpanego papieru, część ramy, wyszczerbione fajansowe wazony.

– Dyrektor Mikulicz-Radecki musiał już pojechać. Proszę mi wierzyć, nie mógł poczekać na pana. Na pewno by chciał, ale nie mógł... Z wojskiem w takich czasach to się zwykły człowiek nie dogada. Rozkaz wydadzą i już. Pakuj się i jedź. Nie czekają. Nie mogę – mówił głośno, rozglądając się dookoła, po czym oparł się o ramię Dziurawca i zaczął szeptać mu prosto do ucha: – Oczywiście ten porucznik to nie lada przysługę nam wyświadczył. Ale o tym to może za chwilę. Pyszna akcja – dodał, zacierając ręce i mrużąc porozumiewawczo oko. Robił tak, dopóki Dziurawiec nie dał mu znać, że rozumie, i nawet uśmiechnął się lekko.

– Ten porucznik, znajomy pana Radeckiego, to on się aktor okazał nie lada. Taki nieśmiały, ale jak miał odegrać scenkę, to jakiś duch w niego wstąpił. Wszyscy go zapamiętają. Fortel nieprawdopodobny – zachwycał się.

– Tak. Nie wpadłbym na to – skwitował Dziurawiec, a profesor z wdzięcznością poklepał go po plecach, tak jakby był dawno niewidzianym krewnym, i objął go jedną ręką.

Dziurawiec wzdrygnął się, ale rozentuzjasmowany Woyda nawet tego nie zauważył. Tak się cieszył na jego widok, że nie zamierzał go puścić. Chwytał go pod ramię i zaczął ciągnąć w kierunku muzeum.

– Musimy omówić kilka spraw – zdecydował, gładząc się po srebrzystych wąsach. – A słyszał pan, co się stało z Ejsmondem i Surałą...

– Widziałem.

– O Boże wszechmogący! Był pan tam?! Na Krakowskim? – zapytał i przeżegnał się. – Tylu zginęło. Nie mogę w to uwierzyć. Tacy młodzi. Tacy młodzi – powtórzył, wznosząc oczy do nieba. – Cóż. Dobrze, że nic się panu nie stało! To barbarzyństwo tak ludzi bombardować. Barbarzyństwo! Żona moja mówi, że to przez nasz rząd, co przez chwilę w Lublinie naszym gościł. Że to w nich

celowali. Ale chyba to przesada. Zastraszyć nas chcieli... To pewne. – Wyprężył się i wygłosił: – A Polaków tak łatwo zastraszyć się nie da!

– Każdego się da – odburknął Dziurawiec, który dokładnie w tym momencie wypatrył na schodach Elizę. Była odwrócona plecami, nie spuszczał z niej wzroku. Ale nie odwróciła się. Weszła do środka. Gdyby był sam, poszedłby za nią. Teraz nie zamierzał.

– A niech tylko spróbują! – buńczucznie zakrzyknął profesor, rozglądając się po dziedzińcu, jakby już szukał jakiegoś Niemca do bicia. – Ale nie ma co. Przegraliśmy bitwę, ale jeszcze nie wojnę. Już są wzięci w dwa ognie. Francja i Anglia, jak się w końcu zbiorą i uderzą z wody, lądu i powietrza, jednocześnie! Skończy się – zawyrokował, rozkładając ręce na boki najszerzej jak się da. – Nawet Australia wypowiedziała im wojnę. I Szwajcaria ogłosiła mobilizację. Będą uciekać, aż się kurzy. Mówię panu.

Dziurawiec nic nie powiedział. Na razie widział, jak się kurzyło za uciekającymi limuzynami. A z reguły wierzył tylko w to, co widział.

– No tak – westchnął profesor. – Musimy na ich interwencję poczekać. Ale do tego czasu niech każdy wykonuje, co do niego należy. Pan tu bezpiecznie dowiózł... – powiedział i rozejrzał się wokół siebie. Za plecami krążyła stara sprzątaczką, zniżył więc głos. – Tę rzecz. – Kiwnął porozumiewawczo głową. – A słyszałem. Łatwo nie było. Dyrektor Mikulicz nie zdążył mi wszystkiego opowiedzieć. Ledwo wspomniał. Podobno udało się panu podmienić postrzelone konie... Szkoda, że mieliśmy dla siebie tak mało czasu. Nie chciałem też go męczyć za bardzo. Przygnębiła go śmierć waszych kompanów. Podobno zna matkę pana Ejsmonda i widział też młodą żonę Surały-Gajduczeniego... Ech! Szkoda gadać. – Odgonił rękami ciągle spadające z nieba kawałki sadzy. – Kiedy w końcu to ugaszą?!

– Jak samo się dopali – skwitował Dziurawiec.

– No tak, dyrektor mówi, że ma pan umysł praktyczny i konkretny. Teraz zakładam, że to już sam pan nam opowie

i wesprze radą, jak tylko dołączy do nas pan prezes sądu Stanisław Bryła – zakomunikował Woyda, a Dziurawiec zatrzymał się w pół kroku. – Obiecał być lada moment – szybko zaczął tłumaczyć Woyda i mocno chwycił Dziurawca za ramię. – Z tego co wiem, dołączy do niego jeszcze adwokat pan Stanisław Kalinowski, to prezes towarzystwa naszego Muzeum Lubelskiego. Same przyjemne osobistości...

– Muszę już iść – przerwał mu Dziurawiec.

– Wiem, wiem, ale... – zaczął profesor Woyda. Chwycił Dziurawca za ramiona i zaczął nim całym trząść.

Dziurawiec cały się spiął i odruchowo zacisnął pięści, ale schował je za plecami. Nikt nim jeszcze tak bezkarnie nie potrząsał, nie wiedział, jak się ma zachować.

– Wy młodzi w takich czasach to same ważne sprawy macie. Trzeba lat, by zrozumieć, że takie dobro kultury jest ważniejsze. Je należy chronić nawet bardziej niż niejedną twierdzę! Bo twierdzę to się odbuduje w razie czego. A taki obraz kto odmaluje? Przepadnie i koniec! – Uniósł obie ręce do góry, puszczając ramiona Dziurawca, który szybko zrobił krok do tyłu.

Nic to nie dało. Profesor przysunął się jeszcze bliżej.

– Nie opuści nas pan. Nie pozwolę na to. Pan jesteś dobry, konkretny człowiek. Wiem, że jeszcze się pan tu przyda! – stwierdził, uśmiechając się przymilnie. – Ja to się znam na ludziach! Niech pan mi wierzy.

Dziurawiec nie uwierzył, ale też nie miał pojęcia, co ma powiedzieć. Normalnie odwróciłby się na pięcie i poszedł sobie, najlepiej bez żadnego słowa, co wyrażałoby jaki taki szacunek, albo podirytowany gadatliwością profesora powiedziałby coś takiego, że ten popamiętałby to na dłużej... Ale coś go zatrzymało. Sam nie wiedział co. Nowe czasy, nowa sytuacja, nowe możliwości. Trudne do oceny tak samo straty, jak i korzyści.

– Panie Dziurawiec – wykorzystując moment, Woyda zaczął się tłumaczyć z jeszcze większym przejęciem. – Powiem otwarcie, panu mogę. Moja żona została ranna. Niegroźnie, ale nie pomoże mi teraz, to pewne. Powiedziała, że to wykluczone. Zajmuje się

organizowaniem talerzy, łóżek, pakuje książki, które praktycznie stoją na dworze. W międzyczasie szyje z flaneli maski przeciwgazowe, bo nie wiadomo, czym jeszcze nas zaatakują. Według niej Bóg wie, ile ta wojna jeszcze potrwa – westchnął, unosząc oczy do nieba. – Zawsze spodziewa się najgorszego. Taka już jest, co począć. Ja sam już trochę stary jestem i sam nie dam rady. A tu musimy sporo cennych rzeczy poprzemnieść. Z depozytu, ze skrytek – dodał i znowu wspiął się na palce, szepcząc błagalnym tonem, wprost do ucha Dziurawcowi. – Z sejfu... Rozumie pan? – Dziurawiec nawet nie drgnął.

– Wstyd powiedzieć, ale ja tu niewielu osobom ufam. – Profesor złożył ręce jak do modlitwy... – Z nieba mi pan spadłes...

Dziurawiec odwrócił głowę i splunął przez lewe ramię. Włożył rękę do kieszeni i wyciągnął papierosy. Odpalił jednego, osłaniając ręką twarz, bo wiatr targał płomykiem wydobywającym się z zapalniczki.

– Ja się znam. Ja mam szczęście do ludzi... – paplał dalej profesor.

– Znałem tu kiedyś jedną dziewczynę... – przerwał mu Dziurawiec. – Z taką plamą na twarzy... Nie wiem, czy nie wyjechała? – zapytał, wypuszczając dym.

– Nie! Nie! – ucieszył się Woyda. – Wczoraj pomagała nam wtargać do środka nasz obraz. Oczywiście nie wiedziała, co dźwiga. Jest rozkaz, by trzymać to w tajemnicy. To bibliotekarka, taka miła kobieta. O, nie dziwię się, nie dziwię się, panie Dziurawiec... Przyjemna kobieta. – Uśmiechnął się przymilnie, podkręcając wąsa. – Dziś chyba ich tam nie ma, ale mogę się dowiedzieć, gdzie mieszka.

– Chciałbym jej zrobić niespodziankę...

– Oczywiście, będę dyskretny. – Mrugnął okiem. – A więc pomoże mi pan? – spytał profesor i ucieszył się jak dziecko, gdy Dziurawiec przytaknął, zaciągając się głęboko papierosem.

Kapral Witkowski spod Konina ucieszył się, gdy zatrzymała go ta miła młoda kobieta. Nawet ładna mimo myszki na policzku. Jak się uśmiechała, to prawie nie było widać skazy. W letniej

białej sukience w groszki i granatowym sweterku wyglądała radośnie. Na imię też miała ładnie. Eliza.

Patrząc na nią, zapomniał na chwilę o toczącej się dookoła wojnie i przestał myśleć o tym, gdzie się znajduje. Jak stąd daleko do domu. Kiedy uda mu się wrócić. I czy w ogóle wróci. Ludzie różnie mówili... Trafił do Lublina razem z pułkownikiem Bartakiem, którego naczelną wódz mianował kwatermistrzem Armii „Lublin”. Dotarli, ale armii w mieście już nie zastał. Podobno ruszyła do Kraśnika i Janowa Podlaskiego. Dziewczyna właśnie o to pytała. Mówiła o narzeczoną, z którym wkrótce miała się pobrać. Bardzo się o niego martwiła. Chciała chociaż wiedzieć, gdzie jest. Co robi? Kiedy do niej wróci? Bardzo się smuciła i bardzo ładnie uśmiechała. Kapral Witkowski też chciałby, by ktoś tak pięknie o nim mówił i tak czule wspominał.

Powiedział tyle, co wiedział. Również to, czego nie wiedział, a tylko przypuszczał. Z natury był optymistą, starał się więc w jasnych barwach przedstawić sytuację. Pocieszał dziewczynę najlepiej, jak umiał. Ta ładnie odgarniała włosy z twarzy. Przechylała głowę, chwytając się za policzki z przerażenia i oddychała z ulgą, przykładając ręce do piersi, gdy słyszała pocieszające informacje. Przekonywał ją więc tak, jak by przekonywał sam siebie. Że jeszcze nie wszystko stracone. Że się przegrupowują. Że rząd podpisuje umowy z Francją i Rumunią na dostarczenie broni. Że mają jeszcze wielkie szanse. Nawet on sam najprawdopodobniej zostanie w Lublinie, bo jutro ma się pojawić pełno wagonów wyładowanych amunicją. Trochę to ubarwił, ale nie żałował, bo dziewczyna bardzo się z tej informacji ucieszyła. Ulżyło jej. Nawet umówiła się z kapralem na następny dzień. Obiecała przynieść jakieś lubelskie specjały, których zapewne żołnierz z Konina nigdy nie próbował. Przrzekł jej, że jak tylko będzie mógł, to się pojawi.

Niestety, jednak nie dane mu było spróbować tych smakołyków, bo dostał rozkaz i wyjechał jeszcze tego samego wieczoru.

Wyjeżdżając, myślał o zamartwiającej się dziewczynie. I cieszył się, że przyniósł jej odrobinę pociechy, nawet nieco przekłamując rzeczywistość.

Nad ranem niemieckie samoloty zbombardowały działającą jeszcze część dworca. I nawet gdyby taki pociąg z amunicją miał się pojawić, nie dałby rady dojechać na miejsce.

Kapral Witkowski przez chwilę zastanawiał się, skąd ci Niemcy to wszystko wiedzą...

Lublin, 13 września 1939 roku

Jona Faber usiadł na ziemi, opierając się o resztkę ściany. Podkulił kolana, oparł na nich brodę, objął rękami nogi, mocno je ściskając, i zaczął płakać. Czytał już o sierotach i nie było to nic dobrego. Nawet jeśli to były bajki, to już wcześniej przeczuwał, że mogą mieć sporo wspólnego z prawdziwym życiem. Teraz było to prawie pewne. Było mu przeraźliwie smutno, zimno i źle.

A jeszcze rano wstał radośnie podniecony, jak zawsze przed podróżą. Razem z mamą i ciotką mieli najwcześniejszym pociągiem jechać na południowy wschód, w kierunku rumuńskiej granicy. Prześledził całą trasę, był pewny, że się uda dotrzeć tam, gdzie skierował ich ojciec. Z mamą nie było łatwo, mogła zgubić się we własnym ogrodzie. Ale z ciotką było bezpiecznie. Wszyscy się jej bali. Nawet on. Potężna kobieta z nieodłącznym mopsem na rękach miała minę nie mniej groźną niż jej pies, który był wiecznie nadąsany i gryzł wszystkich jak popadnie. Ciotka długo zwlekała, w końcu jednak postanowiła wyjechać z Lublina. Nie spodobały się jej ostatnie naloty, które zburzyły należącą do niej kamienicę na Złotej, a jeszcze bardziej to, że kucharka uciekła na wieś. Znała dwóch generałów i wykorzystała to. Ojciec już wcześniej mówił, że jak ciotka coś postanowi, to tak się dzieje. Miał się jej trzymać. Przyrzekł ojcu, że będzie się opiekował matką. Pożegnał się z nim po męsku i udało mu się nawet nie popłakać. Był z siebie bardzo dumny. Na wszelki wypadek ścisnął w rękę jeszcze jeden adres do dalekiej rodziny w Lublinie, który dał mu ojciec. W ostateczności miał go użyć.

Pilnował mamy. Nie odstępował jej na krok i trzymał ją za rękę. Przez cały dzień i w drodze na dworzec również. Nie spuszczał jej z oczu do czasu, kiedy zorientował się, że zostawił książeczkę w dorożce. Nigdzie się bez niej nie ruszał, nie mogła zginąć. W upakowanej walizkami dorożce wcisnął ją za siedzenie, bo bał się, że zostanie pogryziona przez mopsa, który gryzł wszystko, co

nadawało się do gryzienia. Nie słuchał krzyczącej za nim ciotki. Pobiegł. Woźnica nie odjechał daleko. Konie poruszały się wolno, leniwie przebierając kopytami. Pognał za nimi co sił w nogach. Krzycząc wniebogłosy, zmusił dorożkę do zatrzymania się. Wcześniej pomachał mamie, którą ciągle widział, jak stoi przed głównym wejściem i za nim patrzy. Wskoczył do środka. Poszperał za siedzeniem. Książeczka oczywiście ciągle tam tkwiła, chociaż trochę się pogmiotła. Wyciągnął ją i prostował, gdy usłyszał odgłos nadlatujących samolotów. Konie zerwały się i spłoszone zaczęły pędzić przed siebie.

Woźnica stał mocno na nogach i ciągnął za lejce. Nie dawało to jednak wiele. Jona Faber turlał się po podłodze dorożki, objijając się to o jedną stronę, to o drugą. Chwycił się jakiegoś drążka i trzymał go kurczowo. Bał się wylecieć na ulicę i wpaść pod koła. Słyszał uderzające o ziemię pociski. Słyszał jeden wielki huk. Trwało to jakiś czas, a potem zapanowała cisza. Dorożka gnała, potem skręciła, o mało się nie wywracając. W końcu zatrzymała się w ślepej uliczce. Gdy udało mu się wyjść z książką w rękę, zorientował się, że dorożkarza już nie było. Musiał spaść z kozła albo uciec. Został kompletnie sam. Nie miał go kto odwieźć na dworzec. Przykucnął bezradnie, ale po chwili wstał i wyprostował się.

– Świnie, nie konie jesteście! – wrzasnął.

Kilka razy pytał o drogę oszołomionych ludzi. W końcu znalazł dworzec, tylko że budynku dworca już nie było. Do zmroku błąkał się wśród gruzów i ludzkich trupów.

Tym razem Dziurawiec długo przebierał w Baruchowych koszulach i marynarkach. Pasowały te z poznańskiego domu mody. Znalazł też płaszcz i kapelusz. Spodobały mu się. Szczególnie że nawet z grubym plikiem banknotów, który włożył właśnie do kieszeni, nie mógł kupić tego wszystkiego, co miał na sobie. Skład eleganckich ubrań na Krakowskim Przedmieściu miał teraz zabite deskami wejście i okna.

Poprzymierzał i postanowił, że pozwoli sobie na jeszcze jedną

fanaberię. Przedzierając się przez uliczny gruz, dotarł do na wpół działającego hotelu Victoria i poszedł do fryzjera. Porozglądał się, posłuchał plotek i popytał o zniewieściałego chudzielca, ale tam strzygł tylko potężny i barczysty Bułgar. Dziurawiec zgodził się, by ten przyciął mu włosy i brodę. Broda, od wyjścia z więzienia zdążyła jeszcze bardziej urosnąć i zgęstnieć. Przykryła dziobatą skórę i teraz była przycięta tak, że sam siebie nie poznawał. Grubo ciosana, kwadratowa twarz stała się bardziej pociągła. Czyżby miała teraz łagodniejszy wyraz? Zdziwił się, ale w sumie był zadowolony. O to chodziło. Nigdy wcześniej nie miał takiej brody, ale też nigdy wcześniej nie wybierał się do muzeum.

Paradował więc po Krakowskim Przedmieściu. Pośród gruzów, wraków spalonych i rozkradzionych samochodów rozpoznał kilka znajomych twarzy. Jednak ani stary żydowski paser, ani mijane dziewczyny nie zwracali na niego zbytnej uwagi. Dziewczyny mniej lub bardziej wulgarnie zaczepiały go, ale zupełnie tak jak wszystkich. Nie reagował, tak samo jak na kręcących się złodziejasków. Oglądali się za to zupełnie inni ludzie. Zerkali spod kapeluszy, zastanawiając się pewnie, czy się znają.

Cały świat stał na głowie. Prezydenci wywozili pieniądze, a jego sam profesor z muzeum prosił o schowanie starych monet, za które podobno można dostać całe mnóstwo nowej gotówki.

Dziurawiec nigdy nie robił darmowych przysług. Ale teraz nie wiedziałby nawet, czego zażądać w zamian. Chwilowo pieniądze, ani stare, ani nowe, nie były mu potrzebne. U niego wcale nie byłyby bezpieczniejsze, poza tym wiedział, gdzie schował je profesor, więc w każdej chwili mógł je sobie wziąć i nie było sensu ich zabierać. Myśl o tym wszystkim sprawiała, że co chwila pojawiał się na jego twarzy uśmiech. Co prawda połowiczny, ale często jak nigdy dotąd.

Oprócz tego bawił go też sam Woyda. Nigdy nie poznał tak naiwnej osoby. Nigdy takich ludzi nie spotykał. Profesor szukał we wszystkim wyłącznie pozytywnych stron. Zupełnie odwrotnie niż Dziurawiec, ludzi podejrzewał tylko o dobre intencje. „Bo jakżeby inaczej”. Nie miał pojęcia, co naopowiadali o nim

dyrektorzy z Warszawy, bo przecież w drodze raczej się nie polubili. Musieli powiedzieć coś w bardzo oględny sposób, a profesor i tak zrozumiał to, jak chciał.

Gdy Dziurawiec doszedł do gmachu przy Narutowicza 4, profesor Woyda, zacierając ręce, już czekał na niego na schodach. Raz po raz poprawiał nową czerwoną muszkę zawiązaną pod szyją.

– Ach, witam pana! I już od progu mówię, że mam dla pana kilka niespodzianek. Tylko proszę dać mi chwilę, pięć minut dosłownie. Może pan poczekać w sali konferencyjnej.

– Tu poczekam – powiedział Dziurawiec, łapiąc za paczkę papierosów.

– Ależ bardzo proszę, panie Dziurawiec, bardzo proszę. Chciałbym też coś sprawdzić. Proszę za mną do środka. Może będzie padać. Kto wie? – powiedział, pokazując na słońce i pociągnął Dziurawca, chwytając go za ramię.

– O, tu. – Profesor Woyda otworzył drzwi i zostawił go na środku sali. Rzut oka mu wystarczył.

Sala była zagracona. Półkami, krzesłami, pudłami poznoszonymi z całego budynku. Trochę jak na strychu, dla niepoznaki. Ale i tak jedna kupa wyglądała bardziej podejrzanie niż inne. Szczególnie jeśli ktoś przez dwa dni wiozł pięciometrową skrzynię, a teraz patrzył na stertę pod jedną ze ścian, prawie dokładnie tej samej długości i wysokości. Równo pookładaną dookoła materacami i siennikami. Podszedł, zdjął kilka krzeseł stabilizujących prowizoryczną konstrukcję. Ani przez chwilę nie wątpił, że ma rację, ale teraz już miał pewność, że z muzeum wyjechała pusta skrzynia.

Na ziemi leżał zwój.

Obłożony ceratą, obwiązany sznurkami. W jednym miejscu była dziura. Rozgrzebał ją. Włożył do środka palec. Nie wyczuł nic ciekawego oprócz twardego, ciasno zwiniętego, szorstkiego płótna. Obszedł stertę z każdej strony.

Wszędzie ta sama cerata. Drzwi otworzyły się.

– O co tyle szumu? – zapytał, wodząc palcem po zwoju.

– Wiedziałem, że nic się przed panem nie ukryje. Wiedziałem! –

Profesor Woyda załamał ręce. – Od razu się pan domyślił?

– Od razu.

– Ach tak. Drogi panie Dziurawiec – westchnął głośno profesor Woyda, skubiąc wąsa. – Wiedziałem. Ale przecież przed panem nie muszę tego chować. Całe szczęście! – powiedział i złożył ręce jak do modlitwy.

– Całe szczęście – powtórzył Dziurawiec, kiwając głową. Nawet z lekkim uznaniem, bo profesor pierwszy raz się nie mylił.

– I co pan o tym wszystkim myśli?

– Wynieść to go nikt nie wyniesie, jeśli o to chodzi – stwierdził Dziurawiec rzeczowo. – Ale ze znalezieniem nie będzie problemu.

– No tak, no tak. – Woyda złapał się za głowę. – Jest pan pewien?

– Tak.

– Nie ma się co oszukiwać. Tak to trzeba będzie przedstawić... – głośno myślał. – Ja szybko zmienię koszulę, bo... bo nie wypada. Pan tak odświętnie wygląda, w sam raz – stwierdził, pokazując usmolony jakąś sadzą mankiet. – Poczekaj pan?

Dziurawiec kiwnął głową, a profesor Woyda szybko zniknął w korytarzu.

Wyjął paczkę papierosów i ruszył w kierunku wyjścia. Nie spieszyło mu się i nie pożałował. Szedł powoli, zwolnił jeszcze, gdy w końcu korytarza usłyszał schodzącą po schodach kobietę. Najpierw zobaczył kolorową sukienkę. Dobrze znał ten deseń w drobne kwiatki. Sam go wybrał.

Ukrył się za kolumną, wziął głęboki wdech.

Szła dokładnie w jego kierunku. Przyczaił się i poczekał. Nie mylił się. Chwycił ją! Jednocześnie jedną ręką szarpnął za ramię, drugą za szyję. Wepchnął we wnękę w drzwiach. Trzymał ją za gardło. Dociskając dolną szczękę, prawie podnosił w powietrzu. Patrząc w jej przerażone, zdziwione oczy, powoli i miarowo coraz bardziej ścisnął jej gardło. Rzuciła się. Drapała go paznokciami, próbowała coś powiedzieć, ruszając ustami, ale na razie wcale nie chciał jej słuchać. Rozejrzał się. Na zewnątrz rozległ się alarm przeciwlotniczy. Przycisnął ją do ściany, zatykając usta. Nikt nie biegł, nie uciekał, znaczyło to, że w tej części nikogo nie było. Uśmiechnął się. Mogli spokojnie

porozmawiać. Albo nie rozmawiać w ogóle. Podobało mu się to, więc przywarł do niej całym ciałem i unosił coraz wyżej. Stała już na samych czubkach palców. W końcu tylko jednej nogi.

– Jakiś wypacykowany gówniarz dźgnął mnie nożem, siedem razy – wysyczał przez zaciśnięte zęby. – Trafiłem do szpitala, do więzienia... I gdyby nie ta wojna, nie wiadomo, jak bym skończył, a ty... – Przerwał nie dlatego, że zrobiła się cała czerwona. W głębi rozległ się dźwięk otwieranych wielkich, wejściowych drzwi.

– Jest tu kto?! – rozległ się tubalny, wołający głos. – Panie profesorze...

– Krzykniesz, a zdążę cię zabić – powiedział do ucha dziewczyny. Na tyle, na ile mogła, pokręciła przecząco głową. Puścił jej szyję. Zaczęła głęboko oddychać i ruszać szczęką, rżąc.

– Dobrze, że jesteś – powiedziała urywanymi sylabami, chwytając powietrze. Ręką zaczęła rozmasowywać gardło. – Twoi kumple ci... ci... nie powiedzieli? – zapytała, chrypiąc i skrzecząc. Patrzył jej prosto w oczy. Miał jeszcze spokojną chwilę. Wołający i szukający kogoś człowiek poszedł w przeciwnym do nich kierunku.

– Też mnie zatrzymali. Nie wiem, jak to się stało... Byłam w szpitalu cię odwiedzić... Zamknęli mnie... i pobili... – powiedziała. Dziurawiec rozluźnił uścisk.

– Ach, panie profesorze. Mamy takie czasy, że nie możemy czekać... – dobiegło z końca korytarza.

– Sprawdź mnie – powiedziała Eliza. – Nie uciekłam. Czekałam na ciebie. Wiedziałam, że... Kocham cię.

– Sprawdź – prychnął.

– Panie Dziurawiec, panie Dziurawiec – dobiegał tym razem już głos profesora Woydy. – Czekamy na pana!

Zdziwiła się i uśmiechnęła, ciągle masując szyję. Chciał odejść, ale pociągnęła go za rękaw koszuli, chwyciła za ramię.

– Cieszę się, że jesteś – wyszeptła, mierząc go wzrokiem z wyraźną aprobatą. – Nie masz pojęcia, jakie ważne rzeczy się dzieją. Uwierz mi. Przyszły dla nas dobre czasy – dodała. –

Cudowne czasy dla nas. Dla nas obojga – szeptała dalej, przyciągając go do siebie. Nie opierał się.

– Panie Dziurawiec! – krzyczał Woyda z daleka, a Eliza pokręciła głową z niedowierzaniem i uznaniem. Próbowwała go objąć.

– Już idę – odkrzyknął, zdejmując ze swoich ramion rękę dziewczyny.

– Znajdę cię – powiedział i ruszył w kierunku wołających.

– Już mnie znalazłeś. Będę czekać – usłyszał za plecami. Nie odwrócił się, ale lekko uśmiechnął.

Gdy tylko wyszedł na środek korytarza, profesor Woyda prawie rzucił się w jego kierunku.

– Musi pan poznać. I musi pan z nami pojechać. Przedstawiam – powiedział, ciągnąc go za ramię w kierunku poważnego jegomościa w czarnej marynarce i czarnym kapeluszu. – Stanisław Bryła. Prezes sądu okręgowego i wicewojewoda.

Dziurawiec, przetykając ślinę, wyciągnął rękę. Zastanawiał się, jak się z tego wyplątać, ale nie wiedział. Przekonywany przez obu mężczyzn, po chwili był już w samochodzie. Drzwi za nim zamykał prezes sądu Stanisław Bryła. Sędzia obejrzał się za siebie, gdy na schody przed gmach muzeum wyszła zaciekawiona Eliza. Wiatr podwiał jej sukienkę i rozwiał włosy.

– Znać tę dziewczynę? – zapytał, wsiadając do auta. Dziurawiec zmarszczył czoło, mierząc wzrokiem pięćdziesięcioletniego, zdawało mu się, poważnego człowieka.

– Ja nie, ale zdaje się, że pan Dziurawiec kiedyś o nią pytał – stwierdził Woyda, przylepiając nos do szyby.

– Nie znam jej – zaprzeczył Dziurawiec.

– Ruszamy, nie czas na to – powiedział prezes w kierunku kierowcy. – Ale jeśli mnie nie myli jakieś porażające podobieństwo, to pani Elsa Lell. Udzielała się czynnie w Związku Niemieckim. Chyba została za to skazana nawet...

– Ależ to pracownica biblioteki! – przeraził się Woyda. – Pracuje w budynku przylegającym do nas...

– Może się myłę. – Prezes sądu machnął ręką. – Ale może warto mieć ją na oku. Albo poproszę kogoś, żeby ją sprawdził. Ciągle

donoszą nam o nowych aktach dywersji...

– Co pan powiesz?! – zburzył się Woyda, nerwowo pociągając za wąsa. – Coś takiego! Coś takiego!

Dziurawiec nie słuchał utyskiwań profesora, tylko zaczął się zastanawiać nad sobą. Miał w życiu dwie zasady. Jedna, trzymać się jak najdalej od polityków, urzędników i wszystkiego, co kojarzy się z jakąkolwiek władzą. Druga zasada mówiła: nigdy nie wierz tłumaczącej się kobiecie. Może nie skłamię, ale prawdy nie powie. W ciągu godziny złamał obie.

Profesor Woyda z niedowierzaniem kręcił głową.

– Wierzyć się nie chce, prawda, panie Dziurawiec?

– Prawda – odpowiedział mu tamten szczerze. Potem zaczął przysłuchiwać się temu, co opowiadał sędzia.

Dowiedział się, że przecinane są przewody telefoniczne, węzły kolejowe oświetlane nocą, tak by było je łatwiej zbombardować, zapalane są małe ogniska obok wsi, w których stacjonuje wojsko. Często też osoby podszywają się pod zagubionych żołnierzy bądź czepiają się innych sposobów, by dowiedzieć się jak najwięcej o ruchach przemieszczających się wojsk. Podpalono cały Biłgoraj, by uniemożliwić przejście wycofującej się Armii „Kraków”, albo jak donosili inni, w odwecie za stracenie jakiegoś Müllera, który posiadał w domu radiostację i szpiegował dla Niemców, ktoś podpalił miasto w kilku miejscach jednocześnie.

Z samolotów zrzucono spadochroniarzy przygotowanych do działania na tyle frontu. A oprócz spadochroniarzy podobno leciały też podejrzane cukierki. Nawet w prasie zamieszczono ogłoszenie o tym, by nie jeść niczego spadającego z samolotów. Bo ponoć zatrute, najpewniej jakimiś bakteriami.

Profesor Woyda co chwila chwycił się za głowę. Dziurawiec słuchał, przyglądając się prezesowi sądu, z takim samym zainteresowaniem jak później reszcie poznanych urzędników. W przeciwieństwie do Woydy znał się na ludziach. Gdyby nie ta zdolność, w którą lekko powątpiewał od czasów spotkania fryzjera, na pewno żyłby parę lat krócej.

Potrafił rozróżnić twardych facetów od takich, na których wystarczy tupnąć nogą albo krzywo spojrzeć. Rozpoznawał tych,

którzy blefują albo są tylko mocni w gębie. Wiedział to od pierwszego spojrzenia. Tchórzy wyczuwał na kilometr, nawet pozamykanych w limuzynach.

Ale tych, którzy byli teraz na spotkaniu, ocenił znacznie lepiej. Dostrzegął ich zdecydowanie, wiedział, że nie zamierzają opuszczać miasta. Obiecali pomoc. I wojewoda, i prezes sądu, i dyrektor z magistratu, który oświadczył, że złożył przysięgę dwóm młodym artystom, którzy zginęli, ledwo dostarczywszy obraz. Urzędnicy nie mieli zbyt wiele czasu. Co chwilę ktoś przerywał spotkanie i wchodził z niecierpiącymi zwłoki pytaniami skierowanymi do Komitetu Obrony Miasta. Prawdopodobnie to uratowało Dziurawca, który w związku z tym sam uniknął pytań o to, kim jest i co tu właściwie robi. Wojda przedstawił go jako zaufanego pracownika Zachęty. Powitano go serdecznie.

Wyszli z przekonaniem, że ktoś obraz zabierze i przewiezie dalej na wschód.

– Obronią to miasto! Czuję teraz, że obronią! – cieszył się Wojda. – Co pan myśli, panie Dziurawiec?! Jest nadzieja. Są tacy dobrzy ludzie, prawda? – zapytał, szukając potwierdzenia.

– Oni sami? Oni mieliby to zrobić? Wątpię – odpowiedział, gdy byli już na zewnątrz. – To miasto opuściły wojsko, straż pożarna, a nawet policja. Musiały się zdarzyć cud. A ja w cuda nie wierzę – powiedział i ukłonił się profesorowi na do widzenia.

– No tak, no tak... Pan jesteś twardym realistą – westchnął profesor, rozglądając się dookoła. Stali na Krakowskim Przedmieściu, gdzie ciągle jeszcze leżały wraki wypalonych samochodów. Konie wyglądały podobnie, obrane z mięsa do kości. – Grunt, że uda nam się schować obraz! – powiedział, pocieszając już samego siebie. – Wstyd na całą Polskę by był. Wszędzie wszystko pozabezpieczali, tylko my tu w Lublinie z takim dziełem byśmy sobie nie poradzili. Wstyd, że hej! – Machnął ręką, patrząc na Dziurawca. Ale ten nic nie powiedział. – Przyjdzie pan jutro? – zapytał po chwili.

Zatrzymali się.

– Przyjdę – przytaknął Dziurawiec i ruszył w swoją stronę.

– A to bardzo dobrze! – krzyknął za nim Woyda. – Bardzo dobrze. Do zobaczenia!

Dziurawiec nie odwrócił się, tylko szedł dalej w kierunku Kapucyńskiej.

Zaszedł jeszcze coś zjeść. A wychodząc z knajpy, kupił dodatkowo butelkę wódki. Zamierzał ją wypić i zasnąć. Eliza założyła zapewne te pończochy, które lubił... Ale powstrzymał się. Chciał, żeby czekała.

Do mieszkania Barucha dotarł już po zmroku. Właśnie robił w ciemnościach krok w kierunku drzwi wejściowych, gdy o coś się potknął. Zapalił szybko trzymaną w rękę zapalniczkę i wprost nie uwierzył w to, co zobaczył.

Przed drzwiami leżał skulony chłopiec. Spał, ściskając książeczkę w rękach. Dziurawiec przysunął płomień do jego twarzy. Była wymazana tynkiem, sadzą i Bóg wie czym jeszcze. Ale rozpoznał go i nie chciało mu się w to wierzyć. Gadatliwy dzieciak z wozu kulił się na jego progu. W pierwszej chwili chciał go mocniej szturchnąć albo nawet kopnąć, ale pohamował się. W końcu wzruszył tylko ramionami i nachylił się nad nim. Chłopak spał jak kamień. Sięgnął więc kluczem do drzwi i otworzył je. Potem zrobił wielki krok. Przeszedł nad nim i zamknął się od środka.

Położył się na łóżku ze szklanką wódki w rękę. Wypił i nalał drugą. Minęła prawie godzina, jak wstał. Chodził chwilę po pustym mieszkaniu, po czym usiadł na ziemi plecami do wejścia. W końcu zaklął pod nosem i otworzył drzwi. Popatrzył, zazgrzytał zębami i mocno chwiejąc się na nogach, wziął dzieciaka na ręce.

– Wiedziałem, że w końcu ktoś przyjdzie – wymamrotał chłopiec z na wpół otwartymi oczami.

– Śpij! Nie gadaj! – burknął Dziurawiec, zgrzytając zębami.

Położył go na łóżku, przykrył i splunął.

Kraków, 16 września 1939 roku

Tu trzeba je sprzedać – wymamrotał na wpół pijany Gerhard von Lossow. – U nas to jest gównem warte – stwierdził, wzruszając ramionami i nonszalanckim gestem odsunął leżący przed nim na stoliku srebrny talerz z orłem w koronie.

Wokół niego od kilku godzin siedzieli kilkunastu żołnierzy, którzy trafili tu z różnych stron Polski.

Kraków już od dziesięciu dni był w niemieckich rękach. Życie powoli się stabilizowało. Kilka lokali zostało całkowicie przejętych przez Niemców, i to głównie tam trafiali żołnierze chcący się czegoś napić, pogadać, a także sprzedać pozbierane po drodze „pamiątki”. Jeśli to nie były zwykłe zegarki albo biżuteria, to za bardzo nie wiedzieli, co z tym robić. Szczególnie jeśli były to jakieś bibeloty z orłem w koronie, a tych było całkiem sporo.

Gerhard w dzień zajmował się przygotowaniem do wywozu skrzyń pakowanych w bibliotekach i muzeach, wieczorami się upijał. Przede wszystkim czekał na zdobycie Warszawy i tam chciał dostać się jak najszybciej. W międzyczasie dowiedział się, że chorągwie krzyżackie przechowywane na Wawelu najprawdopodobniej wrócą do Malborka. Przekazał to ojcu. Podobno ten miał łzy w oczach, gdy o tym usłyszał. Wprawiło to Gerharda w cudowny nastrój, który sprawiał, że z czystej przyjemności oglądał i oceniał przynieszone mu przedmioty. Wiedział znacznie więcej niż prości żołnierze znoszący mu skradzione drobiazgi. Przede wszystkim takie, które dawało się schować do kieszeni. Nie oceniał ich. Stawiali mu kolejne sznapsy, a on dawał im adresy dwóch otwartych krakowskich antykwariatów. A czasami nawet wiedeńskich.

– O, piękny sygnet. Widzę po herbie, że można będzie go sprzedać i w naszej stolicy. Znajdzie się kupiec, żyje tam część tej rodziny – powiedział uszczęśliwionemu austriackiemu kapralowi, który prawie podskoczył z radości.

Było już dobrze po północy, gdy podszedł do niego ostatni z żołnierzy, cierpliwie czekający na swoją kolej.

– A ja to tu takie nie wiadomo co mam – powiedział, podsuwając mu pieczęć z polskim orłem. – Złota chyba jest.

Gerhard zaczął oglądać i zrobił skwaszoną minę.

– Takich tłoków nigdy nie robi się ze złota – skłamał dla zabawy. Przeczytał na niej „Stanisław August Rex”. Wiedział już, że ma w ręku przedmiot należącą kiedyś do króla Polski. Zainteresował się tym, i to bardzo.

– Ale to jest coś warte – powiedział na osłode, poprawiając żołnierzowi humor.

Od słowa do słowa okazało się, że pieczęć była w zdobnej hebanowej skrzyni. A tam, w przegródkach wykładanych atłasem, różności. Zegarki, broszki, łańcuszki, różańce. Reszty kapral nie pamiętał, bo każdy wziął sobie coś na pamiątkę. Podobno stary lokaj płakał, tłumacząc, że to pamiątki po królach.

– Ale co komu po polskich królach – opowiadał, po tym jak Gerhard postawił mu trzy kolejki polskiej wódki. – Dostał kolbę w łeb i przestał płakać – skwitował.

Gerhard pokiwał głową z uznaniem. Od dłuższego czasu już nie pił, tylko markował przechylanie kolejnych kieliszków. Opowieść stawała się coraz ciekawsza, a żołnierz coraz bardziej rozmowny.

Okazało się, że przeszukiwali majątek ziemski Czartoryskich w Sieniawie. Szukali ukrywających się żołnierzy i „pamiątek”. Przydusili trochę stangreta i znaleźli skrytkę, a w niej pięknie okutą skrzynię. Rozbili ją i podzielili się tym, co było w środku. W skrytce podobno były również obrazy, ale nie dało się ich wziąć do kieszeni. Poza tym byłoby to trochę podejrzanе. Gerhard zgodził się z nim i zainteresował jeszcze bardziej. Na skrzyni były trzy litery. LRR. Myśleli, że może jest tam coś ciekawszego, ale w środku znajdowały się tylko trzy obrazy. Kapral zapamiętał tylko jakąś kunę, co ją baba trzymała.

Gerhard o mało się nie zakrztusił.

Lublin, 17 września 1939 roku

Dziurawiec od dwóch dni, wściekając się na siebie, przeklinał pod nosem. Dlaczego był tak głupi? Dlaczego otworzył te drzwi? Dzieciak obudziłby się rano, zastukał parę razy, a w końcu poszedł do ludzi. Ktoś by się nim zajął, zanim on zdążyłby się obudzić. A tak miał przygarniętego psa, którego już nie sposób było wyrzucić z domu. Nakarmiony, zaczął się łaścić i patrzeć jak we wszechmogącego. Oszukiwał sam siebie, że za dużo wypił. Ale wiedział, że nie o to chodziło. Pił, bo przypomniał sobie siebie, jak był wyrzucany z domu, jak leżał na klatce schodowej, zasikany ze strachu, czasami z zimna, często całą noc, a niekiedy nawet dłużej. To wspomnienie sprawiło, że w końcu otworzył drzwi.

Rano znalazł też odpowiedź, jakim cudem chłopak znalazł się pod tym adresem. A to akurat go rozbawiło. Baruch był jakimś dalekim krewnym małego Jony Fabera.

– No, lepiej nie mógł trafić – mruknął pod nosem.

Chłopak utrzymywał, że jego matka została zawieziona do któregoś szpitala w Lublinie. Nie umiał powiedzieć, skąd to wiedział, ale zmusił Dziurawca, żeby ten, krążąc zygakiem po ciągle ostrzeliwanym i bombardowanym mieście, odwiedzał kolejno wszystkie szpitale. Młodego zostawił u Anioła, który zaszyty w swojej norze na poddaszu, nie wychylał nosa prawie od tygodnia. Obłowił się na bogatych uchodźcach, ale po domach nie chciało mu się chodzić. Bał się wybuchów. Poukładał portfele na półce, rozkręcał i czyścił zegarki. Na widok Dziurawca przetaił ze zdumienia przekrwione oczy.

– Wojna ci służy – wydukał w końcu, przyglądając siwe loki. – A w szpitalu mówili, że się z tego nie wykaraskasz. A nawet jeśli, to i z więzienia szybko nie wyjdiesz... – dziwił się, kręcąc głową. – Napijesz się czegoś? – zapytał, wystawiając dwie szklanki na stół.

Dziurawiec zdecydowanym gestem odsunął je na bok. Obie.

– Pytał ktoś o mnie?

– Oprócz naszych? – zdziwił się Anioł, patrząc na puste szkło.

– Tak.

– To nie – odparł Anioł, wzruszając ramionami. – Może Belfiore coś wie. Ale nie widziałem go. Podobno dziecko mu ucierpiało. Chował je... Co z moimi siostrzeńcami, też nie wiadomo. Na wieś wyjechali, ale kto wie, czy tam bezpieczniej?

– Nikt więcej?

– Nikt. Aha. Tylko dziewczyna. Taka z plamą na twarzy – doprecyzował. – Ale nie wiedziałem, co jej powiedzieć.

Dziurawiec splunął przez ramię.

– Zajmij się nim – pokazał na siedzącego w kącie chłopca.

– A co on taki naburmuszony? – zapytał Anioł, patrząc na nadęte policzki dzieciaka, który cały trzymał w nich powietrze.

– Zabroniłem mu się odzywać – wyjaśnił Dziurawiec, wstając. – Powiedziałem, że mu język utnę. Wyjąłem nóż i... Uwierzył. Jak chcesz, możesz z nim gadać, ale nie musisz. A jak ci się znudzi, postrasż go mną – powiedział przed wyjściem.

– Co teraz będzie? – Anioł zatrzymał Dziurawca w drzwiach.

– Nic. – Dziurawiec wzruszył ramionami. – Jednym lepiej, drugim gorzej. Tak dla odmiany – powiedział i wyszedł, zostawiając pod ścianą skulonego chłopaka.

Został mu jeszcze do odwiedzenia szpital żydowski na Lubartowskiej. Na swojej ulicy nie spotkał nikogo znajomego. Okna ocalałych kamienic był pozabijane deskami. Nikt nie sprzedawał ani obwarzanków, ani kiszonych jabłek. Po ulicach nikt za bardzo nie chodził. Wczoraj słychać było już tylko pojedyncze wystrzały dobiegające gdzieś z gmachu szpitala Bobolanum, w którym bronili się jacyś straceńcy. Udało im się nawet odeprzeć atak, wziąć jakichś jeńców, ale i tak garstka niedobitków nie miała szans z nacierającą armią. Nie miał złudzeń. Za to, o dziwo, w szpitalu dowiedział się, że Karmela Faber przebywa w domu jakiejś pielęgniarki przy Szopena. Jest w szoku, zbytnio nie się odzywa, ale cała i zdrowa. Znalaziono ją przygniecioną jakąś blachą. Dziurawiec podziękował, wziął adres

i miał po nią pójść. Przeszedł dobre pół kilometra, puknął się w głowę i zmienił zdanie. Zawrócił w kierunku Anioła i postanowił zaprowadzić do niej dzieciaka i zostawić oboje u tych ludzi, kimkolwiek byli. Skłamać, że dołącza do wojska, wyjeżdża za granicę, cokolwiek. Nie jego problem.

Ucieszony, szedł prawie z zupełnej ciszy, gdy zza rogu wyszło dwóch żołnierzy. On stanął i oni stanęli. Byli w niemieckich mundurach. Mieli broń w jednej ręce i po kiełbasie w drugiej.

Dziurawiec patrzył na nich zdziwiony, że to już. Że już przyszli, że są w mieście i tak zwyczajnie idą po chodniku. Wymierzyli w niego. Tę okolicę znał doskonale. Każdy centymetr. Nie miał szans na ucieczkę. Dobre dziesięć metrów dzieliło go od najbliższej bramy, po drugiej stronie ulicy było zabite dechami wejście. Był idealnym celem. Zaczął podnosić ręce do góry. Jeden podszedł do niego i go zaczął obszukiwać.

– Nie rychtuj się tak – powiedział, machając ręką z kiełbasą. – Broń masz? – zapytał, a Dziurawiec pokazał ręce i pokiwał przecząco głową. – O, nóż! – Wyjął mu z kieszeni szczyryk. Drugi żołnierz wyciągnął po niego rękę.

– My ze Ślonska, my ci krzywdy nie zrobimy – oświadczył, odkrawając kawał z pęta. – Dobro – skwitował, oblizując usta. – Chcesz?

Dziurawiec pokiwał głową i wyciągnął rękę. Dostał pół kiełbasy. Zagryzł.

– My niegroźne. Nas się nie cyroj. – Te, co za nami idą, esesmany, te to pioruńskie czorty... Tych się ino bój! – dodał groźnie.

– Nie wiesz, gdzie tu piwa kupić? Zapłacimy...

Dziurawiec popatrzył na nich i pokazał ręką sąsiednią ulicę. Poszli.

– Myślisz, że otwarte będzie? – pytał jeden drugiego, gdy znikali za rogiem.

Nie będzie tak źle, pomyślał i ruszył przed siebie. Już z daleka na balkonie drugiego piętra zobaczył kobietę, którą wiozł z Warszawy. Miała obwiązaną bandażem głowę, ale nie mógł się mylić. Na ramiona białej, szpitalnej koszuli spływały bujne, falujące włosy. Była tak samo chuda i wiotka. Raczej nic

poważnego jej nie dolegało. Stała sobie wpatrzona w głąb ulicy, a za jej plecami unosiła się biała firanka, która wyfrunęła z otwartego okna salonu.

Już miał przejść na drugą stronę, wejść do bramy i poszukać mieszkania, w którym się znalazła, gdy z głębi sąsiedniej ulicy zaczął dobiegać miarowy warkot kilkunastu silników. Był powolny, jednostajny i coraz głośniejszy. Nie chciał ryzykować. Postanowił przeczekać. Skrył się w najbliższej bramie. Wszedł na klatkę schodową i wyjrzał przez niewielkie okienko na półpiętrze. Doskonale widział ulicę i kobietę stojącą na balkonie. Zastanawiał się, kiedy wejdzie do środka. Kiedy się schowa? Kiedy ktoś jej powie, że nie powinna tak stać? Niemcy wkraczali do miasta, ktoś powinien ją ostrzec...

Nic takiego się jednak nie stało. Albo nikogo tam nie było, albo o niej zapomnieli. Warkot dobiegał już zza zakrętu. Dziurawiec zaczął się szarpać z zamkniętym oknem i zardzewiałą rączką, która nie chciała się przekreślić. W końcu udało się je otworzyć. Krzyknął do niej, ale nie usłyszała go. Silniki zagłuszały jego krzyk. Zaczął rozglądać się wokół siebie. Szukał czegoś, czym mógłby rzucić w jej kierunku. Niczego nie znalazł. W końcu urwał małą, zardzewiałą okienną klamkę. Zamierzył się i wycelował. Miał jedną szansę i trafił idealnie. Klamka upadła na balkon po przeciwnej stronie ulicy, wprost pod nogi kobiety. Zamachał do niej. Zobaczyła. Wyglądając na nadjeżdżające motory, pokazywał jej, by schowała się do środka. Patrzyła tylko. Schyliła się.

– Skumała! W końcu. – Odetchnął. Wolałby, żeby weszła do środka, ale tak też nie było jej widać. Bariierka balkonu była gęsto zarośnięta bluszczem.

Zza zakrętu wyłoniły się pierwsze cztery motocykle. Z esesmanami w czarnych płaszczach. W sztywnych, czarnych czapkach ze srebrnymi sznurami przy otokach. Co drugi motocykl miał kosz, a w nim siedział żołnierz z gotową do wystrzału bronią. Rozglądali się.

Dziurawiec chciał się cofnąć jeszcze bardziej w głąb półpiętra kamienicy, gdy zobaczył, że kobieta na balkonie właśnie zaczęła wstawać. Machnął do niej, żeby znowu się schyliła. Ale nie

reagowała. Wychyliła się jeszcze bardziej z podniesioną do góry ręką. Pokazała mu trzymaną w ręku klamkę. Uśmiechnęła się. Wtedy padła seria strzałów. Przecięła ją w pół. Kobieta zgięła się. Zawisała na barierce balkonu. Bezlądnie. Biała koszula zaszła czerwienią. Trzymana w rękach klamka spadła na ziemię. Z przewieszonych rąk, po palcach zaczęła ściekać krew. Kobieta wisiała tak przez chwilę. Po czym ciało bezładnie zaczęło ciężać ku ziemi. Zsuwać się powoli. W końcu spadła prosto na ulicę. Prosto pod koła pędzących motocykli. Najpierw jedno koło przejechało jej po nogach, odsuwając ciało na bok. Potem drugie, trzecie. Przejechała po niej cała kolumna, mozolnie tarabaniąc się po leżącym na ziemi ciele.

Po rękach, po nogach, po włosach.

Kraków, 20 września 1939 roku

Gerhard von Lossow przysłonił oczy od słońca i patrzył, jak obwiązują linami konia z brązu. Dwóch mężczyzn sprawnie przerzucało sznur, tak by zahaczyć też siedzącego na jego grzbiecie króla. Poza nimi dwoma na cokole pomnika mozolnie pracowało jeszcze czterech robotników, którzy od godziny cierpliwie podpiłowywali ogierowi nogi w pęcinach. Władysław Jagiełło miał pierwszy upaść na ziemię. Zanosiło się na widowiskowe wydarzenie.

Warszawa się jeszcze broniła, ale losy wojny były już przesądzone. W Krakowie Niemcy gościli już od prawie dwóch tygodni. Przejęcie miasta odbyło się dość sprawnie i bardzo szybko zdecydowano, że Kraków będzie całkowicie niemieckim miastem. Bojówki wykrzykiwały hasła w rodzaju: „Kraków bez Polaków”, więc plac imienia Jana Matejki nie miał racji bytu, tym bardziej nie było tu miejsca dla pomnika upamiętniającego zwycięstwo pod Grunwaldem, który ustawiono dla uczczenia pięćsetnej rocznicy wielkiej bitwy. Trzeba było go jak najszybciej usunąć.

Gerhard chciał śledzić przygotowania i od trzech godzin kręcił się w pobliżu monumentu. Dodatkowo zamówił jeszcze własnego fotografa, który miał dokumentować ten upadek. Robiono oczywiście również oficjalne zdjęcia dla prasy, ale on chciał mieć ich znacznie więcej. Kazał fotografowi zrobić zbliżenia wszystkich należących do pomnika figur, by zdążyć przed zburzeniem. Chciał to wszystko przesłać ojcu. Dokładnie pokazywał więc, jakie robić ujęcie i jak sfotografować haniebnie ukazanego Ulricha von Jungingena, który leżał ubity na stopniach pomnika. Kazał uwzględnić zszargane na ziemi chorągwie krzyżackie i skrepowanego sznurami krzyżackiego jeńca.

Niczego nie chciał pominąć. Dlatego też dokładnie przyglądał się budowli. Z nieskrywaną ciekawością, bo jak do tej pory znał

ten pomnik tylko z opowieści. Wielokrotnie słyszał, że ojciec za młodu wysyłał petycje do cesarza. Występował w imieniu przyjaciół Zakonu Niemieckiego, wiedeńczyków, Austriaków i całego cesarstwa niemieckiego. Ale prośby i tak nigdy nie rozpatrzono pozytywnie. Pomnik ustawiono, i to z wielką pompą. Podobno zgromadziły się stutysięczne tłumy. W takiej pobłażliwości ojciec dopatrywał się przyczyn upadku Austrii. Teraz będzie mógł zobaczyć ten wielki upadek.

Fotograf czekał w pełnej gotowości. Mężczyźni kończyli już oplątywać liny. Na placu zbierało się coraz więcej ludzi. Niemiecka głośno radująca się młodzież i ściągnięta tu polska publiczność, stojąca znacznie dalej. W większości ze spuszczonej głowami. Zrobiono próbę naciągania lin. Coś drgnęło, coś trzasnęło, tłum jęknął.

Dokładnie w tym momencie ktoś klepnął Gerharda po plecach. Ten podskoczył lekko wystraszony.

– Wiedziałem, że cię tu spotkam – przywitał się roześmiany Viethold, pokazując ręką na postument. – Aleś nerwowy.

– A ty co tu robisz?

– Nie uwierzysz, jak ci powiem, że się za tobą stęskniłem?

Gerhard prychnął.

– Cóż. Dbam o to, by brąz z tego pomnika, ale i też inne zdobyczne kruszce szczęśliwie trafiły tam, gdzie powinny. Nasz przemysł zbrojeniowy jest ciągle głodny – wyjaśnił, rozkładając ręce ze słabo udawaną bezradnością. – A ty pocztówki produkujesz? Do Wiednia chcesz przesłać?

Gerhard roześmiał się. Znowu okazało się, że Viethold znał go dosyć dobrze.

– Dosiadałeś kiedyś konia z brązu? – zapytał von Lossow. – Zaraz będziesz miał okazję. – Pokazał palcem na chwiejącą się figurę.

Liny były już mocno naciągnięte, a robotnicy szarpali nimi jeszcze mocniej. Zapierali się nogami, kładli na ziemię. Porządkowi odpychali ludzi na bezpieczną odległość. Tłum gęstniał, podchodziło coraz więcej gapiów.

Gerhard usłyszał za plecami austriacki akcent. Obejrzał się.

Odwrócił się z powrotem równie szybko, mocno zaciskając zęby. Jednak ktoś mógł mu popsuć to spektakularne widowisko.

– Widziałeś go? – zapytał Vietholda, który właśnie mierzył wzrokiem jakąś dziewczynę w kwiciastej sukience.

– Kogo?

– Za mną. Wygląda jak chłop i rzy jak koń.

Viethold odwrócił się z wolna.

– Znasz go? – zapytał Gerhard.

Falk przytaknął.

– To powiedz mi, jakim cudem ten Mühlmann, taki cap z gębą pospolitego chama, zaszedł tak daleko? Pytam się. Jak?!

– Trochę się na tej sztuce zna... – powiedział Viethold, kiwając głową z uznaniem, gdy wiatr zawiał tak, że odkrył zgrabne dziewczęce kolana.

– Tyle co każdy wiedeńczyk – zachnął się Gerhard.

– Być może – odpowiedział mu Viethold. – Ale on ma cechy, które w dzisiejszych czasach są niezbędne do odniesienia sukcesu.

– Czyli? – zainteresował się Gerhard, który nieco się już uspokoił i też obejrzał się za dziewczyną, do której podeszła nie mniej atrakcyjna koleżanka. – Co on takiego ma, czego mi brakuje?

– Może też to masz, ale widocznie on ma tego w sobie więcej. Jest wystarczająco bezczelny i idealnie chciwy! Obecnie to chyba najbardziej pożądana mieszanka. Co, nie wiesz o tym? – Gerhard naburmuszył się jeszcze bardziej. – Nie bocz się jak dzieciak. Wojna dopiero się zaczyna, jeszcze wszystko przed tobą – pocieszył go Falk. – Opowiedz mi lepiej, co tam się wydarzyło.

Gerhard streścił w kilku zdaniach to, o czym Viethold już trochę słyszał, choć oczywiście nie wiedział, że to właśnie on, von Lossow, pierwszy wpadł na trop poszukiwanych przez wszystkich obrazów. Niestety popełnił błąd i oficjalnie zwrócił się o samochód. Z dumą oświadczając, że chce dostać auto jak najszybciej się da, by dojechać do pałacu w Sieniawie. Jak głupi zdradził cel wizyty, podkreślając, że ważny jest czas, bo cenny ładunek może zostać stamtąd ewakuowany. Nie miał pojęcia, że

Mühlmann ma wszędzie swoje wtyki i rozgłosił, że będzie płacił za takie informacje. To wystarczyło, żeby zjawił się w pałacu Czartoryskich kilka godzin przed Gerhardem.

– A więc ten Mühlmann ma jeszcze coś, czego tobie zabrakło... – westchnął Viethold.

– Co?

– Szybkość – zaśmiał się i błyskawicznie odskoczył, teatralnie zasłaniając się przed mającym nadejść ciosem. – Ucz się od niego, bo nie raz cię w polowaniu wyprzedzi.

Gerhard poczerwieniał ze złości.

– Nie podchodź do mnie – syknął, gdy Viethold chciał go przyjaźnie poklepać po ramieniu. – Zemszczę się, zobaczysz – burknął, udając obrażonego.

– Może podejmiemy do tych panienek? – zapytał tamten.

– Nie masz pojęcia, co one o tobie mówią – zaśmiał się Gerhard, który dosłyszał i zrozumiał kilka wyrazów.

– A czy to ważne?

– W sumie nie – odparł Gerhard ze śmiechem i spojrzał na pomnik. – O! Leci! – wykrzyknął. Wielka rzeźba z brązu gięła się i przechylała coraz bardziej i bardziej. Tłum zawył, widząc, jak koń z jeźdźcem runęli w dół, odbijając się od schodków pomnika. Na ziemi roztrzaskał się na pół, uderzając z wielkim hukiem o bruk. Niemiecka młodzież zaczęła drzeć się wniebogłose, wiwatując, machając kurtkami, rzucając w górę wszystkim, co było pod ręką. Przysłonili Polaków stojących ze spuszczoneymi głowami. Kajetan Mühlmann i cała duża grupa wokół niego zaczęła klaskać. Gerhard stanął do niego tyłem.

– Aż tak ci działa na nerwy? – spytał Viethold, patrząc na Mühlmanna.

– Aż! Wszyscy chcieli mieć te obrazy. To najcenniejsze, co było w tym kraju. Wielka trójka. Dama z łasiczką, do tego ten Rembrandt i Rafael. Wyobrażasz to sobie. Deptali po Leonardzie! Na odwrocie obrazu był odcisk buta.

– Göring kazałby ich rozstrzelać – stwierdził rzeczowo Viethold.

– Ja też bym ich rozstrzelał.

– No, szkoda, że ci się nie udało – pocieszał go dalej Viethold. –

Wywiózłbyś je do Berlina. Himmler by cię wycałował. A tak to Mühlmann od razu przekaże obrazy Göringowi, który ucieszy się, że postawił na dobrego konia. Piękna zdobycz... – westchnął, jednocześnie patrząc na kolejne dwie dziewczyny, które przechodziły obok, ale na ich widok spuściły głowy i czmychnęły do jakiejś bramy. – Ale cóż, uciekły ci sprzed nosa.

– Dziewczyny?

– Obrazy! – zaśmiał się Viethold. – Czy twój fotograf zrobi nam pamiątkowe zdjęcie?

Gerhard kiwnął głową.

– Po to tu jest – odpowiedział.

Odczekali chwilę, aż opadł kurz i tłum nieco się rozszedł. Kajetan Mühlmann razem ze swymi klakierami zniknął. Zostali porządkowi. Wtedy zapozowali. Gerhard stanął na oderwanym od reszty zadzie, a Viethold przysiadł na wielkim ogonie. Później kilkakrotnie zmieniali pozycje, zachowując się jak dzieci. To zdecydowanie poprawiło Gerhardowi humor.

Później poszli do pobliskiej restauracji, a w końcu na wódkę. Uczcić historyczne zwycięstwo odniesione nad pokonanym polskim królem odlanym z brązu.

Po kilku kieliszkach i dwóch zupełnie nowych tabletkach, które Viethold miał jak zwykle do testowania, Gerhardowi zaczęło się wszystko podobać. I nawet dał się przekonać, by poderwać jakieś polskie dziewczyny. Jak zwykle kilka obejrzało się za Gerhardem, mimo że były lekko wystraszone i zerknęły spod spuszczonej powiek. Weszli do kolejnego lokalu. Było pusto. Podeszli prosto do baru po następną kolejkę.

– Jak teraz spotkam gdzieś tego Mühlmanna...

– Gerd, od takiej sztuki to ty się trzymaj w rozsądnej odległości – mamrotał Viethold.

– Niby dlaczego? – zapytał Gerhard, wracając do wcześniejszej rozmowy.

– Za dużo chętnych. Za dużo wyciągniętych rąk. I to potężnych rąk.

– Wiem, każdy ma swoje strategiczne projekty...

– Każdy je chce... dla siebie – skwitował Viethold. – Uważaj.

Sztuka w czasie wojny to potężna waluta. Fabryk, ziemi i złota nie da się tak łatwo zgarnąć do kieszeni. Co innego dzieła sztuki! Każdy może je mieć. Byle był pierwszy. Byle znalazł na to paragraf. I dobrego fachowca do pomocy. Mühlmann jest człowiekiem Göringa, został jego specjalnym pełnomocnikiem do spraw zabezpieczania majątku na wszystkich zajętych terenach. Ma zaganiać wszystko. Co lepsze ma trafić do jego pałacyku myśliwskiego...

- Ale to jego prywatny majątek. Nie będzie tak łatwo.

- Będzie. Zapowiedział, że zgromadzi kolekcję i po swojej śmierci odda ją państwu. Tym sposobem może zgromadzić wszystko, co zechce. Wiesz, jak lubi luksus i dawnych mistrzów.

- Zauważyłem.

- Nasz wódz... - Viethold zniżył głos i nachylił się w kierunku Gerharda. - To również wielki kolekcjoner. Też chce utworzyć własne muzeum w Linzu. Do tego ma nieograniczone fundusze. No co ma robić z tymi pieniędzmi?

- Napisał dobrą książkę, to ma - wzruszył ramionami roześmiany Gerhard.

- Tak *Mein Kampf* to bestseller - zaśmiał się Viethold. - Ale nie stąd struga pieniędzy. Dochody zapewnił mu jego osobisty fotograf. Führer dostaje pieniądze za udostępnianie swego wizerunku, a jest teraz prawie w każdym niemieckim domu i prawie na każdym znaczku pocztowym. Spróbuj to sobie wyobrazić. Naprawdę może wszystko kupić. Nieoficjalnie, bo nie chce zwracać na to uwagi, wyznaczył Petera Poulsena. On jest jego zbieraczem. Ma całe swoje komando. Ma masę możliwości i nieograniczone środki. Twój Himmler - ciągnął dalej - na szczęście woli wykopaliska. Jak mu dasz jakąś dobrą niemiecką czaszkę, wygrzebaną nie wiadomo skąd, to się ucieszy. Himmler przejmuje sztukę i majątki na cele SS. Nie dla siebie. Ale tak czy inaczej, to wielcy gracze. A jeszcze nie wiadomo, kto zostanie tutaj władcą. Jeśli ten również będzie lubił kolekcjonować, to dojdzie kolejny gracz. Uważaj więc. Wiesz, jak mówią u nas w Kłajpedzie: „jedz małą łyżką, szybciej się najesz i się nie udławisz”.

– Dziękuję, będę brał tylko małe łyżeczki – odrzekł Gerhard. Wziął łyżeczkę z baru i na oczach barmana włożył ją sobie do kieszeni. Ten nic nie powiedział, a Viethold się zaśmiał.

– Widzę, że rozumiałeś – powiedział i pokiwał głową z uznaniem.

– Nudzisz.

– Zgadza się – powiedział Viethold, lekko się już chwiejąc. – Chodźmy więc i wykorzystajmy twoją znajomość lokalnego dialektu. Może po drodze coś się wydarzy.

Gerhard zgodził się całkiem ochoczo.

Nie przeszli nawet stu metrów, gdy zza rogu wybiegła pulchna dziewczyna z rudymi warkoczami. Na ich widok stanęła jak wryta. Otworzyła szeroko oczy. Jedno było trochę mniejsze od drugiego, twarz miała piegowałą. Prawie cętkowaną. I spory pieprzyk pod nosem.

– O Boże, co za brzydula, a kysz... – Viethold machnął ręką, jakby chciał się opećdzić.

– On mówi, że jesteś bardzo ładna – powiedział do dziewczyny Gerhard. Ta otworzyła usta ze zdziwienia. Po pierwsze, bo usłyszała komplement, a po drugie, że go rozumiała. Z niedowierzaniem patrzyła na nich i na ich mundury, mierząc ich nieco głupkowskim wzrokiem.

– Przypominasz mu jego pierwszą miłość – ciągnął dalej Gerhard. – Jeszcze z czasów szkolnych. A wiadomo, taka miłość nie rdzewieje – mówił, a dziewczyna coraz szerzej rozdziawiała usta. I teraz patrzyła niemal wyłącznie na Vietholda.

– Co ty tam gadasz? – zniecierpliwił się.

– Dziewczynę ci narajam – wyjaśnił Gerhard.

– To paskudztwo?

– On mówi, że chciałby się chociaż dowiedzieć, jak masz na imię.

– Sara – odpowiedziała mu po chwili i znów wpatrzyła się w Vietholda, który zmarszczył czoło.

– Ja mam żonę – odpowiedział, rozkładając ręce. Dziewczyna nie rozumiała. Patrzyła dalej, przechylając głowę z ciekawością. Łypnęła nawet tym jednym większym okiem trochę zalotnie.

Gerhard roześmiał się. Viethold nie wytrzymał, podszedł do niej i głośno klasnął jej przed samymi oczami. Jak hipnotyzer. Jakby chciał, żeby się w końcu z tego zagapienia obudziła.

Dziewczyna aż podskoczyła ze strachu i zaczęła biec, nieporadnie odwracając się za siebie. Potknęła się. Wyciągnęła ręce i próbowała złapać równowagę, ale po kilku niezgrabnych ruchach runęła na bruk.

– Widzisz, co narobiłeś? – zaśmiał się Gerhard. – Zachowaj się chociaż, jak przystało.

– Widzę, że zemściłeś się za moje dobre rady. Ale jeszcze mnie popamiętasz! – powiedział i podszedł do dziewczyny, wyciągając dłoń w jej kierunku. Ta nadal leżała jak długa. Stał nad nią chwycił ją za rękę, pomógł jej wstać, po czym wyciągnął z kieszeni białą chusteczkę i podając jej, zwrócił się do Gerharda.

– Wystarczy? – Ten ze śmiechem pokręcił przecząco głową.

– Niech pani poczeka – powiedział do dziewczyny i podszedł do kwaciarki. Wyjął z wiadra jedną czerwoną różę. Dał w zamian banknot i nie chciał reszty. Kobieta w chustce głośno podziękowała. Słyszało to wiele osób. Zaczęły się im przyglądać.

– Saro, to od niego – powiedział, dając jej kwiat. – Będziesz mi winny – poinformował Vietholda.

– Z nawiązką – odburknął tamten.

– Odprowadzimy panią.

– Nie przesadzasz?

– Wystraszyłeś dziewczynę, więc teraz się zachowuj. Saro... – Gerhard zwrócił się do dziewczyny. – Gdzie pani mieszka?

– Za rogiem.

– Gdzie?

– Tam, gdzie ten antykwariat. – Dziewczyna pokazała palcem na zabite deskami drzwi i okna. Gerhard pokiwał głową.

– A więc dorożka nie będzie potrzebna. Chyba że chciałaby pani udać się z nami na przejażdżkę?

– Nie – wybąkała. – Tata mi nie pozwolił.

– Na przejażdżkę po prostu? Czy na przejażdżkę z nami?

– Z Niemcami.

– Pójdziemy więc go poprosić – stwierdził Gerhard stanowczym

tonem.

- Ale...
- Idziemy.
- Już daj spokój – wtrącił się Viethold.
- Chodź. Poznasz teścia – oświadczył Gerhard i ruszył przodem.
- Ma sklep z pamiątkami.
- Ja mam żonę... – wymamrotał Viethold, powłócząc za nimi nogami.
- Znajdziemy jej prezent. Na pocieszenie.

Stary Żyd w staromodnym surducie otworzył drzwi od zaplecza i oniemiał na widok oficerów Wehrmachtu i SS, którzy bez pardonu wtargnęli do środka. Nie byli pierwsi. Wpadli tu już wcześniej szeregowi żołnierze, zabierając wszystko, co dało się włożyć do kieszeni lub za pazuchę. Srebrne cukiernice, połączane puzderka, kryształowe lusterka. Przyszli też sąsiedzi. Ci w większości wiedzieli dokładnie, czego chcą, bo niecały miesiąc wcześniej widzieli to przez szybę witryny. Zabrali secesyjne krzesła, biedermeierowskie biurka i fotele à la Ludwik XIV.

Teraz przyszli ci dwaj. Przyprawdzili jego jedyną córkę. Po śmierci żony została mu tylko ona. Była naiwną dziewczyną, a Żyd wystarczająco długo już żył na tym świecie, by wiedzieć, że za naiwność drogo się płaci. Bez mrugnięcia okiem oddał kilka cennych rzeczy, które ukrył na czarną godzinę. Myślał, że nadeszła ona właśnie teraz.

Oficerowie w doskonałych nastrojach odjechali dorożką w kierunku Wawelu.

Berlin, jesień 1939 roku

Postawna kobieta o kwadratowej twarzy i zimnych oczach stała przed wielkim lustrem oprawionym w bogato rzeźbione, złoczone ramy. Patrzyła na siebie i obiema rękami gładziła mierzoną właśnie etolę. Z wielkim skupieniem przesuwała ją z ramion bardziej na plecy lub z pleców bardziej na dekolt. Na prawe ramię lub trochę na lewe. Od czasu do czasu delikatnie skubała czarne, spiczaste pędzelki gronostajowych ogonków, którymi upstrzona była śnieżnobiała futrzana peleryna.

Westchnęła cicho, ściągając ją z siebie, i z gniewną miną rzuciła w stronę wielkiego, ozdobnego pudła.

– Odwieźć do sklepu – rozkazała służącej, która sterczała w kącie bez słowa.

Dziewczyzna sprawnie złożyła futrzany szal, przewiązała pudło kokardą i szybko wyszła z pokoju. Było niemal pewne, że konieczność pożegnania się z czymś, co kobieta mierzyła i czego nie chciała zdjąć z siebie przez ostatnie pół godziny, jest zapowiedzią nieziemskich awantur. Nie wiadomo było, na kogo trafi jej gniew. Na służbę, jedno z pięciu jej dzieci czy, jak to najczęściej bywało, na męża. Ale męża nie było teraz w domu. I nikt nie wiedział, kiedy się pojawi. Przebywał w Berlinie, lecz większość czasu spędzał u boku Hitlera. „Był jego adwokatem w czasach pokoju. W czasach wojennych jest tym bardziej niezbędny”. Przynajmniej tak utrzymywała, tłumacząc głośno jego częstą nieobecność. Szczególnie ostatnimi czasy.

Etola była przepiękna i najlepiej jakości. Wyglądała w niej doskonale, władczo i dostojnie. Tym bardziej była więc zła, że musi ją zwrócić. Ale nie spłaciła jeszcze krótkiego futra z norek i długiego do samej ziemi z kamczackich srebrnych lisów. Nie wspominając o mufce ze śnieżnej pantery. Ostatnio dużo kupiła, bo przytyła po kolejnej ciąży i nie wszystko, co nosiła do tej pory, nadal pasowało.

Ze złości natychmiast rozbolała ją głowa.

Tym razem jęknęła. Z samego parteru berlińskiej willi zaczęły dochodzić radosne okrzyki jej dzieci. Wzięła głęboki oddech i podeszła do drzwi.

– Co to za wrzaski! – krzyknęła gniewnie. – Czy ktoś w końcu się nimi zajmie? – powtórzyła, schodząc ze schodów.

– Tata! Tata! – Zrozumiała wreszcie, co wykrzykuje trójka najmłodszych dzieci.

– A, o to chodzi. W samą porę – powiedziała z lekką satysfakcją w głosie.

Zeszła w dół schodów i stanęła na półpiętrze. Z góry patrzyła na korytarz.

– Tata! – powtarzały dwie małe dziewczynki, oblapując postawnego mężczyznę w mundurze Wehrmachtu. Oficer miał lekką nadwagę, pucułowate, nalane policzki i zaczesane do tyłu mocno przygładzone włosy. Uchodził za przystojnego. Podobał się i kobietom, i mężczyznom. Dzieci go uwielbiały, co jeszcze bardziej ją drażniło. Teraz wziął dwójkę młodszych na ręce i ku ich radości obracał się dookoła, a one piszczwały z zachwytu.

– No tak! – sapnęła. – Całymi dniami cię nie ma w domu. Nic cię nie obchodzi. A jak wrócisz, to jest święto! Wielka radość! Tata w domu! A ciekawe niby, gdzie był? – zapytała, sycząc przez zaciśnięte zęby. – Może u tej swojej... – Już zamierzała wypomnieć mu wieloletnią kochankę, a jak będzie się burzył, to i kochanków z szumnej młodości, ale coś ją powstrzymało. Nie wiedziała, jak się zachować.

Jej mąż nagle śmiertelnie spoważniał i postawił dzieci na ziemi. Skinął na służącą, aby się nimi zajęła, a sam wyprostował się, poprawił mundur i prawie marszowym krokiem ruszył w jej stronę. Potem zrobił coś jeszcze dziwniejszego. Podeszedł pod schody, wyciągnął ręce w jej kierunku i upadł na oba kolana. Przez chwilę tak tkwił, czekając, aż służąca uciszy dzieci.

– Brigitte! – wykrzyknął w końcu spektakularnie doniosłym głosem. – Brigitte! – powtórzył jeszcze głośniejszym głosem. – Zostaniesz królową Polski!

Brigitte Frank w pierwszej chwili osłupiała. W drugiej zrozumiała, że mąż, który podobno był szefem zarządu cywilnego przy Wehrmachcie, teraz miał zostać jedynym zwierzchnikiem nowo zdobytych ziem.

W trzeciej chwili popatrzyła na ozdobne pudło w korytarzu.

Na szczęście nikt go nie zdążył jeszcze wynieść.

Lublin, 26 września 1939 roku

Kto się w opiekę odda Panu swemu... – rozległo się na terenie koszar ósmego pułku Legionów.

Dziurawiec jeszcze nie dostrzegł, kto to śpiewa, bo siedział oparty o ścianę parę metrów dalej, ale był pewny, że za chwilę się dowie. Wydzierający się głos irytował nie tylko jego. Zwrócił już uwagę niemieckich strażników patrolujących teren.

Początkowo nikt nie reagował, lecz śpiew młodego chłopaka był coraz głośniejszy i pobrzmiewała w nim coraz bardziej desperacka nuta.

Już drugi dzień byli zamknięci pod gołym niebem na terenie koszar znajdujących się na przedmieściach Lublina. Na placu stało pewnie kilka tysięcy mężczyzn. Powyciąganych z domów, wyłapanych w okolicznych wioskach lub aresztowanych na ulicach samego Lublina. Z ulicy zgarnęli także Dziurawca.

Nigdy by go nie złapali, gdyby nie ta kobieta. Oczekał, aż Niemcy ruszą swoimi motocyklami dalej w miasto, i dopiero wtedy ruszył w kierunku domu. Sprawnie lawirował między kamienicami i podwórzami. Był już w połowie drogi. Przystanął, żeby odpocząć. Zapalił papierosa i wtedy stanęła mu przed oczami kobieta w białej okrwawionej koszuli. A potem przypomniał sobie jej uśmiech, gdy machała mu klamką, i to, jak czytała książkę, głaszcząc po głowie śpiącego chłopca. Na koniec widział już tylko jej potargane przez koła ciało leżące na ulicy, na której ją zostawił. Z wściekłości kopnął w śmietnik, przewracając metalowy kosz. Chwilę patrzył, jak uciekają z niego popiskujące szczury. Skończył palić, zdeptał papierosa, splunął za siebie i wrócił się po nią. Ludzie nie wychodzili jeszcze z domów albo byli pochowani po piwnicach, więc ciągle leżała na środku ulicy. Z otwartymi, wielkimi oczami i lekkim uśmiechem na twarzy. A może tak tylko mu się zdawało. Zamknął jej powieki. W jednym rozbitym oknie dojrzał firankę, wyrwał ją, owinął jej ciało i tak

zaniósł do pobliskiej synagogi. Zostawił na posadzce. Wyszedł i wtedy go chwycili, przystawiając karabin do pleców. Szedł z pół kilometra z rękami w górze, do miejsca, gdzie sprowadzano wyłapanych mężczyzn. Potem trafił tu, do koszar.

Ludzie mówili, że Niemcy zrobili z nich zakładników, by uniknąć przemieszczania się osób zdolnych do walki. Niektórzy uważali, że wojna się jeszcze toczy. W kółko wymieniali się informacjami:

– Panie, Warszawa ciągle walczy!

– Same gruzy tam już zostały! Ale bronią się.

– I na Helu jeszcze też...

– Znam kogoś, kto widział angielski samolot... – emocjonowano się, głośno szepcząc.

Ale znaczna większość pogrążona była w dojmującej apatii. O prawdziwej walce nikt już realnie nie myślał. Od kiedy wkroczyli Rosjanie, a Zachód zrobił dokładnie tyle co w przypadku Czechosłowacji. I rząd uciekł. Wojna była przegrana. Siedzieli, stali, podpierali ściany ze spuszczoneymi głowami, próbując zrozumieć, co właściwie się stało. Trudno było w to wszystko uwierzyć. Przecież tuż przed wojną... Wojna zdawała się z góry wygrana. Niemcy mieli kryzys gospodarczy i paliwowy. Samoloty i czołgi z tektury. A polska armia była niezwyciężona. Sojusznicy potężni... Rozmawiano przecież o tym, jakie kolonie zamorskie nam się należą! A teraz, niespodziewanie, gwałtownie, z dnia na dzień, cały kraj miał stać się niemiecką kolonią? Nawet zupełni pesymiści nie potrafili do końca zrozumieć, dlaczego poszło tak źle. Część co prawda mówiła: „a nie mówiłem...”, ale niepewnym tonem, bo kto by się w takiej sytuacji cieszył z własnej racji.

Zdecydowana większość się modliła. Część nieustannie płacząc i pociągając nosami. Jednak głos młodego człowieka śpiewającego kolejną zwrotkę *Kto się w opiekę* stawał się coraz bardziej irytujący.

Stąd wedle ciebie tysiąc głów polęże,

Miecz nieuchronny ciebie nie dosięże...

Wył coraz głośniej. Dziurawiec zobaczył niemieckiego strażnika

zmierającego w kierunku zawodzącego chłopaka. Na szczęście strażnik odwrócił karabin kolbą do przodu, dając znak, że nie zamierza strzelać. Gdyby nie to, Dziurawiec by nie wstał, a tak podniósł się i ruszył w jego kierunku.

Dzieciak miał nieprzytomny wzrok, ale widział, że do niego podchodzą. Wtedy jak w amoku zaczął się wydierać coraz głośniej:

A ty zdumiałały oczyma swoimi...

Strażnik z zaciśniętymi zębami szedł w kierunku dzieciaka. Ten zaryczał jak zarzynane zwierzę:

Niechybną pomstę ujrzysz nad grzesznymi!

Dziurawiec przyspieszył kroku. Dopadł go, nim strażnik zdążył złożyć się do uderzenia kolbą. Chwycił go za rękę i wykręcił tak mocno, że chłopak wydał z siebie niekontrolowany jęk. Z bólu zgiął się wpół, głową do ziemi, bo Dziurawiec ciągle unosił jego łokieć do góry. Zaczął piszczeć.

– Jak się nie zamkniesz, to ci zęby powybijam – powiedział głośno. – Wyplujesz je i będziesz mógł zrobić sobie grzechotkę...

– Dobrze! – zaśmiał się strażnik i zwrócił się do niego po ukraińsku: – Jak się nazywasz?

– Dziurawiec – odpowiedział mu, a ten chichocząc, odszedł i streścił drugiemu strażnikowi to, co usłyszał. Zaśmiali się obaj.

– Będiesz szeptał? Czy mam zrobić, jak obiecałem? – zapytał chłopaka. Ten kiwnął głową, potwierdzając, że zrozumiał, co ma robić. Puścił go. Chłopak usiadł na ziemi i zaczął rozmasowywać obolały staw.

– Och! Dobrześ pan zrobił, panie Dziurawiec! – usłyszał za plecami. Rozpoznał głos Władysława Woydy. Odwrócił się.

– Jak dobrze pana widzieć! Już z daleka myślałem, że to pan – zawołał profesor, przytulając Dziurawca. Ten stał nieruchomo. Rozglądał się wokoło i dopiero po dłuższej chwili raz klepnął po ramieniu profesora, który przylepił się do niego całym ciałem.

– Roztrzaskałby chłopaczynę tą kolbą – ciągnął Woyda, kręcąc głową z niedowierzaniem. – Ale co zrobić! Nerwy puszczają.

Dziurawiec przyglądał się profesorowi, który miał pod okiem limo, zmierzwiły mu się siwe włosy, przekręciła na szyi muszka

w kropki, przykurzył płaszcz i spodnie. Zastanawiał się, czy profesor nie postarzał się jakoś drastycznie przez ostatnie kilka dni, bo na tle wszystkich innych ludzi wyglądał dziwnie. Dopiero po chwili zrozumiał, że to przez kontrast. Woyda był o kilkanaście lat starszy od innych przebywających tu mężczyzn. Niemcy zgarniali tych w wieku poborowym, a profesor był na to stanowczo za stary.

– Co się panu stało? – zapytał, patrząc na podbite oko.

– Ach, długa historia, panie Dziurawiec. Ale oczywiście panu mogę opowiedzieć – oświadczył Woyda. Chwycił go za ramię i odciągnął na bok. – A chyba nawet muszę. Bo to nigdy nie wiadomo, czy mnie wypuszczą. Wie pan – ściszył głos – że ta rzecz ciągle u mnie jest. Niemcy weszli do muzeum pierwsi. I to hurtem! Cały oddział rozbiegł się po gmachu. Z krzykiem. Ktoś nawet strzelił do kartonu. Zajrzeli w każdą dziurę, wyobrażasz pan sobie. Do sali, gdzie leży „rzecz” też – wyszeptał.

– Szukali? – zdziwił się Dziurawiec.

– Nie szukali na szczęście tego obr... – Woyda chwycił się za usta. – Tej rzeczy. Tylko jakichś członków rządu polskiego. Wiedzieli, że stacjonowali w Lublinie. Wojsko zostawiło u mnie dużo sienników, więc myśleli, że ciągle tu śpią. Zaczęli rozwalać moją stertę. Tłumaczyłem, mówiłem, tłumaczyłem... I w końcu oberwałem – dodał z dumą. – Ale opłaciło się. Choć chyba mnie tu zabrali tak dla przykładu – powiedział, rozglądając się. – Moich roczników tu nie ma.

– Zauważyłem – westchnął Dziurawiec. To nie było miejsce dla starszków.

– Jeśli tylko stąd wyjdziemy, to musimy, za wszelką cenę, powtarzam, za wszelką cenę, tę rzecz ukryć! Może pan, panie Dziurawiec, ma jakiś pomysł – zapytał profesor, a Dziurawiec zobaczył idącego w jego stronę Belfiorego. Zatrzymał go w połowie drogi, dając dyskretne znaki. Belfiore rozumiał, nachylił się i zaczął wiązać buty. Dziurawiec chciał najpierw jakoś spławić profesora. To okazało się zbyt trudne. Zdecydowanym krokiem szedł w jego stronę niedawno zapoznany ukraiński strażnik.

– Ej, ty! Wychodzisz. – Skinął na Dziurawca. – Tam idź. – Pokazał na znajdującą się kilkadziesiąt metrów dalej bramę.

– Pewnie pan zasłużył. – Zdezorientowany profesor pokiwał głową.

– Tylko na co? – burknął Dziurawiec pod nosem.

– Niech pan powie mojej żonie, że mnie pan tu w dobrym zdrowiu widział...

Dziurawiec kiwnął głową i odwrócił się, spluwając pod nogi. Podobno wypuścili tylko kilka osób. Albo posłali Bóg wie gdzie. Tego nie był pewien, ale ruszył w kierunku wyjścia.

Nie miał pojęcia, co go czeka, a za bramą czekała Eliza.

Uśmiechała się od ucha do ucha.

Wyglądała pięknie.

– Przyszłam po ciebie.

Warszawa, 2 października 1939 roku

Gerhard von Lossow wyjął srebrną papierośnicę z kieszeni, a z niej papierosa. Nie palił wcześniej, ale skoro zostawił sobie tak ładny przedmiot, zamierzał od czasu do czasu na nią popatrzeć. Papierośnicę znalazł wśród rzeczy, które wzięli sobie razem z Vietholdem na pamiątkę od starego Żyda z Krakowa. Rano obejrzał ją dokładnie, musiała pamiętać czasy Franza Josefa. Żyd utrzymywał, że należała do malarza Jana Matejki. Mogła to być prawda, skoro zostały wygrawerowane na niej takie właśnie inicjały, ale też, jak powszechnie utrzymywano, żydowscy handlarze z rzadka tylko potrafili powstrzymać się od kłamstwa. Nie należało więc w to wierzyć. Jedno było pewne, papierośnicę wykonano w Wiedniu. Miała znaną mu sygnaturę tamtejszego złotnika. Znał tę pracownię doskonale, istniała więc duża szansa, że sprawdzi jej historię. Dlatego też większość rzeczy oddał Vietholdowi, który na parę dni jechał rodziny, ale pozłacany bibelot zostawił sobie na pamiątkę.

– Wróci do domu – stwierdził, obracając ją w palcach i schował do kieszeni.

Z tłącym się papierosem czekał na przyjazd Hansa Franka do Zamku Królewskiego. Zdążył w ostatniej chwili.

Wcześniej czekał na poddanie się stolicy i na spotkanie z Karlem Wolffem. To właśnie Wolff powiadomił go, kto zostanie namiestnikiem utworzonej z resztek Polski Generalnej Guberni. Obwieścił to z niemałym oburzeniem, ale i ze śmiechem, parodiując wściekłość Himmlera.

Mało kogo Himmler nie cierpiał bardziej niż Hansa Franka. Uważał go za największego lizusa w Rzeszy. O mały włos się nie zakrzusił, gdy usłyszał, że Frank awansuje z marnego adwokata na ministra w rządzie. Następnie obwieścił Hitlerowi, że „po raz pierwszy w historii narodu miłość do Führera stała się pojęciem prawnym”. Hitler był z tego prawnowo-wodzowskiego połączenia

wyraźnie zadowolony, więc Frank nie omieszkał na każdym kroku dodawać z miną znawcy prawa, że „wódz jest największym sędzią narodu niemieckiego i nie ma nikogo ponad nim!”. Himmler mało sam się nie opluł z wściekłości, jak to powtarzał. Poza tym pamiętał go z początków SA i miał go za zbrojeńca zabawiającego się z innymi mężczyznami, choć Frank był ojcem piątki dzieci. Nie wszystkich swoich, jak z przymrużeniem oka stwierdził Wolff. Himmler nie przepadał również za żoną Franka. I tu Wolff zgodził się z nim, utrzymując, że kilka razy przestraszył się jej, myśląc, że to Yeti, a nie kobieta w futrze paraduje po Filharmonii Berlińskiej. Podobno ten dowcip powtarzała śmietanka towarzyska stolicy.

Wolff z rozbawieniem opowiadał mu o tym wszystkim, aby na koniec całkiem poważnie stwierdzić, że najbardziej niebezpieczną cechą Hansa Franka jest to, że „prawdopodobnie nie ma bardziej chciwej osoby w całej Rzeszy”. Groźne natomiast jest to, że Hitler o tym wie i to toleruje, co jest poważną przeszkodą w realizacji planów, jakie ma gestapo.

Himmler uznał więc, że należy się spieszyć, i obstawił najbardziej interesujące go przybytki, czyli wszystko to, gdzie można było znaleźć zbiory archeologiczne oraz literaturę mogącą potwierdzić obecność plemion germańskich na tych terenach. Rozkazał też natychmiastowy wywóz wszystkiego co cenne i przydatne do Niemiec. Wiązało się to też ściśle z planami, jakie miał Hitler co do Warszawy.

Miała się stać miastem robotniczym. Bez przeszłości. Ze zredukowaną dziesięciokrotnie liczbą mieszkańców. Bez pałaców, gmachów i zamków. A już na pewno bez zamku królewskiego.

O tym, że to nie czcze przechwałki, Gerhard von Lossow przekonał się, widząc pierwsze kroki, jakie zrobił Hans Frank po wyjściu z limuzyny. Czarny luksusowy mercedes zaparkował wprost przed wejściem głównym do zamku. Wyszedł z niego dość przytyty oficer w otoczeniu wpatrzonych w niego esesmanów.

Gerhard stał pod ścianą akurat tak, że widział dokładnie, jak

Frank ostentacyjnie zniesmaczonym wzrokiem obrzuca okaleczoną bombardowaniem budowlę. Nie było dachu, tylko resztki osmalonych belek. Powypadała większość okien i zawały się ściany na górnych piętrach. Unosząc wysoko podbródek i nadymając usta, ruszył w kierunku wyjścia. Po drodze prychnął w kierunku przyjmującej go delegacji polskiej i minął ją bez powitania. Ukłonił się natomiast człowiekowi stojącemu przy drzwiach. Gerhard przyjrzał się starszemu panu w muszce z falą srebrzystych włosów na głowie i szybko rozpoznał w nim wiedeńskiego profesora Dagoberta Freya. Ten wprowadzał Franka na zamek, jakby to on był tu gospodarzem.

Von Lossow zgodnie z poleceniami Wolffa miał wykonywać swoje zadania, a jednocześnie przyglądać się poczynaniom Hansa Franka z możliwie jak najbliższej odległości. Nie było większą trudnością wmieszać się w rozentuzjasmowaną esesmańską świątę i wejść do środka. I tu Gerhard się zdziwił. Dopiero niedawno ustały walki o Warszawę, a w zamku już trwały roboty. I to nie mające na celu zabezpieczyć uszkodzony dach, ale rozbiórkowe. Wszędzie przechodziły ekipy wycinające belki, kapitele kolumn i nadproża.

– Ja osobiście kazałem rozmontować kominki i sztukaterie z plafonów w tym pomieszczeniu – chwalił się wiedeński profesor, gdy namiestnik razem ze świątą przemierzał kolejne sale. – A stąd – pokazał palcem – kazałem wyciąć przepiękną sycerską dekorację boazerii... – objaśniał dalej. – I futryny w tych miejscach... I całe skrzydła drzwi z tamtego wejścia. A tu zabezpieczyliśmy żyrandole. – Pokazał na wiszący z sufitu sznur. – I niesamowite świeczniki. Starano się je przed nami ukryć, ale...
– To dobrze – przerwał mu Frank. – Widzę, że pan profesor doskonale się w tym wszystkim orientuje – pochwalił.

– O tak, sztuka niemiecka i jej reminiscencje na terenach dawnej Polski to przedmiot moich ponadpiętnastoletnich badań... Bywałem tu wielokrotnie – odparł profesor z dumą.

– W końcu się przydało. – Hans Frank pokiwał głową.

– Ależ oczywiście. To były naukowe wizyty. Przemierzyłem setki kilometrów. Sporządziłem doskonałą dokumentację.

Wykonałem tysiące zdjęć. Nie chwając się, mam też doskonałą pamięć – pochwalił się Dagobert Frey. – Pamiętam nawet, co gdzie stało. Jeśli to gdzieś zabrano, jestem w stanie to stwierdzić. I od razu każę im to zwrócić. Mojej pamięci nie da się oszukać. – Z dumą postukał się palcem w skroń. – W ten sposób upomniałem się o kolekcję bizantyjskich monet z Muzeum Narodowego i o wyjątkowo ciekawą wczesnośredniowieczną odlaną z brązu kołatkę z drzwi kościoła w...

– I co się z tym dzieje? – chrząknął gniewnie Frank.

– Pakujemy starannie i szykujemy do wywiezienia. Częściowo do Berlina, częściowo do Wied...

– To proszę to wszystko skierować do Krakowa – oświadczył Hans Frank tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Tam utworzymy magazyn centralny i będziemy wszystko sprawiedliwie rozdzielać dalej – stwierdził z władczą miną.

– Ale... Wiadomo mi skądinąd, że inwentarzem zamku jest zainteresowane Drezno... Chcą wyposażyć pawilon drezdeńskiego Zwingera – tłumaczył się profesor, a Hans Frank słuchał tego z coraz bardziej zmarszczonym czołem.

– Chcą ogołocić moje królestwo? – zapytał gniewnie.

– Nie, oczywiście, nie... ale tenże Zamek Królewski budowali architekci sascy, więc byłoby słusznie, gdyby to wróciło do... – pocił się profesor.

– Nie ma żadnego „ale” – skwitował Frank, przyspieszając kroku. – Co to za sala? – zapytał z zainteresowaniem, wchodząc do zdobnego pomieszczenia.

– Sala tronowa...

– No właśnie! – zawołał. Patrzył przez chwilę na haftowane srebrną nicią orły na baldachimie. Po czym szarpnął tkaninę z całej siły... Część się oderwała. – Panowie, zapraszam! – wrzeszczał, targając materiał, który jak w amoku próbował rozerwać na pół. – Proszę do pomocy! – wezwał, a kilkunastu esesmanów rzuciło się w jego kierunku.

– To już nigdy nie będzie królewskie miasto! – krzyczał dalej Frank. – Nie potrzeba tu orłów w koronach. Nigdy nie będzie tu zamku.

Szamotał się jeszcze chwilę, lecz po chwili otarł spoczone z wysiłku czoło i zostawił robotę innym oficerom. Podeszedł do Dagoberta Freya.

– A pan, panie profesorze? Co się pan tak ociąga...

– Nie uważam, żeby konieczne było niszczenie. To jeszcze nieprzebadane przedmioty. Może mają jakąś niemiecką proveniencję... – powiedział błądy jak ściana profesor. Stał bez ruchu i z przerażoną miną obserwował to, co się działo.

– To polskie orły. – Hans Frank wzruszył ramionami. – Nie uchowają się. Tak jak ten cały prostacki przybytek.

– To znaczy...? – zapytał profesor z jeszcze większym przerażeniem w oczach.

– Ten zamek już wkrótce przestanie istnieć – stwierdził Frank, rozkładając ręce, i z radością patrzył, jak reszta esesmanów zrywa orły ze ścian. Strąca na ziemię ozdobne kinkiety z insygniami koronnymi albo próbuje zarzucić tkaninę na żyrandol w taki sposób, by móc się na niej uwiesić...

– Jak to? – odezwał się w końcu Dagobert Frey. – Jak to nie będzie istniał?

– Hitler go sobie nie życzy – prychnął Frank. – Pabst już trzy miesiące temu opracował plan urbanistyczny dla Nowego Niemieckiego Miasta Warszawa, zaakceptowany przez wodza. Byłem z wodzem, gdy przedstawiano ten projekt. I Adolf Hitler w pełni go zaakceptował.

– Czyli co tu ma być?

– Zamek ma być zniszczony, a na jego miejscu zbudowana hala ludowa do zbiórek NSDAP. A zamiast tej kolumny sprzed zamku, widział ją pan? – zapytał Frank, a Dagobert Frey przytaknął. – Tam ma stanąć pomnik Germanii. W pełni się z tym zgadzam. Wydałem wszelkie pozwolenia. I muszę dodać, że jestem skuteczny. Już zmierza w naszą stronę niemiecka firma, która ma za zadanie zaminować całą tę budowlę i wysadzić ją w powietrze.

– Ale przecież... Jak wysadzić, na... w.... murach... Starego Miasta możemy znaleźć niemieckie ślady dawnych fortyfikacji... i tu...

– Panie profesorze – przerwał mu Hans Frank, a profesor zastygł z otwartymi ustami. Frank nachylił się w jego stronę. –

Proszę się więc spieszyć z tymi badaniami, bo potem będzie wielkie bum! – powtórzył Freyowi, który zdawało się nie do końca rozumiał, co się do niego mówiło. – Dobrze. Jest pan, zdaje się, starej daty i udaje, że nie rozumie. Niech sobie pan weźmie coś na pamiątkę i od razu poprawi się panu humor.

– Ale co?

– Co pan zechce, mówił pan coś o jakiejś kołatce. Jest pana! – powiedział i poklepał profesora po plecach. Dagobert Frey jeszcze nie wierzył, że to wszystko może być prawdą.

Za to Gerhard von Lossow rozumiał aż za dobrze i wiedział jedno, należy działać szybko, a przede wszystkim sprawdzić, czy *Bitwy pod Grunwaldem* nie schowano gdzieś w podziemiach Zamku Królewskiego. Bo Frank zdawał się nie rzucać słów na wiatr, poza tym na takie działania musiał mieć pozwolenie z samej góry. Gerhard chwilę jeszcze pobył w otoczeniu świty nowego zwierzchnika Generalnej Guberni. Ku swemu zadowoleniu dowiedział się, że Hans Frank zapowiedział prywatną wojnę z Kajetanem Mulhmannem.

– Nie spocznę, dopóki Dama z gronostajem nie zawiśnie w moim gabinecie. Jak na władcę Polski przystało! Gabinet będzie na Wawelu. I właśnie tam chcę mieć ten obraz! Poza tym moja żona lubi gronostaje! – dodał podobno, choć Gerhard nie był pewien, czy aby ktoś życzliwy nie dołożył tego fragmentu od siebie.

Tak czy inaczej, wszystko to starał się zapamiętać, by móc potem opowiedzieć. Hans Frank wkrótce opuścił Zamek, a on sam udał się do Zachęty. Był tam umówiony. Przed wejściem nikt na niego nie czekał, ale rozglądał się chwilę.

Wszystko wyglądało inaczej, niż zapamiętał. Teraz nie było tu ludzi, za to w dachu było wiele dziur. Bomby przebiły strop i spadły na podłogę, rozbijając kafelki, schody i kilka ścian. Po ziemi wały się połamane ramy i nadpalone płótna. Kawałek kobiecej głowy, rozszalałe konie, osmolone kwiaty. Większości obrazów nikt nie pozdejmował ze ścian. Nie pozabierano

również rzeźb. Niektóre rozbite i uszkodzone leżały na podłodze. Tego Gerhard obawiał się najbardziej. Dlatego nerwowo przyspieszył kroku, idąc na piętro do sali, gdzie przed wojną wisiała *Bitwa pod Grunwaldem*. Jedno wiedział na pewno. Obraz musiał być w doskonałym stanie, jak skazaniec przed egzekucją. Inaczej nie był nic warty. Ze strzępu Goebbels nie urządzi spektaklu, Leni nie nakręci filmu, ojciec nie zobaczy, jak jego syn własnoręcznie niszczy paszkwil, który drażnił jeszcze jego dziada. Przeraził się na samą myśl o zniszczonym przypadkowo obrazie.

Nie czekał więc. Szybko wszedł do sali. Przez podłogę przeleciał jakiś pocisk, zostawiając potężną dziurę. Ale wielka ściana ziała pustką.

Odetchnął z ulgą. Dopalił papierosa. Zdeptał niedopałek na ziemi.

Ktoś go zdjął, zwinął. Miał nadzieję, że troskliwie. Że wywiózł albo ukrył. Tak jak próbowano ukryć kolekcję Czartoryskich, jak spakowano ołtarz Wita Stwosza. Wszystko to znaleziono. Bardzo szybko i sprawnie, a przede wszystkim w nienaruszonym stanie.

Teraz wystarczyło tylko dowiedzieć się, kto się tym zajmował.

Prośbą, groźbą, przekupstwem lub torturą. Wszystko jedno.

Usłyszał czyjeś kroki. Wyjął pistolet. Przyłgął do ściany. Na salę wszedł Igo Sym. W jasnym płaszczu, kapeluszu, z półuśmiechem na twarzy, rzeczywiście wyglądał jak aktor. Gerhard mógł sobie wyobrazić, jak gra szefa polskiego kontrwywiadu. Też się uśmiechnął.

- Heil.

- Tak myślałem, że cię tu znajdę. - Igo odwrócił się w kierunku chowającego broń Gerharda.

- Za to ja nie znalazłem tego, czego szukam - odpowiedział mu Gerhard, nie kryjąc pretensji w głosie.

Igo podał mu ściskaną w rękach gazetę.

„Goniec warszawski” z września.

- Druga strona - dodał Polak.

- *Grunwald* mimo bombardowania Zachęty ocalał! - przeczytał Gerhard. Przynajmniej tyle - burknął pod nosem, doczytując

krótką wzmiankę. – Nie piszą, gdzie go zabrali.

– Może jest na Zamku, może w Muzeum Narodowym. Nie wiem... Tyle się działo.

– A kto może wiedzieć?

Igo Sym wyjął z kieszeni kartkę.

– To lista osób, które mogą mieć coś z tym wspólnego.

3 października, aleja Szucha, Warszawa

Otworzyły się drzwi ciasnej celi. Wewnątrz było już kilkunastu mężczyzn, w środku nocy dołączyć miał kolejny.

Wepchnięty do środka siwy sześćdziesięciolatek lekko wystraszonym wzrokiem wodził po śpiących współwięźniach. Kilka głów odwróciło się w jego stronę, po czym z powrotem ułożyli się do snu. Leżeli obok siebie niby sardynki w puszcze i zdawali się nawykli do takich sytuacji. Zastanawiał się, gdzie ma usiąść i co ze sobą zrobić, gdy nagle odezwał się ktoś z górnej pryczy.

– Panie dyrektorze, pan też tu?

Bronisław Gembarzewski, dyrektor Muzeum Wojska Polskiego, spojrział w górę i ucieszył się na widok znajomej twarzy. Rękę w jego kierunku wyciągał Stanisław Gebethner, pracownik Muzeum Narodowego. Był w wymiętolonym ubraniu, zarosnięty i jak zwykle pogodny.

– Zapraszam na pokoje – powiedział, a dyrektor spojrział na drabinkę. Bał się po niej wejść, ale też nie miał zbytowego wyboru, bo właśnie deptał po czyjejs marynarce. Szybko przypomniał sobie dawne manewry wojskowe i nadspodziewanie sprawnie znalazł się na górnej, trzeszczącej pryczy.

– Nie zawali się? – zapytał.

– Inżynier Brzeziński z Zachęty tu leżał i się nie zawaliło. – Gebethner pokiwał porozumiewawczo głową. Uśmiechnęli się obaj, a dyrektor pierwszy raz się ucieszył, że nie ma postury tura, jak znany im obu inżynier. – Trzymałem to miejsce dla niego, ale jeszcze nie wrócił, może go wypuścili? Odezwała mu się astma i źle znosił przesłuchania.

– A ktoś je znosi dobrze?

– Jedni lepiej, drudzy gorzej – Gebethner ściszył głos i nachylił się w kierunku dyrektora. – Mnie cały czas taki przyjemniaczek wypytuje o *Bitwę pod Grunwaldem*. A ja ani skłamać, ani prawdy

powiedzieć nie mogę, bo nic nie wiem... Brzeziński też nic nie wie, bo go nie było w Warszawie.

– Mnie też zaczęli o to pytać. – Gembarzewski chwycił się za głowę, przypominając sobie oficera gestapo, który mimo że był uprzejmy, na koniec przeraził go nie na żarty, strasząc obozem. – Ale to przecież nie moje muzeum. Zresztą pewnie wzięło to na siebie ministerstwo... Wszak to zbyt poważna sprawa.

– Obowiązkowo – przytaknął Gebethner, mrużąc oczy. – *Bitwa* pojechała na wschód. Ejsmond pociągnął ją kawałek i pewno już dawno za granicę wywieziona... – wyszeptał. – Przeczeka gdzieś bezpiecznie te wojnę.

– Oby – westchnął dyrektor Muzeum Wojska Polskiego, a jego współtowarzysz zamilkł. Przyłożył nerwowo palec do ust. Prycza na dole lekko zatrzęszczała.

Pod nimi ktoś nie spał.

5 października, Warszawa

Maria Pia Ejsmond opadła z sił. Przez ostatnie dwie godziny centymetr po centymetrze przesuwiała wielką staroświecką szafę, która od dawna służyła za kredens. Była trzydrzwiowa i cud, że nóżki miały filcowe podkładki, podlepione przy ostatnim szlifowaniu parkietów. Tylko dlatego w ogóle dało się ją ruszyć.

Szafa w końcu zastawiła wielką dziurę w ścianie. Całkowicie wyrwy nie zasłoniła, ale za to w mieszkaniu zrobiło się przyjemniej. Ciemniej, bo kiedyś w tym miejscu było okno, ale przyjemniej, bo teraz nie było widać ulicy. Wcześniej od samej podłogi do sufitu ukazywał się przykry widok na kikuty ścian zburzonej kamienicy.

Zaczęło to jako tako wyglądać, choć na środku pokoju ciągle była zamieciona w jedno miejsce kupka gruzu. Sprawiała jej niemal fizyczny ból. Na wbitych do mieszkania fragmentach muru złożyła resztki potłuczonej porcelany ze ślubnego jeszcze serwisu, zasłonki, w których było więcej dziur niż deseniu, pogięte ramy po niemal całkowicie spalonych obrazach. Na jednym z płócien ostał się tylko wazon, znikły kwiaty. Było jej ich bardzo żal. Malowane we Francji mimozy przypominały piękny czas. Niesłychanie je lubiła.

– Namaluję ci nowe. – Słyszała niemal, jak syn szepcze jej to do ucha.

– Już takich samych nigdy – odpowiadała mu nadąsana, chodząc po mieszkaniu owinięta w wielki, ręcznie dziergany pled.

– To namaluję ci chryzantemy. Teraz będą kwitły, to ich czas. – Usłyszała w głowie i szybko odgoniła złe myśli.

– Nie chryzantemy. Chryzantemy nie. Ludzie na cmentarz je noszą.

– I słusznie, bo to piękne kwiaty – droczył się z nią syn z lekkim uśmiechem na twarzy.

Nie mogła się doczekać, kiedy w końcu stanie w drzwiach. Nie

widziała go od początku wojny. Od czasu gdy stanął w progu z małą walizką w ręku i powiedział:

– Mamo, muszę...

Wiedziała, że musi. Ale nie chciała, żeby jechał. W najczarniejszych snach nie przypuszczała, że tak jak przed poprzednią wojną jej mąż ruszył z Bitwą na wschód, tak samo w czasie tej w niebezpieczną drogę ruszy jej syn. Wiedziała, że go nie zatrzyma, że to męska sprawa, obowiązek rodzinny czy jak to zwać. Ale nie mogła sobie tego wybaczyć. To taki delikatny mężczyzna. Po niej. Z drugiej strony, starszy syn tak delikatny nie był, a zginął w wypadku, zostawiając żonę i dwójkę dzieci.

– Ach – westchnęła kobieta, przecierając oczy, w których pojawiły się mroczki.

Wielki stojący zegar, który nie ucierpiał w nalocie, wybił godzinę szóstą. Ziewnęła. Nie spała od czwartej rano. Najpierw stała w kolejce do banku, który wypłacał tylko grosze, a potem w kilometrowej kolejce po cukier i mąkę. Na cukier nie wystarczyło. A zrobiłaby naleśniki, które tak lubi Staś. Wdowa po starszym synu przyniosła jej trochę mleka. Namawiała, by pojechała razem z nią do Konstancina, do jej rodziny. Tam ocalała cała ich willa... Ale Maria nie chciała. Skąd Stanisław miałby wiedzieć, że akurat tam na niego czeka?

– Nie będę zostawiać żadnych wiadomości. Wykluczone. Wiatr wywieje kartkę albo co gorszego. Tu będę czekać. Walki się skończyły, teraz łatwiej jest wrócić. Tak wielu teraz wraca. Tu zostanę – tłumaczyła.

– Mamo, Mikulicz-Radecki przekazał informację... – próbowała powiedzieć jej synowa.

– Nie chcę tego słuchać!

– Trzeba wywieźć stąd rzeczy – przekonywała synowa. – Pracownia Stanisława spłonęła doszczętnie. Trzeba ratować to, co po nim zostało, nim zniszczyje zupełnie... – próbowała, wiedząc, jaką świętością są dla matki prace jej syna.

– Musisz już iść! – zdecydowała teściowa. – Czekają na ciebie twoje dzieci. Ja czekam na swojego syna.

Nie dała się namówić. Jeszcze nie teraz. Teraz owijała się

wielkim pledem i siadała przy oknie w kuchni. Wyglądała Stanisława i tak zazwyczaj zasypiała.

Teraz też już opadała jej głowa, przymykały się powieki, lecz nagle usłyszała ciche pukanie. Najpierw myślała, że to jej się śni. Ale pukanie powtórzyło się. Rzuciła się do drzwi.

– Stachu! Stachu! – krzyczała, prawie biegnąc przez korytarz. Otworzyła drzwi i zobaczyła Niemca w czarnym esesmańskim mundurze. Zamarła.

– Dobry wieczór – powiedział po polsku przystojny młody człowiek. – Pani Maria Ejsmond? – Przytaknęła. – Mogę wejść? – spytał.

Maria chwilę na niego patrzyła, po czym otworzyła szerzej drzwi. Wpuściła go, zastanawiając się, czy dobrze robi. Zastanawiała się też, czy ma inne wyjście.

– Gerhard von Lossow – przedstawił się, kłaniając. – Robi się coraz chłodniej. Może napijemy się herbaty?

– Nie mam. Spłonęła.

– Przyniosłem – powiedział, wyciągając z kieszeni małą paczuszkę z wizerunkiem jakiejś indyjskiej wieloręki bogini.

– Gosposi też nie mam. Nie przeżyła – oświadczyła Maria, owijając się szczelnie pledem.

– Szkoda. Robi się naprawdę zimno.

– Lubię świeże powietrze.

– Cóż, mam nadzieję, że nie zajmę pani zbyt wiele czasu. Właściwie chciałem zapytać o syna. Chciałbym się dowiedzieć, czy żyje. Czy wrócił? – pytał Gerhard von Lossow, chodząc po mieszkaniu i patrząc na obrazy wiszące na ścianach.

– Nie wiem, gdzie jest.

– A gdzie pojechał?

– Też nie wiem – odpowiedziała mu.

– Mam tu taki papier – odparł Niemiec, sięgając do kieszeni. Wyjął z niej złożoną na cztery karteczkę. Rozprostował. – To protokół sporządzony po spakowaniu *Bitwy pod Grunwaldem*. Podpisał go również pani syn – oświadczył, podsuwając jej papier pod oczy. Wśród dwóch innych rozpoznała jego podpis.

– Nie tylko on się tu podpisał – odparła Maria Ejsmond.

– Tak. Ale tylko panią zastałem w domu – z rozbrajającą szczerością oświadczył Gerhard von Lossow. – Pana Mikulicz-Radeckiego też nie ma. Widnieje tu jeszcze nazwisko konserwatora. Ale to nie on pojechał z obrazem w nieznanym kierunku. W podróż ruszył pani syn. I chcę wiedzieć, dokąd. Dokąd pojechał albo gdzie zaginął.

– Nie mam kontaktu z synem. Tu go nie ma.

– Ale coś pani musi wiedzieć.

– Syn nie wtajemniczał mnie w swoje sprawy zawodowe.

– Te kwiaty to jego? – zmienił temat. Skinęła głową. – Róże, piwonie, chryzantemy... – zgadywał, przechodząc obok każdego z nich. – O! Piękne irysy. A tu chyba azalie? Moja matka za nimi przepadała. Pani syn chyba też?

Gerhard von Lossow stanął plecami do obrazów, wyjął papierośnicę i pokazał ją Marii Ejsmondowej.

– Jeden Żyd z Krakowa mówi, że należała do Jana Matejki – wyjaśnił. – Ale czy można wierzyć Żydom? – Popatrzył na nią. – Chyba nie będzie pani przeszkadzało, jak zapalę? Tu jest duży przewiew – dodał i nie czekając na pozwolenie, wyjął papierosa. Odpalając go, długo patrzył na płomień zapalniczki. – Chciałbym wiedzieć, gdzie jest pani syn.

– Nie wiem.

– A czy żyje? – zapytał, ale kobieta nic mu nie odpowiedziała. – Nie chce pani mówić... Zaraz i tak dowiemy się więcej – westchnął. – Zimno się tu robi, nieprawdaż? – powiedział i podszedł do zastawionej szafą dziury.

Zerknął przez szparę na ulicę. Lekko się wychylił i krzyknął coś do przechodzącego ulicą patrolu niemieckiego. Coś im wyjaśniał i za chwilę pojawili się w mieszkaniu na piętrze. Nie pukając, otworzyli drzwi i po chwili byli w salonie. W doskonałych nastrojach szeptali coś między sobą, co chwila głośno się zaśmiewając.

Gerhard von Lossow podszedł do nich, zagadnął, po czym zwrócił się do siedzącej nieruchomo na krześle Marii Ejsmondowej.

– Proszę mnie zrozumieć. Palenie kwiatów nie leży w mojej

naturze – powiedział, rozkładając bezradnie ręce. – Ale jak to się chyba mówi... „nie czas żałować róż”? – zapytał i pokazał żołnierzom wiszący na ścianie obraz, w całości przedstawiający bladoróżowe pąki. Mężczyźni podeszli i zdjęli obraz ze ściany.

Gerhard von Lossow wskazywał kolejne płótna. Z fioletowymi irysami, różowymi piwoniami, z białymi chryzantemami, czerwonymi astrami i żółtymi mimozami.

Żołnierze kładli je na stercie gruzu pośrodku pokoju. Robili to tak, że ułożyły się w mały stosik. Jeden z nich podszedł do biblioteczki. Wziął jedną książkę, powyrywał z niej kartki, zmiął je i podłożył między ramy kolejnych obrazów.

Maria Ejsmond, na którą wszyscy od dziecka mówili Pia, śledziła to, co się działo. Widziała bawiącego się zapalniczką Niemca, który na zmianę zapalał i gasił płomień. Robił to kilka, a może kilkanaście razy. Siedziała naprzeciwko niego na taborecie. Za chwilę ten Niemiec spopieli obrazy Stasia, myślała.

Od synowej wiedziała, że zawałiła się pracownia Stanisława, nic nie ocalało. W gruzach też legł skład obrazów, w którym jej syn wstawiał swoje prace. Patrzyła więc na stos i przeszedł ją dreszcz. To mogły być jego ostatnie ocalałe dzieła.

Leżały jedno na drugim. Bezbronne. Łatwopalne. Kwiaty. A na samym wierzchu mimozy.

Już ostatnie z tych, które namalował we Francji. Były piękne i takie delikatne. Patrzyła na nie. Cieniutkie łodygi ugięły się pod ciężarem oblepiającego je kwiecia. Zwisły z dzbanka, kładąc się prawie na stół. Przypomniała sobie, jak jej uśmiechnięty Stanisław przynosi gałązki do pokoju, jak je przebiera i układa w wazonie.

– Poczekaj mamó, tylko je namaluję i będą twoje – obiecał.

– Namalowane też chcę – odpowiedziała mu.

– Żywe ci nie wystarczą?

– Te wkrótce zwiędną. A ja chcę je mieć na zawsze.

– Będiesz je miała – odpowiedział Stanisław, wyciskając z tubek kolejne żółcienie. Patrzyła, jak szykuje paletę, dobiera pędzle, zakłada fartuch.

Jej synek, którego pierwsze prace zawisły w Zachęcie, gdy miał

niespełna szesnaście lat. Który w tym roku został prezesem Zachęty. Który...

Za chwilę miało zniknąć wszystko, co po nim zostało.

– Nie chcę tego robić – powiedział Niemiec i przykucnął przed nią. Patrzył jej w oczy.

Nie powiedziała mu nic, nie spuściła wzroku. Von Lossow kiwnął głową na żandarma. Ten podpalił jedną z kartek podłożonych pod stos. Ta buchnęła silnym płomieniem, który tak jak szybko się zajął, tak szybko zgasł. W mieszkaniu był przeciąg. Żołnierz szykował się do podpalenia następnej, zasłaniając się ciałem od wiejącego wiatru.

– Poczekaj – powstrzymał go von Lossow. – Zdaje mi się, że widziałem coś jeszcze w korytarzu.

– O nie! – Maria Ejsmond zakryła ręką usta.

Gerhard von Lossow wyszedł z zadowoloną miną i po chwili wrócił z obrazem. I przez dłuższy moment na niego patrzył, trzymając go przed sobą na wyciągniętych rękach. Stał tak twarzą w twarz z młodym, lekko uśmiechniętym człowiekiem w okrągłych okularkach. Obrócił się tak, by matka również widziała autoportret syna.

– Pani ojciec zdaje się być z pochodzenia Żydem? – zwrócił się do niej po dłuższej chwili. Julian Wieniawski, brat tego Wieniawskiego. – Wujek był tym genialnym skrzyptkiem?

– Skoro pan wie, to po co pan pyta. Dodam tylko, że ojciec mój brał udział w powstaniu styczniowym, a dziadek w listopadowym. Dostał odznaczenie za odwagę. Co jeszcze chce pan o nich wiedzieć?

– Ustalam, czy pani rodzina ma żydowskie korzenie.

– A czy pana rodzina ma jakieś polskie korzenie? Znam osobiście Lossowów – kontynuowała, unosząc podbródek wysoko do góry. – Syn mojej serdeczniej przyjaciółki to hrabia Józef Lossow z Lossowa. Pana krewny?

Pytanie zaskoczyło Gerharda.

– Jeśli już, to bardzo daleki – syknął w jej stronę. – Tak daleki, że nie znamy się od wielu pokoleń.

– Szkoda. Zdaje mi się, że walczył nad Bzurą i wykazał się

dzielnością. Bronił swej ojczyzny. A pan czego broni?

– Bronią się słabi. My nie jesteśmy słabi – odpowiedział jej gniewnym tonem. Podszedł do stosu i na samą górę położył autoportret Ejsmonda.

– Zaraz się przekonamy, czy żyje, czy nie – powiedział sam do siebie i odpalił zapalniczkę, trzymając ją pod ramą. Dwaj Niemcy z patrolu podpalali kolejne papierki, którymi poprzetykane były obrazy. Zaczęła się żarzyć jedna z ram. Żołnierz począł rozdmuchiwać żar. Po chwili pojawił się nikły płomień. Z każdą chwilą stawał się coraz większy. Buchnęło kilka jęzorów naraz.

– Nie! – krzyknęła Maria Ejsmond. Wstała, chciała podejść do stosu, ale Gerhard von Lossow powstrzymał ją. Położył dłoń ją na jej ramieniu i zdecydowanym ruchem przydusił z powrotem do siedzenia.

– A więc nie żyje. Gdyby żył, nie martwiłaby się pani o te badyle. Namalowałby nowe. – Pokiwał głową. – A tak... to nic więcej po nim nie zostało? Mam rację? – zapytał.

– Tak! Ma pan! Proszę to zgasić! – Krzyknęła, gdy dwa jęzory ognia oplotły ramę obrazu.

– To proszę powiedzieć, dokąd pojechał.

– Nie wiem! Podobno zginął w Lublinie.

– Moje kondolencje. Dotarła tam *Bitwa*?

– Nie wiem. Niech go pan ratuje! – Pokazała na autoportret, wokół którego zaczęły buchać płomienie. Zająła się drewniana rama.

– To dobry obraz. – Gerhard von Lossow pokiwał głową. – Szkoda by było. – Puścił jej ramię. Kobieta rzuciła się w kierunku palących się płócien. Gołymi rękami rozrzuciła obrazy po podłodze. Podeptała, gasząc płomienie.

Jedynie różowe pąki doszczętnie spłonęły. Polała je resztką wody z kubeczka.

– Nie ma co żałować róż – powtórzył von Lossow, wzruszając ramionami. Wyjął papierosa ze srebrnej papierošnicy. Zamknęła ją i przez chwilę wodził palcem po wygrawerowanych inicjałach.

Lublin, październik 1939

Mów mi Elsa – powiedziała.

– Wolę Eliza – odpowiedział Dziurawiec, zakładając spodnie. Nie mógł się na nią napatrzeć, ale też nie chciał, żeby to wiedziała. Starał się więc zerkać na nią ukradkiem, kątem oka albo chwytać wzrokiem jej odbicie w lustrze. Teraz wyginała się na łóżku, patrząc na połyskującą złotem, lśniąca halkę wykończoną szeroką, zdobną koronką. Koronka ledwo zasłaniała piersi.

– Prawdziwy jedwab – powiedziała, gładząc się po pośladku.

– Od kogo ją masz? – burknął zły, że przyłapała go na patrzeniu.

– Prezent – odpowiedziała. Skrzywił się, zastanawiając się, czy nie jest kolejnym z wielu w jej nowej sypialni. – Zrobiłam sobie. Specjalnie dla ciebie. Chyba dobrze wybrałam? – zapytała. Nic nie odpowiedział. – Mam wiele nowych rzeczy. Mówię ci, stworzone na mnie. Tylko czekały, aż je sobie wezmę.

– Skąd? – zapytał.

– Na przykład stąd. – Zerwała się z łóżka i podbiegła w podskokach do dużej białej szafy z wielkim lustrem. – Pokażę ci coś – powiedziała i wyjęła z niej puszystego srebrnego lisa, owinęła się nim wokół szyi, sprawnie łącząc ukrytym zapięciem mordkę zwierzaka z jego ogonem.

– Podoba ci się?

Dziurawiec uśmiechnął się pod nosem, patrząc, jak dziewczyna kręci się w kółko, przeglądając się w lustrze.

Rzeczywiście. Zapomniał, że przyprowadziła go na Krakowskie Przedmieście do mieszkania, które dostała po jakichś Żydach. W nagrodę. Musieli naprawdę mieć niewiele czasu na wyprowadzkę, skoro zostawili tu tyle rzeczy. Ale nie wnikał w to. Bardziej zastanawiał się nad tym, czy bezpiecznie jest tak ostentacyjnie pokazywać się z Niemcami. Ciągle ktoś zrywał plakaty z obwieszzeniami Hansa Franka. Na murach malowano

hasła o pomście. Wygrażano takim jak ona.

– Nie boisz się? – zapytał.

– Czego? – odparła, przestając się kręcić.

– Że komuś nie spodoba się strona, po której jesteś.

– A kto o tym wie?! – przerwała mu.

– Każdy – odparł, wzruszając ramionami. – Prezes sądu kazał mi na ciebie uważać – wyjaśnił z kpiną w głosie.

– Ciekawe. A jak się nazywał? – Podeszła do niego bliżej.

– Nieważne.

– Ten, który zabrał cię samochodem?

– Mówiłem tylko, że komuś może się to nie spodobać.

– Posłuchaj tego... – Podbiegła do toaletki i wróciła z gazetą w rękę. – Rozporządzenie dla Generalnej Guberni: Kto się dopuszcza czynu gwałtu wobec Rzeszy, podlega karze śmierci. Kto niszy mienie... a, to wiadomo, kara śmierci. Teraz słuchaj. Kto się dopuszcza gwałtu przeciwko Niemcowi z powodu jego przynależności do narodu niemieckiego – pokazała na siebie – podlega karze śmierci. Podżegacz i pomocnik będą traktowani jak sprawca. Czyli kara śmierci. Czyn usiłowany będzie traktowany jako dokonany. Kara śmierci. Kto nie doniesie władzy... – Uniosła palec do góry. – Kara śmierci.

– Łatwo zapamiętać. Ale co z tego?

– Nic nie rozumiesz? My, Niemcy, możemy teraz wszystko!

– Jacy „my”?

– Ja.

– Przecież ty ledwo po niemiecku mówisz.

– Bo zapomniałam! Sierotą byłam! – wykrzyknęła. – Matka moja Niemka zmarła, jak byłam mała, a ojciec Polak tłuł.

Musiało być źle, pomyślał. Tak samo jak on nie chciała wspominać dzieciństwa. Słuchać też by zresztą nie chciał. Wiele razy tego wysłuchiwał od różnych dziewczyn i nigdy go to nie interesowało.

– W końcu wybrałam dobrą stronę.

– Przez to o mały włos czapy nie dostałem.

– Ale nie dostałeś – ucieła szybko. – A teraz przyszły nasze czasy. Będzie nam jak pączkom w maśle. Obiecuję ci. Teraz już mi

nikt nic nie zrobi. Nie jestem już nikim! I nikt mi niczego nie zabroni. – Tupnęła nogą i pokiwała głową. – Oni nie rzucają słów na wiatr. Czytam dalej. Słuchaj. Za zabicie dwóch folksdojczów w Siedliczach stracono jedenastu mężczyzn. Rozumiesz? Jedenastu za dwóch! Jedenastu! Jedenastu! – powtórzyła, pokazując liczbę palcami wprost przed jego nosem.

– A dla tych dwóch jaka to różnica? – zapytał, wzruszając ramionami, Dziurawiec. Widział w lustrze, jak się nadąsała. W końcu odłożyła gazetę, wstała i podeszła do niego. Objęła i przytuliła się do jego pleców.

– Po to mam ciebie. Przed Polakami ty mnie obronisz. Prawda? Razem damy radę, tak? – zapytała, a Dziurawiec poczuł puszystego lisa na plecach. Łaskotał go. – Prawda? Obiecujesz?

– Tak – odpowiedział. – Jak będę w pobliżu – dodał.

– To bądź zawsze. Ożeń się ze mną.

– Nie teraz. Teraz muszę iść – odparł ze śmiechem.

– Do Anioła.

– Nie – skłamał. Skąd to wiedziała?

Właśnie miał zamiar do niego iść. Dowiedzieć się, co z chłopakiem. Zabrać go i coś z nim zrobić. Nie miał jeszcze pomysłu co, ale tyle razy przyśniła mu się jego matka, że nie tylko spluwał zaraz po obudzeniu się, ale jeszcze zamierzał pójść gdzieś i zamówić jakieś odczynianie. W niewiele rzeczy wierzył tak mocno jak w to, że porzucenie tej sieroty na pastwę losu może przynieść pecha. Ta kobieta za życia wyglądała jak duch. Teraz też gdzieś tu krążyła. Na pewno nie rozstała się jeszcze z ziemią, pilnuje syna i może ukarać go za skrzywdzenie jej dziecka. Swojej matki by o to nie podejrzewał, zostawiłaby go, nie oglądając się za siebie. Ta jednak była inna.

– Dlaczego pomyślałaś, że idę do Anioła? – nie wytrzymał i zapytał, patrząc na swoje odbicie w lustrze.

– Pomyślałam, że idziesz po tego twojego małego kuzyna – odpowiedziała mu radosnym głosem. Dziurawiec odwrócił się, spojrzął na nią, po czym chwycił ją za ramiona i przytrzymał.

– Kuzyna?

– A co? Nie zapamiętałam kto to. Siostrzeniec? – próbowała

zgadnąć.

– Skąd wiesz?

– Przecież cię szukałam. – Wzruszyła ramionami. – Byłam u tego Anioła. Tam go spotkałam. Anioł powiedział, że to twoja rodzina. A może to nie on powiedział, tylko ten mały pierwszy się odezwał – zastanawiała się. – Już nie pamiętam. Powiedział też, że poszedłeś szukać jego matki. Gdy nie wracałeś, poszłam do koszar. A co później, to już wiesz.

Dziurawiec kiwnął głową, próbując zebrać myśli, ale nie bardzo mu się to udawało.

– Znalazłeś ją? – zapytała, a Dziurawiec bezwiednie mocniej ścisnął jej ramiona. – Przestań, to boli. – Skrzywiła się.

– Kogo? – zapytał.

– No jego matkę. Twoją kuzynkę, tak? Znalazłeś ją? – zapytała trochę już podejrzliwym tonem, patrząc mu prosto w oczy. – To nie twoja rodzina?

– Tak, znalazłem ją – wyjaśnił, rozluźniając uścisk. – Nie żyje.

– O! Przykro mi? Co się stało?

– Ranna była.

– A ojciec?

– Nie wiem. Jest gdzieś na wojnie pewnie. Jego mało znałem.

– Przyprawdź go.

– Kogo?

– Chłopaka. Miły. Dobrze wychowany. Zna niemiecki, lepiej niż niejeden folksdojcz.

Dziurawiec spojrział na nią i nic nie mówił. Nie wiedział o tym.

– No co! – zachnęła się. – Od razu widać, że ma aryjskie pochodzenie. Nie opowiadałeś mi o swojej rodzinie.

– I nie zamierzam.

– Nie musisz. To tylko dzieciak. Co zrobi? Przecież nie winien. Przyprawdź go. Zajmiemy się nim – powiedziała, chwytając go za nadgarstki. – Może kiedyś będziemy mieć własne? – przechyliła głowę, uśmiechając się. – Przyprawdź go. Tak na próbę – poprosiła. – A teraz puść mnie. Muszę do pracy. Choć wolałabym do łóżka – powiedziała. Zbliżyła swoją twarz do jego policzka i pocałowała go.

– Na pewno musisz?

– Tak. Biblioteka będzie teraz niemiecką biblioteką. Nie wiadomo, może szybko awansuję. W przyszłym tygodniu przybędzie nowy dyrektor. Będą zmiany. Nowe porządki, chcę przy tym być – oświadczyła z zachwytem w głosie.

– To jak się chcesz zająć chłopakiem? – zapytał, zastanawiając się, czy aby nie zapomniała, co mówiła przed chwilą.

– Przeprowadzisz się do mnie – roześmiała się. – Pobierzemy się. Będziemy mieli dom – ucieszyła się. – Weźmiemy opiekunkę i służącą. A co! Stać nas. – Zdjęła jego ręce ze swoich ramion i trzymając go za nadgarstki, zaczęła się razem z nim kręcić w kółko.

Na początku się wzbraniał.

Potem się poddał.

Wszystko zaczęło przyjemnie się kręcić.

Lublin, październik 1939 roku

Dziurawiec lekko pchnął drzwi do mieszkania na poddaszu. Nie domykały się, jeśli nie były zamknięte na skobel lub na kłódkę od zewnątrz. Ale kłódki nie było, więc Anioła nie było w środku. Wszedł cicho. Było już późno i jeśli dzieciak spał, nie chciał go budzić. Ale już w sieni usłyszał cichą rozmowę, podszedł bliżej i wychylił głowę zza futryny.

Na środku pokoju, z sufitu, zwisała postać w płaszczu. Dyndała na sznurze, lekko okręcając się dookoła. Chłopak obchodził ją ostrożnie.

– Tylko mi nie mów, że masz za krótkie palce – odezwał się z kąta Anioł, który popijał piwo ze szklanki. – Najważniejsze jest czucie... i dobry ślizg. Dobry ślizg – powtórzył, zaczesując palcami siwe loki. – Złóż nożyce – powiedział i pokazał palec środkowy ze wskazującym. – O tak! Dobrze... – dodał, nachylając się na krzesło w kierunku chłopaka. Ten włożył rękę do płaszcza zwisającej postaci. Ta lekko przekręciła się. Dopiero teraz Dziurawiec dokładnie zobaczył twarz ubranej w kapelusz i wypchanej szmatami kukły.

– Bardzo dobrze... już prawie masz – chwalił Anioł, gdy chłopak wysuwał centymetr po centymetrze chwycony w dwa palce portfel. – Pamiętaj, synu... kieszeń to dolina, musisz w nią wejść, poczuć ją w środku i gładko wyłowić z niej to, co jest do wyłowienia – instruował, patrząc, jak dzieciak obraca się razem z kręcącą się kukłą. Teraz dopiero Dziurawiec dojrzał kilkanaście małych dzwoneczków poprzywiązywanych do mankietów płaszcza, do kieszeni i guzików. – Musisz wiedzieć – kiwał głową Anioł – że doliniarstwo jest sztuką, która nieustannie się rozwija i zmienia. Ciągłe wymyślają nowe kieszenie. Trzeba być na bieżąco... – wyjaśniał.

– Ale on się stale rusza – jęknął chłopak.

– Wszystko się rusza. Liście na drzewach, ludzie na ulicach. Nic

nigdy się nie zatrzymuje. Nie czekaj, aż świat stanie w miejscu... Powoli, powoli – powiedział, unosząc się na krześle. – O tak! – klasnął w ręce, gdy Jona uszczęśliwiony pokazał mu portfel. Z radości popchnął ręką kukłę, która mocno zakołysała się w powietrzu, rozdzwaniając się poprzywiązywanyymi dzwoneczkami.

– Jestem z ciebie dumny! – wzruszył się Anioł i aż pociągnął nosem. Chłopak podbiegł i objął go. Ten poklepał go po jasnej czuprynie.

Dziurawiec też odetchnął z ulgą. Chłopak był cały.

– Nie wiedziałem, że ją masz – odezwał się Dziurawiec, pokazując na kukłę.

– Zrobiliśmy! – zakrzyknął Jona. – Znalazłeś mamę? – zapytał w następnej sekundzie.

– Nie – odpowiedział, patrząc mu w oczy.

– Tego się bałem. Chłopak westchnął, spuszczać głowę.

– Znajdzie się – pocieszył go Anioł, targając za blond czuprynę. Popatrzył na Dziurawca. Zrozumiał. – Pozbieraj swoje rzeczy – powiedział.

Dziurawiec otworzył drzwi na klatkę schodową, wyszli ze starym i zeszli pół piętra. Anioł dał znak, żeby stanęli jeszcze niżej.

– To bystry dzieciak. A jego ojciec? – zapytał.

Dziurawiec rozłożył ręce.

– Nie mam pojęcia, gdzie jest – wyjaśnił.

– Nie może u mnie być. Wiesz... Popiję, zapomnę. Sam nie dojem czasami...

– Wiem. Weźmiemy go – przerwał mu Dziurawiec. – Dopóki ktoś z rodziny się nie znajdzie.

– Ty z tą Niemką? – Anioł pokiwał głową z niedowierzaniem. – Była tu. Wierszyki po niemiecku jej mówił, spodobał jej się. Ale to żydowski dzieciak. A ci Niemcy to się z Żydami wcale nie patyczkują. Wcale a wcale. Wczoraj widziałem, jak taką jedną zabili jak psa.

– Wiem. Albo się nauczy trzymać język za zębami, albo nie. Kroić kukłę się nauczył.

– Ma talent – westchnął Anioł i potarł oczy na wspomnienie zabitego siostrzeńca.

– Mam iść? – usłyszeli z góry.

– Tak! – krzyknął Dziurawiec.

Po chwili chłopak dołączył do nich. Ubrany w przydużą kurtkę narzuconą na marynarskie ubranko z jednym tobołkiem w ręku.

– A będę mógł przychodzić uczyć się fachu? – zapytał Anioła.

– Taką pomoc naukową zmontowałem! Nie może się marnować – przytaknął Anioł już mocno łamiącym się głosem. – Pamiętaj, ręce muszą być wypielęgnowane – powiedział. – Paznokcie obcięte – tłumaczył, już pochlipując. – Skóra gładka.

– Jeszcze jedną prośbę mam. Jutro z rana... – Dziurawiec odciągnął Anioła na bok.

Anioł przystawił ucho, słuchał. Kiwał głową, a jednocześnie wyciągnął Dziurawcowi portfel z kieszeni. Pokazał zachwyconemu chłopcu, po czym włożył go z powrotem, kiwając głową jak gdyby nigdy nic.

– Dobrze, z samego rana – obiecał. A potem znikł w swojej klitce na poddaszu, nie odwracając się.

Z kamienicy jako pierwszy wyszedł Dziurawiec i od razu napatoczył się na motocyklowy patrol. Jechało ich tylko kilku, ale to wystarczyło, aby splunął przez lewe ramię. Pomyślał, że to ostrzeżenie od matki chłopca. A nawet był tego pewien. Klnąc pod nosem, chwycił go mocno za rękę i nie puszczał przez całą drogę. Chłopak ledwo przebierał nogami, ale przez większość drogi nadążał. Zmęczył się, dopiero gdy byli już pod mieszkaniem Barucha.

– Dobrze, że tu będziemy – odezwał się zasapany Jona. – Mama i tata znają adres.

– To dobrze – odpowiedział Dziurawiec.

– Jestem głodny.

– Jutro zjesz.

– Ale teraz jestem głodny.

– W kuchni są jabłka – odparł mu, gdy byli już w środku.

Chłopiec poszedł radośnie, ale po chwili wrócił skwaszony.

– Ale one są kiszzone – jęknął, wykrzywiając usta.

– To nie jedz – prychnął Dziurawiec. – Kładź się, gdzie chcesz. Rano pomyślimy co dalej – powiedział, sam układając się na sofie i naciągając na siebie koc.

– Masz tam pościelone. – Pokazał na jedyne z drzwi.

– A poczytasz mi?

– Nie.

– To może ja ci poczytam? – zapytał chłopiec.

– Czytaj – odparł Dziurawiec, kładąc ręce pod głowę i zamykając oczy.

Jona wyciągnął z tobołka książeczkę, usiadł w kucki przy sofie i zaczął czytać.

– *Bohaterski miś, czyli przygody pluszowego niedźwiadka na wojnie. Znasz?*

– Nie – ziewnął.

– On mi trochę Ciebie przypomina – powiedział chłopiec, a Dziurawiec z wrażenia otworzył oczy i uniósł głowę. – Tak. – Jona pokiwał głową.

– „Miś Niedźwiecki urodził się w jubileuszowym roku tysiąc dziewięćset dziesiątym. W rocznicę bitwy pod Grunwaldem”. Czekał, tu jest napisane, jak mały Staś daje misiowi obrózkę i mówi do niego. Zaraz znajdę – powiedział i szybko otworzył na zagiętej stronie. – „Misiu Niedźwiecki, jako niedźwiedź zostałeś podniesiony do niebywałej godności”... a tu... „Jako niedźwiedź – zaczął czytać – masz coś w sobie z dawnego Litwina. Jako wychowanek harcerza, czyli Stasia – wytłumaczył – z drużyny imienia Zawiszy masz w sobie coś z rycerza”. O to mi właśnie chodzi – powiedział i przyklepnął ręką w książkę. – Ty właśnie masz w sobie coś z niedźwiedzia i rycerza.

– To co ten miś robi? – spytał szczerze zdziwiony Dziurawiec.

– Jest na wszystkich frontach wielkiej wojny i bije się z każdym. Oczywiście z każdym, byle o Polskę – powiedział dumnym głosem, a Dziurawiec skrzywił się i pokręcił głową.

– To nie jest do mnie podobny. Ja się mogę bić z każdym, byle o siebie.

– Ale przecież jak rycerz broniłeś Bitwy, żeby nie wpadła w ręce wroga... – zaczął jąkać się chłopiec. Dziurawiec podniósł się na

sofie i chwycił chłopaka za kark.

– Pamiętaj. Nigdy nikomu o tym ani słowa. Nigdy! – powtórzył.

– Ale jesteśmy tu tylko my...

– Wkrótce nie będziemy sami, zrozumiałeś? – Ścisnął mu mocniej kark. Pokiwał głową, w jego oczach pojawiły się łzy.

– Nie becz. Jutro pogadamy. Teraz czytaj od początku – powiedział i znowu położył się z rękami pod głowę.

– „Na początku był zgrzyt i błyskanie nożyc w skrawkach brązowego pluszu i sukna, brzdęk szklanych paciorków szykowanych na oczy, pisk i mruczenie sprężynek, zawijanych skrzętnie w brzuszku pakuł i gałganków”.

– Co jest właściwie na tym obrazie? – niespodziewanie przerwał mu Dziurawiec, leżąc z zamkniętymi oczami.

– Nie wiesz?! – zdziwił się chłopak. – Jak to? Nigdy nie widziałeś *Bitwy pod Grunwaldem*? Nigdy? Ani razu? Nawet na zdjęciu? Nawet w gazecie? Na pocztówce też nie? Żartujesz, prawda?

Dziurawiec chrząknął tylko. Skrzywił się, ale nawet nie otworzył oczu.

– Aha, no więc... Od czego by tu zacząć... – zaczął się głośno zastanawiać chłopiec. – Matejko przedstawił największą bitwę średniowiecznej Europy. Na tym wielkim płótnie umieścił najważniejsze postacie biorące udział w walce. Zgodnie z tym, co napisał w swej kronice Jan Długosz... Tyle tego wszystkiego... No właśnie. – Podrapał się po głowie. – Jest tam Zawisza Czarny z Garbowa. Zwany „Czarnym” ze względu na śniadą karnację i kruczoczarne włosy. Pędzi na rozszalałym koniu, z kopią w rękę... to najznamienitszy z rycerzy swoich czasów! Zwycięzca wielu turniejów rycerskich. Człowiek honoru, na jego słowie można było polegać... jak na Zawiszy. Naprawdę nie widziałeś? Nigdy...?

– Mów dalej – powiedział Dziurawiec, ziewając.

– Zawisza...

Profesor Woyda zdziwił się, gdy w okno od strony podwórka z samego rana zapukał starszy siwiejący chudzielec w ciasnej

marynarce. Wołał go do wyjścia, a gdy profesor ubrał się i wyszedł, zobaczył, jak ten, przeglądając się w szybie, przeczesuje grzebieniem rzadkie siwe loki na głowie. Pierwszy raz widział tego człowieka na oczy.

– Mam wiadomość. Do uszu własnych – oświadczył poważnym tonem.

– Czyli czyich? – zapytał Woyda, ciągle jeszcze ziewając.

– Pańskich.

– Skąd pan wie, że ja to ja? – Profesor uśmiechnął się, wiążąc muszkę pod szyją.

– Domyślny jestem. Wiem, gdzie pukać. A teraz... – Chudzielec nachylił się w jego kierunku, zasłaniając usta. Profesor i tak poczuł pity dzień wcześniej złej jakości alkohol. – Proszę uważnie słuchać. W przyszłym tygodniu przybędzie nowy dyrektor biblioteki i prawdopodobnie muzeum. Szykują się zmiany. Trzeba niezwłocznie tę rzecz schować – dodał i beknął.

– Tę rzecz? – Profesor otworzył szeroko oczy. – A, zrozumiałem! – powiedział i chwycił się za głowę.

– To dobrze – odparł chudzielec, odwrócił się na pięcie i odszedł.

Warszawa, jesień 1939 roku

Muszę jechać do Lublina – oświadczył już w drzwiach Gerhard von Lossow.

Karl Wolff leniwie podniósł oczy. Siedział w wygodnym fotelu, z nogą założoną na nogę. Nieustannie obracał coś w dłoniach. W zaanektowanym przez adiutanta Himmlera pokoju, który był najbardziej reprezentacyjnym apartamentem w tym hotelu, panował lekki półmrok. Gerhard nie mógł dojrzeć, co tak przykuło uwagę Wolffa, że tylko gestem wskazał mu miejsce do siedzenia.

– To się dobrze składa, ale to wytłumaczysz mi za moment. Zobacz, jak doskonałą rzecz dziś zdobyłem – powiedział, oddając Gerhardowi żelazny grot. – Himmler będzie zachwycony.

– Nie wątpię – potwierdził von Lossow z uznaniem. Nie miał pojęcia, ile lat mógł mieć ów artefakt, ale ozdobiony był srebrnymi runami i jakimiś wzorkami składającymi się z kółek i kwadracików. Jeden z nich mógł uchodzić za wyrytą swastykę. A to musiało być naprawdę cenne dla większości i bezcenne dla niektórych.

– To prawdziwy grot gockiej włóczni wykopany gdzieś tu na wschodzie – zaczął wyjaśniać Wolff. – Z trzeciego wieku. Wiesz, co znaczy ten napis? „Tilardis”?

– Nie, nie znam się na runach.

– „Tilardis” znaczy „dążący do celu”. Wyobraź sobie. Świadectwo tego, że plemiona germańskie dotarły tu już tysiąclecia temu. A teraz my tu jesteśmy, znowu – powiedział Wolff i zamyślił się. – Nie masz pojęcia, ile to będzie dla niego warte. Ledwo zdążyłem przed szalejącym Frankiem. Na razie popisuje się przed swoją świtą. Mamy więc trochę czasu, nim zauważą, że królestwo mu biednieje, i zaczną przeszkadzać. Na tę okoliczność Himmler spotkał się z Göringiem i się dogadali. Jeden ma swoją Anhenerbe, drugi firmę założoną

z Mühlmannem... Postanowili nie wchodzić sobie w drogę i dzielić się łupami. Zobaczymy, co wymyśli Frank. Na razie obowiązują nasze rozkazy i gestapo ma wywozić wszystko, co ma jakąś wartość. Musisz tu dopilnować kilku spraw. Za dwa, trzy dni pojedziesz, gdzie chcesz. Przypomnij mi po co.

– Poszukuję wywiezionej z Warszawy *Bitwy pod Grunwaldem*. Chcę sprawdzić, czy jeszcze jest w tym Lublinie. Człowiek odpowiedzialny za transport zginął tam.

– No tak – westchnął Wolff. – To ważne. Jak powtarza Heinrich, ta niegodziwa klęska wstrzymała nas na następne pięćset lat. Wiesz, że w Wewelsburgu Himmler tworzy nasz nowy zakon? Jest okrągły stół i dwanaście krzeseł dla czarnych rycerzy SS. – Wyciągnął rękę po grot i znowu zaczął go obracać w dłoniach. – Przyda się. – Pokiwał głową.

– Chciałbym w tym Lublinie...

– Jak już powiedziałem, świetnie się składa, że tam jedziesz – przerwał mu Wolff. – Himmler ma własne plany co do tego miasta...

– Jakie?

– Będzie tam rezerwat. Na jego czele postawi swego nowego ulubieńca Odila...

Lublin, jesień 1939 roku

Władysław Woyda poprawił kapelusz, zapiął wszystkie guziki palta i stojąc przed muzeum z gazetą w ręku, czekał na Romana Pieczyraka. Rzeczywistość trochę go przygnębiała. Ludzie byli kompletnie załamani, przemykali po ulicach ze spuszczoneymi głowami, nie do końca rozumiejąc, co się właściwie działo. Jemu też bywało smutno, pocieszał się jednak tym, że jedną wojnę już przeżył. A sytuacja nie była tak fatalna, jak mogłaby być w takich okolicznościach. Okupujący Lublin Wehrmacht reaktywował działalność Zarządu Miejskiego, pozostawiając na stanowiskach dawnych urzędników. Ktoś przecież musiał uprzątnąć miasto z gruzów, pod którymi ciągle jeszcze spoczywały ludzkie zwłoki. Nakazano również oczyścić ulice z wraków samochodów, udroźnić przejazdy, zasypać leje po bombach i zabezpieczyć przed zimą dachy we wszystkich gmachach publicznych. Właśnie z tego powodu i pod takim pretekstem Roman Pieczyrak zapowiedział swój przyjazd do muzeum. Przybył dorożką. Wyszedł z niej szybkim, zdecydowanym krokiem z wysoko podniesionym czołem. To wystarczyło, żeby profesorowi poprawił się humor.

- Dzień dobry - przywitał się. - Proszę poprowadzić mnie tak, byśmy od razu mogli szacować straty i zaplanować najpilniejsze prace naprawcze! - powiedział Pieczyrak przesadnie głośnym i dosadnym tonem, gdy wchodzili do gmachu. Obejrzał się za kręcącym się przy drzwiach dozorcą. Woyda uśmiechnął się. Szacowny pracownik administracji państwowej nie zapomniał zasad konspiracji, którą uprawiał jeszcze za czasów carskich. Sam też miał przygotowaną właśnie mniej więcej taką przemowę. Aby dozorca już od progu zapamiętał, po co Pieczyrak się tu zjawiał.

- W tamtym skrzydle jest dziura w dachu! Liczę na szybkie rozwiązanie problemu! - powiedział, równie głośno.

– Czytałem. – Czytałem – powtórzył jeszcze donośniej Woyda, bo na końcu korytarza zobaczył sprzątaczkę – że generał von Brauchitsch zapowiedział poszanowanie prawa międzynarodowego. Bardzo się chwali, że wznowiono „Głos Lubelski”. Słyszałem, że cenzura wojskowa nie jest zbyt dotkliwa – podtrzymywał rozmowę, skręcając i machając gazetą, którą trzymał w ręku, w kierunku sali konferencyjnej. – Zapraszam, tam... Patrząc z okna, można oszacować stratę.

– Gazetę wznowili po polsku, bo ludzie nie wierzą, że Warszawa zdobyta – odpowiedział mu szeptem, gdy w korytarzu nie było widać już nikogo. – Wehrmacht pewnie i obiecał przestrzeganie prawa, ale gestapo już nie! Wczoraj u dominikanów „zarekwirowali”, bo tak to nazywają, gotycką monstrancję z perłami. Sześć zabytkowych kielichów mszalnych, jeden jeszcze średniowieczny. Srebrną koronę i szesnastowieczny obraz Matki Boskiej z Dzieciątkiem. Ech... szkoda gadać. – Pieczyrak machnął ręką, a profesor złapał się za głowę.

– Chryste Panie! U nas na szczęście wojsko szukało tylko żołnierzy i członków rządu. Może podejrzanе jest to gruzowisko na podwórku... Ale to już prawie uprzątnięte. Może za szybko? Potrzebuję schować jeszcze kilka pomniejszych obrazów. – Woyda zaczął się głośno zastanawiać, otwierając drzwi do sali. – Ale i tak z informacji, którą otrzymałem – powiedział, ścisząc głos. – I tak w przyszłym tygodniu przybędzie tu nowy dyrektor...

– Ukryjmy, co możemy – powiedział Pieczyrak, gdy byli już sami.

– Monety pochowałem, zostało mi jeszcze kilka klaserów, ale i *Portret Stanisława Augusta Bacciarellego*...

– Możemy wziąć. W ratuszu robimy remont po bombie, która zniszczyła skrzydło. – Pieczyrak ściszył głos. – Zamurujemy w ścianach wiele różnych rzeczy...

– Dzięki Bogu. – Profesor wznosił ręce do nieba. – To może i „tę rzecz” da się zamurować w ratuszu? – zapytał, pokazując na stertę pod ścianą. Roman Pieczyrak dłuższą chwilę patrzył na skrzynki maskujące pięciometrowy zwój.

– Nie da się – odpowiedział krótko, łapiąc się za głowę. – Niech mi pan przypomni, ile to może ważyć?

– Obraz... z sześćset kilo. No, może trochę więcej – wydusił z siebie Woyda, jakby nie chciał powiedzieć tego głośno. Przez moment stali w milczeniu.

– Nic to, trzeba coś wymyślić – pierwszy odezwał się Pieczyrak. – Wrócę po południu... z ludźmi.

– Ale nie zostawi mnie pan z tym samego, prawda?! – przeraził się profesor. – Nie wiem, czy znajdę siły, żeby tak samemu coś uradzić...

– Obiecałem pomoc tym dwóm jegomościom, którzy przywieźli obraz. Na chwilę przed ich śmiercią. I obiecuję też panu. Poza tym mam pewien pomysł. Pogadam z ludźmi – zadeklarował Roman Pieczyrak, a profesor odetchnął z ulgą.

Dwie godziny później Władysław Woyda jadł obiad, który jego żona ugotowała na gabineutowym biurku, korzystając z maszyny elektrycznej, którą zdobyła w nieznanym mu sposób. Ucieszył się, gdy usłyszał głośne pukanie do drzwi, czekał przecież na ludzi z ratusza. Zerwał się od stołu, rzucił w kierunku drzwi i szybko otworzył. Takiego widoku się nie spodziewał. Zobaczył kilku gestapowców.

Nie patyczkując się zbyt, krzyżąc, wyciągnęli go z zajmowanego gabinetu. Żona profesora posłała w ich kierunku kilka obraźliwych słów i już miała się rzucić do drzwi. Szybko jednak dostała ostrzeżenie od gestapowca, który mówił po polsku z jakimś obcym jej, chyba pomorskim akcentem.

Od samego progu zażądali, by pokazać im największą salę w budynku. Profesor Woyda próbował przełknąć ślinę, ale nie mógł. Zaschło mu w gardle. Kluczył chaotycznie po korytarzach, pokazując kolejne pomieszczenia. Próbował zyskać na czasie, zrozumieć, co się dzieje i kto go zdradził. W końcu i tak nie dało się pominąć wielkich, dwuskrzydłowych drzwi prowadzących do sali konferencyjnej. Długo szukał klucza i siłował się z zamkiem, a w końcu otworzył.

Gestapowcy weszli do środka, rozglądając się z zadowoleniem. Kiwali głowami i zachowywali się tak, jakby znaleźli to, czego szukali. Przytakiwali jeden drugiemu. Klepali się po ramionach.

Władysław Woyda oparł się o ścianę, nie mógł ustać na nogach, poluzował muszkę, która pierwszy raz w życiu zaczęła go uwierać. Nie mógł sobie tego darować. Patrzył na poobstawiany pudłami zwój i widział wyraźnie, jak marnie jest ukryty. Poukładał na nim przecież najłżejsze pudła, jakie miał...

W końcu najniższy wzrostem, ale najwyższy rangą oficer SS zapytał o coś, a Pomorzanie przetłumaczył.

– Co to jest? – Oficer machnął od niechcienia ręką w kierunku sterty, ale też zbyt szybko się jej nie przyglądał. Może jednak nie wiedział, co tam jest? Profesor starał się wykrzesać z siebie resztki optymizmu. Wziął głęboki oddech, poprawił muszkę, dociskając ją lekko i wypiął pierś. Albo w ten sposób, albo w żaden, pomyślał.

– To wielki skarb – powiedział dumnym głosem, a gestapowiec przetłumaczył. Profesor zobaczył błysk w oczach wszystkich przybyłych Niemców, którzy westchnęli z zadowoleniem. Ciągnął więc dalej. – Cenne i niezwykle delikatne dzieło – dodał, a gestapowcy zaczęli wolnym krokiem podchodzić do ustawionej pod ścianą sterty. – Cud i wielkie to szczęście, że ocalały z tej pożogi. Wielkie. Straty byłyby nieocenione...

– Ale co to? – dopytywał gestapowiec, ściągając z góry pudło. Reszta zrobiła to samo, zdejmując skrzynki i dziwiąc się ich niewielkim ciężarom.

– Skarby przywiezione tu dla ratowania – podkreślił, a Niemcy zaczęli już sami otwierać skrzynię. – Te ze Śląska. Są to eksponaty najwyższej wagi, przedstawiające tradycje kultury ludowej – dodał, gdy pierwszy gestapowiec z nieskrywanym obrzydzeniem wyciągnął z pudła papierowe wycinanki.

– Prawda, że cudowne rękodzieło? – Profesor klasnął w rękę.

– Ładne – wysyczał gestapowiec przez zaciśnięte zęby.

Dawaj pozostali, z których jeden trzymał w rękach haftowane firanki, a drugi ozdoby ze słomy, mieli równie niewyraźne miny.

– Wszystkie te skarby pochodzą z muzeum... – przerwał, widząc

rozczarowanie najwyższego rangą oficera, który wcześniej trzymał w ręku malowaną woskiem pisanekę, a teraz z wściekłością cisnął nią o ziemię. Na koniec przydeptał jeszcze nogą wydmuszkę, rozgniatając ją w drobny mak.

– Nie wiem, czy jest panom wiadome, że sztuka ludowa Śląska łączy ze sobą pierwiastki kultury polskiej i wzornictwo ludowe... niemieckie – podkreślił Woyda ostatnie słowo. – Na przykład tradycja ubierania choinki przyszła do Polski z Austrii, w kolejnych skrzyniach mamy tu więc masę świątecznych ozdób ze wszystkich regionów... – kontynuował profesor z jeszcze większym entuzjazmem, widząc coraz większe zniecierpliwienie i zniesmaczenie Niemców, którzy zorientowali się, że dla uspokojenia nerwów nie mogą nawet tego wszystkiego zniszczyć. Profesor udawał, że tego nie widzi i zdjął z samej góry kolejne pudło. Natychmiast zaczął je otwierać.

– O! Tu mamy czepece! Przepiękna ozdoba stroju męzatk. Zachwycająca kolorystyka. Pokazać? – Nie czekając, zaczął wyciągać pojedyncze, kolorowe wstążki.

– Wystarczy – warknął gestapowiec. – Spakować i pod ścianę z tym – rozkazał, drapiąc się po głowie. – Przypuszczam, że to wszystko wróci na Śląsk. Hm... w nienaruszonym stanie... i zaświadczać będzie o niemieckości Śląska.

Profesor zrozumiał i szybko zaczął zamykać wieka od skrzyń i przesuwając pudła. Oficer kiwnął ręką i reszta gestapowców zaczęła mu pomagać, z powrotem układając konstrukcję, która zasłaniała zwój.

Gdy już skończyli, najwyższy rangą oficer chrząknął głośno i pokazując na pustą część sali, wydał rozkazy.

Po chwili wyszli, a profesor Woyda osunął się na podłogę, oparł plecami o Bitwę, i ocierając raz po raz spocone czoło, przez ponad godzinę patrzył, jak przymusowi robotnicy żydowscy wnoszą książki i układają je w piętrzące się pod sufit stosy.

Całe księgozbiory. Przywiezione z Biblioteki Jezuitów Bobolanum, z Żydowskiej Uczelni Rabinackiej Jeszywas Chachmej, Biblioteki Centralnej Polskiej Macierzy Szkolnej i wielu pomniejszych bibliotek. Nie zmieściły się w jednej, nawet

największej sali. Leżały wszędzie, w korytarzach, na schodach i na podwórzu.

Kraków, jesień 1939

Jak ty czegoś nie zrobisz, to cię samego ukradną! Ciężarówkami wszystko wywożą! – wrzasnęła już na progu gabinetu Brigitte Frank. Od kilku dni urzędowała się na Wawelu i ciągle rejestrowała jakieś braki. Brakowało arrasów wywiezionych przez Polaków i między innymi Damy z gronostajem przechwyconej przez Göringa.

Hans Frank podniósł oczy znad ogromnego biurka.

– O! Nowa kolia – zauważył opięty na grubej szyi małżonki naszyjnik.

– Od Żyda. Po okazyjnej cenie... – powiedziała, przebijając palcami po pojedynczych kamykach. – A właściwie to nic nie kosztowała. – Uśmiechnęła się tryumfalnie. – Ja potrafię zadbać o nasz majątek. Za bezcen – podkreśliła – nabyłam też przepiękne futro z fok. Żydzi znają się na dobrych skórach.

– Odrobaczyłaś je?

– Zapewniam cię, że tak. Dbam o wiele rzeczy w tym domu – powiedziała, podchodząc do okien wychodzących na dziedziniec zamku.

– Ja też – obruszył się Frank, odsuwając na bok stertę papierów.

– Nie myśl, że nic nie robię. Jestem prawnikiem i wiem, jak stanowić prawo! Ukróczę tę grabież. Za chwilę wejdzie w życie moje rozporządzenie o konfiskacie dzieł sztuki w całym Generalnym Gubernatorstwie! Dotyczy to kolekcji należących do dawnego państwa polskiego, kościołów i osób prywatnych. Wszyscy pod groźbą kary mają zgłosić każde posiadane dzieło sztuki!

– O! – zainteresowała się małżonka. – Nareszcie! To znaczy, że w końcu nie będziesz beczynnym patrzeć, jak ograbia nas gestapo, wywożąc wagonami wszystko, co się da?! Himmlerowa będzie mi się śmiać w oczy, jak pojawię się w Berlinie.

– Jej Heinrich tak nie rozpieszcza, jak ja ciebie – odpowiedział

złośliwym tonem Hans Frank.

– Bo ja wiem, ile ty zarabiasz, a ona nie – odcięła się przez prawie zaciśnięte zęby.

– Nie kłóćmy się. Powinno cię zadowolić to, że będę miał na piśmie wszystko, co jest w mojej Polsce. Zgłosić będą musieli każdy obraz, mebel, porcelanę, szkoło. Książki, rękopisy, miedzioryty, gobeliny – czytał, a żona coraz bardziej się uśmiechała, gładząc swoją nową kolię. – Wszystko, co złote i srebrne, monety, sygnety...

– Ach – nie wytrzymała i jęknęła z zachwytu. – A futra?

– Pojedź sobie do Żyda i sama weź. – Wzruszył ramionami, składając zamaszty podpis pod szczegółowym rozporządzeniem.

Lublin, jesień 1939

I co teraz? I co teraz? – Władysław Woyda łapał się za głowę, krążąc pomiędzy stosami porozwalanych książek, które przywożono taczkami i rozładowywano wszędzie, bo po pierwszej ciężarówce zabrakło już miejsca w sali konferencyjnej. Sam zresztą nie pozwalał ich tam już umieszczać. Bał się, że

zabraknie miejsca, żeby się ruszyć. A już na pewno, żeby się ruszyć z obrazem.

– Co teraz? – powtórzył, rozkładając bezradnie ręce. – Teraz, żeby go wynieść, trzeba będzie to wszystko uprzątnąć... – stwierdził, stawiając wielki krok nad jakimś wielotomowym, oprawionym w skórę dziełem.

O mało się nie przewrócił, próbując utrzymać równowagę, i ku jego zdziwieniu stojący w progu Roman Pieczyrak trzymał się za podbródek i uśmiechał coraz szerzej. Profesor nie miał pojęcia, co tak go mogło rozbawić. Książki zalegały dosłownie wszędzie. Potrzeba było wielu dni, żeby to wszystko posprzątać.

– Teraz będzie dużo trudniej je wynieść – stwierdził profesor, marszcząc czoło. – Utorować drogę. Obrócić się... A już Niemcy węższą, mówiłem przecież...

– Wiem, wiem, mówił pan – stwierdził Pieczyrak. – Panowie koledzy – zwrócił się również do stojącego za jego plecami Stanisława Bryły, Krzesińskiego i przybyłych wraz z nim dwóch pracowników Zarządu Miejskiego, Podleśnego i Serafina. – Wcale nie będziemy tej Bitwy nigdzie wozić – oświadczył uroczystym tonem. – Patrole są wszędzie. To zbyt trudne i niebezpieczne.

– Obiecał pan... – przerwał mu Woyda rozpaczliwym tonem. – Przecież to Matejko! *Bitwa pod Grunwaldem!*

– Panie Władysławie – uniósł głos Pieczyrak. – Proszę się uspokoić. Nerwy ma pan zszargane, to zrozumiałe po pańskich przejściach. Nie będziemy Bitwy wynosić. Co nie znaczy, że jej nie ukryjemy.

– Jak to? – spytał profesor.

– Zostanie tu. – Stanisław Bryła pokiwał z uznaniem.

– Tak. Panie Podleśny, pan ma znajomych stolarzy?

– Tak.

– Godnych zaufania?

– Tak.

– Zrobią ładne półki? Przecież to się tak nie może tu walać. – Pieczyrak pokazał na piętrzące się stosy porozwalanych książek.

– Oczywiście – przytaknął Podleśny.

– To dobrze. Mój syn Michał też się trochę bawił w stolarkę,

z dziadkiem. Pomoże. Mierzmy tę ścianę. Czas nagli. Dobrze by było, żeby te deski przyciąć jeszcze dziś i jutro z samego rana je tu przywieźć.

Profesor Woyda najpierw otworzył usta ze zdziwienia, a potem klasnął w ręce z zachwytu.

Pamiętaj! To nie żarty, musisz mieć stałą pracę! – wykrzyknęła Eliza na chwilę przed wyjściem.

Dziurawiec odnotował jej nowe, odświętne ubranie. Jasne palto miało gruby futrzany kołnierz, który dokładnie otulał szyję, i takie same puszyste mankiety. Nie pytał, ani z jakiego to zwierzęcia, ani skąd je wzięła.

– Przecież ci mówiłam. Powiedzieli na zebraniu folksdojczów, że każdy pomiędzy osiemnastym a sześćdziesiątym rokiem życia musi mieć pracę, bo inaczej zostanie skierowany na roboty do Niemiec.

– Serio? – spytał Dziurawiec, siedząc za stołem i wydłubując szczyrzykiem brud spod paznokci. Nie było tego wiele, bo nic prawie nie robił. Pieniądze akurat miał i to cały worek, więc na razie nie zamierzał niczego zmieniać i zbytnio się wychylać. Nie chciał w głupi sposób stracić majątku, a tym bardziej starać się o oficjalną pracę.

– Przyjdź do muzeum albo nawet do biblioteki, to coś załatwię. Tylko później.

– Dlaczego nie teraz? – zapytał z czystej przekory, w ogóle nie zamierzał iść.

– Teraz będę zajęta. Pan Karl Ludwig otwiera nową księgarnię. Niemiecką na Krakowskim Przedmieściu i potrzebuje książek. Do nas pozwozili ich tyle ze wszystkich bibliotek, że przejść się nie da po salach. Musimy poszukać, poszperać, poprosić mnie... – mówiła, poprawiając szminką usta.

– Po wszystkich salach? – zapytał już z zainteresowaniem.

– Tak. Nawet konferencyjna, ta największa, jest zawalona po brzegi. A co, jesteś zazdrosny?

– Jestem – odpowiedział. Jona, który do tej pory siedział cicho

za stołem i czytał swoją książeczkę, aż podniósł wzrok i zaczął się przysłuchiwać.

– To nie bądź – odpowiedziała ze śmiechem. – On ma chyba ze sto lat. Za to podobno młody będzie nowy dyrektor. Pracował w jakiejś Kilonii chyba. Muszę lecieć. Myślę, że coś powybieramy i pan Karl będzie mógł je zabrać...

– I sprzedawać? – zapytał Jona.

– Nie mądrzyj się! Nie twoja sprawa – zachnęła się Eliza. – Co ty w ogóle czytasz? – Zawróciła spod samych drzwi. – O nie! Miś grunwaldzki idzie do pieca, a nie na front! Jeszcze ktoś cię z tym zobaczy – stwierdziła i szybkim ruchem wyszarpnęła małemu książeczkę z ręki.

– Nie! – wrzasnął Jona i chciał rzucić się za nią, ale Dziurawiec położył mu rękę na ramieniu i przygwoździł do krzesła.

– Ani drgnij – powiedział cicho, patrząc mu prosto w załzawione już oczy.

Eliza otworzyła drzwiczki do pieca i wrzuciła książeczkę.

– Też przyjdź – zwróciła do chłopaka. – Znajdę ci coś bardziej odpowiedniego. I do sytuacji, i do twojego wieku. – Czekam na was – dodała, zamykając już za sobą drzwi.

– Czego beczysz? Od wczoraj się w tym piecu nie pali. Wyjmij i schowaj. Tylko porządnie – dodał Dziurawiec, a mały po sekundzie wyciągał książeczkę.

– Poszła. To mogę ci opowiadać dalej? – powiedział Jona, otrzepując kartki z popiołu. – Jan Žižka z Trocnova! – powiedział, unosząc palec wskazujący wysoko do góry. – To czeski bohater narodowy! Ale przybył na wezwanie króla Władysława. Długosz utrzymywał, że pojawił się dopiero po bitwie i wziął udział w oblężeniu zamku w Rydzynie, ale Matejko nie mógł go pominąć na obrazie. O nie! – Pokręcił głową. – Ojciec Matejki był Czechem. I on, patrz! – krzyknął w stronę Dziurawca, stawiając jedną nogę na krześle. Chwycił książkę w dwie ręce, przełożył je za głowę i wygiął się cały do tyłu. – Siecze, wielkim mieczem krzyżackiego komtura. Na pewno rozpląta go zaraz na pół! O tak. – Zamachnął się, niemal się wywracając.

Dziurawiec wstał i zaczął zakładać koszulę.

- Skąd ty to wszystko wiesz?
- Tata mi opowiadał – powiedział, pociągając lekko nosem.
- Szykuj się, wychodzimy.
- Dobra. – Mały kiwnął głową, wywijając książką na boki. – Ten Žižka to później też rozrabiał strasznie. Przeżył niezliczoną liczbę bitew i żadnej nie przegrał! Tworzył takie konstrukcje, że...

Lada była już niemal gotowa. Zbity i wyprofilowany był też pięciometrowy blat, który za moment miał zostać położony na ladę i w ten sposób przykryć zwój. Pracowali całą noc.

Masę czasu zajęło im samo przygotowanie obrazu. Płótno nie mogło leżeć bezpośrednio na podłodze, ani też przylegać do ściany. Trzeba było więc nie tylko je przesunąć, ale też urządzić dźwignię, by upchnąć pod nim kołki i bloczki. Musiało mieć przewiew z każdej strony. Dobra wentylacja chroniła malowidło przed drobnoustrojami, grzybami, a także zwyczajnie przed zgniciem, gdyby dostała się tam woda. Mebel, w którym zamierzano zamknąć Bitwę, musiał być solidny sam w sobie. Wymyślili, że na ladzie postawią półkę z książkami. Pod sam sufit. Półka miała być wielka i ciężka, tak żeby nikomu nie przyszło do głowy, by ją przesunąć czy przestawić w inne miejsce.

Czterech mężczyzn nieprzerwanie pracowało w blasku kilku świec, by zdążyć, zanim rano przyjdą inni pracownicy. Wszystko było już prawie gotowe. Brakowało tylko jednej ścianki bocznej, którą należało wsunąć między ścianę a przód lady. Nagle ktoś otworzył drzwi.

Ukazał się w nich przerażony profesor Woyda, który od siódmej rano pilnował wejścia z korytarza.

- To jeszcze nie skończone? Chryste Panie! Zaczynają się schodzić! Jakiś Niemiec kręci się po dziedzińcu! – Załamał ręce.

- Panowie koledzy, do góry z tym! – rozkazał Roman Pieczyrak.

- Tato, ale jeszcze to – odezwał się siedemnastolatek o płowej czuprynie, pokazując na jedną boczną płytcinę, którą należało wsunąć z góry, by wypełnić lukę między słupkami przy ścianie.

Bez niej pozostawała z boku wysoka na metr i szeroka na pół metra dziura. – Deska jest trochę za duża, trzeba spiłować co najmniej z centymetr – tłumaczył chłopak, pokazując deskę.

– Oni, ten Niemiec z jakąś dziewczyną, wchodzi do środka! – krzyknął Władysław Woyda, wychylając się przez okno, z którego widać było dziedziniec.

– Nie ma czasu. Błat, panowie koledzy – zarządził Pieczyryk. Woyda podbiegł do nich i razem z Pieczyrakiem, jego synem, prezesem sądu Stanisławem Bryłą, Podleśnym i Krzesińskim jak na zawołanie chwycili blat. Podnieśli natychmiast i bez zbytego pasowania opuścili na ladę. Błat trzymał się na froncie, słupkach i podporach przytwierdzonych do ściany. Wyglądał prawie na gotowy. Deski zostały wstępnie pomalowane, należało później jeszcze raz pociągnąć je pędzlem. Teraz wyglądały jak pokryte kurzem, czyli jak wszystko dookoła, więc nie odróżniały się zbytnio od reszty.

– Trzyma się?

– Trzyma!

– Teraz półka – zarządził Pieczyrak. – Podnieśli wysoką na dwa i pół metra półkę, którą stolarze zbili już na terenie muzeum, choć w innej sali, bo nie mogli wiedzieć, gdzie ma ostatecznie stać. W nocy ekipa Pieczyraka przeniosła ją tutaj.

– Pan niech pilnuje drzwi – rozkazał Woydzie, który natychmiast podbiegł i wystawił głowę na korytarz. Machnął ręką, że na razie spokój.

Mężczyźni dźwignęli z trudem półkę. Chwilę dopasowywali i ustawili na ladzie. Stanęła. Pieczyrak sprawdził raz jeszcze. Była stabilna.

– Idą – jęknął Woyda.

– Książki – rozkazał Roman Pieczyrak i wszyscy jednocześnie zaczęli brać z podłogi całe stosy i pakować po dziesięć na raz na kolejne półki. Całymi rzędami.

Siedemnastolatek wskoczył na ladę i brał podawane mu książki, upychając je od góry.

– Zaraz tu będą – szepnął Woyda i zabarykadował drzwi od środka, opierając się o nie plecami.

Półka była już w połowie zapełniona. Zniknął stos najbliższej regału. Brali więc już jak popadło, byle jak najwięcej naraz. Potykając się, potrącając, wsadzali je na niższe półki i podawali synowi Pieczyraka, który tylko przesuwiał się po ladzie, robiąc im miejsce i jednocześnie zapewniając przestrzeń od góry.

W drzwiach sali konferencyjnej poruszyła się klamka. Szarpnięta kilka razy. Słychać było rozmawiającą po niemiecku parę. A potem pukanie do drzwi.

Roman Pieczyrak dał hasło do odwrotu. Podszedł do okna. Pod samą ścianę przesunął wazon z przekwitłymi chryzantemami i otworzył jedno szerokie skrzydło. Pod parapetem z drugiej strony podstawione były zawczasu dwie skrzynki, które przygotowano specjalnie z myślą o tym, że jeśli nie zdążą przed pracownikami, trzeba będzie jakoś niepostrzeżenie wyjść. Zwykli robotnicy mogli się kręcić po muzeum. Ale pracownicy Zarządu Miejskiego już nie bardzo.

Ktoś włożył klucz do zamka w drzwiach i zaczął nim kręcić. Profesor dalej zapierał się plecami. Pierwszy przez okno wyskoczył syn Pieczyraka, potem on sam i reszta. Gdy drzwi zostały pchnięte, w środku byli już tylko Woyda i Stanisław Bryła, który już nie zdążył przejść i trochę się chyba bał zeskoczyć. Ruszył więc w kierunku Woydy zdecydowanym krokiem.

– Panie profesorze. To trzeba zabezpieczyć – powiedział. – Te zbiory nie mogą tak tu się walać. To niedopuszczalne!

– Myślałam, że nikogo tu nie ma – powiedziała Eliza, wchodząc do środka z podejrzliwą miną. – Pukałam.

– Słucham? – powiedział Woyda, nadstawiając ucho. – Od czasu tych bombardowań chyba mam jakieś problemy. Co pan mówił, panie sędzio?

– Że to trzeba zabezpieczyć jakoś! – krzyknął mu prawie do ucha Stanisław Bryła.

Bibliotekarka rozejrzała się po sali. Omiotła wzrokiem półkę, jakby ta stała tu zawsze, i podeszła do niedomkniętego okna. Wyjrzała przez nie i zobaczyła podstawioną skrzynkę.

– Tak myślałam. – Pokręciła głową sama do siebie.

– Pani Elizo, ależ tu tego jest! – krzyknął w zachwycie stojący ciągle w drzwiach sześćdziesięcioletni mężczyzna. Pod nosem miał wąsik, który sprawiał, że wyglądał jak mały szczurek. Mężczyzna rozglądał się po sali konferencyjnej nieśmiało, podchodząc do piętrzących się stosów książek. – To na pewno zainteresuje potencjalnych nabywców w mojej księgarni – powiedział, zginając się wpół i czytając poszczególne tytuły z grzbietów. – Mam ambicję, by równocześnie była to placówka kulturalna. Dla publiczności potrafiącej docenić dobre wydawnictwa – dodał, podchodząc do półki ze splecionymi za sobą rękami. – Tu przecież nikt się na tym nie zna – dodał skrzywiony, wyciągając z półki ustawiony do góry nogami zdobnie oprawiony tom. – A to przecież wyjątkowe wydanie... – Pokiwał głową z uznaniem, otwierając książkę na pierwszej stronie. Odłożył ją z powrotem na półkę, po czym znowu wyjął i sięgnął po stojący obok drugi tom.

– Przecież to się tu marnuje – skwitował, wkładając dwa tomy do teczki, i zaczął lustrować resztę regału. – Wyraźnie się marnuje...

– Niech mi pan przypomni. Gdzie to się nie będzie marnować? – zapytał prezes sądu, podchodząc do niego i stając dokładnie tak, by zasłonić niedorobioną z boku ladę.

– A pan to kto? – wtrąciła się Eliza, przyglądając włosy, tak by zasłaniały płamę na twarzy. – Czy my się przypadkiem nie znamy?

– Stanisław Bryła, chyba spotkaliśmy się na płaszczyźnie zawodowej. Po przeciwnych stronach – odpowiedział, patrząc jej w oczy.

– Ach tak, rozpoznaję – syknęła. – A ta półka? – zapytała. – Chyba jej tu wcześniej nie było – zastanawiała się głośno, dotykając jej po bokach. – Niedomalowana? Po co ona tu stoi? O co tu chodzi? – pytała, a Stanisław Bryła jeszcze bardziej przylgnął do boku, w którym była dziura.

– Rzeczywiście jej nie było – wtrącił się szybko profesor Woyda, podchodząc do nich. – Zamówiona została jeszcze przed wojną, do muzeum. Dostarczono ją dopiero teraz, z wiadomych

powodów. – Chrząknął. – Zdecydowałem samodzielnie, że tutaj znacznie bardziej się przyda. W bibliotece. Bo tu tyle tego nazwozili... – Pokazał na podłogę.

– To nie pan powinien decydować – przerwała mu.

– Nie chciałem, żeby się to tu wałało! Przecież to wartościowe rzeczy – jęknął profesor. – A na podłodze leżą...

– Przyjedzie nowy dyrektor z Kilonii – podkreśliła. – To zadecyduje, czy to powinno tu stać.

– Powinno. – Jakiś człowiek mówiący po polsku z miękkim akcentem stał w drzwiach z walizką w ręku. Mógł mieć około czterdziestu lat, lecz niełatwo było to ostatecznie stwierdzić, bo z nosa zsuwały mu się wyjątkowo grube szkła, a gęste, ciemne włosy obcięte były prosto nad brwiami. Jak u dzieci, „od garnka”.

– A pan to kto? – spytała już po raz drugi Eliza.

– Wasyl Kutschabsky – przedstawił się. – Nowy dyrektor. Spodziewałem się bałaganu, ale nie aż takiego – powiedział, zostawiając walizkę i podchodząc do półki. – I co to za dziwny sposób katalogowania? – dodał, patrząc na poukładane na półce książki. – Nie alfabetycznie ani nie rzeczowo...

– Pan mówi po polsku? – spytała zdziwiona.

– Jestem Ukraińcem ze Lwowa – wyjaśnił. – Wcześniej kierowałem biblioteką Instytutu Gospodarki Światowej w Kilonii, teraz skierowano mnie tutaj. A ja z kim mam przyjemność? Przedstawią się państwo?

Po krótkiej prezentacji przyszły księgarz i nowy dyrektor wyszli. Eliza ruszyła za nimi, ale cofnęła się od drzwi i podeszła do Woydy.

– Nie wstyd panu, panie profesorze? Myśli pan, że ja nie wiem, co się tutaj dzieje? Tak wynosić książki, bez pozwolenia władz – powiedziała i pokazała na okno. – To się nazywa złodziejstwo! – wykrzyczała mu w twarz.

Profesor Woyda osłupiał, a Stanisław Bryła parsknął śmiechem, wtedy dziewczyna odwróciła się na pięcie i wyszła, trzaskając drzwiami.

Wraz z trzaśnięciem profesor osunął się na ziemię i wsparł plecami o ladę. Pogłaskał deski i odetchnął.

– Leż tam sobie spokojnie – powiedział. – Chyba najgorsze za nami. – Uśmiechnął się do prezesa sądu.

Dziurawiec przystanął i wraz z grupką gapiów spoglądał w kierunku wejścia do teatru przy ulicy Narutowicza. Zastanawiał się, czy go oczy mylą, czy rzeczywiście dojrzał fryzjera ubranego w czarny lśniący smoking, stojącego u boku wyprężonego niebieskookiego oficera SS, którego też skądś kojarzył. Poprawił kapelusz.

– Był taki moment w bitwie, gdy szala zwycięstwa mogła przechylić się na korzyść wojsk krzyżackich – paplał mały Jona, któremu zupełnie nie przeszkadzało, że Dziurawiec się zatrzymał. – Niejaki chorąży krakowski Marcin z Wrocimowic upuścił chorągiew. Oczywiście Matejko...

– Wystarczy – uciszył go Dziurawiec i chwycił za rękę. Nasunął kapelusz bardziej na oczy i podszedł bliżej do ludzi obserwujących sytuację rozgrywającą się przed teatrem. Wcisnął się między nich i patrząc w tym samym kierunku, nie spuszczał wzroku z nietypowej pary stojącej w wejściu.

Dzielił ich sznur kilkunastu Żydów, którzy jeden za drugim wynosili teatralne kostiumy i wrzucali je bezpośrednio do ciężarówki. W środku ktoś je upychał.

– Wywożą majątek teatru – skwitował jeden z gapiów.

– A wczoraj odbył się znowu spektakl z Jaraczem w roli głównej... Tyłu znanych aktorów zjechało do Lublina... Mogła się tu taka piękna trupa stworzyć. Czytał pan recenzje? – włączył się drugi, otwierając gazetę.

– Nie, nie czytałem.

– To niech pan posłucha. O Jaraczu napisałem tak, o tu... „Miał w sobie żywiołową siłę komiczną. Tym bogatszą w skali, że popartą wystraszeniem sobą, niezrozumiałym losem” – czytał z wyraźną dumą w głosie, a Dziurawiec patrzył na rozmawiającego fryzjera i na starego Żyda, który niósł przed sobą rozłożystą suknię balową. Krytyk, nie wychylając nosa z gazety, czytał dalej.

– „Jaracz wznosił oczy do nieba. Zjawiał się w nich nie przestraszony, ale przerażenie jaraczowskich ludzi niepotrzebnych”.

– W tym momencie Żyd potknął się i upadł. Leżąc na długiej sukience, wyglądał komicznie. Niesłuchanie rozbawiło to gestapowców. Gdy wstał, trzymając przed sobą sukienkę, zaczęli popychać go tak, by kręcił się w kółko. Kilku z patrzących też się śmiało. Krytyk przełożył stronę gazety.

– „To właśnie wzniosło kreację tego wielkiego aktora, tu u nas w Lublinie, na tę wyżynę, gdzie komizm ma już cechy wzniosłości. Publiczność uczciła występ brawurowymi oklaskami”. – Zakończył czytanie i złożył gazetę. Dziadek usiadł na ziemi. Żołnierze szturchali go, w końcu stracili zainteresowanie, a on dalej siedział.

– A teraz wywiozą wszystko gdzieś do Niemiec...

– Myśli pan?

Dziurawiec nachylił się nad Joną.

– Podejdź jak najbliżej tamtych dwóch stojących przy drzwiach. Oficer i taki gogus. Podśłuchaj, co mówią. – Dasz radę?

Jona obrócił się i kiwnął głową zadowolony z powierzonego zadania.

– Na mój znak uciekaj – dodał Dziurawiec.

Nie myślałem, że cię tu zastanę – zaśmiał się Gerhard von Lossow. – Niezły smoking. W czym grał?

Victor Novak rozsunął poły smokingu, pod spodem była atrapa koszuli. Przód i kołnierzyk na gumkach. I odcięte mankiety.

– *Książę i żebrak* zapewne.

– Cóż, nędzna ta prowincja. Myślałem, że okupujesz warszawskie teatryki?

– Igo mnie wyręczy. To jego marzenie.

– A twoje?

– Tu ma być rezerwat. Sprowadzą tu Żydów z całej Europy. I uwaga... – Vixtor Nowak podniósł palec. – Obiecano mi, że moja miłość przybędzie tu pierwszym transportem – dodał teatralnie, machając rękami w kierunku von Lossowa. Ten roześmiał się. –

Tymczasem mam się tu urządzić. Wymiatają wszystko. – Pokazał na teatr czarną laseczką. – A ty zapewne ciągle szukasz tego obrazu?

– Skąd wiesz, że nie znalazłem?

– Bo nie byłoby cię na tym zadupiu. Tryumfowałbyś w Berlinie.

– Kwestia czasu. – Gerhard pokiwał głową, patrząc, jak spod teatru odjeżdżają załadowane po brzegi ciężarówka. – Goebbels obiecał wysoką nagrodę. Ma jakieś plany. Himmler też się dopytuje...

– Nagroda za ten obraz?

– I to taka, jakiej nie wyznaczyli nawet za największych wrogów Rzeszy.

– Czyli? – zainteresował się Victor Novak i spojrzał chłopaka, który kręcił się pod ich nogami, zbierając kamyczki.

– Dwa miliony!

– Fiu, fiu – zagwizdał Viktor. – W takim razie spróbuję ci pomóc. Z czystej przyjemności.

– Byłbym zobowiązany – zaśmiał się von Lossow. – Spotkamy się dziś wieczorem?

– Będę tu czekał, w moim nowym królestwie. Jak zwykle za kulisami.

– Mam spotkanie naprzeciwko – powiedział von Lossow i pokazał na gmach muzeum. Na Narutowicza właśnie zaparkowały cztery czarne samochody i wyszło z nich kilkunastu gestapowców.

Von Lossow pokiwał mu na pożegnanie. – Wpadnę później, chcę jeszcze pogadać – dodał i ruszył w kierunku limuzyn.

Fryzjer chwilę popatrzył za nim, a potem całą uwagę skupił na chłopcu zbierającym kamyczki, który ciągle siedział w kucki przy krawężniku i teraz patrzył za odchodzącym oficerem.

– Ej, chłopcze! – Victor krzyknął głośno po niemiecku. – Uważaj! Tam! Za twoimi plecami. Szczur! – dodał, a chłopak odwrócił się gwałtownie.

Fryzjer przeczesał palcami włosy, rozglądając się dookoła, po czym głośno westchnął.

– Skąd ja wiedziałem, że rozumiesz – stwierdził

i zdecydowanym krokiem ruszył w jego stronę. – Nieładnie jest podsłuchiwać – powiedział i chwycił go za ramię i za ucho.

Ciągnięty chłopiec rozglądał się bezradnie. Dziurawca nie widział.

Przed teatrem nie było już prawie nikogo.

Władysław Woyda stał i ledwo rozumiał, co się do niego mówi. A tego, co się dzieje dookoła, nie pojmował zupełnie.

Stanisław Bryła wyszedł. Pożegnali się serdecznie. Teraz zamierzał porządnie się najeść i położyć spać, a zdążył tylko ugryźć naleśnik z dżemem, gdy wyciągnięto go z gabinetu, w którym mieszkał teraz wspólnie z żoną. Nie założył nawet marynarki.

Stał więc w tej samej koszuli, którą włożył dzień wcześniej wieczorem. Od tego czasu nie spał i już bardzo źle się czuł. Myślał, że ten dzień się skończył, a okazało się, że właśnie teraz wpadło szalejące gestapo z zamiarem przeszukania każdego, nawet najmniejszego pomieszczenia. O ile z rana nie wiedzieli, czego szukają, działając po omacku i biorąc to, co im wpadło w ręce, o tyle teraz od razu ruszyli do piwnic i na strych, przeczesując po drodze każdą napotkaną salę.

Minął się z nimi kilkanaście razy, nim wezwano go do sali konferencyjnej. Szedł tam na ugiętych nogach. Nie miał pojęcia, co zastanie.

Otwierając drzwi, wstrzymał oddech, a po sekundzie odetchnął z ulgą. Właściwie nic się nie zmieniło, oprócz tego, że o ladę opierał się oficer SS. Wysoki, przystojny niczym aktor filmowy, leniwie rozglądał się wokół siebie. Obok stała wpatrzona w niego bibliotekarka folksdojczka, bezustannie zaczesująca palcami lok tak, by przysłonił plamę na policzku.

– Heil Hitler – powiedział oficer na powitanie. Po czym podszedł i odezwał się po polsku: – Dzień dobry. Nazywam się Gerhard von Lossow i mam jedno pytanie. Gdzie jest obraz?

– Jaki? – zapytał profesor drżącym głosem.

– Poszukiwana przez nas *Bitwa pod Tannenbergiem*.

– *Grunwaldem?* – zapytał profesor, próbując zebrać myśli. Ktoś zdradził. To jedyne, co teraz krążyło mu po głowie. Przez chwilę nawet zastanawiał się, czy jednak nie powiedzieć czegoś w swojej obronie. W tej sytuacji, skoro oficer opiera się o ladę, wydawało mu się niemożliwością, że to nie jakaś prowokacyjna inscenizacja.

– To, że wy ją tak nazywacie, to nie znaczy, że ma ona taką nazwę. – Oficer wzruszył ramionami.

A jeśli nie wie? Taka myśl przebiegła przez głowę profesora, gdy von Lossow zaczął przebierać palcami, wystukując rytm jakiejś piosenki. Władysław Woyda zaczął trząść się ze strachu, ale jednocześnie zacisnął zęby, żeby nie roześmiać się z nerwów, które targały nim coraz bardziej.

– Chodzi o ten paszkwil, obrażający Niemców – powiedział oficer, prostując się. Zrobił kilka kroków w kierunku okna i w tej sekundzie profesorowi zupełnie już nie było do śmiechu. Zobaczył opartą o ladę, niewstawioną płytcinę, która krzywo przylegała do ściany i ledwo zasłaniała dziurę. Miał ktoś przyjść i fachowo ją wstawić jeszcze wieczorem albo rano. Teraz wystarczyło ją tylko lekko kopnąć.

– A to nie wiem, o jaki obraz chodzi – powiedział, patrząc Niemcowi prosto w oczy. Esesman podszedł blisko i okrążył go, uważnie mu się przyglądając. Wyjął pistolet z kabury.

– Wiem, po prostu wiem, że dotarł do Lublina. I prawdopodobnie gdzieś tu jest – dodał, krocząc dalej. Zbliżał się do lady, więc profesor jak najszybciej chciał przykuć jego uwagę.

– Tak, dotarła – powiedział głośno i dosadnie.

Von Lossow od razu podniósł wzrok i odwrócił się w stronę Woydy. Oczy mu zabłyszczały, patrzył już tylko na profesora. I o to chodziło.

– Była tu z przemieszczającym się polskim rządem – wyjaśnił Woyda. – *Bitwa pod Grunwaldem* Jana Matejki, najwspanialszy polski obraz historyczny, rzeczywiście zawitał do naszego Lublina. Ale niestety – ciągnął dalej – okoliczności nie były sprzyjające zorganizowaniu wystawy. Ma się rozumieć, to wielka szkoda, ale obraz ruszył dalej.

– Wyjechał. – Von Lossow zmrużył oczy i zacisnął zęby.

– Tak. Razem z wojskiem i ewakuującym się rządem. Najprawdopodobniej zgodnie z wytycznymi, opuszczając na czas wojny granice naszego kraju – zakończył uroczyście profesor.

– I tu jej nie ma?

– Nie ma.

– Panie profesorze – powiedział von Lossow, wolno zaciskając zęby. – Chciałbym, żeby pan dowiedział się pierwszy, że Rzesza wyznaczyła nagrodę dla tego, kto wyjawi miejsce przechowywania Bitwy – powiedział, opierając się rękami o ladę. – Dwa miliony marek. Zdaje pan sobie sprawę, ile to pieniędzy? – zapytał, stojąc tyłem do niego, opierając się dwoma rękami o ladę. Bibliotekarka chwyciła się za głowę i przytknęła rękę do ust.

– O! To bardzo dużo – zachwycił się Woyda i znowu sprawił, że gestapowiec odwrócił się w jego stronę. – Nie widziałem takich pieniędzy nawet w kinie.

– Przecież mówiłam, że tu był – wtrąciła się oszołomiona bibliotekarka. – Co innego mogło być w tej skrzyni.

– O tak, to pokaźna suma – ucieszył się Lossow z wrażenia, jakie zrobił, i natychmiast zwrócił się w stronę profesora. – Oczywiście wiemy, jaki los mógłby spotkać tego, kto zdradziłby taką tajemnicę. Zapewniam pana, że możemy chronić informatora przed zemstą – oświadczył, a Woyda spojrział na bibliotekarkę, która tym razem zastygła z przerażoną miną. – Każdy, kto przyczyni się do znalezienia obrazu, dostanie nie tylko obiecane pieniądze, ale i paszport z pozwoleniem na wyjazd w dowolnym kierunku. Czy to rozumiałe?

– Tak, oczywiście. Ale i tak nie mogę pomóc... – powiedział profesor, a von Lossow zmrużył oczy, wyciągnął pistolet i wymierzył w jego kierunku. – Tu już go nie ma... I jest wielu świadków, że wojsko wywiozło stąd obraz. Nawet ta pani – powiedział drżącym głosem. I nagle zrobiło mu się gorąco i słodko w ustach.

– Czyżby? – zapytał gestapowiec, mierząc do niego i naciskając spust. Profesor chwycił się za serce, a grymas bólu mocno

wykrzywił jego twarz. Stojący na parapecie kryształowy wazon rozpadł się w drobny mak. Przekwitłe chryzantemy spadły na podłogę, a resztką wody ściekała z parapetu. Trzymający się za serce profesor, dysząc, osunął się na ziemię.

– Widzi pan tę wodę? – Von Lossow wskazał skapujące krople. – Tak wypłynie z pana życie, jeśli nie dowiem się tego, czego chcę. Jeśli będzie trzeba, przyjdę jutro i każdego następnego dnia – powiedział, ruszając w kierunku drzwi.

Woyda dosłyszał, jak bibliotekarka szepcze do gestapowca:

– Ten okazał się tylko drobnym złodziejem. Widziałam, jak wynosił książki. Przez okno je komuś podaje. Trzeba przeszukać jego biuro. Na pewno coś tam schował. Ale mam jedno nazwisko... Może się przydać. Wrogo nastawiony do Niemców prezes sądu – nadawała.

– Przeszukiwać dalej – dosłyszał głos von Lossowa dochodzący z korytarza.

Trzymał się za serce, paliło go niemiłosiernie, ale leżał dokładnie tak, że trzeba by było po nim przejść, żeby zobaczyć dziurę w ladzie. Leżał tak i opierał się o nią. Patrzył, jak zrzucają książki z półek, jak kopią dla zabawy w piętrzące się stosy. W końcu wyszli, uznawszy, że nie ma tu nic wartego uwagi.

Żona, która wpadła kilka minut później, nie mogła pojąć, dlaczego jej mąż za przemian ledwo łapie powietrze i chichocze.

Dziurawiec musiał czekać w ukryciu, aż spod teatru odjadą ciężarówki, a potem dwa samochody osobowe zabiorą kolejnych wychodzących esesmanów, z których każdy wychodził czymś obładowany. Krew go zalewała z wściekłości. Ale chciał mieć pewność, że w środku został już tylko fryzjer i Jona, bo tego, że nadal tam są, był prawie pewien. Ukryty w kamienicy naprzeciwko nie spuszczał z oczu wejścia do teatru. Teraz już ani na chwilę. Nawet wycofywał się tyłem od momentu, w którym zobaczył, jak ten cwaniak zerka na Jonę. Wiedział, że rozgryzł dzieciaka. Mały się starał, ale był z innej bajki, zachowywał się tak, jakby pierwszy raz bawił się na chodniku. Podnosił i oglądał

kamyki. Nie rzucił niczym w przechodzącego kota, nie zrobił nic, co robi dzieciak na ulicy, tylko przysuwał się do gadającego fryzjera i esesmana. Dziurawiec wściekał się sam na siebie za swoją głupotę. Miał już na niego kiwnąć, gdy schowany, zobaczył Elizę wychodzącą naprzeciw jednemu z esesmanów. Zazgrzytał zębami. Wdzięczyła się, wyginała, uśmiechała, gładziła i zaczesywała grzywkę. Miał ochotę wyjść i zdzielić ją z całej siły. Zrobić jej coś takiego, żeby popamiętała. Ale tylko zawył w środku, przeklinając świat.

– Za chwilę – powiedział sam do siebie i chciał zabrać chłopaka, ale zobaczył już tylko, jak fryzjer wciąga go do środka. Gorzej być nie mogło. Teraz był w potrzasku.

Gdyby za nią poszedł, straciłby z oczu wejście do teatru, tego nie chciał jeszcze bardziej. Musiał bezsilnie czekać. Przed wejściem kręciło się ciągle kilku esesmanów. Nudzili się, gotowi zaatakować. Nic nie mógł zrobić. Zdawało mu się, że trwa to w nieskończoność, ale w końcu zrobiło się pusto. Odjeżdżał ostatni samochód. W drzwiach do budynku pokazał się fryzjer machający laseczką z perłową gałką odjeżdżającym gestapowcom. Po chwili znów zniknął we wnętrzu.

Teraz. Dziurawiec obszedł budynek dookoła i znalazł wejście od kotłowni. W środku wszystko było pootwierane. Przez większość pomieszczeń przewinęło się mnóstwo osób, nikt nie zamykał za sobą drzwi. Wszędzie panował nieład. Trzeba było uważać na to, co walało się pod nogami. Łatwo było się potknąć. Na korytarzu leżał łeb konia z papieru, metalowa zbroja i kapelusz z przyklejonymi do runda kwiatami. Miał jeszcze długą drogę do przebycia. Odgłosy rozmowy dobiegały gdzieś z daleka. Ale cieszył się, że je słyszy. Nawet jeśli były to jęknięcia chłopaka, to słysząc je, wiedział, w którą stronę ma iść.

– Ładny chłopczyku, jesteśmy już sami. Powiedz mi, proszę, kto kazał ci podsłuchiwać? – pytał fryzjer. Głosy dochodziły ze sceny. Dziurawiec ruszył w tym kierunku. Ucieszył się, bo było to jedyne miejsce, które w tym teatrze znał. W życiu nie był na widowni ani nawet nie stał w wejściu. Ale za to kilka razy był właśnie pod tą sceną. Jako młokos siedział w budce suflera,

któremu płaciło się butelką żytniej, by oglądać nogi Ordonki lub innych aktorek, często przyjeżdżających z Warszawy. Wiedział, jak się tam dostać. I był w stanie to zrobić nawet po ciemku.

– Nikt. Nikt mi nie kazał – usłyszał, ciągle zmierzając w ich kierunku.

– Nie kłam. Wychowałem się na ulicy. Rozpoznam zwykłego złodziejaszka.

– Ałaaaa! Umiem kraść!

– Mogłeś ukraść kilka rzeczy, które leżały na chodniku, i uciec, tak by zrobił każdy zwykły dzieciak z ulicy. Ale ty podsłuchiwałeś.

– Ałaaaa. Puść. Bo mnie to zainteresowało! – krzyknął chłopak.

– Co cię niby zainteresowało?

– To, o czym rozmawiacie.

– Już ustaliliśmy, że znasz niemiecki. I co dalej?

– Ałaaaa...

Dziurawiec był już w budce. Wychylił się i zobaczył przed sobą nogi fryzjera, który chodził wkoło Jony. Chłopak miał związane na plecach ręce. Sznurek, którym były oplecione, zwisał z samego sufitu, przewleczony przez kołowrotek. Drugi koniec liny fryzjer trzymał w rękach i lekko pociągał. Jona mógł się poruszać w prawo i lewo na kilka kroków, ale wystarczyło, żeby fryzjer szarpnął sznurkiem, a związane ręce unosiły się do góry. Chłopak zginał się wpół, stawał na palcach, na ile mógł, ale naciągnięta lina i tak wykręcała mu stawy. Dziurawiec wyjął nóż.

– A więc co cię tak zainteresowało? – Fryzjer szarpnął linę.

Dziurawiec znów usłyszał krzyk, chyba nawet głośniejszy niż wcześniejsze, ale niewiele mógł zrobić. Musiał czekać. Wyjść z budki nie mógł. Otwór był za ciasny albo on zbyt wielki.

Fryzjer stał na środku sceny. Nie mógł stąd wyjść, cofnąć się i wkroczyć na scenę niepostrzeżenie. Każda z desek skrzypiała pod lżejszym pewnie dwukrotnie fryzjerem. Usłyszałyby Dziurawca, od razu gdy ten zrobiłby pierwszy krok. Był szybki, tym razem to wiedział. Zabiłby chłopaka bez mrugnienia okiem. Poderznął gardło, rzucił nożem, cokolwiek...

– Mów! Kto ci kazał podsłuchiwać – powtórzył fryzjer,

wykręcając chłopakowi ręce.

Puścił. Chłopak jęczał, z głową zwieszoną prawie przy ziemi. Dziurawiec odczekał chwilę. Gdy tylko fryzjer odwrócił się, złożył usta i język tak samo, jak kiedy był dzieciakiem, i splunął na odległość. Celował śliną wprost pod nogi chłopaka, licząc, że zauważy. I ten zauważył przelatującą mu koło nosa kroplę, choć dopiero po chwili skręcił głowę i zobaczył Dziurawca.

– Nikt, mówiłem! – burknął zupełnie innym tonem. – Mówiliście o obrazie, a ja wiem, gdzie on jest.

– Słucham? – zapytał z niedowierzaniem fryzjer, popuszczając linę, tak by mały mógł się wyprostować i zacząć do niego normalnie mówić. – Jaki obraz?

– Ten, za który wyznaczono dwa miliony marek nagrody – powiedział Jona. Wyprostował się i zrobił krok w kierunku fryzjera, niby lekko się zataczając. Ten, chcąc go mieć na odległość, zrobił krok do tyłu. Dziurawiec zdziwił się i uśmiechnął pod nosem. Fryzjer był już tylko z półtora metra od niego.

– Skąd wiesz, że to akurat ten?

– Skąd wiem, że chodzi o *Bitwę pod Grunwaldem*? – powiedział, zadzierając podbródek do góry.

– Wiesz, gdzie on jest?

– Wiem. Mogę pokazać – powiedział Jona i zrobił krok do przodu.

– Czyli gdzieś niedaleko – stwierdził z uśmiechem, a Dziurawiec wyciągnął rękę z budki. Mógłby sięgnąć lekko palcami, ale to było jeszcze za mało.

– Ale chcę połowę! Milion! – powiedział Jona głośno tak pewnym siebie tonem, że rozbawił fryzjera.

– Oczywiście! Fifty-fifty – odpowiedział mu tamten.

– Rozwiąż mnie – powiedział chłopak. – To dobijemy interesu.

– Ja z tobą? – Fryzjer zaśmiał się.

– Oczywiście.

– A może po prostu powiesz mi, gdzie on jest – powiedział fryzjer, pociągając za linę. – Ja cię tu zostawię i sprawdzę, czy mówisz prawdę?

Jona jęknął.

– Dobrze, ale przestań – powiedział i ruszył w jego stronę. – Tylko rozwiąż mnie – dodał, wykręcając się do niego rękami. – Jak mam ci to wytłumaczyć? Muszę pokazać.

Fryzjer zrobił krok do tyłu.

– Dobrze, maleńki.

Wtedy Dziurawiec chwycił jego stopę rękami. Zacisnął dłoń z całej siły i szarpnął najmocniej jak się da. Fryzjer zamachał rękami i runął na scenę zaskoczony. Nie wiedział, co się dzieje. Odwrócił się i zobaczył, że ktoś go wciąga za jedną nogę do wystającej ze sceny muszli. Ciągnął mocno i jednocześnie dźgał nogę nożem. Fryzjer zawył, ale zaparł się drugą stopą o kant muszli. Próbował się podnieść. Najpierw złapać się czegoś rękami. Nie udało się, ślizgał się po podłodze. Młody odwrócił się i próbował go kopnąć. Ale on ciągle jedną ręką trzymał linę. Pociągnął ją. Unieruchomił krzyczącego chłopaka. Drugą rękę włożył do kieszeni. Wyjął pistolet i próbował strzelić w kierunku wciągającej go dziury. Szarpnięty, spudłował. Ale dojrzał twarz. Dziurawiec dźgał go raz za razem, coraz wyżej i wyżej. Strzelił znowu. Młody się szarpnął. Spudłował.

Fryzjer zaparł się mocniej. Ostatkiem sił wiedział, że jak wciągnie go po kolano i zegnije nogę, to koniec. Znowu strzelił. Kula odbiła się od muszli. Następna i następna przebiła ją na wylot. Chłopak próbował podejść, ale to był błąd, bo fryzjer pociągnął sznur mocniej. Strzelił w dzieciaka. Mały zawył. Opadła mu głowa. Wisiał. Z brody ściekała krew prosto na scenę.

Dziurawiec zaczął dźgać jak opętany, wyszarpując po kawałku mięsa. Udało się. Wciągnął nogę, uderzył i złamał ją w kolanie. Trzask i wycie. Fryzjer puścił linę. Mały upadł na scenę. Dziurawiec ciął dalej. Przywarł do wciągniętej nogi i ciągle dźgał. W udo, w mięśnie, w rozrywaną skórę. Wychylił się najbardziej, jak mógł, i przeciął ścięgna pod kolanem drugiej już ledwo zapierającej się nogi. Z pachwiny tryskała krew.

Dziurawiec wiedział, że to już koniec. Widział to parę razy. Normalnie masakrowałby go dalej. Ale teraz już zostawił. Biegł po chłopaka, który leżał na scenie i się nie ruszał. Miał kawał

drogi, gdy usłyszał głos z głębi teatru.

– Heil Hitler! – krzyknął ktoś po niemiecku, potem zaczął wołać.
– Próbę masz?

Dziurawiec wbiegł na scenę od strony kulis. Rzucił się w kierunku chłopca, który leżał w kałuży krwi. Szarpnął go za ramiona i podniósł z podłogi. Jona miał wiotkie ciało i całą twarz upačkaną we krwi. Zamknięte oczy. Dziurawiec zaczął przecierać policzki ręką. Tylko rozmazywał krew, która nie wiadomo skąd ciekła.

Z widowni dobiegało coraz głośniejsze wołanie.

– Co tam się dzieje? – krzyknął esesman po polsku.

– Wstawaj! Chodź. Wychodzimy teraz... – szeptał Dziurawiec. – Chłopiec nie reagował. – Trzymaj się mnie – powiedział, biorąc go w ramiona i podnosząc bezwładnego z podłogi. Trzymaj się!

– Stać! – Podniósł głowę i zobaczył między rzędami esesmana, z bronią w ręku. Teraz widział go już wyraźniej. To dokładnie ten przystojniaczek, którego widział z Elizą, i już prawie był pewny, że pamięta tę twarz jeszcze sprzed wojny. Stał nad nim, kiedy on sam jak ochłap leżał w kałuży krwi. Przerzucił chłopca przez ramię.

– Stać! – usłyszał jeszcze głośniej i z coraz bliższej odległości.

– Bo co? – burknął, schylając się z chłopcem na plecach. Chwył leżącą nieopodal rękę fryzjera, wyszarpnął z niej pistolet. Esesman zbliżał się coraz bardziej ostrożnymi krokami, nie mógł widzieć co on robi.

– Pomocy! Ratunku! – krzyknął Dziurawiec. Odwrócił się, wykorzystał chwilę zawahania Niemca i bez ceregieli, kiedy tylko miał go w zasięgu wzroku, nie czekając, nacisnął spust. Kula świsnęła obok ucha esesmana, ten skrył się za krzeselkami i zaczął strzelać spomiędzy rzędów krzesel. Na oślep. Dziurawiec widział go znacznie lepiej, wycofywał się tyłem. Wystrzelił dokładnie w miejsce, gdzie się kulił. Esesman nie mógł się stamtąd wynurzyć.

Wystarczyło. Dziurawiec strzelił jeszcze raz i zeskoczył ze sceny. Z chłopakiem przewieszonym przez ramię. Miał jego krew na rękach.

Gerhard pił kolejną wódkę i zastanawiał się, co się właściwie stało, gdy dotarł na scenę. Ten człowiek z dzieckiem uciekł.

Victor Novak dogorywał, trupio blady, zakrwawiony. Ze złamaną nogą, poranioną i wciągniętą do budki suflera, bełkotał. Gerhard nie wszystko zrozumiał. Wzywał jakieś imię.

– Uratujesz go? – zapytał, gdy zobaczył von Lossowa.

– Kogo?

– Przyjedzie tu... Za to zdradzę ci tajemnicę – powiedział, szerzej otwierając oczy.

– Mów.

– Przyrzekasz?

– Tak.

– Ja zobaczyłem ducha, ale ty masz szczęście... Twój obraz tu jest – powiedział Victor i opadł z sił.

– Gdzie?! – krzyknął Gerhard. – Gdzie?! Tu? – Szarpał nim całym, podnosząc go za ramiona z podłogi.

To był błąd. Z ust Novaka buchnęła krew i nic już nie powiedział.

Przez następne dni Gerhard von Lossow prawie nie spał. Przesłuchiwał i kazał aresztować kolejne osoby z listy, którą miał.

Stanisław Bryła usłyszał walenie do drzwi. W samym środku nocy. Ledwo zdążył się ubrać.

Proszę, zróbcie coś – błagała żona Władysława Woyny. – On więcej nie przeżyje. Lekarz mówi, że serce nie wytrzyma. Niemcy wywieźli mu całe muzeum. Oprócz tego, co schował – powiedziała szeptem. – Wczoraj ostatnią porcelanę spakowali, dziś stare szable... Jego też chcieli zabrać, ale akurat był lekarz i powiedział, że nie przeżyje drogi do aresztu. Zrezygnowali, ale wiadomo, czy nie wrócą? – Załamywała ręce.

Roman Pieczyrak stał nad łóżkiem profesora. Ten spał. Był blady. Usta też miał sine. Właściwie wyglądał, jakby już nie żył. Miał płytki oddech, a jego klatka piersiowa ledwo się unosiła.

– Od czasu aresztowania Bryły jest jeszcze gorzej – lamentowała żona, załamując ręce. – Przejmuje się sędzią. Ciągłe dopytuje, czy go wypuścili... – mówiła dalej. – I ten straszny Austriak. – Wzniosła ręce do nieba. – Jest tu prawie codziennie. Zadręczy go na śmierć. Mąż się boi, że coś powie, choćby przez przypadek. Ten każe mu powtarzać wszystko po sto razy. Co się stało z Ejsmondem, kim była reszta podróżujących i tak dalej. Nie chce uwierzyć w to, że *Bitwa* pojechała dalej.

Pieczyrak westchnął głośno, drapiąc się po głowie.

– Mówiono mi o nim. Przesłuchuje i zastrasza ludzi. Myślałem, że się podda, ale widać mu zależy. Wpadłem na pewien pomysł... – powiedział. – Muszę tylko dotrzeć do właściwych ludzi. Myślałem, że skonsultuję to z profesorem, ale skoro jest w takim stanie, to ja sam...

Woyda otworzył oczy tak gwałtownie, że Pieczyrak odskoczył od łóżka.

Oficer łącznikowy przyjął meldunek. Znajdowała się w nim kilkakrotnie powtarzana informacja nadawana przez Polaków w londyńskim radiu. Wiadomościom przyznawano różną rangę i priorytet, w ten sposób kwalifikując je do dalszego dystrybuowania. Ważność tej oficer ocenił jako wyjątkowo wysoką. Błyskawicznie przesłano notatkę z nasłuchu do Berlina.

Goebbels miał ją na biurku jeszcze tego samego dnia. Przeczytał, zmiął i wyrzucił do kosza. Razem z nią wylądował w nim jeden z lepszych scenariuszy na film propagandowy, jaki mu ostatnio przyszedł do głowy. Cała inscenizacja w Malborku, na nowo odegrana historia... Skrzywił się z żalu, ale miał jeszcze kilka nowych pomysłów.

I nową chętną aktorkę.

Karl Wolff doczekał końca do ceremonii. Echo wypowiedanej przysięgi odbijało się od grubych murów twierdzy Wewelsburg.

W półmroku, przy świetle pochodni, Heinrich Himmler wręczył kilkanaście srebrnych pierścieni z trupa czaszką rycerzom nowej rasy germańskiej. Wyróżnieni oficerowie SS złożyli hołd poległym męczennikom. Czyli oficerom SS, którzy zginęli w Polsce. Pierścienie tamtych spoczęły w mauzoleum, gdzie miały pozostać po wsze czasy. Zbierane i czczone przez zakonników nowego zakonu niemieckiego. Sam Himmler wyznał Wolffowi ostatnio, że jest wcieleniem średniowiecznego władcy. Tym kłopotliwsze było przekazanie mu informacji, która nadeszła z Londynu.

Nie ucieszył się.

Gerhard von Lossow miał jechać do Wiednia na święta. Szykował się właśnie do podróży, gdy otrzymał wiadomość. Przekazano mu depeszę z pełną treścią nadawaną przez londyńskie radio wiadomości. Informowano o zadowoleniu tamtejszej Polonii na wieść o tym, że *Bitwa pod Grunwaldem* Jana Matejki szczęśliwie dotarła do stolicy Anglii. Szczegółowo podawano trasę, którą przebył obraz po opuszczeniu Polski. Podróżował przez Rumunię, Węgry, Jugosławię i Francję, by szczęśliwie przepłynąć kanał La Manche. Obywatele polscy byli tym faktem szczerze uradowani.

Na święta nie pojechał. Okazało się, że w Berlinie ma też się nie pokazywać. Ma zostać tam, gdzie jest.

Nie chciał wierzyć w ani jedno słowo. Ale i jemu nikt nie wierzył.

23 grudnia 1939 roku wyprowadzono z jego celi sędziego sądu okręgowego Stanisława Bryłę. Towarzyszyli mu inni więźniowie. Sama inteligencja lubelska, prezes sądu apelacyjnego, radca prokuratury generalnej, dwóch starostów, dwóch adwokatów, ksiądz profesor filozofii z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, dyrektorzy gimnazjów. Wszyscy liczyli, że spędzą Boże Narodzenie z rodzinami. Zapakowano ich jednak do ciężarówki.

Jedni płakali, drudzy się modlili, inni nie mówili już nic. Wywieziono ich na Kalinowszczyznę. Gdzie był stary cmentarz żydowski.

Ustawiono wszystkich nad wykopany wcześniej dołem i 2. kompania 102. batalionu policji niemieckiej puściła serię z karabinu maszynowego.

Gestapo zadbało, by tą informacją podzielono się przy każdym polskim stole.

Jak opłatkami.

Odilo Globocnik, którego Himmler nazywał „swoim drogim Globusem” i osobiście mianował na dowódcę wszystkich sił SS i policji w dystrykcie lubelskim, był w wyjątkowo dobrym nastroju. Skończyła się operacja Tannenberg. Zaczął Sonderaktion Lublin.



Część III

Okolice Zamościa, styczeń 1941 roku

Hans Frank zrobił trzy kreski na śniegu. Zatrzymał się i zrobił trzy kolejne. Pośpiesznie zapiął rozpiorek. I tak miał wrażenie, że ostatnie krople zamarzły w locie, a jego członek skurczył się tak, jakby miał zamiar schować się sam w sobie. Przestraszył się, że zamarźnie. Ale było warto się narazić. Na śniegu zaskrzyła się mała swastyka. Gdyby była większa, zawołałby resztę swojej świty, która czekała przy samochodach albo wcale z nich nie wyszła. Niestety, swastyka wyszła mała i trochę krzywa. Zrezygnował. Kto wie, komu i gdzie by to opowiadali. Stał więc tylko w rozkroku, plecami do wszystkich i chwilę sam na nią patrzył. W końcu zaczął podrygiwać. Bez ruchu nie dało się zbyt długo wytrzymać. Rok wcześniej o tej porze zanotowano tu minus trzydzieści sześć stopni. Kolejna zima w Polsce zapowiadała się podobnie. Siarczysty mróz szczypał w nos i oczy i nie pozwalał oddychać. Powietrze zastygało w ustach. Klasnął kilka razy w ręce. Postukał jedną nogą o drugą. Śnieg zaskrzyphiał głośno.

– Hans, wracaj! Zamarzniesz! – krzyknął ktoś z samochodu.

Nawet się nie odwrócił. Dał tylko znak, by jeszcze przez chwilę nikt mu nie przeszkadzał. Nie po to kazał się zatrzymać w szczerym polu, żeby zaraz musiał wracać. Chciał popatrzeć na swoje królestwo.

Przed sobą miał zaśnieżone pagórki, które łagodnie łączyły się ze sobą, rzeźbiąc zimowy krajobraz. Miętko, ale wyraźnie znaczyły granicę między śnieżną bielą a czystym błękitem nieba. Rzędy smukłych drzew wznosiły wysoko w górę oszronione gałęzie. Gdzieś w oddali wiła się wstęga, której linię rysowały

przydrożne wierzby. Zapatrzył się. Był kiedyś w Toskanii, ale miał wrażenie, że tu, u niego na Zamojszczyźnie, jest jeszcze piękniej.

Czysto i jakby spokojniej.

Jeszcze zeszłej zimy wszyscy łakomie spoglądali na Generalną Gubernię.

Himmler śledził każdy jego krok, szczerze go nienawidząc. Göring lubił go, ale nie chciał oddać Damy z gronostajem, którą wywiózł z Polski. W sprawie rekwirowanego majątku marszałek sprzymierzył się nawet z Himmlerem, jawnie lekceważąc przy tym Franka. W partii gubernator też miał masę zatwardziałych wrogów. Ale jeszcze groźniejsi byli przymilni szpiedzy, których było nawet więcej. Jedyne, co go ratowało, to bezgraniczne zaufanie Hitlera. Wódz był głuchy na wszystkie donosy i spiski.

Choć ostatnio wiele się zmieniło.

Portret da Vinci wisiał na Wawelu, w gabinecie Hansa Franka. Najzwyczajniej w świecie powiesił go sobie nad kaloryferem. Brigitte nawet go nie zauważyła. Gdy pokazał jej obraz, myślała, że to norka, i zdziwiła się, że są takie małe. Göring oddał mu tego Leonarda razem z wywiezionym z Polski Rafaelem i Rembrandtem. Trochę ostentacyjnie. Chciał pokazać, że ma gest. A chodziło przede wszystkim o to, że po zajęciu Holandii miał Rembrandtów pod dostatkiem, a po wjeździe do Francji i całą resztę. Wszystko, co kiedyś, w Polsce, wydawało się takim bogactwem, teraz nie robiło na nikim wrażenia. I to był plus. Frank został w Polsce i nikt mu nie patrzył na ręce. Ani w Rzeszy, ani na świecie. Teraz mógł robić, co tylko chciał, nie martwiąc się o niczyją opinię. Ani w partii, ani w jakichś organizacjach światowych, które próbowały węszyć po obozach.

Za to z niewiadomych przyczyn osłabła miłość Führera. Przynajmniej tak interpretował noworoczny telegram, który nadesłał mu wódz. Gdy dotarł, Brigitte machała nim, ale nie pozwoliła go otworzyć. Zwołała wszystkich znajomych, którzy byli w pobliżu, a nawet wawelskich urzędników i służbę. Chciała, by w uroczystej atmosferze odczytano osobiste życzenia nadesłane im przez „naszego kochanego” Adolfa Hitlera.

– Dla ukochanego, niezastąpionego i nieocenionego Hansa Franka z rodziną – rozpoczęła przemowę, rozcinając kopertę nożem.

Jednak w miarę czytania rzedła jej mina. Hans widział, jak na siłę próbowała utrzymać dumną powagę na tężejącej twarzy. Gdy doczytała do końca, trzęsły jej się usta. By pokryć zmieszanie, zaczęła głośno klaskać, krzyknęła „Heil Hitler!” i zaintonowała hymn. Jednak podczas gdy inni śpiewali, sama ledwo poruszała ustami.

Nie doszła do siebie przez kilka kolejnych dni. To, co przeczytała, to nie były osobiste życzenia od wodza, jakie otrzymywali przez wszystkie wcześniejsze lata. Tamte pełne były ciepłych słów dla całej rodziny. Imiennie dla niej i dla dzieci. A teraz otrzymali standardowe pozdrowienia, które zapewne rozesłano wszystkim innym wyższym członkom partii. Kilka słów i szczęśliwego Nowego Roku 1941.

Przez dwa tygodnie wymyślała kolejne powody, dla których mogli popaść w taką niełaskę. Kłócili się o to od rana do wieczora. Bo w nocy Hans Frank uciekał z domu. W końcu też ruszył na objazd swoich włości, zaczynając od Lublina, by bez jej jazgotu przemyśleć nową strategię.

Wiedział, że Hitler jest z niego zadowolony, ale rzeczywiście ich relacja stała się chłodniejsza. Nie pierwszy raz tak się działo, wódz lubił dozować uczucia i stopniować temperaturę wzajemnych kontaktów. Teraz widocznie za nim nie tęsknił. Choć mogło być znacznie gorzej. Himmler mógł wymyślić coś, co zdyskredytowałoby Franka w jego oczach. To go lekko niepokoiło i między innymi dlatego postanowił zwizytować Lublin, a tam spotkać się z Odilo Globocnikiem, z którym zaprzyjaźnił się Heinrich, i wybadać poziom jego zadowolenia.

A niezależnie od tego, patrząc na zimowy pejzaż, postanowił zintensyfikować swoje działania, tak by wódz był z niego zadowolony. Wiedział, co robić. Popatrzył na śnieżną biel i żółtawą swastykę.

– Tak – powiedział sam do siebie, chowając ręce do kieszeni. – Należy oczyścić ten teren. Zlikwidować jak najwięcej Żydów,

wysiedlić Polaków! Trzeba oczyścić te ziemie z brudu. Dla Niemców. W końcu po to je zdobyliśmy – mówił pod nosem, wracając do samochodu.

– Panowie, wiecie, co jest najpiękniejsze w tej wojnie? – zapytał radosnym tonem stojących przed samochodem oficerów. – Że jeśli już raz zdobyliśmy jakieś pole, to je oznaczamy. – Poprawił pasek w palcie ruchem przypominającym dopinanie spodni. – I nigdy tego nie oddamy. – Zakończył, a wszyscy wybuchli gromkim niemieckim śmiechem.

Będąc już w samochodzie, popatrzył na wijącą się drogę prowadzącą do Lublina. Pomyślał, że przydałoby mu się coś jeszcze, oprócz tych zakrojonych na szerszą skalę działań. Jakiś spektakularny prezent, który mógłby zrobić wodzowi. Taki bardziej osobisty...

Lublin, styczeń 1941 roku

Roman Pieczyrak rozcierał ręce i chuchał mocno w dłoń. Jechał dorożką, jak zwykle z woźnicą Grzesiakiem, który z za pazuchy co chwilę wyciągał ćwiartkę wódki. Popijał z niej i z powodu zimna, i na tyle, na ile go znał, z wściekłości. Z wielu okien na Krakowskim Przedmieściu zwisały długie, czerwone wstęgi. Każda z białym kołem pośrodku i obowiązkowo wpisaną weń czarną swastyką. Wszędzie były gestapo i SS. Roiło się od pojedynczych patroli i większych grup. Ktoś tłukł Żyda, inny szturchał babę ze wsi, która próbowała ratować przy tym trzymany w rękach koszyk.

Woźnica splunął, a Pieczyrak pokręcił głową. Odilo Globocnik zadbał o to, by miasto na przyjazd Hansa Franka wyglądało jak hitlerowska choinka. Przygotował też masę prezentów. Akcja musiała się przeciągnąć, bo Frank ze swoją świętą niespodziewanie udał się najpierw do Zamościa, podobno w celu podziwiania okolicy.

Roman Pieczyrak nie mógł się spodziewać lepszej wiadomości. Wystarczyłby jeden dodatkowy dzień, by dokładnie ukryć pomnik Jana Kochanowskiego stojący do tej pory przed gmachem Trybunału na rynku Starego Miasta.

Tydzień wcześniej, dowiedziawszy się o wizycie Hansa Franka, gubernator dystryktu lubelskiego Ernst Zörner kazał natychmiast zlikwidować pomnik. Jakiś tam polski poeta nie pasował mu do wizerunku niemieckiego miasta, który zamierzał prezentować generalnemu gubernatorowi. Poza tym ktoś mu doniósł, że na postumencie wypisane są patriotyczne wiersze. Tym bardziej więc chciał się go pozbyć.

Roman Pieczyrak nie zamierzał dopuścić do jego zniszczenia. I to, o ironio, prawie dokładnie w dziesiątą rocznicę jego odsłonięcia. Przenieść go nie miał możliwości. Ponadpięciometrowy bazaltowy kloc był niewiarygodnie ciężki.

Zresztą nie dostałby na to zgody. Po naradzie ze swoimi współpracownikami postanowił spróbować zakopać go w nienaruszonym stanie, obok miejsca, w którym stał.

Taką też propozycję złożył Zörnerowi. Ten nie chciał wnikać, jak to się odbędzie. Było mu wszystko jedno. Pomnik miał zniknąć i koniec.

I tak, uzbrojeni w oficjalne zgody i środki na ten cel, odnaleźli kamieniarza, który wcześniej montował postument pod nadzorem autora projektu. Stanisław Lis doskonale pamiętał, jak zostały połączone kamienne bloki, i wiedział, jak je rozmontować. Zdjęli więc bruk i na oczach przemierzających Stare Miasto hitlerowców przez kilka dni oficjalnie kopali dziurę.

Sześciu ludzi pracowało dzień w dzień, znacznie dłużej, niż się spodziewano. Gdy Roman Pieczyrak zajechał na miejsce, był tam już Henryk Krzesiński i kilku wtajemniczonych pracowników magistratu. Wszyscy ze smutnymi minami patrzyli na wykopany dół. Gdy Pieczyrak podszedł bliżej, przekonał się, skąd to wzruszenie. Krzesiński nic do niego nie powiedział, wskazał tylko wyryty na kamiennym bloku napis.

Pieczyrak czytał przyciszonym głosem lekko już przysypane frazy:

– „Służmy pocziwej sławie, a jako kto może, niech ku pożytku dobra spólnego pomoże”. Pieśń XIX – westchnął i zaczął czytać dalej: – „A jeśli komu droga otwarta do nieba, tym, co służą ojczyźnie”. A to zdaje się z dwunastej, pamiętają panowie? Ciekawe tylko, kto pierwszy z nas tą drogą pójdzie... – Chrząknął głośno. Przełknął ślinę i przegarnął lekko siwiejące włosy. – Zdążycie? – zapytał, pokrywając lekkie zmieszanie.

– Teraz to pewnie! – krzyknął jeden z robotników. – Nawet brukiem to przykryjemy. I widać nie będzie.

– Przeczeka pod ziemią, biedulek – dodał kolejny.

Pieczyrak niemal bez słowa uściśnął ręce pomagającym pracownikom magistratu.

– Jadę posprawdzać ulice na trasie przejazdu, żeby znowu głowy nie poleciały za jakąś głupotę – powiedział do Krzesińskiego.

– Ale tu chyba znowu nam się udało – szepnął tamten.

Pogratulowali sobie, lekko się tylko uśmiechając. Ciągłe była masa niezłatwionych, beznadziejnych spraw, ale takie małe wygrane cieszyły. Nie mógł się doczekać, kiedy opowie o tym synowi. Ten rwie się do działania, ale jak to młody, wszystko za prędko i zupełnie bez głowy. Przypominał mu tym siebie samego z przeszłości. Siedem lat był przecież na zesłaniu...

Pieczyrak wszedł do dorożki, spojrzął jeszcze za siebie. Po pomniku nie było śladu. Miało też nie być śladu po nazwach kolejnych ulic.

Plac Litewski już od dawna nazywał się Adolf-Hitler-Platz, nazwy straciły już ulice Sienkiewicza i Paderewskiego. To w pierwszej kolejności. Teraz znów dostał nowe wytyczne. Miało już nie być ani Władysława Łokietka, ani Jana Matejki, a ulicę pułkownika Leopolda Lisa-Kuli przerobiono na Krzyżacką.

Jechał teraz na Narutowicza, by sprawdzić, czy aby przykręcono wszystkie wypisane gotykiem tabliczki z nową nazwą Theaterstrasse. Przy okazji chciał odwiedzić również profesora Woydę, który przez zaufanego przekazał mu, że szykują się jakieś nowe kłopoty.

Gdy tylko wjechał w Narutowicza, kazał dorożkarzowi zwolnić. Przed samym gmachem muzeum zobaczył wychodzącego mu naprzeciw profesora. Ten musiał wyglądać go, stojąc w oknie, bo nawet nie zdążył dopiąć przydużego kożucha, który narzucił tylko na ramiona. Wyglądał jak mały bojar. Pieczyrak uśmiechnął się, ale zaraz zmarkotniał, gdy odjeżdżająca dorożka odstłoniła mu widok na gestapowców otaczających pobliski kościół.

– Ale dobrze, że pana wypatrzyłem! – zaczął Woyda, lekko pokaszując. – Nie chciałem rozmawiać tam w środku, bo ściany mają uszy. Oj, chyba muszę się zapiąć. Ale przynajmniej ten nowy dyrektor, Kutchabsky, okazał się porządny – ciągnął dalej, szamocząc się z rękawami kożucha. – Zrugął tę Elsę czy Elizę, już sam nie wiem, jak ona chce się nazywać, co skarżyła na gestapo. Powiedział, że w pracy mają sami rozwiązywać swoje problemy. Porządny Ukrainiec się okazał. – Spojrzął na Pieczyraka wpatzonego w budynek kościoła. – A co tam się stało?

– Jeszcze nie wiem – odpowiedział mu Pieczyrak, patrząc, jak ze świątyni wyprowadzają jakiegoś młodego chłopaka. – Niech pan mówi, panie profesorze. Rozmawiajmy cały czas. Spokojnie, od początku.

– Ach tak. No tak. Jak do tej pory wszystko było w porządku. Ja sobie zachodziłem dzień w dzień sprawdzić, czy ta „rzecz” ma się dobrze. Ale teraz obraz, znaczy „ta rzecz”, jest w niebezpieczeństwie. – Woyda ściszył głos, widząc bladłość na twarzy Pieczyraka, który tylko bezwiednie potakiwał. – Zna go pan? Ja nie wziętem okularów – zapytał, mrużąc oczy.

– Kolega syna – wyjaśnił Pieczyrak, patrząc na chłopaka, na którego gestapowiec wylewał właśnie czerwoną farbę. Ściekała mu po włosach, twarzy i ubraniu. Musieli go przyłapać z puszką w ręku, może jak malował hasła na murach. Może uciekli do kościoła. – Niech pan mówi dalej i nie patrzy w tamtą stronę. Jak gdyby nigdy nic – poprosił cicho.

– Tak, od początku. – Woyda podrapał się po głowie. – Niemcy oszaleli na punkcie niemieckości naszego miasta. Zamierzają zorganizować huczne obchody sześćsetnej rocznicy założenia „niemieckiego Lublina”, jak to oni mówią.

– Tak, wiem. My też mamy dużo z tym... – zająknął się Pieczyrak, patrząc, jak gestapowcy wbiegają z krzykiem do kościoła – ...problemów – dokończył.

– Mam mówić, tak? – zapytał Woyda, widząc rosnące zaniepokojenie na twarzy rozmówcy. – I zamierzają tu u nas urządzić swoje centrum kulturalne, archiwum, Distriktsmuseum, Stadtbibliothek i nie wiem co jeszcze. Zwieźli tu wszystkie księgozbiory, nawet prywatne. – Pieczyrak kiwał głową bez zrozumienia. – Kilkaset tysięcy tomów. Włos się jeży na głowie, ile tego. Wezwali architektów, mają rozwalać ściany, przebudowywać wszystko w środku. Mówić dalej? – Śmiertelnie blade Pieczyrak kiwnął znowu głową.

– Kutchabsky powtarza, że mają mało pomieszczeń. Sam nawet pokazał na półkę, że dużo zajmuje... – mówił Woyda coraz wolniej. – Obraz jest w niebezpieczeństwie! – już prawie wykrzyknął, a Pieczyrak chwycił go za ramię i ścisnął mocno.

– Wiem – powiedział, wbijając mu palce w ramię.

Niemcy zaczęli wrzeszczeć, wywlekając drugiego chłopaka. O ile z pierwszym się bawili, o tyle w drugiego wymierzili broń, odsuwając się z krzykiem. Ktoś go przeszukał i znalazł w kieszeni pistolet. Chłopak był przerażony. Patrzył w lufy karabinów. Ktoś go uderzył, przewrócił na ziemię, kilku kopało. Roman Pieczyrak odetchnął z ulgą. Miał jeszcze szansę. Nie zabili go od razu. Walili kolbami, ale nie zabili.

– Posłałem też wiadomość do pana Dziurawca – mówił zakłopotany profesor. – Choć to zupełnie inna historia. Ale może pomoże?

Chłopaka wciągnęli do samochodu.

– Muszę jechać, panie Władysławie – powiedział Roman Pieczyrak po chwili, orientując się, że ciągle trzyma profesora za rękę. Puścił. – Jak dużo mamy czasu?

– Trochę mamy. Nikt o tę rzecz od roku nie pyta. Ani razu. A przebudowę ogłosili dopiero teraz. Czy tego drugiego chłopaka też pan zna? – zapytał profesor cicho.

Pieczyrak przytaknął mu, przymykając powieki i zagryzając wargi.

– Współczuję – powiedział Woyda, który z daleka nie rozpoznał syna Pieczyraka, ale wyczytał wszystko z twarzy ojca.

Gerhard von Lossow stał przed otwieranym uroczyście Domem Narodowych Socjalistów. Ledwo się trzymał na nogach i próbował schować się przed innymi i oprzeć o coś, co nie było pokryte śniegiem. Rano Odilo postawił na nogi jego i siebie. Zeszłej nocy szampan lał się, jak zwykle, litrami. Podobno poszło czterdzieści butelek. Przed gigantycznym kacem uratowały go proszki, których szef gestapo miał pod dostatkiem. Nawet Viethold mógł mu pozazdrościć takiego arsenału. Na sen, na wigor, na uspokojenie, na szaleństwo. Tabletki Globocnik lubił tak samo jak bąbelki w winie i swą dziewiętnastoletnią sekretarkę Ingmar. Co wieczór mieszał to wszystko ze sobą i z reguły w wybranym towarzystwie. A od roku prawie zawsze

z Gerhardem, któremu zapomniał na chwilę dawne urazy. Między innymi dlatego, że tak jak on był Austriakiem, i to z dobrym nazwiskiem, którego jemu brakowało. Poza tym podobało mu się, że chwilowo zdawał się być w niełasce u Himmlera, a zachowywał się tak, jakby mu na niczym nie zależało. Myślał, że to było związane z urodzeniem. Ale Gerhard na tym wygnaniu rzeczywiście niczym się już nie przejmował. Gdy Karl Wolff powiedział, że ma przeczekać niezadowolenie Himmlera tam, gdzie jest, myślał, że chodzi o tygodnie, a nie o miesiące. Teraz przyzwyczajają się do myśli, że przestał cokolwiek znaczyć. Z tego powodu upijał się co wieczór, spał z wieloma kobietami, które lgnęły do niego, mimo że folksdojczka z płamą na twarzy próbowała nikogo do niego nie dopuszczać. Ale ostatnio nie pozwalał jej przychodzić do Willi Odila przy Lubomelskiej. Z reguły trzymał ją zamkniętą gdzieś na mieście, coraz mniej wierząc, że może mu się jeszcze do czegoś przydać.

Na co dzień meldował się w Instytucie Pracy Niemieckiej na Wschodzie. Wyniki prac tego instytutu miały posłużyć do tworzenia bastionu niemieckości na wschodzie. Odilo utrzymywał, że taka naukowa podbudowa jest potrzebna i jemu, i dobrze wpływa na morale żołnierzy. Nieraz na poczekaniu tworzył dla von Lossowa różne bzdurne historie. Część z nich przelewał na papier. Niektóre nawet drukowano.

Prezesem tego całego instytutu obwołał się Hans Frank. Teraz Gerhard musiał więc czekać, aż ten przybędzie do Lublina. Musiał oficjalnie się z nim przywitać, pokręcić się chwilę w drugim rzędzie, nie liczył przecież na to, że ktoś dopuści go do pierwszego, i stamtąd uciec.

Gdy zajechał generalny gubernator, Gerhard wiedział już, że zbyt się nie pomylił. Pierwszy rząd był zajęty. Z samochodów wysiedli szefowie dystryktu krakowskiego, radomskiego i warszawskiego, pełno ważniaków z NSDAP, rozpoznał też kogoś z rządu. Wszyscy obstąpili Franka, tworząc wokół niego zwartą grupę.

Hans Frank dostał do ręki nożyczki, by przeciąć wstęgę. Gerhard miał nadzieję, że zrobi to szybko, ale ten, gdy zobaczył

fotografów i dziennikarzy, zaczął przemawiać: „Ten dom, który za chwilę zostanie otwarty, ten Dom Narodowych Socjalistów jest niezwykle ważny dla Niemców jako enklawa w warunkach, gdzie w swojej pracy absolutnie nie mogą liczyć na jakiegokolwiek współdziałanie ze strony otaczającego ich społeczeństwa...”.

Będzie odkrywco, pomyślał Gerhard. I jęknął, gdy ktoś zaczął go szarpać za rękaw.

– Panie Gerhardzie, jak dobrze pana widzieć.

Odwrocił się i zobaczył starszego pana. Chwilę szukał w pamięci informacji, skąd miałby go znać.

– Panie Gerhardzie, Dagobert Frey. Jechaliśmy razem do Warszawy jeszcze w trzydziestym ósmym...

Gerhard pokiwał głową.

– Pan profesor z Wiednia. – Przypomniał sobie von Lossow. – Co pana sprowadza do Lublina? – zapytał kurtuazyjnie.

– Jak zwykle sztuka niemiecka na terenach polskich – odparł Frey entuzjastycznie. – Napisałem już przewodnik po niemieckim Krakowie. Teraz, z okazji sześćsetnej rocznicy założenia niemieckiego Lubeleyna, mam napisać okolicznościową rozprawę...

Gerhard popatrzył, jak Frank tnie wstążkę. Zaraz wszyscy pójdą do środka, a on się ulotni. Profesor Frey mówił dalej.

– Ostatnio w „Kraukauer Zeitung” napisałem, że w Lublinie znajdują się pomniki niemieckiej architektury, i podkreśliłem wyraźnie – pomachał palcem wskazującym – że domy na starym lubelskim Rynku równie dobrze mogłyby stać w południowych Niemczech. Zgadza się pan ze mną?

Gerhard kiwnął głową, czując przy tym, że zaczyna mu ona pękać.

– O tak, i Brama Krakowska też – palnął, sięgając do kieszeni. Miał tam jeszcze kilka tabletek od Odila, w razie jeśliby musiał spędzić kolejne godziny na nogach.

– Oczywiście. Zbudowana została przez niemieckiego burmistrza Mattiasa von Opatowitz. – Profesor przyklasnął w ręce. – Zaopiniowałem, że powinna pojawić się na tutejszych znaczkach okolicznościowych. Miasto jest bezsprzecznie dziełem

niemieckich pionierów kolonizujących te ziemie na potrzeby cywilizacji... Ale chodźmy do środka, będziemy mieli czas jeszcze porozmawiać. Liczę zresztą na pańską pomoc. Zna pan język...

Gerhard, nie kryjąc się z tym zbyttnio, połknął trzymaną już w rękach tabletkę.

– Gardło – powiedział Freyowi.

– Ach tak. To proszę oszczędzać. Potem przedstawię pana Hansowi, chyba że zna pan go osobiście? – Gerhard zaprzeczył. – Tym lepiej, będę miał ten zaszczyt. Przecież był pan na zdjęciu w gazecie z samym naszym wodzem. Poza tym gubernator generalny bardzo się interesuje polską sztuką. Może będzie mu pan mógł coś opowiedzieć?

Na taką okoliczność von Lossow sięgnął do kieszeni raz jeszcze.

Rano Gerhard miał tylko mgliste wspomnienia z tego, co się działo przez cały poprzedni dzień. Jedno pamiętał. Gadał jak opętany.

Hans Frank słuchał go i wpatrywał się w niego przez dobre kilka godzin. A Gerhard opowiadał o Markwardzie von Salsbachu i o von Plauenie. O Ulrichu von Jungingenie, którego jakiś kmięć przeszywa włócznią świętego Maurycego, i który, wraz z katem machającym toporem jak idiota, wygląda tak, jakby wykonywał na nim wyrok. A przecież mistrz krzyżacki, wielki wojownik, dowódca sił zbrojnych całej Europy, szedł na te ziemie, by nieść cywilizację barbarzyńcom. Nawet Hitler mówił, że należy naśladować krzyżaków, którzy ogniem i mieczem oczyszczali te ziemie dla Niemców! Zasiadlali je i nie oszczędzali tubylców. Wybili Prusów do cna.

Mówił tak, utrzymując z pełnym przekonaniem, że ten obraz może być jeszcze w Lublinie. Dlatego on tu został i jest bliski jego odnalezienia. Okłamywał sam siebie, bo już dawno w to zwątpił, ale robił to tak doskonale, że Hans Frank uwierzył w każde jego słowo.

Przed południem dowiedział się, że ma zapewnione wszelkie środki na prowadzenie śledztwa. A nagrodę za informację dotyczące Bitwy gubernator nie tylko podwoił, jak wcześniej zapowiedział, ale też zwiększył do abstrakcyjnej sumy dziesięciu

milionów marek.

Wieczorem von Lossow trzymał się za głowę, nie wiedząc, od czego zacząć.

30 kilometrów od Lublina, luty 1941

Musimy wracać do Lublina – powiedział Dziurawiec, zamykając za sobą trzeszczące drzwi drewnianej wiejskiej chaty.

– Chodzi o ten list? – zapytał Jona, wyciągając z kieszeni kopertę.

– Czytałeś?

– Nie – odparł chłopak, drapiąc się po brodzie, przez którą biegła gruba czerwona szrama prawie do samego ucha.

Dziurawiec odruchowo popatrzył, w jakim jest stanie. Przestała się paprać dopiero miesiąc wcześniej, gdy zdobył maść od Tatara. Ten leczył nią swoje konie i wyleczył. Potem Dziurawiec spojrzał chłopakowi prosto w oczy. Ten dorósł przez ostatni rok, spoważniał. Ale trzymał kopertę z obojętną miną. Kłamać to za dobrze on nie potrafił.

– To po co go brałeś? – burknął już tylko pod nosem, zdejmując zaśnieżone buty.

– Wypadł ci z kieszeni. Chciałem ci pokazać znaczek, myślałem, że cię zainteresuje.

– Wyglądam na kogoś, kogo interesują znaczki?

– Ale na tym jest królowa Jadwiga i Władysław Jagiełło. Królowej nie widać, bo Niemcy przywalili na niego swoją niemiecką wronę. – Jona pokazał hitlerowskiego orła ze swastyką w pazurach nadrukowanego na znaczku.

– Pokaż. – Dziurawiec wyciągnął rękę i zerknął na malutką postać w koronie i z mieczem w rękach. – Na obrazie on jest większy?

– Większy, jasne, ale najmniejszy ze wszystkich prawie. Jak ci mówiłem, Matejko wzorował się dokładnie na tym, co opisał Długosz. Jagiełło stał na wzgórzu i obserwował pole bitwy, jak wielki chan Mamaj. Z tym, że Jagiełło wygrał. Chciał widzieć dokładnie wszystko, co się dzieje.

– To rozumiem. – Dziurawiec pokiwał głową z uznaniem.

- Co jest w tym liście? – Jona spróbował zmienić temat.
- To, że musimy wracać – odparł Dziurawiec, chowając kopertę do kieszeni.

Lublin, luty 1941

Ty żydowski parchu! Jak cię znajdę, to wszystkie gnaty ci poprzetrącam! – rozległ się dziecięcy wrzask za ich plecami.

Jona Faber chwycił Dziurawca, mocno ściskając mu dłoń. Miasto zupełnie nie przypominało tego, który opuścili. Zawalone kamienice ciągle straszyły pustymi okiennicami, ale ludzie przerażali jeszcze bardziej. Nawet dzieciaki miały jakiś obłęd w oczach i agresję.

– A ty nie za duży na to jesteś? – zachnął się Dziurawiec, odtrącając rękę chłopca. Obrócił się za siebie. – Co się boisz, przecież jest od ciebie o głowę niższy i o połowę chudszy – dodał i splunął. – No spójrz.

Jona odwrócił się i popatrzył na drobnego sześć- czy siedmiolatka, który właśnie go wymijał, podskakując w biegu. Umorusany dzieciak, ubrany w za duże łachmany przewiązane parcianym sznurkiem, zaglądał do każdej dziury. W rękę trzymał kij i uderzał nim o ściany. Pobiegł dalej.

– Wyłaź! Ty brudna pluskwo! – wrzasnął, gdy zobaczył porwaną onucę owijającą małą stopę, wystającą z piwnicznego okna. Walnął w nią kijem z całej siły. Schowany chłopak zaczął drzeć się wniebogłosy, wyczołgując się powoli.

– Teraz ja będę Niemcem – powiedział ten z dziury, przecierając zaflukany nos.

– Ale ty jesteś Żydem!

– Ty też!

– I co z tego?! Ja mam pejcz! – powiedział umorusany chłopak i zdzielił go po głowie kijem.

Dziurawiec nie zwracał na nich uwagi, a Jona obszedł ich szerokim łukiem.

– O czym oni mówili? Nie zrozumiałem.

– Bawią się w chowanego – wyjaśnił Dziurawiec. I ruszył w kierunku Żłotej.

Nie był na Złotej od ponad roku. Spędzili ten czas pod Zamościem. W Lublinie Dziurawiec pojawiał ukradkiem i tylko po to, by wymienić polskie banknoty na nowe pieniądze. Za dużo ich miał na małe miasteczko. Poza tym miał kilka interesów. Wystarczyło dowieźć ze wsi mięsa, w zamian przywieźć trochę fusów z kawy, nadających się jeszcze do parzenia. Nie potrzebował więcej. Poza tym stale towarzyszyło mu wrażenie, że ma dwa miliony marek. A przynajmniej, że wie, gdzie są schowane. Nie miał więc potrzeby łązić po starych kątach. Wiedział, że Niemiec się o niego wypytywał. Na szczęście po kilku miesiącach przestał szukać. Teraz wrócił i zamierzał sam, na własne oczy, zobaczyć, co się dzieje w mieście, bo w niektóre opowieści nie chciało mu się wierzyć.

Szybko okazało się, że przynajmniej część z nich jest jednak prawdziwa. Na Krakowskim Przedmieściu nie spotkał żadnego Żyda. Nie wolno im było się poruszać po wyznaczonych ulicach. Wysiedlili ich z mieszkań. Wysiedlali też Polaków, jeśli jakiś rewir przeznaczono dla niemieckich osadników. Swoje mieszkania musieli opuszczać w jeden dzień albo w godzinę. Sam widział w mieście wozy zawalone czym popadnie, kołdrami, poduszkami, taboretami, lampami. Wszystko na kupie, łącznie z beczącymi dzieciakami i kiwającymi się starcami. I Żydzi, i Polacy kursowali w tę i w tę, mijając się obładowanymi ponad wytrzymałość koni wozami.

Ze Złotej Żydzi musieli wyprowadzić się przed Wielkanocą. Ulica nie mieściła się w obszarze, który przeznaczono na getto. Wszędzie stali ludzie. Przed wejściem, na klatce schodowej, na schodach, mniej lub bardziej obdarci i opatuleni. Czekający na coś albo na nic, pomyślał Dziurawiec.

Nie był pewny, kogo zastanie, ale jak się szybko okazało, Lola Sztajn wciąż mieszkała na drugim piętrze, choć już nie sama. Wokół jej łóżka pełno było różnych ludzi i tobołków. Ucieszyła się na jego widok. Gdy zobaczyła wchodzącego Dziurawca, zaczęła wypraszać innych mieszkańców. Dawała jeszcze radę.

Słuchali jej. Choć jeden młodziak wyraźnie ociągał się, bawiąc się kozikiem.

– Mnie nie przeszkadza – syknął pod nosem, patrząc bykiem na Dziurawca.

Dziurawiec podszedł do niego, zabrał mu nóż z ręki i jednym ruchem wbił go w drewnianą framugę po sam trzonek.

– A mnie tak. Wstydlivy jestem.

Chłopak wyszedł naburmuszony i chowając ręce w kieszeniach, jeszcze splunął pod nogi. Nie chciało mu się chodzić po dworze w taki ziąb. Dziurawiec kiwnął ręką na Jonę, który czekał za drzwiami.

Lola leżała na łożku. Zawinięta w bury koc. Postarzała się bardzo i schudła. Tylko jej oczy śmiały się dalej. Niczym pirat stuknęła drewnianą nogą o ścianę, strasząc wpatzonego w nią chłopaka.

Dziurawiec popatrzył na protezę. Wyglądała, jakby ją przerobili z nogi od krzesła. Gruba. Niedobrze oheblowana. Nie taka jak kiedyś. Wtedy była smukła jak długi obcas zakończony srebrną podkówką. Lola uśmiechnęła się. Dziurawiec pokiwał głową z uznaniem. Może noga nie miała teraz srebrnej podkówki, ale zapewne była solidnie wypchana. Może nawet złotem, pomyślał.

– Przynajmniej zawsze masz ją przy sobie.

– Jak zechcę. – Stuknęła raz jeszcze.

– Dobrze wyglądasz – skłamał Dziurawiec i sam się tym zdziwił. Nigdy tak nie mówił. Może dlatego uwierzyła i uśmiechnęła się szeroko.

– Chłopaku, idź się może jednak pobaw na klatce. Pełno tu dzieciaków – zaproponowała, a Jona przylgnął do ściany, jakby nie zamierzał nawet drgnąć.

– Nic po takiemu nie rozumie. – Dziurawiec machnął ręką. – Opowiadaj, co tu się dzieje.

– Aha... Myślałam, że on jest... Cóż, dziś lepiej nie myśleć! Niektórym interes się kręci – zaczęła mówić dalej, wzięwszy głęboki oddech. – U dziewczyn pełno klientów. Więcej niż przed wojną. Parę zginęło. Karuzelę to przygniotło pod kościołem w bombardowaniu. Podobno strzęp z niej został. Ha! Jaki tam

strzép! Z niej? Przecież ona taka wielka była – zaśmiała się sama ze swoich słów, rozkładając ręce. – A Belfiore! Nie uwierzysz... Ma restaurację na Lubartowskiej. Niemcy do niego przychodzą. Nosi się.

– Na Lubartowskiej? Odwiedzę go.

– Pewnie ty możesz, ale dla reszty jest niebezpieczny. Ale... – ciągnęła dalej Lola, oblizując palec. – Nie uwierzysz. Ciągłe żyje Bejla Bildholcer.

Dziurawiec prawie się roześmiał.

– Naprawdę?

– Chodź, pokażę ci. – Kiwnęła ręką. – Chłopcze, powyglądaj przez okno – rzuciła po polsku w stronę Jony, odgarniając zasłonkę przy kuchence. Za makatką były małe drzwiczki. Dziurawiec dopiero teraz zauważył brak okna, przez które czasami wychodził na dach. Odgradzała je ścianka.

– To nie jest zbyt dobra kryjówka – stwierdził, nie wiedząc, co Lola tam chowa.

– Wiem. Ale podobno to już tylko kwestia dni. Choć kto ją tam wie – dodała, gdy Dziurawiec zatkał nos, zaglądając do małego pomieszczenia. Tego się rzeczywiście nie spodziewał. W smrodzie i barłogu leżała Bejla z długimi włosami poplątanymi jak u czarownicy. Na końcach kołtunów można było dostrzec resztki blond farby. Twarz miała zaropiałą. Już prawie bez nosa. Całą w strupach. Podrapaną do krwi. Ledwo ją rozpoznał. Charczała głośno i oddychała ciężko.

Zamknął szybko, nie chcąc jej budzić.

– Od dziecka ją znam. Co zrobić? Miesiąc już tu leży. – Lola rozłożyła ręce, zamykając drzwiczki. – Nic już nie rozumie, ale jak oprzytomnieje na chwilę, to złorzeczy. Dalej pięknie – westchnęła i zaczęła się śmiać.

– Co z nią zrobisz?

– A niech spokojnie sobie umrze. Jak nie dziś, to pewnie jutro. Ja też tu długo nie pożyję – powiedziała na koniec. – Wiem to...

– Tego nikt nie wie – odpowiedział jej.

– To żydowski dzieciak? – spytała, pokazując na sterczącego w oknie Jonę. Dziurawiec wzruszył ramionami.

- Czy ja wiem?
- I tak nie może tu zostać.
- A to akurat wiem – zgodził się Dziurawiec.

A czy on wie? – spytał profesor Władysław Woyda, gdy tylko za Joną zamknęły się drzwi.

Żona Woydy zabrała go. By go domyć, jak zdecydowała, przebierając palcami po jego jasnych włosach.

- Nie mówiłem mu – przyznał się Dziurawiec. - Nie chciałem robić nadziei. - Splunął przez ramię. Wyciągnął z kieszeni papierosa i zapalił. - Żeby nie było jak z jego matką.

- O tak! – jęknął Woyda. - Teraz też nie jest dobrze. Na Lipowej zrobili ten obóz jeniecki. Dla polskich żołnierzy, ale żydowskiego pochodzenia. Nie najlepiej ich tam traktują. - Złączył dłonie jak do modlitwy. - W mieście pełno Wehrmachtu, na wschód ciągną. Może na Ruskich idą?

- Nie wiem. Na placu Litewskim widziałem wielką tablicę. Pokazują, dokąd doszli w Grecji... Są wszędzie.

- Da się tak we wszystkich kierunkach naraz? Jak pan myśli? – zapytał profesor załamany głosem, dopijając lurowatą herbatę ze szklanki.

Dziurawiec wzruszył ramionami. Profesor Woyda też postarzał się znacznie przez ten rok. Miał cienką, jakby pergaminową skórę, był bledszy, głębiej oddychał, wolniej się ruszał, ale dalej żywo reagował. Gdy zobaczył Dziurawca pukającego w okno, szybko je otworzył, pomógł przez nie wejść i wyściskał, jakby byli bliskimi krewnymi, którzy nie widzieli się od wielu lat. Nie chciał go wcale puścić.

- Ale...! – Wstał jak na rozkaz i wyprężył pierś. - Nie ma się co użalać. Trzeba będzie coś uradzić i cieszyć się, że pana widzę. Mamy tu spotkanie. Zaraz, jak tylko bibliotekarki wyjdą z pracy – powiedział, podchodząc do okna. - O, część już wychodzi. Każdy głos się przyda. A pan już tak przecież od początku z tym dziełem związany... Bo chodzi o tę „rzecz” – dokończył szeptem.

- Właśnie. Wolałbym się z bibliotekarkami nie widzieć.

Zwłaszcza z jedną – dodał również szeptem Dziurawiec.

– Wiem nawet, o którą chodzi. – Profesor pokiwał głową, przykładając palec do policzka i rysując na nim kółko. Dziurawiec przytaknął mu. – Tak, ta jest najgorsza. Ale ona na pewno szybko wyjdzie. Jak się domyślam, to nawet może pierwsza. Sztukę grają wieczorem. Propagandową, *Kwarantanna*, coś o Żydach. Ludzi naganiają, a folksdojczce mają być obowiązkowo.

– To pewnie tam będzie – zgodził się Dziurawiec.

– Muszę panu wyznać, że jej się boję najbardziej. Węszy. Z Niemcami się prowadzi...

– Tak? – zainteresował się Dziurawiec.

– Niepotrzebnie tak gadam. Właściwie z jednym takim chodzi szczególnie.

– Ciągle?

– Teraz niby już nie. Bo go tu nie widuję. A mówię panu, poruszenie z tymi kobietami tutaj było, jak przychodził. Do okien leciały, bo przystojny. Ale czy ja wiem? Kto tam dojdzie za kobietami... – zakończył profesor sentencjonalnie. Wstał i poszedł do drzwi. – Pusto powinno być... Przejdzie się pan ze mną do sali... – zagadnął. – Zaraz dołączy reszta. Pan jesteś twardy realista. Przyda nam się ktoś taki.

Dziurawiec przytaknął. Po chwili znaleźli się w sali pełnej stolików do czytania. Pod ścianą był kontuar, na którym leżały niemieckie gazety, a pod nią stała długa lada. Na niej półka z książkami sięgająca do samego sufitu. Profesor porozumiewawczym gestem wskazał na mebel. Dziurawiec zrozumiał, że to tam właśnie musi się ona teraz znajdować.

Kiedy o tym myślał, wciąż nie mógł uwierzyć, że miał z tą sprawą cokolwiek wspólnego. Ta *Bitwa*, o której przez cały rok opowiadał mu Jona. Nie nudził się, słuchając o rycerzach. O wygranych i przegranych. O tym, kto tam jest namalowany, kto walczył, kto uciekał. O drobnym Matejce, który na drabinie, z okularami na nosie malował historię sprzed stuleci. Jona opowiadał o poskręcanych koniach, o harpunach wbitych w szyję, o włóczniach. O królach i cesarzach, którzy na to

malowidło patrzyli. O krajach, które ten obraz odwiedził. Słuchał nawet o płótnie. Jak się je przygotowuje, jak się uzyskuje kolory.

– Chciałbym to kiedyś zobaczyć – powiedział Dziurawiec, a Woyda podszedł i złapał go delikatnie za ramię.

– Ja też – westchnął profesor. – Liczę na to, że jeszcze kiedyś... – rozmarzył się. – A tymczasem, panie Dziurawiec, wielki problem mamy. Trzeba to przenieść.

– Po co? – zapytał. Kryjówka zdawała mu się idealna.

– Będą przebudowywać tę czytelnię. Po Wielkanocy. Podobno całe ściany będą burzyć, a to przecież dostawione. Nie możemy czekać. Nie wiadomo, kiedy zagnają tu pracowników. Wtedy to już na pewno będzie za późno. – Profesor machnął ręką. – Stąd nasze spotkanie – powiedział, gdy ktoś zastukał do drzwi. Dwa razy krótko i raz w odstępnie. Woyda podbiegł do drzwi.

– Proszę, proszę, zapraszam. Część pan zna – powiedział, przedstawiając kolejne wchodzące osoby Dziurawcowi. Romana Pieczyraka z magistratu i Krześcińskiego rzeczywiście już znał. Doszedł Serafin z urzędu miejskiego, lekko rudawy trzydziestokilkulatek z wielką torbą pod pachą, i znacznie starszy od niego Franciszek Galera, kolejarz z poważną miną.

Serafin poszedł różnym krokiem w głąb czytelni. Rozejrzał się. Wybrał stół, dostawił dwa krzesła. Stół przykrył wyjętą z torby gazetą. Na niej postawił flaszkę i kilka grubych szklanek.

– Tym panom można zaufać. – Pieczyrak pokazał na Galerę i stojącego obok Serafina. – A panu?

– Ach, to przecież pan Dziurawiec. – Woyda uniósł ręce. – To on pomógł obraz z Zachęty przywieźć. Sam go tu transportował. Pod ostrzałem!

– Przepraszam, zapomniałem. Nerwy – powiedział Pieczyrak. Dziurawiec patrzył na niego. Był nieco przygarbiony i miał znacznie więcej siwych włosów na głowie.

Dziurawiec nie odpowiedział.

– Zapraszam! – zawołał Serafin, tasując i rozdając karty.

– Co z synem? – zapytał cicho Woyda Pieczyraka, gdy siadali przy stole.

– Ciągłe na gestapo pod Zegarem siedzi. Ale wszystko na dobrej

drodze. Wyjdzie z tego – dodał i poklepał zmartwionego profesora po ramieniu. – Przepraszam raz jeszcze – zwrócił się do Dziurawca, robiąc mu miejsce koło siebie. Ten podszedł, lekko się ociągając. Bacznie przyglądał się sąsiadowi.

– Wiadomo. Ostrożności nigdy dość – wtrącił się do rozmowy Krzesiński, który usiadł z drugiej strony. – Od kiedy Niemcy ogłosili, że dają dziesięć milionów nagrody za obraz, za jakąkolwiek informację o nim... – Podniósł palec do góry. – Wszyscy musimy uważać.

Dziurawiec przełknął ślinę i zastanawiał się, czy ktoś to zauważył. Suma nie była duża. Była wręcz niewyobrażalna. Próbował usilnie, ale nawet nie mógł sobie wyobrazić takiego worka. Patrzył na rozrzucone karty do gry i zastanawiał się, w jakiej grze bierze udział. Przestraszył się.

– Można za to kupić nie tylko bilet, ale i pewnie samolot gdzieś daleko, do świata. Gdzie nie ma wojny – skwitował Serafin, podglądając karty.

– Bilet to sami dokładają – dodał Krzesiński.

– Wiadomo, że od razu bilety muszą dać. Wiedzą, że w Polsce toby takiego kapusia od ręki sprzątnęli. Za takie coś! – przekonywał kolejarz. – Ostatnio to nawet paru babom włosy obcięli za dawanie się Niemcom.

– Słyszałem o tym. Strach padł na tych ludzi. U Żyda w restauracji na Lubartowskiej jakoś się luźniej zrobiło... Widziałem przez szybę – powiedział Krzesiński. – A ludzi tam pejczem zagania i nawet abstynenci u niego piją. A jak nie, to Niemców na nich nasyla.

– I łapówki na zapleczu przyjmuje na uwolnienie z więzienia – wtrącił się Woyda i zamilkł, widząc minę Romana Pieczyraka. Przez chwilę nikt nic nie mówił.

– Tak czy inaczej. Dziesięć milionów – zaczął Serafin. – To bardzo dużo pieniędzy. – Wszyscy pokiwali głowami.

Dziurawiec wyprostował się i oparł rękami o stół.

– Kto by tyle dawał, jeśliby nie musiał? – stwierdził rzeczowo.

Wszyscy na niego spojrzeli.

Zdążył ochłonać i pomyśleć. Nie miał już złudzeń. Nawet

odetchnął z ulgą.

– Nikt im za darmo tego nie zrobi, a i pewnie za pieniądze nie bardzo. Ten, kto przekaże tę informację na gestapo – ciągnął dalej – i będzie chciał nagrodę, zginie, zanim w ogóle zobaczy te pieniądze. A nawet jak zobaczy... To też zginie – zakończył, wzruszając ramionami.

– Już mówiłem, pan Dziurawiec to realista, jakich mało. – Profesor Woyda pokiwał głową z uznaniem. – Ale czy wszyscy u nas wykażą się taką przenikliwością? Domyślając się, co ich czeka?

– Nie – Dziurawiec szybko przyznał rację profesorowi. Sam znał wielu takich, którzy połasiliby się na takie pieniądze, bez zastanowienia się nad tym, co byłoby dalej. Nawet jeśli to mogło nastąpić trzy minuty później.

– Tak czy inaczej – zaczął Pieczyrak, patrząc w podłogę. – Obraz i tak jest wart bardzo dużo. Nawet dla tych rozsądnie myślących. Informacja o nim jest cenna. Na pewno można za nią kupić czyjeś życie – powiedział, tak jakby mówił do siebie. – Wiem coś o tym. Dlatego proszę o szczególną ostrożność. Wszystkich – dodał grobowym tonem.

Dziurawiec zaczął na niego patrzeć jeszcze bardziej badawczo. Czyżby ostrzegął sam przed sobą?

Przez chwilę zapanowała cisza.

– Do rzeczy! – przerwał chwile zadumy Serafin, klaszcząc w dłonie. – Wiemy, gdzie ma trafić obraz. – Pokazał na Galerę. – Do taborów kolejowych. Ale jak go stąd wyciągniemy? Nocą godzina policyjna, nie próbowałbym... – Zawiesił głos. Z korytarza dobiegają zbliżający się stukot obcasów.

Dziurawiec zerwał się na równe nogi. Schował się za zasłonką przy oknie.

– Spokojnie, spokojnie. Panowie, gramy. Mam kolor! – krzyknął Serafin, gdy otworzyły się drzwi. Stała w nich wątpliwej sławy bibliotekarka w wyjściowym stroju, z ufryzowaną grzywką i lokiem spadającym na policzek z plamą.

– Do atu – odpowiedział profesor.

– Panie profesorze, nie może pan już tyle pić. Gramy w pokera –

jęknął Krzesiński.

– Jak to nie mogę? – powiedział Woyda, wziął butelkę, nalał sobie. – A kto mi zabroni? No to cyk! – Wstał i sam wypił, krzywiąc się przy tym niemiłosiernie.

Eliza Lell weszła. Rozejrzała się z niesmakiem po sali i ruszyła w stronę kontuaru. Nachyliła się i wyciągnęła zza niego torebkę.

– Zapomniałam – burknęła i podeszła do okna. Chwilę tak stała. Pokazała torebkę komuś za oknem. – Już idę! – krzyknęła do tego kogoś, odwróciła się i przechodząc obok profesora syknęła: – Wstyd na to patrzeć!

– Ale że co wstyd! – wykrzyknął profesor, wstał i ruszył w jej kierunku przesadnie chwiejnym krokiem. Bibliotekarka odwróciła się i zrobiła krok w jego stronę.

– Nie dość, że złodziej, to jeszcze hazardzista – prychnęła mu w twarz. – Zgłoszę komu trzeba. – Profesor skulił się.

– Niech pani nie mówi żonie. Proszę. – Złożył ręce jak do modlitwy, a usta w ciup.

– Teraz nie mam czasu. Ale mam na pana oko.

Profesor wyprężył się.

– W moim wieku?! Dziękować tylko. Dziękować. – Ukłonił się nisko i dmuchnął jej w twarz alkoholem.

Otrząsnęła się z obrzydzeniem. Odwróciła się na pięcie i wyszła, trzaskając drzwiami.

Po chwili wszyscy odetchnęli z ulgą.

– No niewiele brakowało – westchnął profesor Woyda, chwytając się za serce i czkając jednocześnie. – Myślałem, że to woda.

– A jakby jakiemu Niemcu przyszła chęć spróbować? Od razu by się wydało.

– No tak – przytaknął profesor Serafinowi i czknął. – Ale ja niepijący jestem.

– Pierwszorzędny spektakl, panie profesorze – pogratulował Krzesiński, kiwając głową z uznaniem.

– Wiem! – powiedział głośno Dziurawiec, który wyłonił się z za zasłonki i jeszcze przez chwilę patrzył w okno.

– Co? – zapytał kolejarz.

– Jak stąd wywieźć ten obraz. Trzeba to zrobić w dzień. W samym środku dnia – oświadczył Dziurawiec, stojąc na środku sali.

– Zobaczył to pan przez okno? – spytał Pieczyrak.

– Tak!

– To proszę nas wtajemniczyć.

– Przysługa za przysługę. Potrzebuję...

– Słucham? Co proszę? – Roman Pieczyrak wstał oburzony. – Nikt tu dla przysług niczego nie robi!

– Ależ proszę dać się wypowiedzieć panu Dziurawcowi... To zapewne bardzo ważne... – zaczął się jąkać Woyda, próbując wytłumaczyć zachowanie, którego sam nie mógł zrozumieć. – Może to się łączy z naszym obrazem.

– Może – zaczął Dziurawiec i zaczął wyjaśniać. Mówił prawie przez pół godziny. Nigdy tak długo się nie wypowiadał. I nigdy też o cokolwiek nie prosił. Na koniec sam wypił szklanekę wódki.

Wysłuchali. Przytaknęli i obiecali pomóc. Każdy w miarę swoich możliwości. Role zostały rozdzielone.

Po godzinie Dziurawiec został sam z profesorem, który obcierał spocone czoło.

– To wiadomo, co każdy ma robić – stwierdził Woyda i chuchnął w dłoń, sprawdzając, czy czuć alkohol. – Ale żona się zdziwi. Ja przecież naprawdę nie piję – wyznał lekko płaczącym się językiem. – Uważać tylko musimy na tę Elizę. Sam pan wie.

– Ją biorę na siebie – powiedział Dziurawiec. – Pomoże mi pan tylko napisać trzy listy na trzech oddzielnych kartkach?

– Za pana? Nie wiem, jak to się nazywa.

– Anonim.

– A, to dobrze – Profesor zachichotał, przynosząc zza kontuaru kartki i papier. – Bo dziś będę pisał niewyraźnie.

– Gdzie ona teraz może być?

– Dziś na tej szmirze – odrzekł Woyda i czknął. – Teatr objazdowy z Krakowa przedstawia. Niemiecka propaganda. Uczciwi ludzie na to nie idą.

– Dobrze. A gdzie pracuje? W którym pokoju i przy którym biurku?

– Pokażę – powiedział Woyda i odchrząknął.

– Dobrze. Dobrze, niech pan pisze.

Profesor usiadł, trzymając długopis wysoko w ręku i czekał zadowolony.

– Ty zdradziecka suko. Zabijemy cię – podyktował Dziurawiec, a profesor utkwiał z piórem uniesionym wysoko w powietrzu.

– Mam powtórzyć? – zapytał Dziurawiec.

Anioł przeciskał się pomiędzy dwoma rzędami teatralnych krzeseł.

Cel wypatrzył już wcześniej. Czekał tylko, aż ze sceny zejdzie lekarz, który, według niego lekko wstawiony, wygłaszał prelekcję na temat zarazków, tyfusu, wszy i Żydów. Jakoś to wszystko ze sobą poplątał, machając ręką ze wskaźnikiem i podpierając się o ustawiony na scenie kontuar. Widownia kiwała głowami, wierciła się lub udawała, że słucha, przysypiając. Gdy skończył, a ze sceny zdejmowano plansze z wielkimi wszami i wnoszono scenografię potrzebną do sztuki, na widowni nastąpiło poruszenie. Jedni wstawali, by rozprostować plecy, odwracali się i zagadywali, inni szli do toalety, wykorzystując chwilową przerwę. Anioł tylko na to czekał. Ruszył, mijając kilka obruszonych osób, które kuliły się, przepuszczając kolejnych ludzi.

– Romualdzie, i co? Teraz to będzie? – pytała gruba pani w czapce z lisa.

– Tak, zaraz się zacznie.

– A co o tym pisali? – Chudy jegomość wyciągnął program i z poważną miną zaczął czytać.

– „*Kwarantanna* to przemiła historyjka z przygód wielkiego miasta, która bawi, a jednocześnie edukuje”.

– Pośmiejem się znaczy? – odezwał się ktoś z tyłu. – Ostatnio grali tu z Warszawy sztuki: *Trunki i pocałunki*.

– I *Siedem grzechów kobiety* – roześmiał się drugi.

– I *Ululany w ulu*.

– Byłem.

– Zaczyna się – syknęła dziewczyna z wcześniejszego rzędu. Zgasło światło. – A pan co? – Odwróciła się, gdy poczuła, że ktoś oparł się o jej fotel.

– Przepraszam. Przepraszam. – Anioł skulił głowę, kłaniając się, jak najniżej się dało. To wystarczyło, by sięgnął do kieszeni jej płaszczka i włożył tam zapisaną kartkę papieru.

– Ciszej – rzuciła przez zaciśnięte zęby.

Anioł wyszedł, a dziewczyna odruchowo poprawiła loki nad szyją.

Na scenę wszedł wymalowany Żyd z pejsami w chałacie. Jednocześnie drapał się po głowie i liczył pieniądze.

Jona ledwo przecisnął się przez ten niewielki lufcik. Tylko jego, spośród wszystkich okien, otwierało się w zimie. I było to jedyne dostępne wejście do niewielkiego pokoiku z biurkami, którego drzwi okazały się teraz zamknięte. Za szybą profesor Woyda pokazywał palcem stolik pod ścianą. Jona otworzył szufladę i zostawił w niej kartkę, której profesor Woyda nie pozwolił mu przeczytać, pod żadnym pozorem. Chłopak wyszedł z powrotem na podwórze.

Zobaczmy, co powiesz – burknął pod nosem Dziurawiec, ustawiając kartkę zgiętą jak bilecik na marmurowym blacie długiej toaletki. Wybrał miejsce pod drewnianą głową, na którą nałożony był jasny futrzany toczek z czarną woalką. Toczek zdjął i położył obok.

Została tylko łysa forma do nakładania czapek. O nią oparł karteczkę.

Gerhard von Lossow brzydził się tego miejsca. Ale z drugiej strony, budziło też jego ciekawość. Pomyślał, że dokładnie tak mogły wyglądać i śmierdzieć średniowieczne lochy.

Zbliżał się do siedziby gestapo. Zerknął na zegar zawieszony nad wejściem. Nadal było dosyć wcześnie, choć przyszedł znacznie później, niż zamierzał. Zasnął trochę, bo świętowali

w nowej kręgielni Odila. Kazał sobie taką wybudować zaraz po wizycie u Hitlera w Obersalzbergu. Podobno identyczna. Dobrze mu szło turlanie kuli. Prawie do rana. Teraz miał nadzieję, że oprawcy nie rozkręcili się jeszcze na dobre, bo potrafili przesadzić. Dopóki nie zobaczył tego na własne oczy, nie wiedział, że w torturowaniu niezbędna jest finezja.

Ruszył prosto w dół. Na dolne piętro, gdzie były cele i trzy ciemnice. Od samego wejścia uderzał zapach stojącego tygodniami powietrza. Okna cel były od zewnątrz zasypane ziemią tak, by nie wydostawały się żadne odgłosy. I nie dostawały się żadne informacje. Nie wpadało też światło. Przesłuchiwani nie wiedzieli, czy to noc, czy dzień, na korytarzu wisiały tylko dwie dające słabe światło żarówki. Zaduch mieszał się z zapachem moczu, świeżej krwi i strachu. Gdy tu wchodził, miał ciarki na plecach. Z głębi korytarzy dochodziły ludzkie jęki i zwierzęce krzyki.

Przyszedł, bo sam obiecał przesłuchującym gestapowcom wysoką nagrodę za jakąkolwiek informację o obrazie. Mieli pytać wszystkich. Razem i z osobna. Liczył na łut szczęścia. Ale jak do tej pory, nawet ze strachu, nikt nie nazmyślał historii o ukrytym płótnie. Jak kamień w wodę. Znowu zaczął się bać, że tej szmaty wcale tu nie ma. Aż do wczoraj. Na kręglach gadał z jednym osiłkiem, który wyrzekał na swoją pracę. Skarzył się, że ci Polacy to tak szybko przytomność tracą i nic nie chcą powiedzieć! Udają, że im na życiu nie zależy.

– Jeden gówniarz na przykład pluł na mnie przez wyłamane zęby i przechwalał się, że mógłby się uratować i wyjechać stąd z dziesięcioma milionami marek. Ale że nie chce – opowiadał, rzucając kulą i strącając kolejne kręgle. – Bo woli popatrzeć, jak będziemy uciekać z Lublina. Po co on tak mówił? Żeby jeszcze w te ostatnie zęby dostać?

– A mówił, za co miałby dostać tyle pieniędzy? – zainteresował się von Lossow, któremu z wrażenia aż zaschło w gardle.

– Nic nie powiedział, tak tylko się popisывał – wyjaśnił zaspany gestapowiec.

Gerhard obiecał mu kilka fiolek tabletek i butelkę wódki.

Rano poszedł sprawdzić, co u chłopaka.

– Michał Pieczyrak? – zapytał strażnika.

– Szykuje się do wyjścia. – Pokazał powłóczącego nogami chłopaka, którego lewa część twarzy przypominała fioletową miazgę. Po chwili rozpoznał kształt odcisniętego buta.

– Jak to?! On się nigdzie nie wybiera! – wrzasnął.

Chłopak stanął, łypiąc na niego przez milimetrową szparkę. Otwartą na tyle, na ile mogła się otworzyć opuchnięta sinoczerwona powieka.

Anioł przykucnął przy załamaniu murku. Wyglądał, jakby poprawiał coś w bucie. Rozejrzał się i kiwnął głową. Od strony muzealnego podwórza ruszył w jego kierunku mały Jona. Dobiegł i szybko przysiadł obok. Dostał do ręki procę.

– Tylko wyczekaj. Przymierz najpierw – powiedział, gdy Jona wyjął kamień i układał go na gumce. – Pamiętaj. Najważniejszy jest właściwy moment. Musi działać się coś jeszcze. Coś, co odwróci uwagę ludzi dookoła... Nie jest tak ważne, czy trafisz, czy nie. Będziesz próbował dalej. Ważne, żeby dookoła było jakieś zamieszanie – zastrzegł dokładnie w momencie, gdy dźwięk tarabaniącej się po bruku ciężarówka stawał się coraz wyraźniejszy.

Jona kiwnął głową, zrozumiał odpowiedź. Przymierzył i strzelił. Tak jak Dziurawiec uczył go latem na wsi. Trafił za pierwszym razem.

Trzasnęło szkło w ulicznej latarni. Rozsypała się żarówka.

– Osram raz – z uznaniem odliczył Anioł, wyciągając z kieszeni piersiówkę. Ciężarówka ciągle hałasowała, jadąc po bruku. Jona nie czekał. Strzelił po raz drugi, prawie nie mierząc. Nie trafił. Anioł kiwnął głową. Szybko załadował następny kamień. Prysła kolejna żarówka.

– Osram dwa. Brawo. Dobrze strzelasz – pochwalił go. – Idziemy.

– To wszystko? – jęknął chłopak z rozczarowaniem i schował procę.

- Innych nie kazał rozbijać. – Anioł wzruszył ramionami.
- Szkoda. – Jona westchnął.
- Chodź, idziemy do mnie. Nauczę cię knyfu na żurawia.
- Dobra. – Chłopak wstał, oglądając się za siebie. Na chodniku pojawił się rudy, piegowaty mężczyzna. Odłączył się od ekipy budowlanej, która majstrowała coś przy przęsłach ogrodzenia. W rękach miał miotłę i zmiotł nią resztki szkła po lampie ulicznej. Jonie zdawało się, że pomachał mu.
- On jest od nas? – zapytał Anioła, który się nawet nie odwrócił.
- Pamiętaj – odparł tamten, chowając piersiówkę do kieszeni. – Lepiej wszystkiego nie wiedzieć.

Eliza Lell wyszła z gmachu muzeum. Nie było zbyt zimno, ale jak to w kwietniu, z nieba niespodziewanie zaczęły spadać małe płatki śniegu, rozpuszczając się tuż nad ziemią.

Postawiła kołnierz palta, zasłaniając policzki. Czapkę z lisa nasunęła na oczy. Przyspieszyła kroku. Chciała jak najszybciej znaleźć się w domu. Od rana drżały jej ręce i nie mogła się na niczym skupić. Dzwoniła nawet do Gerharda, chciała się komuś wyzalić, ale ten nie podszedł nawet do służbowego telefonu. Od dawna jej unikał. Przeplakała, przechorowała dwa miesiące i już prawie dochodziła do siebie. Była młoda, a dookoła tyle się działo. Zamierzała odpowiedzieć na amory jednego przysłanego z Berlina eksperta z Głównego Urzędu Rasy, który zanudzał ją teoriami o zdobywaniu dobrej krwi rasowo wartościowych osobników. Spotkała go w teatrze i zgodziła się, żeby odprowadził ją do domu po tym, jak odkryła w kieszeni płaszcza pierwszą karteczkę. Ręce trzęsły się jej ze strachu, gdy czytała pogróżki pod swoim adresem. Kolejne czekały na nią w domu, a trzecie w pracy. Zabrakło jej tchu. Byli wszędzie! Wiedzieli o niej wszystko. Pół nocy śniły jej się wyrwane z głowy włosy i łysa czaszka odcięta od szyi. Przecież grozili jej śmiercią. Za zadawanie się z Niemcami. A niecały miesiąc wcześniej „Lubliner Wochen” pisał o zabiciu Igo Syma, aktora, którego znała cała Polska. Zwyczajnie przyszli do jego domu, służąca im otworzyła,

a oni go zastrzelili i uciekli. Co z tego, że powołano „Mordkominon Igo Sym” i zapowiedziano, że wysłędzą zabójców? Co z tego, że w odwecie za jego śmierć zabili dwudziestu zakładników, a gubernator ogłosił żałobę w Warszawie? A ją kto zna? I jakie to ma znaczenie, że zabiją za nią choćby i stu ludzi? Skoro ona już będzie trupem? Dziurawiec już kiedyś jej to mówił. Ostrzegał ją.

Rozmyślała tak, kierując się na tyły muzeum, skracając sobie drogę do domu. Po kilku metrach odruchowo zatrzymała się. Coś było inaczej, tylko co? Struchlała. Było ciemno. Wokół żywej duszy. Nie działały dwie latarnie, które zazwyczaj oświetlały jej drogę. Aż dwie naraz. Złapała się za kołnierz. Chwyając powietrze jak ryba, zaczęła się wycofywać, idąc tyłem w kierunku budynku. Cały czas rozglądała się dookoła.

Już poczuła się nieco bezpieczniej, nawet lekko odetchnęła z ulgą, gdy dwie wielkie ręce chwyciły ją od tyłu. Dłoń przykryła jej usta, prawie zatykając nos. Nie mogła oddychać. Zaczęła się szamotać.

– Tęskniłaś – usłyszała głos, który znała. Dziurawiec! – Będiesz krzyczeć?

Pokręciła przecząco głową. Puścił ją.

– Jak mogłeś! – Zaczęła okładać go pięściami. Trzymał ją na taką odległość, że ciosy ledwo trafiały, ale i tak machała nimi w powietrzu. – Nie było cię ponad rok! Wyjechałeś bez słowa! – piszczła łamiącym się głosem, coraz wolniej przebierając rękami. Policzki zaczerwieniły się jej od mrozu i od wysiłku, włosy rozsypały na twarzy. Podobała mu się taka gniewna.

– Długo nie płakałaś – burknął, patrząc na mokre od spadających śnieżynek policzki.

– W ogóle nie płakałam – syknęła, ocierając twarz.

– Wiem – odpowiedział jej przez zaciśnięte zęby.

Przestraszyła się. Otarła twarz.

– Jak mogłeś? – chlipnęła, pociągając nosem. – Nie masz pojęcia, co tu się dzieje. Gdzie byłeś? Grożą mi.

– Wiem – odpowiedział, a ona zrobiła wielkie przerażone oczy. Musiał ją przytrzymać, żeby mu nie uciekła. – Jesteś

w niebezpieczeństwie. Mówiłem ci kiedyś, że ta gra na dwa fronty się nie opłaca.

- A ty skąd wiesz, że mnie dręczą?

- Bo ja dużo wiem.

- No tak - jęknęła. Popatrzyła mu w oczy. - Obronisz mnie przed tymi bandytami? - wyszeptała błagalnie.

- Przyszedłem.

- Zostaniesz? - spytała, próbując objąć go za szyję. Odsunął się na pół kroku.

- Tak.

- Idziemy do mnie.

- Nie. Nie teraz.

- Dlaczego?

- Ty musisz iść. I przez najbliższe trzy dni zostań w domu. Do świąt. Nie wychodź. Inaczej ci nie pomogę. - Zaczęła się trząść. - Zgadzasz się? - zapytał. - Muszę wiedzieć.

- Jak pójdę jutro i im to powiem, nie będzie mnie? - przytaknęła, próbując się do niego przytulić. Odsunął ją od siebie, ale nie gwałtownie, nie na znaczną odległość. Czuła, że nie potrafi tego zrobić.

- A Jona jest z tobą? - zapytała.

- Tak, później go zobaczysz.

- A ty?

- Czekaj na mnie w domu. Przyjdę po ciebie.

- Będę czekać - powiedziała i próbowała się do niego przytulić.

- Idź już. - Przytrzymał ją, ale niezbyt mocno.

- Odprowadź mnie teraz.

- Nie mogę.

- Przynajmniej do Theaterstrasse.

- A gdzie to jest?

Pokazała mu palcem ulicę przed muzeum.

- Kiedyś nazywała się inaczej.

- Kiedyś wszystko było inaczej - powiedziała. Wzięła go pod ramię, przytulając się do niego. - Tylko do ulicy. Proszę. Boję się.

- Dasz radę - odpowiedział jej.

Gerhard von Lossow stał przed kościołem na Theaterstrasse i próbował ukryć się za plecami profesora Dagoberta Freya. Odległość była znaczna, ale i tak obawiał się, że Elsa mogłaby go zobaczyć. O tej porze zwykle wychodziła z biblioteki. Nie zamierzał się z nią spotkać.

Przyszedł pod ten stary kościół, by dowiedzieć się czegoś więcej o aresztowaniu dwóch chłopaków. O wyciągnięciu informacji od samego przesłuchiwanego na razie nie było mowy. Wizyta w kościele też niewiele dała. W miarę potwierdzało się to, że chłopcy biegli od strony znajdującej się pomiędzy muzeum a kościołem szkoły i tylko z braku innych możliwości wbiegli do środka. To się zgadzało. Raczej tego nie planowali. Stwierdził to prawie od razu. Kazał przeszukać jeszcze raz wewnątrz. Ostatni żołnierze już dawno poszli, ale jego zatrzymał Dagobert Frey, który został w mieście, by zebrać ostatnie materiały do przewodnika po niemieckim Lubeleynie. Profesor niezmiernie ucieszył się na jego widok.

– Byłem pewien, że tu pana spotkam – oświadczył, wylewnie się witając. – Skąd ja to wiedziałem? – zapytał. Gerhard rozłożył ręce.

– Jakoś tak tematycznie, z zakonem pan mi się kojarzy – wyjaśnił Dagobert Frey. – A ten kościół to piękna niemiecka robota. Polacy utrzymują, że ufundował go Jagiełło po Grunwaldzie. Dziękczynnie. Ich legenda mówi, że został zbudowany rękami jeńców krzyżackich. Wyobraża pan sobie?

– Tak? – zainteresował się Gerhard.

– Wiedziałem, że to pana zaciekawi. Oczywiście można to włożyć między bajki. Za to przyjąć za oczywistość należy, że to niemiecka, solidna robota. I kunszt. – Profesor podniósł dłoń.

Gerhard na chwilę odwrócił głowę. I tak jak się obawiał, Elsa wychodziła właśnie z pracy. Z daleka dojrzał jasne palto i wysoki futrzany kołnierz. Bardzo ładne. Podobno holenderskie.

Szła z jakimś mężczyzną. Przesunął się trochę wzdłuż ściany.

– Tak? – powtórzył, zerkając przez ramię Freya.

– Oczywiście. Kościół ten zachował swój gotycki, zachodni

charakter, mimo późniejszych ingerencji we wnętrze – mówił profesor, a Gerhard patrzył i już coraz mniej zależało mu na ukryciu się, a bardziej na dojrzeniu, z kim jest Elsa. Sam się zdziwił, że to go interesuje. Nie był to żaden mundur, jak można by się spodziewać, bo miała do nich słabość. Przeszli obok latarni, Elsa uwiesiła się na nim jak kotka. Widział to, choć byli dosyć daleko. Nie widział twarzy mężczyzny, ale odnotował jego niedźwiedzią posturę. Zaczęła mu się kojarzyć. Szczególnie gdy stanął w półmroku. Zadrzał z emocji.

– Pięćset lat temu była to budowla znacznie smuklejsza – kontynuował profesor, który całkiem dobrze go zastłaniał – ale grunt dookoła kościoła stale się podnosi, dlatego należy zejść schodek w dół... Przejdzie się pan ze mną? Czy ja pana nudzę? – zapytał w końcu profesor ze zmarszczonym czołem, przyglądając się swemu rozmówcy. Gerhard przytaknął.

– Ach tak! – oburzył się profesor.

– Co pan mówił? – Gerhard ocknął się, a profesor tylko fuknął nadąsany. – Przepraszam pana, to szalenie ciekawe, ale muszę już iść. Zdaje się, że kogoś rozpoznałem... – powiedział Gerhard, mrużąc oczy.

– Musi to być ktoś bardzo niebezpieczny – prychnął Dagobert Frey, powątpiewając w tłumaczenie swego słuchacza.

– Bardzo – odpowiedział mu Gerhard ze śmiertelnie poważną miną. Nie zamierzał spuścić ich z oczu.

Dobry miał pomysł ten Dziurawiec z przewodzątką. Tak po prostu! – Serafin pokiwał z uznaniem, gdy profesor Woyda otwierał drzwi szopki znajdującej się na tyłach muzeum.

– Mówiłem. Pragmatyk, jakich mało – potwierdził Woyda, rozświetlając świeczką zagracone wnętrze. Za nim wchodził Krzesiński.

– Wiadomo, getto robią i Polaków też przesiedlają. Sam widziałem i słyszałem – ciągnął dalej Serafin. – Labenz kompletnie pijany po urządzie mieszkaniowym się zataczał i ze szpicrutą w ręku tłumaczył, że „Żydów wystrzelają, a jak

Polaków po dwadzieścia razy poprzeprowadzają z miejsca na miejsce, to będą mieli dosyć”. Ta balia się nada. – Pokazał na opartą o ścianę dziurawą wannę. Wszedł głębiej do środka. – I ten abażur – dodał, podając go do tyłu.

– A ja pytałem jednego takiego... – zaczął Krzesiński, wyciągając ręce po podawaną mu lampę. – Na co to? Niemcami zasiedlają, to oczywiście, wyrzucają ludzi z mieszkań na bruk. Ale potrafią wyrzucić z mieszkania i dać przydział na mieszkanie zajęte. Wtedy ten Polak, sam oczywiście, wyrzuca już lokatora, który pod tym adresem jest. Wyrzucony sterczy po jakiś przydział na mieszkanie zastępcze. Znowu zajęte! – wyjaśniał, przenosząc dalej połamane krzesło. – A ten ostatni wyrugowany dostaje przydział na mieszkanie tego pierwszego. – Rozłożył ręce, odstawiając kawałek blatu. – Kto to zrozumie? Pytam się, po co to. A on mi na to, że trzeba, by Polacy byli w ciągłym ruchu i w ten sposób zapomnieli o buntowaniu się.

– Udręczyć chcą ludzi – odezwał się Serafin, wychodząc na powietrze z wypchanym ptakiem pod pachą.

– No to mamy przeprowadzkę – podsumował profesor, patrząc na wytaszczone z szopy rupiecie. – Dobrze, że żona nie pozwoliła niczego wyrzucić.

– O, tak. Poukłada się na wóz i w ciągu dnia przewiezie. W nocy trzeba to wyciągnąć i tu na podwórku zostawić. Rano ostentacyjnie zapakować – skwitował Serafin. – Uwaga, ktoś idzie!

– Dobry wieczór – powiedział kierownik taboru Franciszek Galera, który ściągnął kolejarską czapkę na powitanie i podrapał się po głowie. – Tylko trzeba wóz drabiniasty przygotować. – Bo to bardzo wielka i ciężka rzecz jest. – Chrząknął głośno.

– Zmieści się jeszcze to? – Serafin pokazał na graty wyniesione przed szopę.

– Tak. Tylko tak obejrzałem wszystko i nie wiem, czy to frontem da radę pójść. Ulica pod górkę trochę jest. Czy konie taki ciężar uciągną? Spod drzwi samych? Ruszając? Silne dam, ale czy uciągną? – Galera rozłożył ręce. – Nie wiem.

– A pan Dziurawiec to samo powiedział – przerwał mu Woyda.

– Panie Franciszku, niech się pan nie martwi. Od tyłu trzeba będzie podjechać.

– Patrzyłem wczoraj. Tam koniem z drabiniastym wozem to zawrócić się nie da.

– A dzisiaj pan patrzył? – wtrącił się radośnie Serafin.

– Nie. – Kolejarz pokręcił głową.

– A spójrz pan. Bo żeśmy cześć płotu rozebrali. Że niby uszkodzony. Nawet papiery na remont pan Pieczyrak załatwił.

Franciszek Galera podszedł do płotu. Rozejrzał się wokół zadowolony.

– Dobrze wymyślane – potwierdził, patrząc na wyjęte przęsła. – I ciemno, i od ludzkich oczu daleko. Teraz to łatwo się tu włamać.

– Pokiwał głową z uznaniem, a profesor Woyda przyklasnął.

– Mówiłem! Pan Dziurawiec to pragmatyk.

Dziurawiec był sam. Bez większych problemów dotarł do muzeum. Dojrzał wcześniej Niemca, który im się przyglądał, więc wszedł w pierwszą bramę, której podwórko wychodziło na przeciwległą ulicę. I od tyłu wszedł do muzeum. Siedział teraz w sali konferencyjnej naprzeciwko półki, z której pościągał już książki. Cieszyła go ta sytuacja. Reszta była przy szopie. Serafin upił dozorcę, który dawno zasnął.

Świeciła się niewielka lampka, ale wystarczyło. Chwilę siedział bez ruchu. Potem odstukał całą konstrukcję i pięścią wybił boczną płycinę lady. Była najslabiej przymocowana. Wpadła do środka bez większego trudu. Mógł włożyć rękę i włożyć.

Bitwa nadal tam była. Zwinięta. Sucha. Na swoim miejscu. Uspokoił się.

Nad ranem miał koszmar, że mebel w środku jest pusty. Opróżniony jak sejf. Po płótnie ani śladu. I już nigdy nie zobaczy tego wszystkiego... Szalejących koni. Rycerzy. Pokonanych krzyżaków. Obudził się spocony. Eliza miała rację. Kiedyś wszystko było inaczej.

Ale obraz na razie był bezpieczny. Ich plan był dobry. Teraz tylko należało wyjąć *Bitwę*. Jak najszybciej, najsprawniej

i najciszej.

Wziął gumowy młot i zaczął odbijać deski. Tak by je rozdzielić na pojedyncze fragmenty. Tak będzie łatwiej je wynieść, poukładać na kupie, i przysłonić wyniesiony obraz. Po jakimś czasie dołączyła do niego reszta.

Skończyli nad ranem. Jak tylko zaczęło świtać, wyciągnęli obraz na zewnątrz, podkładając koce, deski na kółeczkach i co tylko mieli pod ręką. Byle tylko zdążyć nim bibliotekarki przyjdą do pracy i pojawi się sam dyrektor.

Profesor Woyda uprzedzał, że Wasyl Kutchabsky pojawia się z reguły jako pierwszy, więc spieszyli się bardzo, układając fragmenty lady na leżący pod szopą zwój. Starali się umieścić je tak, by wyglądały jak rzucone w nieładzie. Byli tak zmęczeni, że wyszło to naturalnie.

Umówili się na wieczór, pożegnali i rozeszli. Jedynie Dziurawiec, który został u profesora, widział, jak Kutchabsky patrzy na miejsce po półce i krzyczy:

– Gdzie to jest?!

– A tu! – odkrzyknął Woyda nie mniej głośno i zaprowadził go przed szopę. Dziurawiec, trzymając się bezpiecznej odległości, poszedł za nimi, sprawdzając, czy profesor da sobie radę. – Sam zamówiłem! I sam rozwaliłem! – oświadczył profesor obrażonym tonem. – Kazali, że niby remont tu będzie i ściany będą rozwalać. I ona przeszkadza.

– Słyszałem coś... Powiększać sale mają... Szkoda, tak tu pięknie wszystko poukładane jest. – Kutchabsky podrapał się po głowie.

– A niech sobie powiększają, a ja sobie własną ladę we własnym piecu spalę – oświadczył profesor z założonymi rękami.

– Dobrze. Przyjdą kobiety, to każę w środku posprzątać. – Wasyl zamyślił się.

– Kobiety to powinny wolne dostać albo przynajmniej wyjść wcześniej z pracy. Święta Wielkiejnocy idą, a kupić nic nie można. Co do koszyka ze święconką włożą? – ciągnął dalej profesor.

– A pomyślę, pomyślę. – Dyrektor pokiwał głową. – Rzeczywiście dziś nawet jedna zadzwoniła, że nie przyjdzie do

pracy...

Dziurawiec już dalej nie słuchał. Wrócił do gabinetu Woydy, usiadł na krześle i oparł głowę o ścianę. Zasnął na siedząco.

Po co mnie tu przyprowadziłeś?! – Skrzywiła się.

Było ciemno, śmierdziało wszystkim, a naprzeciwno siedział nieznany jej chłopak. Nawet jeśli widziała go wcześniej, to i tak by go nie rozpoznała. Miał ledwo widoczne jedno oko, nabrzmiałe, opuchnięte powieki, rozkwaszony nos, z którego ściekała wymieszana z jakąś mazią gęsta ciągnąca się krew. Łapał powietrze ustami, a gdy rozchyłał zmiażdżone wargi, pokazywały się czerwone dziury po wyłamanych zębach. Płowe włosy zlepiały strupy zakrzepłej krwi. Na palcach prawej ręki nie miał paznokci. Patrzył ledwo przytomnym wzrokiem.

– Przypadkowe spotkanie. – Gerhard von Lossow, który wszedł za nią do pokoju przesłuchań, uśmiechnął się.

– Po co mnie tu zaciągnąłeś? – odpowiedziała, ustawiając się bokiem do chłopaka. Nie chciała na niego patrzeć.

– Zaraz się dowiesz. – Podeszedł do niej i obrócił ją przodem do charczącego nastolatka. – Nie będę dwa razy tłumaczyć, ale chcę ci powiedzieć, że coś was łączy.

– Słucham?! – wrzasnęła Elsa. – Niby co?

– I ty, i on... – Pokazał palcem. – Wiecie coś o obrazie, na którym mi zależy – wycodził Gerhard przez zaciśnięte zęby.

– O jakim obrazie?! – skrzywiła się Elsa, coraz bardziej niezadowolona z tego, że tu jest. Nie po to się tak wystroiła.

– O tej waszej bitwie. Pod Grunwaldem, jak o niej mówicie.

– Matejki? – prychnęła. Miała jasne palto i bała się czegokolwiek dotknąć.

– Tak – odpowiedział jej, podchodząc do chłopaka.

– Ty znowu o tym samym. Już ci mówiłam, nic o niej nie wiem. A jakbym wiedziała, to już bym się zgłosiła po tę nagrodę. Czytam gazety – zachnęła się.

– Może i czytasz. – Wziął drewniany ołówek leżący na biurku i podniósł nim podbródek chłopaka. Ołówek szybko pokrył się

krwią. – Ale mylisz się. Oboje coś wiecie...

– Ja nic nie wiem – odburknęła mu i zrobiła krok do tyłu.

– Wyrażę się precyzyjniej. Twój nowy kochaś na pewno coś wie.

– W tym momencie Elsa zacisnęła zęby. A więc to o niego chodziło! Dlatego Austriaczek przyjemniaczek, jak ostatnio nazywała go w myślach, przysłał samochód. A ona łudziła się, że chodziło o nią. Że zatęsknił. Że mu na niej zależy. Poczowała falę buzującej wściekłości i nienawiści. Spojrzał na nią i uśmiechnął się rzędem równiutkich białych zębów.

– Mogłabyś się ode mnie uwolnić. – Wyrzucił ołówek i stanął za plecami chłopaka. Chwycił za oparcie krzesła i zaczął nim bujać.

– Jeśli tylko zechcesz. Z takimi pieniędzmi mogłabyś mieć każdego, mogłabyś mieć, co zechcesz. Ja pewnie też bym wtedy błagał, żebyś mnie zechciała. – Popatrzył na nią i odchylił oparcie mocniej. – Wyjaśnię ci coś. Twój kochaś coś wie.

– Który? – prychnęła, wzruszając ramionami.

– Ten, z którym szłaś wczoraj. Jestem o tym przekonany.

– A ten mój kochaś, jak go nazwałeś, to niby skąd ma wiedzieć?

– On i ten jego dzieciak byli w teatrze. Zabili fryzjera, który coś zwęszył. Nie zdążył mi tego przekazać, zanim... – Puścił krzesło, które z hukiem upadło na ziemię, chłopak zawył. – ...Zdechł – dokończył Gerhard.

– Ja też zdechnę – syknęła Elsa. – Już mi grożą!

– Obronię cię – powiedział do niej przymilnym głosem. – Będiesz mogła wyjechać. Baden-Baden, Zurych, Biarritz. Uciekniesz, dokąd zechcesz. – Rozłożył szeroko ręce.

Elsa milczała.

– A ty, chłopcze, nie chciałbyś stąd uciec? – Von Lossow nachylił się nad półprzytomnym nastolatkiem. Ten tylko zacharczał. – Spiesz się, bo może ona cię wyprzedzi. – Chłopak charknął wyraźniej i zabulgotał pianą zmieszanej z krwią śliny.

Von Lossow zbliżył się do niego jeszcze bardziej, próbując zrozumieć, ale ten wypluł tylko ślinę z ust. Opluwał sam siebie, nic nie miało szans dolecieć do nachylającego się nad nim oprawcy. Von Lossow zamierzył się i kopnął go z całej siły w brzuch. Potem jeszcze raz. Chłopak skulił się, wyginając szyję.

Dostał butem w głowę. Przestał się ruszać.

– Zabiłeś go! – krzyknęła Elsa na cały głos.

– Spokój! – warknął w jej kierunku.

Wbiegł gestapowiec w zakrwawionej koszuli i podwiniętych rękawach.

– Żyje? – zapytał Gerhard, pokazując na chłopaka. – Jeszcze może się przydać. – Ten popatrzył i wzruszył ramionami.

– Żyje. Twardy jest. Przytomność tylko stracił. – Gestapowiec otarł ręką spocone czoło. – Nie wiem, chyba gdzieś ich tego uczą. Nadstawia się tak jakoś. A potem pretensje do człowieka, że więzień nieprzydatny – marudził, zapalając papierosa. – Zabrać go? – zapytał.

– Jeszcze nie.

– To idę, jestem obok. Zanim mi następny nie zejdzie.

– Partacze. Zwykli sadyści – skwitował Gerhard, gdy zamknęły się za nim drzwi.

– Czego ode mnie chcesz? – wysyczała Elsa. Przerazona, ale jeszcze bardziej zła.

– Dowiedz się wszystkiego. Przyrowadź dzieciaka.

– Jakiego dzieciaka?

– Kręci się pewnie gdzieś koło tego twojego misia. Z nim będzie łatwiej niż z tym – powiedział, szturchając czubkiem buta leżącego chłopaka. Nie ruszał się. – Dowiedz się, gdzie ten obraz jest. Możesz go uratować...

– A kto powiedział, że chcę go ratować? – oświadczyła i uśmiechnęła się.

– Dobra dziewczynka – pochwalił ją. Podszedł, odgarnął włosy z jej twarzy i zaczął całować. Zmrużyła tylko powieki.

Anioł przetaił zaczerwienione oczy, patrząc, jak Jona sprawnie przesuwa trzy kubeczki z miejsca na miejsce.

– Anioł, jak ty masz właściwie na imię?

– Dominik, a co? – Młody zaśmiał się. – I co w tym śmiesznego?

– Nic – odpowiedział Jona. Ustawił kubeczki w rzędzie i uniósł rękę do góry.

– Bardzo dobrze. Tylko że szybciej – mruknął Anioł, przechylając pustą piersiówkę. Wytrząsnął z niej ostatnie krople.

– Szybciej się nie da – odpowiedział mu Jona, zakładając ręce na piersiach.

– Skoro wiem, gdzie jest. – Anioł pokazał na jeden z pojemników. – To znaczy, że się da.

Jona podniósł go. Nie było pod nim kulki. Anioł aż klasnął z podziwu. Potem pociągnął nosem i otarł łzę. – Też byłem zdolny. W twoim wieku... – zaczął, gdy ktoś zapukał do drzwi.

– Dziurawiec! – wykrzyknął chłopak i pobiegł otworzyć.

– Aleś ty urósł! – zdziwiła się Eliza i wyciągnęła przed siebie ręce.

Wszystko, o co pan prosił, jest załatwione – powiedział Roman Pieczyrak, podwiązując sznurkiem graty umieszczone na wozie. Dziurawiec wiązał linę z drugiej strony. Okręcił nogę od lampy i rączkę od balii, zanim przytoczył ją do drewnianej belki.

– Dziękuję – powiedział, naciągając węzeł.

– Nie ma za co.

– Jest, jest. – Dziurawiec rzucił sznurem w jego kierunku.

– W sumie tak. – Pieczyrak uśmiechnął się gorzko, łapiąc linę z drugiej strony drabiniastego wozu. Zawiązał jej koniec i westchnął głęboko. Dziurawiec patrzył na niego badawczo. Zdawało mu się, że ma coraz więcej siwych włosów. Niemal wszystkie były już białe, stężała mu twarz, skamieniały rysy, oczy były matowe. Wszystko robił odruchowo. Myślami był zupełnie gdzie indziej.

– Widział się pan z synem? – zapytał Dziurawiec. Bardzo rzadko zadawał takie pytania, ale teraz coś go do tego popchnęło.

– Niestety tak – urzędnik odpowiedział mu po chwili.

– Nic się nie da zrobić? – zagadał Dziurawiec, podchodząc do niego i poprawiając dziurawy koc, na którym leżały krzesła.

– Na razie nic – odpowiedział Pieczyrak.

– Jeden taki... – zaczął po chwili Dziurawiec, przeciągając sznur przez cały wóz. – Opowiadał mi, że krzyżacy brali synów pruskich wodzów jako zakładników. – Pieczyrak przystanął i patrzył na niego nieruchomym wzrokiem. Dziurawiec nawet na

niego nie spojrział. Mówił dalej, zaciągając sznur. – Myśleli, że coś tym sposobem osiągną, wiadomo. Ale pruscy wodzowie, co wtedy w Prusach mieszkali, wiedzieli, że układy z krzyżakami są na nic – wyjaśnił i splunął przez ramię. – Zginie jeszcze więcej ludzi. Poświęcali swoich synów jak bohaterów i chronili całe plemię. Nie zdradzali swoich – zakończył, spluwając przez ramię.

Roman Pieczyrak podszedł bliżej, szarpnął Dziurawca za ramię, odwrócił, pchnął do tyłu i chwycił pięściami za obszyte kozuchem poły jego palta.

– Co ty sobie myślisz! Gówniarzu jeden! – Pieczyrak szarpał się, dociskając go do jakiejś półki na wozie. Cały był czerwony z wściekłości. Z głowy spadł mu kapelusz i poturlał się w błoto. – Co ty sobie myślisz?! – sapał, trzęsąc się cały ze złości. – Że co ja tu robię! – Dziurawiec mógł jednym ruchem wyrwać się z tego uścisku. Jedną ręką przewrócić starszego od siebie Pieczyraka na ziemię. I jednym kopniakiem wdeptać go w błoto... Ale dawał sobą szarpać.

Nie po to czekał, aż będą sami. Nie po to go prowokował, żeby teraz nie spojrzeć mu w oczy.

– To mój jedyny syn! Wiesz, co ja czuję?! – Targał nim dalej, gdy zza budynku wybiegł Władysław Woyda, a za nim Józef Serafin, który wyprzedził profesora i szybko wkroczył między Dziurawca a Pieczyraka. Odciągnął tego drugiego na bok.

– A ty masz syna?! – krzyknął Pieczyrak.

– Nie.

– To nie masz pojęcia, co ja czuję.

– Nie mam – odpowiedział mu i ruszył szybkim krokiem. Dogonił go profesor.

– Panowie, panowie. – Profesor załamywał ręce. – No jak tak można?! – Podniósł z ziemi kapelusz urzędnika i zaczął go otrząpywać. – Takie ważne sprawy tu mamy...

– I o te sprawy chodzi.

Dziurawiec wygładził palto i postawił kołnierz, splunął za siebie. Roman Pieczyrak oparł się całym ciałem o wóz i schował twarz w dłoniach.

– Do jutra – powiedział Dziurawiec.

– Dlaczego jutro, a nie dziś? – zapytał profesor.

– Jutro Wielki Piątek. Ruch wieczorem na ulicach większy będzie. Drogi krzyżowe po kościołach. A Żydzi ostatnie terminy mają na przeniesienie. To dobry moment.

– Racja, Niemcy też więcej w święta piją. I mniej patroli. W piątek już zaczną – przytaknął Serafin. – Ale czy tu nikt wozu nie nakryje?

– W dzień za szopę nikt nie idzie. A i Kutchabsky, napomniany, dał kobietom wolne – wyjaśnił profesor. – Mnie jako mieszkającego tu wyznaczili na stróża, a raczej sam się zgłosiłem. Bo żonę i tak wysłałem do rodziny na wieś.

– Poinformujesz woźnicę, że jutro. Niech konie wyprzęgnie – zwrócił się Pieczyrak do Serafina. – I Galerę, żeby jutro czekał w taborach.

– Oczywiście, szefie – odpowiedział mu Serafin, drapiąc się po rudej głowie.

– To dobrze – zakończył Dziurawiec. – Jak tylko się ściemni, ruszamy – rzucił w ich kierunku, idąc w stronę ulicy. Dogonił go profesor.

– To straszny dramat jest. Ale to twardy chłopak, nie wyda nikogo. Jaki ojciec, taki syn. Nie musiał pan.

– Musiałem – odpowiedział mu Dziurawiec.

– Dlatego dzień później? Chce pan sprawdzić, czy nie zdradził nas, chcąc uratować syna?

– Dlatego.

Pani Elso, dla pani wszystko – powiedział ekspert Głównego Urzędu Rasy i Osadnictwa, wyjmując ośliniony nos z dekoltu Elsy Lell.

– Wszystkiego nie chcę – odpowiedziała mu, obciągając sukienkę. – Chcę tylko, by ten chłopak, sierota, szybko trafił w inne miejsce. Bardziej odpowiednie. Nie może tu zostać – dodała, schodząc z biurka i siadając naprzeciwko na krześle.

– Ależ oczywiście – przytaknął ekspert, oblizując usta i wyciągając z szuflady długi formularz. – Oczywiście potrzebne

są odpowiednie badania. Pomiar czaszki, kośćca, wzorcowy kolor oczu – stwierdził, zerkając na Elbę, która przeciągnęła się na krześle i pogładziła po piersiach, poprawiając zakładki sukienki. – Ale przecież w tym wypadku sam stwierdziłem rasową przydatność. To w zupełności wystarczy – powiedział ekspert, gładząc wąsik pod nosem. – Po to przecież Himmler mnie tu skierował, by zdobywać dobrą krew. To na razie pilotażowy program – tłumaczył, co chwilę spoglądając na Elbę. – Ale z tego, co mi wiadomo, wkrótce ruszy pełną parą – mówił, wypełniając kolejne rubryczki.

– I co się z nim stanie?

– Trafi do Niemieckiej Szkoły Ojczyźnianej. Na szczęście nie ma jeszcze dziesięciu lat i jest podatny na powtórne zniemczenie.

– Mówi po niemiecku.

– Tym szybciej trafi do porządnej rodziny. Z jego wyglądem i papierami. – Uśmiechnął się w jej kierunku. – Prosto do jakiejś bezdzietnej rodziny urzędników partyjnych wysokiego szczebla. Tu. – Pokazał piórem na rubryczkę. – Mamy miejsce na oznaczenie różnych kategorii przydatności. – Eliza skrzywiła się. – Rzecz jasna, wpisuję najwyższą. O! Pożądany przyrost ludności. – Wypełnił i złożył zamaszty podpis. – Ma chłopak szczęście. Dzięki pani trafi na wieczorny transport. Wagony już czekają.

– A teraz mały całusek – powiedział, wstając.

Dziurawiec wyjął drzwi razem z zawiasami. Najpierw pukał, a potem już nie wytrzymał. W klitce na poddaszu nikogo nie było. Ani Jony, ani Anioła. Mieli tu na niego czekać i nie wychodzić. Niemcy nie zrobili nalotu, zauważyłby od samego wejścia. Wchodził po schodach, gwiżdżąc pod nosem z zadowolenia. Obiecał chłopakowi niespodziankę. Sam nie mógł się doczekać, kiedy mu powie. Chciał go znowu przewieźć na wozie i na obrazie. Tak jak przed wojną. Ale ich tam nie było. Szybko rozejrzał się dookoła. Nie było też jego rzeczy. Ktoś po niego przyszedł i zabrał. Na razie tylko to było jasne. Ale dlaczego zamknął za sobą drzwi na kłódkę?

Zbiegł po schodach. Szukał Anioła. Wypytywał. Ktoś go widział, ale nie wiadomo kiedy i nie wiadomo, dokąd poszedł. Biegając, potracił kobietę, której upadła torebka i wysypał się cukier. Chciał nawet pomóc, ale kryształki zaczęły szybko wsiąkać w błoto. Machnął ręką. Nie słyszał jej złorzeczeń. Odszedł kawałek dalej i próbował złapać dech. Oparł się o ścianę. Odwrócił się i zobaczył, jak prowadzony na smyczy mały pies zaczyna lizać słodką kałużę. Za chwilę dołączył do niego bezdomny dzieciak.

– Wydał ich? Wydał – powtarzał w myślach, dopóki nie uzmysłowił sobie, że syn Pieczyraka nie ma pojęcia o istnieniu Jony. Zaczynał myśleć trzeźwo. Skręcił w kierunku Lubartowskiej. Na początku biegł, potem już tylko szedł, porządkując myśli. W końcu znalazł się przed czerwonymi drzwiami restauracji. Drzwi otworzyły się od środka. Stał w nich Belfiore, który właśnie wytargał za fraki jakiegoś dziadka i kopnął go w tyłek tak, że ten upadł na chodnik.

– I pamiętaj, kolego, jesteś mi winien dwadzieścia tysięcy – rzucił w jego kierunku, otrzepując ręce.

– Ale ja nie pożyczałem nigdy...

– Może nigdy pożyczałeś, ale teraz masz oddać! Jak nie przyniesiesz jutro, to przyjdą po całą twoją rodzinę... I do obozu hola. Ty się już dość nażyłeś, ale twoje wnuki jeszcze chyba nie?

Dziurawiec stał z boku. Spojrzał na niego. Jak zwykle dobrze wyglądał. Teraz może nawet bardziej władczo niż kiedyś. Szerokie spodnie wciągnięte były w lśniące wojskowe oficerki. Biała koszula miała sztywny kołnierzyk. Na rękę błyszczał złoty zegarek.

– To kupa forsy – zagadał.

– A co? – warknął w pierwszej chwili Belfiore, ale już w drugiej rozkładał szeroko ręce. – Dziurawiec, jak dobrze cię widzieć! Gdzieś ty był? – zapytał, przechodząc nad podnoszącym się z ziemi dziadkiem. – Oczywiście tylko połowa dla mnie – dodał, obejmując go i klepiąc po plecach.

– Anioła szukam.

– A to znalazłeś. Wejź do środka, pogadamy – zaprosił.

– Teraz nie mogę – powiedział Dziurawiec, zerkając przez uchylone drzwi. Wewnątrz pełno było głośno śmiejących się Niemców. – Lubią cię – dodał.

– Wprost przepadają. Nikt im tak nie napęlnia kieszeni jak ja. Mina! – krzyknął na kelnerkę. Roześmiana, śliczna dziewczyna otworzyła drzwi jeszcze szerzej.

– Niech się wietrzy chwilę, dużo dziś ludzi – wyjaśniła.

– Dobrze. Popilnuję tu. Anioła mi tu przyślij, nim się zapije na śmierć.

– On często tu?

– Rzadko, ale dzisiaj jest. Coś opija, szczęście albo nieszczęście, od początku wojny tak chleje – wyjaśnił Dziurawcowi, który zapatrzył się na wnętrze restauracji. Było kolorowe, rozświetlone masą świateł, już dawno tyłu naraz nie widział. Niemcy się śmiali, panienki szczebiotały. Na roznoszonych półmiskach trzęsły się galarety. Grał zespół.

Titanic, pomyślał Dziurawiec, ale nie zdążył nic powiedzieć, gdy w drzwiach zachwiał się Anioł. Spojrzał na Dziurawca i pociągnął nosem.

– Żal mi chłopaka – powiedział. Dziurawiec zatrzęsł się cały, zacisnął pięść, ale na razie nie mógł z niej skorzystać. Za plecami przechodził jakiś patrol. A w środku jakiś oficer wstał od stołu. Za nim siedział Niemiec, którego już widział nie raz. Dziurawiec schował się za futrynę.

– Znasz go? – Kiwnął do Belfiorego.

– Tego przystojniejszego ode mnie? Znam. Często tu przychodzi.

– Na razie – powiedział.

Uszli kilka kroków i wciągnął Anioła do pierwszej bramy. Chwycił jego głowę i uderzył o ścianę, ale niezbyt mocno, tylko tak, żeby oprzytomniał.

– Gdzie Jona?!

– Jak to gdzie? Przysłałeś po niego – oświadczył Anioł lekko bełkotliwym głosem i zaczął rozmasowywać tył głowy.

– Nikogo nie przysyłałem – wydusił z siebie Dziurawiec.

– A ona? – spytał Anioł. – Powiedziała, że ją do mnie przysłałeś. Że chłopak szybko musi wyjechać.

– Jak... – Dziurawiec zacisnął powieki z całej siły.

– No nie wiem jak – odparł Anioł, wzruszając ramionami.

Dziurawiec nie wytrzymał. Zacisnął pięść z całej siły i uderzył go prosto w twarz. Anioł spadł na ziemię. Aż mu głowa odskoczyła. Jakaś kobiecina schodziła na dół, ale gdy zobaczyła leżącego z krwawiącym nosem mężczyznę, szybko zawróciła, wbiegając co sił po schodach.

Dziurawiec nachylił się, chwycił jedną ręką za poły kapoty i podniósł go nieco do góry.

– Gdzie wyjechać?

– Nie powiedziała.

– Miałeś go pilnować!

– Mnie też się żal chłopaka zrobiło – zachlipał Anioł, nie do końca rozumiejąc, co zrobił, ale domyślał się, że coś złego. – Przyzwyczaiłem się... – jęknął. – Jego też przekonała. A on przecież bystrzejszy nawet. O jakimś obrazie zaczęli szeptać. Nagrodzie...

– Jakiej? – zapytał Dziurawiec.

– Nie wiem, nie lubię wszystkiego wiedzieć.

– Na pewno o tym mówili?

– Dziurawiec... – Anioł podniósł głowę. Otarł rękawem czerwony nos. Zaszlochał. – Ja nie chciałem. Popłakałem się razem z nim, jak wychodził. Naprawdę.

Dziurawiec sapał z wściekłości. Zamierzył się trzeci raz, ale zrobił powolny krok do tyłu. Najpierw jeden, potem drugi.

– Ja go polubiłem przecież... – jęczał Anioł. Próbował wstać, ocierając zakrwawioną twarz.

– Miałeś go pilnować – warknął Dziurawiec, doskoczył do niego i pchnął go znowu na ziemię.

Odwrócił się, złapał się za głowę i wyszedł z bramy.

Eliza Lell cieszyła się, że pociąg rusza. Zaparowana szyba robiła się coraz mniejsza. A wraz z nią powoli znikwały przylepione do okna rozcapierzone palce zapłakanego Jony.

Nie rozumie, co dla niego robię, pomyślała.

Pytała, co wie o obrazie, ale albo nie wiedział, albo nie chciał jej powiedzieć. Odpyskował coś tylko. Ona wymierzyła mu siarczasty policzek za bezczelność. Von Lossow by się z nim nie patyczkował, to już wiedziała na pewno. Nie chciała, żeby go znalazł. Odesłanie go daleko stąd było najlepszym wyjściem.

– Poradzi sobie. Ma dobre papiery – pocieszyła się w myślach, rozcierając zmarznięte dłonie. Skórzane rękawiczki oddała jakiejś kobiecie, którą wywożono na roboty. Obiecała zająć się chłopakiem po drodze do Niemiec.

Teraz została tylko jedna rzecz. Upewnić się, czy ma rację. Jeśli ma, to nie wróci do domu. I to już nigdy. Pójdzie do hotelu, a potem pierwszym pociągami wyruszy do Krakowa. Do samego Franka. Powie mu, gdzie jest obraz, i odbierze nagrodę.

Od samego rana, od czasu, gdy Gerhard zapytał ją o Dziurawca, wszystko zaczęło układać się w sensowną całość.

Wcześniej myślała, że ma z profesorem jakieś swoje interesy. Profesora posądzała o kradzież, a jeśli kradł, to musiał też sprzedawać. Zapewne do spółki z Dziurawcem. O obrazie też musiał wiedzieć. Von Lossow również był już blisko. Zamierzała wyprzedzić ich wszystkich. Szła do muzeum. Chciała przeszukać pomieszczenie po pomieszczeniu. Wypożyczalnię, bibliotekę, salę wystawienniczą, szatnię, a nawet kotłownię. Jeżeli obraz nie wyjechał, a przecież skojarzyła wynoszoną skrzynię, to musiał wciąż gdzieś tam być.

Przed gmachem nie było nikogo. Robiło się już późno. Postanowiła wejść od podwórza, tak aby widziało ją jak najmniej osób. Tam mógł być jeszcze stróż albo człowiek z kotłowni.

Nie spotkała nikogo. Drzwi były pozamykane. Pozostało wrócić się i pod jakimś pretekstem zacząć dobijać się od frontu, ale dojrzała jakieś światło w krzakach przy szopie. Zakradła się. I zobaczyła profesora Woydę ze świeczką w ręku, taką, jaką bierze się do kościoła na czuwanie przy grobie Chrystusa. Ale profesor był za lekko ubrany i nie wyglądał na takiego, który by się gdzieś wybierał. On raczej kręcił się dokoła wozu, na którym pełno było gratów. I przytwierdzał jakiś drąg.

Ucieka, pomyślała. Podeszła ostrożnie bliżej.

– A pan to dokąd się wybiera?! – huknęła mu prawie do ucha. Profesor podskoczył jak oparzony. Odwrócił się.

– Ależ mnie pani przestraszyła!

– A co się pan tak boi? Co to jest? – zaczęła pytać, widząc wystający z wozu kawałek wielkiego pakunku. Wóz był najdłuższy, jaki można było tylko znaleźć, a końcówka okrągłej, owiniętej ceratą tuby i tak wystawała zasłonięta tylko żelazną balią. – A to gdzie pan chciał wywieźć? – syknęła wściekle. Wiedziała, że musi zrezygnować z wcześniejszego planu.

– Nigdzie nie jadę! Przestraszyła mnie pani prawie na śmierć – powiedział profesor, który zbladł i w świetle świecy wyglądał upiornie.

Już jesteś trupem, chciała powiedzieć. Ale powstrzymała się.

– Wracamy do środka! – rozkazała. Profesor ani drgnął. – No dalej! Bo zaraz przyciągnę tu gestapo! – zagroziła, choć nie miała wcale takiego zamiaru. Chciała zamknąć go gdzieś na klucz, a sama spróbować dotrzeć choćby do Odila Globocnika i w międzyczasie powiadomić jak największą liczbę Niemców o swoim znalezisku. Tak aby nikt nie wątpił, że to jej zasługa i że to jej należy się nagroda.

– Rusz się! – wrzasnęła i poczuła, jak ktoś chwyta ją od tyłu.

– Do trzech razy sztuka – usłyszała za plecami.

– Panie Dziurawiec, niechże jej pan krzywdy nie robi – jęknął z przerażeniem profesor, chwytając się za serce.

– Gdzie Jona! Mów!

– W bezpiecznym miejscu.

– Gdzie?! Zaprowadź mnie tam.

– Nie mogę.

– Zobaczmy – powiedział i poczuła, jak wykręca jej rękę. Jednocześnie ściskając szyję przedramieniem. Zaczęła się dusić. Puścił. Krztusiła się.

– Panie profesorze! Niech mnie pan ratuje! – wyrzuciła z siebie. Profesor nic nie powiedział. Krzywiąc się przeraźliwie z bólu, opierał się o wóz.

– Niech pan... Niech pan... – Woyda próbował coś powiedzieć, powoli osuwając się na ziemię. Poczowała rozluźniający się uścisk.

Dziurawiec nie chciał jej puścić, ale popychał ją w kierunku ślaniającego się profesora.

– Co panu jest? Co się panu stało, panie profesorze? Puść mnie, to atak serca! – Szamotała się, przestępując z nogi na nogę. – Trzeba mu pomóc! – Starła się odwrócić w kierunku Dziurawca. Zobaczyła go. Miał kamienną twarz. Nie reagował na to, co mówiła. Postanowiła inaczej.

– On umrze! Ale słuchaj mnie! Lepiej dla nas. Podzielimy się. Wyjdziemy stąd, daleko – mówiła, drepcząc w miejscu. – Ty i ja! Nie udawaj, że ci na tej kolorowej szmacie zależy... Mnie nie oszukasz... chciałeś dla siebie... To tylko szmata – rzeźiła. – Wystarczy nam pieniędzy do końca życia. Wyjdziemy stąd.

– Gdzie Jona?!

– Jest w pociągu. W drodze do Niemiec – wybełkotała. – Z dobrymi papierami.

– Dlaczego?

– Tam mu będzie lepiej – powiedziała, próbując odwrócić głowę. Nie pozwolił jej. Usłyszała sapanie za plecami. Jak zwierzęcia. – Jak chcesz, to go znajdziemy...

– Ostrzegalem cię – wydusił przez zaciśnięte zęby. – Miałas nie wychodzić z domu. – Dałem ci szansę...

Musiał pan? – zapytał profesor Woyda. Siedział na ziemi przy wozie. Ciągłe miał rozpiętą koszulę, rozwiązana muszkę przewieszoną przez ramię i smak kropli nasercowych pod językiem.

– Musiałem – odpowiedział mu Dziurawiec, który siedział obok leżącej na ziemi Elizy Lell.

Jej bezwładne ciało osunęło się na ziemię, tak że podwinęły się poły jasnego palta i zadarła sukienka. Widać było pończochy. Długo na nie patrzył, nim wstał.

– Czy dobrze zrozumiałem? Mały Jona wywieziony?

Dziurawiec kiwnął głową.

– Teraz? – jęknął profesor, ciężko oddychając. – Przecież cała akcja była zaplanowana. Muszę wstać. Trzeba coś zrobić – dodał,

zapiinając koszulę.

Dziurawiec też jakby się obudził, choć ruszał się jak automat.

– Przeniosę ją. Gdzieś dalej stąd – burknął pod nosem. – Nie może tu leżeć.

Anioł był zbyt pijany, by zauważyć, że zaczęła się godzina policyjna. Szedł do domu. Przystawał co chwilę i opierał się o mur. W końcu usiadł na schodku, pociągając nosem. Z zimna i ze smutku. Ktoś nieznajomy chciał go za chabety wciągnąć do mieszkania, ale odganiał się jak od natrętnej muchy. W końcu został sam. Nie chciał, żeby ktoś mu przeszkadzał. Zrugął nawet patrol gestapo, który się obok niego zatrzymał.

Stara Bielakowa była zadowolona, że w końcu uśmiechnęło się do niej szczęście.

Wracała z wieczornego nabożeństwa i podśpiewywała pod nosem wielkokozwartkowy hymn Sław języku tajemnicę. W kamienicznej bramie nie świeciło się żadne światło, ale też nie było jej potrzebne. Mieszkała tu od dziecka, znała każdy kamień. Zdziwiła się więc bardzo, potykając się o czyjeś nogi.

– A co za cholera! – wrzasnęła, o mało się nie wywracając. Przykucnęła i przeżegnała się. Wyjęła z torebki świeczkę. Zapaliła ją i przystawiła do twarzy opartej o ścianę dziewczyny. Wosk skapnął na jasne palto. Odgarnęła futrzany kołnierz i przyłożyła jej rękę do ust. Nie oddychała. Właściwie była już zimna. Miała wykrzywioną twarz. I wystający język.

– Łajza pewnie – skwitowała, patrząc bujne loki. Splunęła i przeżegnała się znowu. Szybko uciekła do domu.

Po chwili jednak wróciła. Cóż mogła zrobić. Pomyślała, że palto już się tej dziwce nie przyda. Nigdy nie miała w rękach czegoś tak miękkiego. Wróciła i po ciemku ściągnęła palto.

Rano, przy dziennym świetle, wydłubała wosk spomiędzy delikatnych nitek. Wyglądało jak nowe.

Zwłok dziewczyny już nie było. Na wszelki wypadek do wieczora prawie nie wychodziła z domu. Pod wieczór założyła doczyszczony palto i ruszyła w nim na piątkową mszę,

zadowolona jak nigdy. Puszyste futro przyjemnie łaskotało jej policzki. Ludzie zwracali na nią uwagę, więc zatrzymała się jeszcze przy słupie na placu Bernardyńskim. Były na nim świeżo naklejone ogłoszenia. Przechodnie rozprawiali o ucieczce jeńców żydowskich z wojskowego obozu zatrudnionych przy sklepieniu rzeki Czechówki. Nikt nie wiedział, jak im się to udało. A przede wszystkim mówili o rozstrzeleniu jedenastu osób w odwecie za śmieć jakiejś folksdojczki. Czytano na głos nazwiska, gdy obok niej stanął mężczyzna postury niedźwiedzia, z twarzą jak bandzior i zaczął płakać jak dziecko.

Uciekła, a on został przy słupie, chowając twarz w dłoniach.

Gerhard von Lossow szalał z wściekłości. Wiedział, że wszyscy wokół niego szepczą. Wiedział nawet, o czym tak rozprawiają. Dziwili się, że tak wzburzyła go śmierć Elsy Lell. Od kiedy się dowiedział, nie mógł usiedzieć. Kopał, co popadło, i krzyczał na każdego, na kogo tylko mógł.

– Nie wiedziałem, że ci tak na niej zależało – stwierdził Globocnik ze współczuciem. – Zabijemy w zamian, ilu zechcesz. Możesz nawet sam strzelać – zaproponował. – W jej domu znaleziono kartkę z pogrózkami. Wiadomo więc, kto to zrobił! Polskie podziemie! Zapłacą za to, i to jak najszybciej się da. Już moja w tym głowa – zapewnił go. Na pocieszenie przysłał mu nawet listę aktualnych więźniów, żeby skreślił sobie nazwiska. Postawił kilka ptaszków na chybił trafił. W ogóle go to nie obchodziło.

Obwieszczenie o rozstrzelaniu wydrukowano niemal natychmiast. Po południu rozklejano je po całym mieście, ale było mu wszystko jedno, ile osób stanęło przed lufami karabinów. Chodziło mu tylko o nią i o wiedzę, którą mogła posiadać albo zdobyć. Tego nikomu nie mówił. Wszyscy powtarzali wersję o polskim podziemiu. Nie wierzył w to. Ale nie zamierzał też nikomu tego wyjaśniać. Szkoda czasu, i tak ktoś go wyprzedził. Podejrzewał nawet kto. Ale co z tego.

Pojechał do jej mieszkania. Ale tam nic nie znalazł.

Przeszukiwało je już zresztą gestapo. Policja powiedziała mu również, że Elsa Lell nie była wczoraj w pracy. Tak zeznał jej szef. Pod wieczór postanowił sam pojechać do muzeum. Przeszukać biurko, cokolwiek. Innych pomysłów nie miał.

Wasył Kutchabsky ściągnął z nosa grube szkła w rogowych oprawkach i przyjrzał się wchodzącemu przystojnemu oficerowi SS.

– Przepraszam, już zamykamy. Czytelnia będzie czynna od wtorku. Po świętach.

– Ja w innej sprawie – odpowiedział oficer.

– Ach tak. Elsy Lell? – Dyrektor pokiwał głową. – To strasznie smutne. Nie wiedziałem, że jej grożono... – dodał, ale przestał mówić. Patrzył tylko, jak mężczyzna podchodzi do miejsca, w którym stała półka, i zaczyna iść wzdłuż śladu, który zostawiły na parkiecie oderwane deski. – Nie powiedziała mi. Gdyby to zrobiła, może bym coś uradził – ciągnął dalej, ze zdziwieniem patrząc na oficera, który zaczął chodzić wzdłuż ściany, stawiając długie, metrowe kroki.

– Zmieściłby się – powiedział pod nosem tamten. – Co się z nią stało? – zapytał po chwili dyrektora.

– Dokładnie nie wiem. Chyba została uduszona. Podobno gołymi rękami...

– Nie – przerwał mu oficer. – Z tą półką.

– A... – zdziwił się pytaniem Kutchabsky. – Będziemy mieli remont, została rozebrana.

– Pan to widział?

– Nie. Z tego co mi wiadomo, ktoś zamordował ją w nocy, ulicę dalej... Dokładnie nie...

– Nie! Jak ją rozbierają. – Dyrektor zrobił wielkie oczy. – Półkę jak rozbierają. Był pan przy tym?!

– Nie zajmuję się remontami – powiedział nerwowo Kutchabsky. – Powinienem już iść – odpowiedział wyraźnie zdenerwowany. – Ze wszystkimi technicznymi pytaniami proszę się zgłaszać do profesora Woydy. Od wtorku. Żegnam! –

powiedział, wychodząc z czytelnicy.

Obejrzał się jeszcze z oburzeniem.

– Stróż za panem zamknij!

Oficer stał przed pustą ścianą. Ani drgnął.

Wasyl Kutchabsky trzasnął za sobą drzwiami.

Dziurawiec nie mógł się ruszyć z miejsca. Pod słup ogłoszeniowy przychodziło coraz więcej ludzi. Zbliżała się godzina drogi krzyżowej. Stawali, czytali na głos kolejne nazwiska rozstrzelanych więźniów: Łukasik Andrzej, lat dwadzieścia siedem, Słojan Michał, lat sześćdziesiąt siedem. Anioł Dominik, lat pięćdziesiąt jeden...

Zakrył rękami twarz.

– Panie Dziurawiec – szepnął ktoś obok. Podniósł głowę i zobaczył Krzesińskiego. – Zna pan kogoś z listy. Współczuję – powiedział, odciągając go na bok. – Ale zaraz przyjdzie tu Pieczyrak. My jedziemy za wozem. Ubezpieczamy tyły. Serafin dołącza na Zamojskiej. Chyba już czas – dodał, klepiąc go po ramieniu.

Dziurawiec w końcu kiwnął głową i lekko powłócząc nogami, ruszył w kierunku muzeum. Przed oczami miał cały czas Anioła, jego zakrwawiony nos i to, jak uderza go po raz drugi.

Tak się widzieli po raz ostatni.

Ostatnie, co widział Anioł, to szereg żołnierzy z wycelowanymi karabinami. Nie wiedział, co ma robić. Przyglądał się zdrętwiałymi palcami siwe loki. Patrzył na nich i chciał, żeby zniknęli.

Zamknął oczy.

To była jedyna sztuczka, które przyszła mu do głowy.

Nareszcie! – powiedział profesor Woyda, słysząc rżenie koni. – Nie mogłem się już doczekać – dodał.

Wyszedł z szopy i zobaczył wycelowaną w siebie lufę pistoletu.

Podniósł ręce do góry. Nie musiał wysilać wzroku, by rozpoznać naszywki esesmańskiego munduru.

– Nareszcie – powtórzył von Lossow.

– A, to pan – westchnął profesor.

– W końcu się udało. Takie moje małe zwycięstwo. Od półtora roku tkwię w tej dziurze. Ale opłaciło się – oznajmił von Lossow, gładząc wystającą końcówkę zwoju. Usta drżały mu z emocji. Popatrzył na metalową balię i resztę gratów wpakowanych na wóz. – Widzę, że zdążyłem w ostatniej chwili. Moja *Bitwa*. Dokąd ją chcieliście wywieźć? Zresztą nieważne. Dobrze, że jest zapakowana. Pierwszym pociągiem ruszy do Berlina. A ja wraz z nią.

– Znalazł pan. Pana zwycięstwo.

– Tak, tylko moje! I sam ją odnalazłem. Jest tylko ja... Moja płonąca *Bitwa*... – powtórzył von Lossow nieprzytomnym wzrokiem, wpatrując się w wielką szpulę, na którą nawinięty był obraz.

– W każdej bitwie uczestniczą zjednoczone siły. Niedobrze tak działać w pojedynkę – powiedział profesor.

Gerhard von Lossow zdążył się obrócić, nim został powalony na wóz. Dziurawiec rzucił się na niego całym ciałem. Przygwoździł do zwoju i zaczął walić ręką Lossowa w metalową balię. Do momentu, w którym pistolet nie wypadł mu z zaciskanych palców. Potem zaczął uderzać jego głową. Na chwilę mu się wyrwał, ślizgając się butami po błocie, które mieli pod nogami. Dziurawiec wyciągnął z kieszeni nóż.

– Za mnie jednego zginie ze stu twoich – wycedził Gerhard przez zaciśnięte zęby.

– Masz rację. Choć to i tak kuszące – powiedział Dziurawiec i odrzucił nóż. Złapał go jedną ręką, a drugą z całej siły walnął pięścią w twarz. Aż odskoczyła mu głowa.

– Niech go pan nie zabija – jęknął profesor. – Znowu rozstrzelania będą.

– Wiem – wysapał Dziurawiec, rzucając nim o wóz. Von Lossow chwycił się deski, ale nie mógł utrzymać się na nogach.

– Może trzeba go gdzieś schować. Albo przestraszyć.

– Ale czego się oni boją? – zapytał Dziurawiec. – Piekła to chyba nie.

Von Lossow osunął się na ziemię. Ręką zaczął szukać pistoletu. Dziurawiec stanął mu nogą na palcach i przygniół całym ciężarem swojego ciała. Myślał.

– Trzeba się zbierać z tym wozem. Nie ma czasu – powiedział i schylił się po leżący na ziemi pistolet. Wtedy von Lossow szarpnął go za nogę.

Ziemia była miękka. Dziurawiec stracił równowagę. Chwycił się jeszcze lampy leżącej na wozie, ale ta poleciała do tyłu razem z nim. Wiszący kabel elektryczny ze świstem przeciął powietrze. Konie poruszyły się, przesuwając wóz. Von Lossow rzucił się na niego. Tarzali się pod koła, tam gdzie był pistolet. Obaj, próbując się powstrzymać, szamotali się i wyciągali po niego ręce. Obaj jednocześnie końcami palców przesunęli go jeszcze dalej, o parę centymetrów. Koła wozu przekręcały się powoli. O tyle, o ile pozwoliły uwiązane lejce, ale wystarczyło. Dziurawiec miał przewagę, ale koła przygniotły skraj jego palta i najechały na połowę rękawa. Nie mógł ruszać ręką i całym ramieniem. Gerhard von Lossow chwycił pistolet. Wymierzył. Wysunął się spod wozu, podniósł z kolan. Zobaczył lejce. Ruszył w ich kierunku. Wystarczyło odplątać je od kołka, by wóz ruszył i zmiażdżył leżącego.

Uśmiechnął się do Dziurawca i padł na ziemię.

Za jego plecami stał profesor, oburącz trzymając drąg od lampy. Patrzył i nie wierzył. Zdzielił nim von Lossowa w bok głowy. Nie wiedział, czy trafi. A on od jednego uderzenia upadł.

– Nie żyje? – spytał, patrząc na esesmana leżącego u jego stóp.

Dziurawiec powoli wyczołgiwał się z własnego palta. Mozolnie wysunął rękę z rękawa. Wszedł spod wozu, oddychając głośno. Podszedł do von Lossowa i nachylił się nad nim.

– Dobra robota – powiedział, kiwając głową z uznaniem.

– O Jezusie Zmartwychwstały, zabiłem go – przeraził się profesor.

– Nie. To się zawodowo nazywa chińska narkoza.

– Żyje więc?

Dziurawiec kiwnął głową, ściągając z wozu nadpalony stary dywan.

– To co my teraz zrobimy?

– Podrzuci mnie pan w jedno miejsce. I trzeba znaleźć woźnicę.

Z kościoła Dominikanów przy Złotej dobiegały słowa uroczystej pieśni. Ludzie zawodzili głośno, śpiewając *Ludu mój ludu, cóżem ci uczynił*. Ze Złotej wyprowadzili się już ostatni Żydzi. Większość już dawno wtarabaniła się do dorożek albo pchała swoje dwukółki na teren wyznaczony przez Niemców.

Dwóch pijaczków skryło się w bramie i opijało swoją własną drogę krzyżową, polewając wódkę prosto do szklanek po musztardzie.

– Patrz pan! Się człowiek nie zdążył nawet dobrze napić. – Jeden z nich pokazał na człowieka, który niósł dywan na plecach. – A już się nowi sprowadzają.

– Polej pan – skomentował drugi. – Jak na Golgotę idzie. Kawał chłopa, a ledwo dyga.

– Ciężki ten dywan jak krzyż Pański musi być.

– I jeszcze pod górę pewnie ma.

– Ciekawe, na które idzie? – zastanawiał się pierwszy, odmierzając zawartość lanego trunku, tak by było po równo.

– Podobno każdy musi swój krzyż dźwigać – oświadczył drugi, podnosząc szklankę do ust.

– Moja stara mówi, że mnie dźwiga.

– Musiała nagrzeszyć. – Zaśmiali się i stuknęli mocno.

Człowiek z dywanem zniknął w wejściu do kamienicy.

Dziurawiec wszedł do mieszkania Loli Sztajn. W pokoju była sama. Jak się domyślał, reszta wyniosła się, żeby jak najszybciej zająć jakieś lokum w getcie. Mało było tam miejsca. Krążyły niestworzone historie o tym, ile osób ma pomieścić się w jednym pokoju. Podejrzewał, że Lola się tam wcale nie wybierała. Nie zdziwił się więc, gdy zobaczył ją, jak leży na łóżku i przegląda

gazetę z przedwojennymi aktorami.

– Nie nudzi ci się samej? – spytał, kładąc zrolowany dywan na podłogę.

– Nie jestem sama.

– A, to dobrze. Bejla jeszcze żyje?

– Nie wiem. – Znowu wzruszyła ramionami. – Sprawdź. Nafaszerowałam ją lekami na sen. Może śpi, może umarła.

– Musisz stąd pójść. Bo cię tu zabiją – powiedział, podchodząc do drzwiczek, które już nawet nie były zasłonięte makatką.

– Nigdzie nie idę. Tu się urodziłam – odpowiedziała mu, wzruszając ramionami.

Dziurawiec otworzył skrytkę w ścianie. Odwrócił głowę. Zaśmierdziało zgnilizną.

Przestraszył się, że umarła, ale Bejla jak na zawołanie prychnęła jakąś flegmą.

– Wiem, też się brzydzę – skomentowała Lola, odwracając kolejną stronę w starej pozółkłej już gazecie. – Już nie będę jej dawać tych leków. Podobno należy się przed śmiercią przebudzić.

– Masz więcej? – zapytał, podchodząc do niej.

– Czego?

– Tabletek. Nie będę go musiał jeszcze raz zdzielić w łeb – dodał, odwijając dywan. Lola z wrażenia usiadła na łóżku i po sekundzie była w kącie pod ścianą.

– Kto to jest?! – wrzasnęła, patrząc na oficera SS. – Zabiją nas.

– Przecież ci na tym podobno nie zależy. – Wzruszył ramionami.

– Zabierz go stąd!

– Nie. Ty się wynieś – zakomunikował Dziurawiec. – I to szybko, bo nie mam za dużo czasu. – Masz – rzucił w jej kierunku drewnianą protezę, która oprócz Niemca też wyleciała z koca. – Z tą dalej zajdziesz.

– Co to? – zapytała Lola i oglądając ją, zobaczyła korek wetknięty z szerszego końca. Wyciągnęła go, a potem ze środka zwinięty w ciasny rulon plik banknotów. Za nim był następny i następny.

Wóz ruszył Bernardyńską, a teraz skręcał w Zamojską. Konie

przestępowały z nogi na nogę spocone tak samo jak ludzie. Profesor Woyda razem z Serafinem siedzieli na samym końcu wozu po dwóch bokach, pilnując, żeby zwój o nic nie zahaczył. Na kilku skrzyżowaniach o mało nie otarł się o ścianę. Ledwo wyrabiał się na zakrętach. Gdy zjeżdżał w dół, niewiele brakowało, a zderzyłby się z mijającą go dorożką. Woźnica hamował parę razy, nie chcąc stratować bab, które pozawijane w koce wracały z kościoła. Krzesiński i Pieczyrak szli chodnikiem tam, gdzie wóz musiał jechać wolno. Podążali oddaleni od siebie, tak by improwizować, gdyby doszło do jakiegoś przypadkowego zatrzymania albo innej kraksy.

Gdy wóz wyprzedził ich, i to znacznie, zatrzymali dorożkę. Kazali się wieźć na Elektryczną. Po drodze wyprzedzili wóz. Zajechali na teren Taborów. Czekał już na nich Franciszek Galera, który tam mieszkał. Bramy pilnowała jego mała córka. Pobieгла do domu, dając ojcu znak, że znów ktoś przyjechał.

– Wszystko zgodnie z planem – poinformował ich. – Można chować rzecz. Ludziom dałem wolne na święta. Nawet stróża pogoniłem. Pusto, spokój. Reszta... – Chrzął pod nosem. – Dojedzie jutro.

– Przejdźmy się od razu do tej szopy. Powinni zaraz tu być – powiedział Krzesiński.

– A tu przydział. – Pieczyrak wyciągnął z kieszeni papier. – Na gwoździe, papę, cement, klinkier. Napisałem, że trzeba murować, bo się słoma marnuje.

– Pamiętał pan – ucieszył się kierownik Taborów, chowając kartki. – Teraz pod słomę schowamy. Ale niechby komu przyszło do głowy mocniej widły w rzecz wbić... – Przestał mówić, bo z ciemności wyłonił się wolno zbliżający się wóz. – Dół wykopany, jutro się rzecz wysmołuje...

Wszyscy trzech przystanęli. Pod szopę zajechał wóz. Pierwszy zeskoczył Serafin i klaszcząc w dłonie, zaczął wszystkich obściskować.

– Dwa patrole gestapo minięte. Profesor znowu o mało nie dostał zawału. – Pokazał na schodzącego z wozu Władysława Woydę.

– Przede wszystkim to zmarłem – radośnie oświadczył profesor, rozcierając ręce. – Ale tu łatwo zabłądzić. Przecznice, bocznice, tory.

– I o to chodzi – powiedział Krzesiński, pomagając mu zejść.

– A Dziurawiec gdzie? – zapytał Pieczyrak.

Zza stojącego na boczniccy wagonu wyłoniła się furmanka.

– I sprawę załatwił, i nas dogonił – powiedział Serafin i zagwizdał z uznaniem.

– Jak?

– Pewnie pożyczyl – odparł z przekonaniem profesor Woyda.

– Aha. – Krzesiński pokiwał głową, patrząc na przystrojone pomponami konie, dokładnie takie, jakimi chłopci podjeżdżają na targ albo do kościoła.

– Martwiłem się o pana – powiedział Pieczyrak, gdy Dziurawiec, zeskakując z furmanki, znalazł się obok niego.

– A ja o pana – odpowiedział mu Dziurawiec. – Rynny trzeba założyć. – Pokazał na szopę.

– I z boków odwodnienie zrobić – zgodził się Pieczyrak. – Chodźmy. – Objął go ramieniem. – Wiem, co pan zrobił. Uda się? Dziurawiec wzruszył ramionami.

– Trudno powiedzieć. Ale profesor nie może już tam wrócić. Powinien wyjechać.

– Pan też.

– Ja? – zaśmiał się Dziurawiec. – Z Lublina? Nie lubię.

– Przed wojną podobno w Warszawie pan przebywał...

– I mnie się podobało – przerwał mu Dziurawiec, szybko uwalniając się z objęcia. – Cisza! – przyłożył palec do ust. – W szopie ktoś jest.

Rzeczywiście przez uchylone ościeże widać było przemykający cień. Dziurawiec podszedł bliżej, idąc wzdłuż wozu. Wyciągnął z kieszeni nóż.

– Nikogo więcej miało nie być. – Ruszył w kierunku drzwi z wyciągniętym przed siebie ostrzem.

– Schowaj pan to! Dziecko pan zabijesz! – wykrzyknął Franciszek Galera.

W drzwiach pojawił się mały chłopiec, a za nim chudy człowiek.

– Do Sochaczewa dojechał. Ale pan profesor powiadomił w porę – zaczął tłumaczyć oniemiałemu Dziurawcowi. – Ja mam tam na kolei szwagra, puścił chłopaka tu z powrotem...

Dziurawcowi nóż wypadł z ręki. A potem ugięły się pod nim kolana.

– Czekałem i czekałem. Na tę Bitwę – powiedział Jona Faber, przecierając zaspane oczy i wyciągając słomę z włosów. – Dlaczego klęczysz?! – zapytał, widząc Dziurawca na kolanach, który był zgięty wpool. – Wstań. Proszę cię. Zobacz, mój tata tu jest! Razem zakopimy te Bitwę. No nie płacz. Nie bądź dzieckiem...

Kobiety z dziećmi przebiegły na drugą stronę ulicy i pędem podążyły w kierunku kościoła, nakrywając kosze ze święconką czymkolwiek, co miały pod ręką. Pod białymi haftowanymi serwetkami nie było zbyt wiele, nikt nie przechwalał się tu barankami z cukru. Ale przeraziły się, że wjeżdżający na Złotą gestapowcy rzucą się na malowane jajka. Albo co gorsza wyłapią na roboty. Zajechali naraz w kilkunastu i z krzykiem obstawili kamienicę z numerem dwa.

– Mieszkało tu stu trzydziestu ośmiu Żydów – czytał z kartki najwyższy stopniem esesman. – Sprawdzić, czy jakiś się nie ostał! Strzelać bez ostrzeżenia. Mieli czas się wyprowadzić – dokończył, chwytając się za bolącą jeszcze od rana głowę. – Byle szybko – powiedział pod nosem, zastanawiając się, czy aby Polacy nie prowadzą jakiejś dywersji i nie dodają czegoś do alkoholu. – Rozstrzelałbym za tego kaca – poźalił się stojącemu obok kompanowi.

– Ja też – zawtórował mu kompan z wczorajszego wieczoru, gdy z jednego z okien wychylił się jakiś młokos.

– Panie Obersturm... Niech pan przyjdzie na górę! – wykrzyknął.

– A co tam jest? – zapytał esesman, zadzierając głowę.

– Oficer SS – odkrzyknął mu chłopak, przykładając ręce do ust.

– Nie obudził się od wczoraj? – zaśmiał się esesman. – Chodź,

zobaczymy, co za sztuka go zatrzymała. – Oblizał się na wspomnienie obmacywanej jeszcze niedawno pulchnej kelnerki. Na półpiętrze stał przerażony chłopak, który wołał ich z okna.

– Młody, to wystraszony – powiedział do kolegi i pchnął drzwi, licząc na jakiś dobry widok. Przynajmniej gołych pośladków albo choć koronek pod kołdrą. Ale zobaczył tylko poczochrane czarne włosy z białymi końcami i plecy w jakichś szmatach nachylone nad leżącym nieruchomo mężczyzną w czarnym mundurze. To coś mamrotało i głaskało go po głowie. Wyciągnął broń. Wycelował i podszedł ostrożnie bliżej.

– Ręce do góry – wrzasnęła. Kobieta ani drgnęła, mruzczała tylko. Mężczyzna zaczął się poruszać. – Wstawaj! – powtórzył.

Bejla Bildholcer nic nie słyszała. Patrzyła na leżącą obok niej anielską twarz. Uważała, że jest w raju, i śpiewała swemu oblubieńcowi najpiękniej, jak potrafiła.

Gerhard von Lossow próbował odgonić ręką senną marę. Wtedy usłyszał głośne: „Wstawaj!”, być może skierowane właśnie do niego. Otworzył oczy i zobaczył zaropiałą, porowatą twarz bez nosa. Przetarł oczy. I jeszcze raz. I zaczął krzyczeć. Wtedy padł strzał. Upadła na niego. Odrzucił ją. Był cały we krwi i jakiejś mazi wydobywającej się z głowy kobiety. Poderwał się. Zaczął wrzeszczeć. Wybiegł z łóżka. Chciał rzucić się w kierunku drzwi, ale ktoś mu zatrzęsął je przed nosem.

– Tyfus! – usłyszał.

– Tyfus! – krzyknął ktoś zbiegający po klatce schodowej.

– Nie wychodź! Bo zostaniesz zastrzelony!

– Kwarantanna! – usłyszał.

Słyszał to słowo przez następne dwa miesiące spędzone w izolatce. I kolejny jeden w areszcie. Nie mógł się doczekać, kiedy wyjdzie.

Wszyscy popatrzyli na wyłożony papą, wycementowany dół. Był wielki i długi. Zabezpieczyli go wcześniej przygotowanymi

deskami i wymościli słomą.

– Trzymaj. – Dziurawiec przerzucił linę w kierunku Jony.

Ten nakręcił ją na rolkę. To samo pośrodku zrobili Pieczyrak i Krzesiński, na końcu linę zaczepiali Drewnowscy. Ojciec z synem, przedsiębiorcy budowlani, którzy na prośbę Pieczyraka przywieźli deski i drewniane rolki.

Władysław Woyda razem z ojcem Jony skończyli owijać zwój papą i okręcać go drutem.

Franciszek Galera wsunął do dołu dwie deski, mające służyć na prowizoryczne pochylnie.

– Wytrzymają? – zapytał Roman Pieczyrak. Ojciec z synem kiwnęli głowami. Potem wszyscy zaczęli przesuwac zwój. Przytrzymywali liny i powoli spuszczała wielką szpulę do dołu.

– Uwaga!

– Teraz!

– Z tej strony!

– Mocniej!

– Ciągnij!

– W dół!

– Wolniej!

– Przytrzymaj!

Prawie wszyscy krzyczeli. Nagle ogromny ciężar osunął się, aż zatrzeszczały deski i zatrzęsała się podłoga. Drewniany wał na szczęście się nie złamał.

– Uff. – odetchnął profesor Woyda, a wraz z nim wpatrzona w niego reszta, szukając u niego potwierdzenia, czy aby wszystko dobrze poszło. Aż się tym zdziwił. Nie wiedział, że jako muzealnik ma ostatni głos w tej sprawie.

– Myślę, że możemy zakrywać – zdecydował po chwili.

– Jeszcze papa i potem deski – orzekli Drewnowscy.

Dziurawiec wziął młotek. Jona podszedł do niego. Widać było, że chłopak jest cały spięty.

– Gwoździe do trumny – powiedział Jona.

– Ilu ich tam wszystkich jest? – spytał Dziurawiec.

– Nie wiem. – Jona zaczął się drapać po głowie. – Z imienia znam może trzydziestu, ale myślę, że ze stu – odpowiedział, patrząc na

leżący w dole zwój.

– A więc to zbiorowa mogiła – zaśmiał się Dziurawiec, gdy podszedł do nich Woyda, poprawiając muszkę i dopinając guziki płaszcza.

– Pan zawsze taki pesymista. Rażniej trzeba w przyszłość patrzeć. Cieszyć, że skarb tak dobrze ukryty. A ja żegnać się przyszedłem. Jechać już muszę.

– Wiem, panie profesorze.

– Pan chyba nigdy się do mnie tak nie zwracał. Nie było co dementować. Piszą tak i tak do mnie mówią, ale ja profesorem nie jestem... – zaczął tłumaczyć Woyda.

– A ja woźnicą – odparował mu Dziurawiec.

– Pan to zawsze swoje – odpowiedział Woyda i podszedł z otwartymi ramionami. Obejmował go długo. – Będę tęsknił. Pan jesteś porządny człowiek. Wiedziałem od początku! – mówił i przytakiwał sam sobie, kiwając głową.

– Synu, my też musimy jechać.

– Zdamy jeszcze go przykryć? – zapytał Jona.

Ojciec potwierdził. Jona podszedł do Dziurawca.

– Obiecuję ci, że go zobaczysz – szepnął mu do ucha. Dziurawiec potargał go po czuprynie.

– Żeby nie zapeszyć – powiedział Jona sam do siebie i splunął przez ramię. Daniel Faber zrobił wielkie oczy, a Dziurawiec prychnął ze śmiechu, odwracając głowę.

Niecałe pół godziny później pierwsze garście kamienistej ziemi poleciały na leżącą w dole drewnianą skrzynię.

Ciekawe na jak długo, pomyślał każdy z nich.

Lublin, 20 lipca 1941 roku

Karl Wolff spoglądał na Heinricha Himmlera. Był w doskonałym humorze. Do niego zwracał się prawie wyłącznie per „Kochany Wilczku”, a do Odila „Mój drogi Globusie”. W świetny nastrój wprowadziła go cała wyprawa na wschód. A teraz wybitnie smakował mu obiad na trawie. Słońce świeciło, stoły rozstawiono pod gołym niebem z widokiem na teren przyszłego obozu koncentracyjnego, tak by z tym widokiem snuć plany na przyszłość.

– Proste jedzenie mi służy – powiedział, zachwycając się młodymi ziemniakami w jarzynowej zupie. – Zawsze chciałem być rolnikiem, ale cóż... – Klasnął w ręce. – Życie wyznaczyło mi poważniejszą rolę – mówił, zajadając się. – Dane mi było sprowadzić Niemców tu na pradawne tereny germańskie. Stworzymy im tu doskonałe warunki do życia. Przepyszne wręcz – mlasnął z zachwytem. – Świetną okolicę dałem ci tu, mój drogi Globusie.

– I dużo roboty – przytaknęła Odilo, oblizując usta.

– Obóz trzeba uruchomić jak najszybciej. Dla dwudziestu, trzydziestu tysięcy osób. I wysiedlić Polaków z Zamojszczyzny – dodał. – Będzie to pierwszy okręg przeznaczony całkowicie dla naszych niemieckich osadników! – Rozmarzył się. – W końcu zdobyliśmy te ziemie i już nigdy ich nie oddamy! Wszyscy przytaknęli, wnosząc kieliszki w toaście.

– Wysiedlimy stąd każdego? – zapytał Wolff, po chwili odsuwając od siebie talerz, szczególnie po tym jak zrobił to Viethold Falk z Wehrmachtu, który usiadł obok niego i prawie w ogóle się nie odzywał. Talerze zabrała jakaś wiejska, polska dziewczyna z długim jasnym warkoczem.

– Mój drogi Wilczku, trzeba uważać, żeby nie zmarnować dobrej krwi, o takiej na przykład jak ta – powiedział, przyglądając się z zaciekawieniem dziewczynie.

Wolff też się na nią już patrzył i zastanawiał się, czy wcześniej nie napluła do wszystkich talerzy. Miał te same podejrzenia, co jego sąsiad przy stole, który nic nie tknął.

– Pierwsze badania się obiecujące – kontynuował Himmler. – Musimy tylko odebrać dzieci nadające się do powtórnej germanizacji. – Dojrzał muchę w zupie i odłowił ją, odrzucając na trawę. – Uroki sielskiego życia – zaśmiał się, a wraz z nim wszyscy przy stole. – Wielu naszych zginie na wojnie z bolszewikami. – Ubolewał. – To wielka strata dla rasy. Najlepsi z aryjczyków – powiedział i zamyślił się. – A właśnie, Wolffi, co z tym Austriakiem, którego tu zostawiliśmy? – zapytał znienacka.

– Odbywał kwarantannę – chrząknął Kral, ocierając serwetką usta. Zaciekawilo go też nagłe zainteresowanie swego sąsiada z Wehrmachtu, który jak uważał Himmler wysłany został na przeszpiegi przez Goeringa.

– Ciągłe jednak panują tu trudne warunki. Cóż, uporamy się. – Pokiwał głową Himmler. – Co z nim? Kiedy kończy? Sprowadzisz go do mnie po tym? Nagrodzę go za trudną służbę...

– Tak. Przyjrzę się tej sprawie... – zaczął Karl Wolff, powoli dobierając słowa.

– Przyłapali go z żydowską dziwką – bez pardonu wtrącił się Odilo.

Himmler wściekle odsunął talerz od siebie, jakby przestało mu smakować. Resztki zupy zalały biały obrus.

– Wolffi! Przypomnij mi, żeby do moich wytycznych odnośnie obozu i zasiedlania tych terenów dopisać podpunkt...

– Jaki?

– Dotyczący moich oficerów SS. Trzeba zwracać szczególną uwagę na tryb życia kawalerów! – wrzasnął. – To niedopuszczalne! Na front wschodni z nim, na pierwszą linię. Niech się tam wykaże. – Huknął pięścią w stół. – I nie chcę już nigdy więcej o nim słyszeć! Tak plamić honor niezwyciężonej Trzeciej Rzeszy. Teraz gdy odnosi ona zwycięstwa, o jakich się jego krzyżakom nie śniło...

– Teraz to tego swojego obrazu już chyba nie znajdzie – zagadnął Odilo Karla Wolffa.

– Myślałem, że się przyjaźniliście?
– Za bardzo się podobał mojej narzeczonej. A jeśli ma rację, to z dziesięcioma milionami podobałby się jeszcze bardziej.
Viethold Falk otarł chusteczką spocone czoło.

Gerhard von Lossow nudził się niepomieranie. Od miesiąca nikogo do niego nie dopuszczali. Nie mógł się doczekać, kiedy wyjdzie z izolatki i wszystko wyjaśni, a przede wszystkim znajdzie obraz, choćby miał skórę zdzierać, ze wszystkich w muzeum, bibliotece i gdziekolwiek. Odliczał dni i zastanawiał się, kogo zobaczy pierwszego. Nie spodziewał się, że tym kimś będzie Viethold. Miał łzy w oczach jak dziecko.

– Jak się tu znalazłeś?
– Miałem wiadomości dla Himmlera.
– I co z nim. Był tu w Lublinie?
– Nawet zjadłem z nim obiad. Przyjrzałem się mu... i z tym jego borsuczym wyglądem, za wiele o rasie nie mówił – zaśmiali się.

Potem, po kilku minutach rozmowy, Gerhardowi znowu chciało się płakać.

– Nie da się tego zmienić? Nie można z kimś porozmawiać. – Viethold pokręcił głową.

– Nie, nikt nie chce być tym, który ci pomoże. Odilo poczekał na swój moment. Wolff umył ręce, a Himmler z obrzydzeniem cię zapamiętał.

– Ty mi pomożesz!
– Na ile moje macki, na front wschodni sięgają... – zaczął się zastanawiać.

– Jak tam jest?
– Na razie wygrywamy, ale nie da się wygrywać na tyłu frontach na raz... Cóż wojna...

– Nie! Nie pojedę tam. Znajdziesz ten obraz...
– Jaki? Myślałem, że wszystkie rembrandty jakie tu były, znalezione – zaśmiał się. – Ale jakbyś znalazł takiego jednego, to może Goeringa dałoby się przekupić. Nie jeden tak wolność odzyskał.

– Nie! Ukrywają tu *Bitwę pod Grunwaldem*? Wielki obraz...
Potężny...

– Matejki? – przerwał mu Viethold.

– Tak. Jest gdzieś tu! Na pewno – tłumaczył rozgorączkowanym tonem. – Znajdziemy ją, wtedy, wszystko się odmieni. Będzie spektakl, podepczą go, spalą, zobaczysz! Zobaczysz! – szarpnęła Vietholda na koszulę. Ten nic nie mówił, tylko wyswobodził się i odsunął na metr.

– Mówiłem, żebyś zostawił tę sztukę w spokoju – stanął w drzwiach, gotowy do wyjścia.

– Nigdy go nie zostawię w spokoju! Znajdę go, jestem blisko! – wrzasnęła Lossow. – O co ci chodzi?!

– Masz obsesję. Dlatego pojedziesz na front pierwszym pociągiem – odparł spokojnie Falk, gładząc mundur.

– Dlaczego? – zapytał Gerhard otumaniony.

– Nie wiem, czy to zrozumiesz? Czasami, z wami nam po drodze, ale czasami...

– Komu?

– Moja matka jest Litwinką.

– Zdarza się, wiem że jesteś z Kłajpedy, ja jestem z Wiednia...

– Wiesz kto jest na tym obrazie? – przerwał mu szybko. – W samym środku tej bitwy? – dodał Viethold rozkładając ręce. – Wielki książę litewski Witold! – wyjaśnił.

– Wiem. I co z tego? – krzyknął wściekle Lossow.

– Nigdy nie pytałeś jakie dałem imię synowi.

– A czy to ważne?

– Dałem mu imię po mnie. Witold. Moja matka też tak do mnie mówi. I wiesz co... Chciałbym żeby tę *Bitwę* jeszcze kiedyś zobaczył... Żegnaj – powiedział i wyszedł.



Część IV

Lublin, październik 1944 roku

Tadeusz Kadura, przewodniczący Tymczasowej Miejskiej Rady Narodowej w Lublinie, chodził wzdłuż swojego biurka, głośno stukając obcasami wojskowych butów. Mówił już od dłuższego czasu.

– Nowa władza wam się nie podoba? – zapytał i nie oczekiwał odpowiedzi od dwóch urzędników stojących na środku pokoju. Roman Pieczyrak i Henryk Krześciński nie zamierzali się odzywać. Od czasu do czasu spoglądali się na siebie lub w stronę skulonego woźnicy Michała Grzesiaka, który siedział pod oknem i skubał drewniane oparcie krzesła.

– Chcecie znowu kolaboracji z Niemcami i przedwojennej, proniemieckiej polityki Becka? A może marzy się wam powrót awanturniczego londyńskiego pseudorządu? Do polityki antysowieckiej, która doszczętnie zbankrutowała?! – wykrzyknął na koniec, odwracając się w ich kierunku. – Z początku myślałam, że ukrywacie część majątku miejskiego, ale wobec tego, co teraz wyszło na jaw... – Usiadł przy biurku. – Wasza przewina jest jeszcze większa – skwitował. – I w pełni zasługuje na więzienie – zakończył, biorąc pióro do ręki.

– Dlaczego? – odważnie zapytał Krześciński, który chciał choć trochę zrozumieć, jak ma się bronić.

– Wy się mnie, obywatelu, pytacie dlaczego? Wy wykształceni nie wiecie, a ja wiem! Że ukrywanie majątku społecznego jest karygodne, ale ukrywanie skarbu ideologicznego zasługuje na karę najwyższą!

– Ale myśmy go nie zamierzali dłużej ukrywać, chroniliśmy go tylko, czekając na odpowiedni moment – przytomnie zauważył

Pieczyrak.

– A jaki to moment? – zapytał przewodniczący Tymczasowej Miejskiej Rady Narodowej. – Manifest PKWN ogłoszony został już 22 lipca. Lublin jest stolicą Polski wyzwolonej. Wspólnie przez żołnierzy polskich i bratnią armię radziecką. A my tu, dzięki towarzyszewi Stalinowi, mamy już październik! – wykrzyknął. – Nic byśmy nie wiedzieli, gdyby tu obywatel Grzesiak nam nie wyznał, że koni i wozu pożyczył co ciężki i ogromny zwój targały. Na prośbę urzędników polskich na usługach niemieckich w czasie wojny będących – zakończył, kładąc obie ręce na stół.

Grzesiak schował głowę w ramionach.

– Z narażeniem życia przewoziliśmy ten zwój, nie bacząc na życie członków rodziny... których mogliśmy ratować – zaczął mówić Roman Pieczyrak. Zrobił się cały purpurowy na twarzy.

– Pozwól. – Powstrzymał go Krześciński. – Ja to wyjaśnię. Pozwól.

– Czekam – westchnął udający znudzonego Kadura, podsuwając sobie papier do podpisania.

– Czekaliśmy, aż cały kraj będzie już wolny. Okupant przez całą wojnę *Bitwy pod Grunwaldem* poszukiwał z wielką zjadłością. Książki by pisać o tym, czego nie wymyślał, by Matejkowskie dzieło zniszczyć – zasugerował. – Front jest blisko. W dalszym ciągu hitlerowiec gotowy jest bombę zrzucić, kiedy tylko ujawni się miejsce przechowywania obrazu.

– A my się tego nie boimy. – Pokiwał głową przewodniczący. – Własnoręcznie wykopię obraz przedstawiający wspólny wysiłek ludów słowiańskich pokonujących Niemca. Ja sam! – Wstał, gdy do pokoju przesłuchań wpadło dwóch mężczyzn. Bez pukania.

Od progu zachowywali się niezwykle swobodnie. Ubrani też byli inaczej. Tak jak już dawno ubranych ludzi nie widział, albo nawet nigdy, z tak bliska. Mieli na sobie jasne spodnie i marynarki, pod szyjami apaszki. Kadura wstał zadziwiony z na wpół otwartymi ustami i nie zdążył nic powiedzieć.

– To ci dwaj? – zaczął pierwszy z nich.

– Tak. – Pokiwał głową drugi.

– Idealnie – odrzekł i podniósł ręce. Zetknął palce obu rąk tak,

że utworzyły kratkę i zaczął przez nie patrzeć na Romana Pieczyraka.

– Idealny bohater. Przystojny. Męski. Siwy włos. Czarna jak smoła brew. Szlachetne rysy – mówił, oglądając Pieczyraka z każdej strony. Jak aktor w dobrym amerykańskim filmie.

– I radzieckim jeszcze lepszym! – poprawił go drugi.

– Co tu się dzieje?! – wrzasnął wreszcie Kadura.

– Robi się pierwsza polska kronika filmowa. Dzień dobry! Adolf Forbert, a ten to Stanisław Wohl. A to jest nasz temat. – Pokazał na dwóch niezmiennie stojących na środku pokoju urzędników.

– Nie zgadzam się!

– Z propagandą nie ma się co nie zgadzać. Poza tym pan też będzie na filmie.

– Ja? – Wskazał siebie przewodniczący, nabierając powietrza.

– I pan. – Adolf Forbert pokazał palcem na woźnicę, który ze strachu podsunął się z krzesłem pod samo okno.

– Wszystkie ujęcia – zaczął tłumaczyć Wohl. Jak kopią, jak odkopują. Z łopatami w ziemi. Nad ziemią.

– Jak wyciągają płótno ze śmiertelnego sarkofagu naszej ojczyzny... Zbiorowym trudem – dodał drugi. – Dokument z podpisania oficjalnego przekazania obrazu. Z przedstawicielem nowej władzy również. – Operator pokazał na leżący na biurku papier i przewodniczącego. Potem zaczął obchodzić go dookoła.

– Zaczniemy od razu. Jest jeszcze wóz, którym przewożono obraz?

– A jakże. – Poderwał się Grzeškowiak. – Nawet konie żyją.

– To idziemy oglądać plenery. Panowie bohaterowie. Zapraszamy.

– Przedstawiciele władz. Później – oświadczył przewodniczącemu, który karnie usiadł przy biurku.

Bierzemy udział w tej maskaradzie? – zapytał Roman Pieczyrak Krzesińskiego, wychodząc z gabinetu Kadury.

– Nie mamy wyjścia. Dla reszty też będzie lepiej, jak zostaną oficjalnymi bohaterami. Nikt już nie zarzuci nam, żeśmy chcieli

go ukryć. Nie wiadomo, ile to jeszcze wszystko potrwa. A tak zdjęcie zrobią i medal dadzą – zaśmiał się.

– A kto jeszcze jest na miejscu?

– Obaj Drewnowscy. Galera, on dwóch synów w AK ma jeszcze. Też lepiej jak się pokaże. Podleśny i Woyda gdzieś w Polsce, a Józef Serafin w Oświęcimiu zginął.

– Jak mój syn. Prawie w tym samym czasie. – Opuścił głowę Roman Pieczyrak.

– A ten Dziurawiec? Nigdy go już później nie spotkałem.

Więzienie na zamku w Lublinie listopad 1944 roku

Dziurawiec szedł przy więziennej ścianie, ledwo powłócząc nogami. Przytrzymał się muru, choć wcale nie chciał go dotykać. Niemcy uciekając, rozstrzelali wszystkich więźniów. Krew lała się po schodach, przesiąkła przez sufit i ściany. Jeszcze nie wyschła, gdy cele zaczęły zapełniać się ponownie. Tego nie widział. Do aresztu trafił jak tylko ogłoszono powstanie nowej Polski. Siedział razem ze aresztowanymi hitlerowskimi strażnikami Majdanka i kilkoma żołnierzami AK. Z dziadkami zamkniętymi za posiadanie radia, co się uchowało za Niemca, i harcerzami oskarżonymi o wrogi stosunek do nowego ustroju. Trzydzieści osób na osiemnastu metrach kwadratowych.

Dziurawca ustrój nie obchodził wcale, ale nie chciał, by jego rzeczy stały się wspólne, tak jak sobie życzył jeden bolszewik, z dziesięcioma zegarkami na rękach.

Siedział już trzy miesiące. Po przesłuchaniach i pobycie w baszcie, z niedożywienia zaczynało mu się dwoić w oczach i nie bardzo rozumiał, co do niego mówią, choć mówili po polsku. W końcu wystawiono go za bramę. Zrozumiał, że ma sobie iść. Nie czekając, zaczął stawiać powolne kroki, gdy podjechał samochód. Drzwi otworzyły się i wciągnięto go do środka. Pomyślał, że wiozą go na kolejne przesłuchanie. Auto zatrzymało się przed dużym budynkiem. Kazali mu wysiąść. Wysiadł. Samochód odjechał. Stał przed Wytwórnią Wyrobów Tytoniowych i pomyślał, że ma straszną ochotę zapalić. Ktoś go zawołał do środka. Przeprowadzono go przez jedno pomieszczenie, potem przez drugie. Chciał przez nie przejść i stanąć pod ścianą, gdy człowiek w białym kitlu krzyknął:

- Ostrożnie! - I powstrzymał go gestem wyciągniętej ręki. Spojrzał pod nogi.

Na ziemi leżała wielka brunatnoszara płachta. Nierówna, postrzępiona na bokach. Pogięta i porwana. W powietrzu oprócz

tytoniem śmierdziało zbutwiałą szmatą. Zaczął się jej przyglądać. Ledwo co było widać. Jakieś kreski, kotłowanina, gdzieniegdzie jaśniejsze plamy odrapanej farby. Wyteżał wzrok, ale wszystko było zaśniedziałe i zapleśniałe. Brzydkie.

– Obiecałem ci – usłyszał głos za plecami.

Starał się być poważny, ale z emocji prawie zapiszczał.

Dziurawiec uśmiechnął się i odwrócił. Szukał twarzy tego, kto to powiedział, powyżej swego pasa, ale ten był tylko ledwo niższy od niego. Za plecami chłopaka stał jego ojciec.

– Jest pan już wolny. Tyle mogłem dla pana zrobić – powiedział Daniel Faber, który przez trzy lata mocno posiwiiał na skroniach, ale poza tym niewiele się zmienił.

Dziurawiec skinął głową. O nic nie prosił, więc i za nic nie musiał dziękować.

– Na nic to wszystko – rzucił w kierunku Jony, pokazując na obraz. – Uratowaliśmy szmatę. Widzisz?! Zgniłą szmatę! – zadrżała mu ręka.

– Nieprawda – prawie z płaczem odpowiedział mu Jona.

– Nic nie widzę – odwrócił się i ruszył w kierunku wyjścia.

– Niech pan poczeka – powiedział do niego człowiek w białym kitlu, od którego na kilometr śmierdziało spirytusem, choć nie wyglądał na pijaka.

– Na co?! Nic tu już nie ma. – Dziurawiec wzruszył ramionami i splunął znowu się odwracając.

– To profesor Bohdan Marconi – jęknął Jona. – Wybitny konserwator dzieł sztuki! Teraz on go uratuje.

– Cofnie czas?

– Spójrz! – błagał Jona.

– Niech pan popatrzy.

Profesor wyjął z kitla szklaną butelkę, wacik i zaczął przecierać mały fragment. Powoli, bardzo powoli pokazywał się kolor, najpierw blade, po chwili znacznie bardziej wyraźne.

Trwało to w nieskończoność, ale Dziurawiec ani drgnął, patrząc na ręce profesora, w końcu zobaczył kawałek rękojmi miecza. Zdawało mu się, że zabłyszczała.

– Ile to potrwa? – zapytał po chwili, przetykając ślinę.

- Parę lat, tak to oceniam, niestety – westchnął konserwator.
- Poczekam – odpowiedział mu.



Losy obrazów bywają przedziwne, ale tego, co spotkało *Bitwę pod Grunwaldem* Jana Matejki, nie doświadczyło żadne inne płótno na świecie.

Od początku było to dzieło niezwykle i stało się sławne, zanim wyrósł len, na którym je namalowano. A to się nieczęsto zdarza.

Tłumy wiwatowały na cześć malarza, gdy ten podróżował pociągiem na pola Grunwaldzkie szukając inspiracji. Tłumy oglądały, gdy wystawiono obraz po raz pierwszy w 1978 roku w Krakowie. Ale nie tylko w Polsce gromadził rzesze. Jeszcze za życia Matejki zwiedził siedemnaście najważniejszych miast Europy. Pokazywano go oczywiście w Wiedniu i Berlinie. W sumie do dzisiaj odbył trzydzieści dwie dalekie podróże.

Ostatni raz opuścił Warszawę w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym. W Wilnie obejrzało go dwieście tysięcy osób! W miesiąc! A witany był z honorami. Utkano nawet specjalny dywan, by nie drżała podłoga, pod stopami zwiedzających.

I kto by pomyślał, że obraz ten dwa razy uciekał przed wojną. Raz i drugi! Najpierw do Rosji, potem do Lublina, na wozie. Ścigany niczym największy przestępca i ukrywany niczym największy skarb.

Żadne też płótno tego rozmiaru i tej wagi, dosłownie i w przenośni, nie spędziło ponad tysiąca dni pod ziemią! Jak w grobie. Za żadne nie chciano płacić dwóch milionów marek, by je znaleźć i zniszczyć. Nieprawdopodobna to była historia, aż trudno uwierzyć, że wydarzyła się naprawdę.

Szczęśliwie dla nas obraz przetrwał i dzięki mozolnej pracy konserwatorów, zaraz po wojnie i teraz, można podziwiać to wspaniałe płótno i cieszyć się, że tak spokojnie wisi sobie na wielkiej ścianie Muzeum Narodowego...

Lista osób, które przyczyniły się do ratowania *Bitwy pod Grunwaldem* podczas drugiej wojny światowej. Niektórzy zginęli, niektórzy narażali swoje życie. Najbardziej znani z nich zostali przedstawieni w książce, innych powieść pomieścić już nie zdołała, a niektórzy pozostali bezimienni.

Oto oni:

Stanisław Ejsmond
Bolesław Surańko-Gajduczeni
Stanisław Mikulicz-Radecki
Władysław Woyda
Stanisław Bryła
Roman Pieczyrak
syn Romana Pieczyraka
Henryk Krzesiński
Franciszek Podleśny
Józef Serafin
Stanisław Kalinowski
Franciszek Galera
Ignacy Drewnowski
Władysław Drewnowski
Michał Grzesiak
i inni.



Spis treści

Dedykacja

60 lat wcześniej

Wrzesień 1878 roku

Część I

Lublin, marzec 1938 roku

Wiedeń, marzec 1938 roku

Warszawa, marzec 1938 roku

Wiedeń, kwiecień 1938 roku

Wiedeń, kwiecień 1938 roku

Lublin, kwiecień 1938 roku

Wiedeń, kwiecień 1938 roku

Lublin, kwiecień 1938 roku

Wrocław, maj 1938 roku

Warszawa, czerwiec 1938 roku

30 kilometrów od Berlina, wrzesień 1938 roku

Berlin, październik 1938 roku

Poznań, styczeń 1939 roku

Berlin, kwiecień 1939 roku

Gdynia, czerwiec 1939

Warszawa, czerwiec 1939

Lublin, czerwiec 1939 roku

Chełm, lipiec 1939 roku

Warszawa, przełom sierpnia i września 1939

Warszawa, 2 września 1939 roku

Warszawa, 5 września 1939 roku

Połczyn-Zdrój 5 września 1939 roku

Warszawa, 7 września 1939 roku

Lublin, 9 września 1939 roku

Część II

Lublin, 9 września 1939 roku

Berlin, 10 września 1939 roku
Lublin, 10 września 1939 roku
Lublin, 11 września 1939 roku
Lublin, 13 września 1939 roku
Kraków, 16 września 1939 roku
Lublin, 17 września 1939 roku
Kraków, 20 września 1939 roku
Berlin, jesień 1939 roku
Lublin, 26 września 1939 roku
Warszawa, 2 października 1939 roku
3 października, aleja Szucha, Warszawa
5 października, Warszawa
Lublin, październik 1939
Lublin, październik 1939 roku
Warszawa, jesień 1939 roku
Lublin, jesień 1939 roku
Kraków, jesień 1939
Lublin, jesień 1939

Część III

Okolice Zamościa, styczeń 1941 roku
Lublin, styczeń 1941 roku
30 kilometrów od Lublina, luty 1941
Lublin, luty 1941
Lublin, 20 lipca 1941 roku

Część IV

Lublin, październik 1944 roku
Więzienie na zamku w Lublinie listopad 1944 roku
